

książki Vince'a Flynna:

Przerwane kadencje

Przejęcie władzy

Trzecia opcja

Podział władzy

Władza wykonawcza

VNCE

FLYNN

PODZIAŁ

WŁADZY

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim chciałbym podziękować mojej kochanej żonie, Lysie, za jej cierpliwość i wyrozumiałość w czasie, gdy pracowałem nad tą powieścią - szczególnie w ostatnich trzech miesiącach. Kochanie, to dzięki tobie wszystko to warte było zachodu. Mojemu agentowi, Sloanowi Harrisowi, wdzięczny jestem za jego mądre rady i dobry nastrój. Wspaniale było śledzić, jak wszystko powiodło ci się w ostatnim roku. Emily Bestler dziękuję za cierpliwość, która pozwoliła mi spokojnie dokończyć książkę. Nie ulegałem napadom niepokoju wywołanego pośpiechem, przez co wyniosłaś tę powieść na wyższy poziom.

Wyrażam wdzięczność Larry'emu Johnsonowi, wybitnemu specjalście do spraw antyterrorystów, którego sugestie zawsze chętnie przyjmuję. Dziękuję Patowi O'Brienowi, przyjacielowi ze szkoły średniej i

człowiekowi, który swobodnie obraca się na Kapitolu. Billowi Harlowowi, wspaniałemu autorowi i dyrektorowi biura public relations CIA, dziękuję za cierpliwe odpowiadanie na moje pytania, a Fredowi Mangetowi z rady głównej CIA - za udostępnienie odtajnionych dokumentów dotyczących bezpieczeństwa narodowego i obwieszczeń Kongresu. Dziękuję też za pomoc tym wszystkim, którzy chcieli pozostać anonimowi. Sessalee, Karen, Tommy'emu, Edwardowi i Pauli wdzięczny jestem za doroczny lunch w Nowym Jorku, podczas którego zawsze rozmawiamy o wielu sprawach, niekoniecznie dotyczących książek. I, jak zawsze, dziękuję wszystkim księgarzom i czytelnikom za ich wieńczące każde dzieło entuzjazm i wsparcie.

WSTĘP

Doktor Irene Kennedy stała nad świeżo usypaną przyzmą ziemi i płakała. To był skromny pogrzeb, tylko najbliżsi krewni i kilkoro przyjaciół. Żałobnicy opuścili już cmentarz, po którym hulał wiatr, i wracali do miasta na lekki lunch. Czterdziestoletnia dyrektor Centrum Antyterrorystycznego CIA chciała jednak spędzić jeszcze chwilę w samotności nad grobem swego mentora. Uniosła głowę, otarła łzy i rozejrzała się. Nie zważając na dojmujący chłód zachodniej Dakoty Południowej, pozwoliła im płynąć. Była to ostatnia szansa na okazanie żalu z powodu odejścia człowieka, który tak wiele ją nauczył. Przed nią był teraz Waszyngton i chyba najtrudniejszy test w życiu. Tuż przed śmiercią Stansfield powiedział jej, że nie ma powodu do zmartwienia. Wszystko zorganizował - to ona przejmie po nim stanowisko dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej. Nie była zachwycona czekającym ją procesem

zatwierdzającym nominację, ale bardziej bała się tego, czy będzie umiała godnie zastąpić starego szefa. Był najwspanialszym człowiekiem na świecie.

Thomas Stansfield zmarł w chłodny jesienny poranek, w obecności dzieci, wnuków i Irenę Kennedy. Tak właśnie, jak chciał. Zabrakło mu dwóch tygodni do ukończenia osiemdziesięciu lat. Ale nie chciał dłużej żyć. Przez kilka ostatnich dni siedział w skórzanym fotelu odurzony morfiną uśmierzającą ból wywołany przez nowotwór, ale i otępiającą umysł. Spoglądał w okno i widział opadające z drzew liście. To była ostatnia jesień jego życia.

Dojście Thomasa Stansfielda do szczytu władzy w Centralnej Agencji Wywiadowczej osnute było legendą. Urodził się w 1920 roku w Dakocie Południowej, niedaleko Stoneville. Młodość spędzona na wsi była najtrudniejszym okresem w jego życiu. Beztroskę dzieciństwa zakłócały suche, upalne lata i apokaliptyczne burze piaskowe, przemieniające dzień w noc. Czasy Wielkiego Kryzysu zebrały obfite żniwo w rodzinie Stansfieldów. Thomas stracił jednego z braci, wujka, wielu kuzynów oraz dwoje z czworga dziadków.

Rodzice Stansfielda poznali się we wczesnej młodości. Przybyli z Europy tuż przed pierwszą wojną światową wraz z innymi imigrantami, którzy potem, podróżując bydlęcymi wagonami, rozproszyli się po całym kraju. Ojciec pochodził z Niemiec, a matka z Norwegii. Thomas wzrastał wśród opowieści rodziców i dziadków o ich krajach rodzinnych. W szkole posługiwał się angielskim, ale wieczorami rodzice i dziadkowie dyskutowali w swych ojczystych językach. Interesowała go nauka i w przeciwieństwie do braci od zawsze wiedział, że nie zostanie na farmie.

Był przekonany, że wróci kiedyś do Europy i zbada historię swojej rodziny. Nie wahał się więc ani sekundy, gdy jako siedemnastolatek, dzięki przyznaniu pełnego stypendium akademickiego, otrzymał szansę wstąpienia na Stanowy Uniwersytet Dakoty Południowej.

Studia nie sprawiały mu trudności. Specjalizował się w inżynierii i historii, był prymusem. W gorących i głodnych latach trzydziestych widział gromadzące się na horyzoncie czarne chmury. Podczas gdy jego koledzy i profesorowie zajęci byli wewnętrznymi sprawami Ameryki, Stansfield bacznie śledził rozwój faszyzmu w Europie i przeczuwał zbliżające się nieszczęście.

Franklin Delano Roosevelt również widział rodzące się w Europie i na Dalekim Wschodzie zło, ale nie mógł nic zrobić. Nie interweniował, bo w czasie pierwszej wojny światowej Ameryka straciła zbyt wielu synów, by teraz tak szybko zaangażować się w następną wojnę. To był problem Europy. Tak więc Roosevelt, zręczny polityk, cierpliwie czekał na swój czas i przygotowywał się do działania. Dlatego właśnie wezwał swego bliskiego przyjaciela pułkownika Wilda Billa Donovana. Ten nowojorski prawnik, odznaczony w czasie pierwszej wojny Medalem Honorowym Kongresu - dowodził wtedy we Francji 69. Pułkiem Piechoty - został jednym z najbardziej przenikliwych i zaufanych doradców Roosevelta. Pod jego wpływem prezydent powołał formację znaną jako Biuro Służb Strategicznych (Office of Strategic Services, OSS). Donovan skupił się najpierw na wyszukaniu w siłach zbrojnych i na amerykańskich uniwersytetach młodzieży uzdolnionej językowo, która mogłaby pomóc OSS w analizowaniu przechwytywanych przez wywiad informacji dotyczących państw osi. Ale Donovan miał jeszcze jeden cel. Nie wątpił,

że Ameryka prędzej czy później będzie musiała przystąpić do wojny, chciał więc być przygotowany do ulokowania ludzi za linią wojsk niemieckich, aby organizowali ruch oporu, zbierali informacje wywiadowcze i -jeżeli zajdzie taka potrzeba -przeprowadzili zamachy i akcje sabotażowe.

Jednym z najcenniejszych rekrutów Wilda Billa Donova-na był właśnie Thomas Stansfield, szczupły młodzieniec z Dakoty Południowej, biegle mówiący po niemiecku i norwe-sku, a w miarę dobrze także po francusku. W czasie wojny został zrzucony ze spadochronem najpierw w Norwegii, potem we Francji. Kiedy ukończył dwadzieścia lat, został dowódcą jednej z grup zwanych Jedburgh - i to jednej z najskuteczniejszych. Po wojnie generał Eisenhower powiedział, że inwazja we Francji nie byłaby możliwa, gdyby nie odwaga i poświęcenie członków Jedburgha, którzy organizowali francuski ruch oporu, dostarczali szczegółowe raporty, nieustannie zakłócali ruch niemieckich wojsk, wprowadzając wśród nich niesamowite zamieszanie w pierwszych dniach inwazji. Thomas Stansfield był jednym z tych dzielnych ludzi, którzy działali na tyłach wroga, przez wiele miesięcy przygotowując drogę siłom inwazyjnym. Przed świtem Dnia D Stansfield i jego ludzie zniszczyli główną linię kolejową i centralę telefoniczną jako ukoronowanie tej działalności.

Po wojnie nadal służył krajowi. Gdy w 1947 roku utworzono CIA, był jednym z pierwszych jej pracowników. Niemal czterdzieści lat spędził w Europie, prawie cały czas działając za żelazną kurtyną. Był jednym z najlepszych agentów, rekrutujących najwięcej ludzi do pracy w wywiadzie. W latach osiemdziesiątych prezydent Reagan, na którym ogromne wrażenie wywarły jego osiągnięcia, uczynił go szefem stacji

w Moskwie. Wiedział, że Stansfield doprowadzi Rosjan do szału. Potem ściągnięto go do kraju i powierzono mu stanowisko zastępcy dyrektora do spraw operacyjnych, a później dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej. I tak to, nie szukając uznania, zawsze służył krajowi.

Kiedy był już umierający, odwiedził go prezydent Ha-yes i oznajmił, że czynione są przygotowania do wojkowego pogrzebu na Cmentarzu Narodowym w Arlington. Prezydent zapowiedział też wygłoszenie mowy pogrzebowej - przynajmniej tyle mógł zrobić kraj dla człowieka, któremu tak wiele zawdzięczał. Stansfield jednak odmówił. Powiedział prezydentowi, że chce zostać pochowany tam, gdzie się urodził. I to bez pompy. Miała to być prywatna ceremonia, pogrzeb zwykłego człowieka.

Kennedy odgarnęła z twarzy mokry brązowy kosmyk włosów. Stojąc na zimnym wietrze, z szarym, posępnym niebem na głowę, czuła się bardziej samotna i opuszczona niż kiedykolwiek w życiu. Przed laty przeżyła stratę ojca, którego samochód eksplodował w Bejrucie, ale to nie było to samo. Wtedy pół roku podróżowała po świecie, szukając odpowiedzi na rodzące się w niej pytania. Tym razem nie mogła sobie pozwolić na taki luksus. Teraz najważniejszy był Tommy, niezwykle dociekliwy sześciolatek syn. Od tej odpowiedzialności nie było ucieczki. Zwłaszcza że uchylił się już od niej ojciec Tommy'ego. Ale Kennedy nie była tym zaskoczona. Wtedy drugi raz w życiu straciła kogoś, kto był dla niej ważny. Gdyby chodziło tylko o Tommy'ego, jakoś by sobie poradziła. Ale to nie wszystko. Był jeszcze Waszyngton.

Kennedy spojrzała na zachód, w kierunku groźnych i pięknych w swym majestacie Black Hills. Przez moment pomyślała o ucieczce. Zabrać Tommy'ego, porzucić CIA i uciec. Nigdy już nie oglądać się za siebie i

uniknąć tego całego zamieszania. Niech sępy rzucą się na kogoś innego. Kiedy jednak spojrzała na grób Thomasa Stansfielda, zrozumiała, że nie może tego zrobić. Zbyt wiele mu zawdzięczała. Liczył na nią i na to, iż zdoła zachować polityczną niezależność CIA. Była przekonana, że nikt inny nie po-
dziwiał Thomasa Stansfielda tak jak ona. Poświęcił agencji niemal sześćdziesiąt lat życia, niezachwianie wierząc w demokrację i swój kraj. A ona dała mu słowo. I musiała wrócić do Waszyngtonu.

Ciężko westchnąwszy, po raz ostatni spojrzała na grób. Wykonała pożegnalny gest i otarła łzy z twarzy. Było to nie tylko milczące pożegnanie, ale i prośba, żeby wspierał ją w nadchodzących trudnych miesiącach. Potem odwróciła się i poszła do samochodu.

1

BAHAMY, PIĄTEK WIECZÓR

Wyspa Williamsa to jeden z setek skrawków lądu tworzących archipelag Bahamów. Ale tylko na niej znajdował się nowy pas startowy, mogący przyjąć nawet niewielkie samoloty odrzutowe, wykorzystywany przez właścicieli posiadłości ulokowanych na zachodnim krańcu wyspy. Godzinę przed zachodem słońca rozległ się nad nim dźwięk silników turbinowych i na tle pomarańczowej tarczy słońca pojawił się błyszczący odrzutowiec pasażerski Gulfstream. Podchodzący do lądowania samolot był niczym miraż. Po chwili jego koła niemal bezdźwięcznie dotknęły betonu i maszyna potoczyła się wzdłuż pasa. Na lotnisku nie było wieży kontrolnej, tylko hangar i szopa dla obsługi. Samolot zatrzymał się, umilkły silniki. Obok hangaru stał nowy, lśniący rangę rover, a przy nim

kierowca z założonymi na piersiach rękoma, niczym żołnierz w pozycji spoczyni.

Kierowcę, rodowitego mieszkańca Bahamów, wysłał po przybywszy senator Hank Clark - właściciel posiadłości na drugim krańcu wyspy i główny sponsor budowy lotniska.

W otwartych drzwiach samolotu pojawili się pierwsi pasażerowie - kobieta i mężczyzna, oboje po trzydziestce, wyglądający jak zwykli biznesmeni z zawieszonymi na ramionach czarnymi skórzanymi teczkami z laptopami. Ledwo dotknęli stopami ziemi, a już wyciągnęli telefony, wystukali numery i niecierpliwie czekali na połączenie. Po chwili w drzwiach pojawił się trzeci pasażer. Jego strój jednak nie wskazywał na człowieka interesów.

Mark Ellis przez chwilę stał bez ruchu, obserwując okolicę przez przeciwsłoneczne okulary Revo. Starannie przyścięta brązowa broda skrywała ślady po młodzieńczym trądziku. Był ubrany swobodnie - jedwabne skarpetki, jedwabna koszula z krótkimi rękawami w tropikalny deseń i niebieski blezer - ale całość, razem z butami, kosztowała blisko tysiąc dolarów i została skompletowana przez osobistego zaopatrzeniowca z Semi Valley. Zatrudniona przez Ellisa specjalistka co miesiąc przynosiła mu sterty ubrań, a on podpisywał rachunki, nie wdając się w szczegóły. Zwykle słuchał jej sugestii i cała sprawa nie trwała dłużej niż piętnaście minut. Potem odcinała metki i umieszczała ubrania w przylegającej do sypialni garderobie o powierzchni czterystu metrów kwadratowych. Być może ktoś uznałby, że to zbyt duże pomieszczenie do tych celów, ale gdy wzięło się pod uwagę powierzchnię całego domu, wynoszącą dwanaście tysięcy metrów kwadratowych,

okazywało się w sam raz.

Mark Ellis był miliarderem. Magazyn „Fortune” szacował jego majątek na dwadzieścia jeden miliardów dolarów. Niestety, ostatnie niepowodzenia sprawiły, że jego wartość spadła o połowę, co Ellisa doprowadzało do szału. To właśnie ostatni drenaż jego portfela był przyczyną wizyty na tej małej wyspie.

Ellis był najbardziej błyskotliwym biznesmenem w Dolinie Krzemowej, ale w przeciwieństwie do innych jej mieszkańców niczego nie produkował. Nie zajmował się konstruowaniem sprzętu komputerowego, pisaniem programów lub wdrażaniem najnowszych technologii. Był zawodowym graczem, a przedmiotem jego zainteresowania był kapitał wysokiego ryzyka. Zbliżał się do pięćdziesiątki, a zajmował się tym już od ukończenia dwudziestego ósmego roku życia. Inwestował po prostu w małe, przeważnie początkujące firmy, o których nikt właściwie nic nie wiedział. Niezwykle pewny siebie, czasem działający na granicy ryzyka, pracował każdego dnia przez wiele godzin i spodziewał się, że inni będą pracować dla niego jeszcze dłużej. Był porywczy, a najbardziej wściekał się, gdy spotykały go niepowodzenia w interesach. Niepowodzenia bowiem oznaczały straty finansowe, a to budziło w nim jeszcze większe emocje niż obłądne wprost dążenie do bogacenia się.

Ostatnio Ellisa spotkało wiele niepowodzeń, co doprowadzało go do takiego szału, że tracił zdolność do zimnej oceny sytuacji, której tak bardzo teraz potrzebował. Pozytywne było jednak to, że zauważył problem. Teraz pilnie należało znaleźć sposób na odwrócenie trendu spadkowego. Idąc do samochodu, nerwowo gładził brodę. Mimo że cieszył się opinią zawodowego gracza, przynajmniej od dziesięciu lat nie

był ani na torze wyścigowym, ani w kasynie. Jeśli chodziło o zalegalizowany hazard, miał dwie zasady -nie podobały mu się fory i nie lubił czyichś reguł. I nie było ważne, kto je ustanowił: Kościół katolicki, komisja do spraw papierów wartościowych i obrotu giełdowego, urząd skarbowy czy po prostu rząd. Mark Ellis, urodzony w Buffalo, stan Nowy Jork, syn robotnika pracującego przy konstrukcjach stalowych, uważał bowiem, że wszelkie reguły ograniczają i prowadzą do klęski. A ustala się je tylko po to, aby móc kontrolować masy. Pojął to jeszcze jako dziecko i od tej pory kierował się zasadą, że nie należy brać ich pod uwagę.

Senator Hank Clark był masywnie zbudowanym, wysokim mężczyzną, którego w rejonie Beltway czule porównywano do Johna Wayne'a, a on chełpił się tym i uważał, że to go wyróżnia w towarzystwie. Nie można powiedzieć, żeby był altruistą. Absolutnie nie. Nie miał nic przeciwko przysparzaniu sobie wrogów, ale bardziej odpowiadało mu, jak ludzie myśleli, że są jego przyjaciółmi. A poza tym był politykiem i wyznawał zasadę dobrze wyszkolonego zabójcy: łatwiej poderżnąć gardło komuś, kto pozwoli się do siebie zbliżyć. Dlatego właśnie w coraz bardziej podzielonym Waszyngtonie ten republikański senator z Arizony należał do tych niewielu polityków, którzy robili dobre wrażenie w Senacie. Oficjalnie nie miał żadnych wrogów, a prywatnie - tylko kilku. Był ogólnie lubiany, a swoje zdolności pozyskiwania sympatii innych wykorzystywał do odkrywania ich słabości. Senator Henry Thomas Clark był naprawdę niebezpiecznym człowiekiem.

Patrzył teraz na błękitne wody Morza Karaibskiego i się uśmiechał. Dobrze się tu urządził. Jego posiadłość na cyplu miała nie tylko własną

lagunę, ale i ponad dwadzieścia hektarów gwarantujących pełną prywatność. Zabudowania składały się ze stróżówki, pawilonu gościnnego, którego okna wychodziły na lagunę, i dużego głównego budynku z widokiem na ocean. Całość utrzymana była w stylu śródziemnomorskim.

Clark stał na tarasie, a dziesięć metrów niżej pieniały się fale, rozbijające się o skalne urwisko. Przypominał teraz figurę zdobiacą dziób statku. Pomarańczowe słońce znikalo właśnie za horyzontem, mijał kolejny dzień w raj. Clark z uśmiechem dokończył drinka i pomyślał: „Tylko w Ameryce dziecko dorastające w nędzy w rodzinie pijaków może zostać miliarderem i senatorem”. Znał wielu, którzy zrobili karierę, ale wątpił, by ktokolwiek z nich zaczynał z tak niskiego poziomu jak on, aby zejść aż tak wysoko. I nie było dnia, w którym by nie myślał o tym, jak dużo osiągnął i jak wiele jeszcze chce osiągnąć.

Jego ojciec był nędznym nieudacznikiem - w każdym znaczeniu tego określenia, do tego zresztą stopnia, że odebrał sobie życie, gdy Clark był jeszcze chłopcem. Z dzieciństwa Clark pamiętał jedynie, jak bardzo może być źle - bez ojca, z ciągle pijaną matką i piętnem mieszkańca osiedla przyczep kempingowych. Na szczęście rodzice ofiarowali mu jedną naprawdę cenną rzecz: umiejętność szybkiego startu i pokonywania ostrych zakrętów. I to był jego bilet do lepszego świata, do studiów na Uniwersytecie Stanu Arizona. Po skończeniu uczelni Clark zajął się handlem nieruchomościami i budową osiedli mieszkaniowych na przedmieściu Phoenix, zwanym Scottsdale. Od tego czasu piał się w górę, od jednego sukcesu do następnego. Pierwszy milion zgromadził, mając trzydzieści lat. W wieku trzydziestu pięciu lat zmienił tryb życia i postanowił zająć się

polityką. Przez jedną kadencję zasiadał w Izbie Reprezentantów, a potem w Senacie, gdzie teraz, będąc już w średnim wieku, pełnił funkcję senatora czwartej kadencji. Wielu ludziom mogłoby to wystarczyć, ale nie Hankowi Clarkowi. On nie osiągnął jeszcze wszystkiego. Czekają na niego jeszcze jedno, najważniejsze zajęcie.

Na nieszczęście kilka osób w Waszyngtonie nie miało akurat ochoty do współpracy. Clark wiedział, że właśnie z tego powodu Mark Ellis zdecydował się odbyć wycieczkę na tę wysepkę. Clark był wprawdzie bogaty, ale nie miał zamiaru wyrzucać przez okno ciężko zarobionych dolarów, dlatego potrzebował Ellisa i jego przyjaciół. Mieli mnóstwo pieniędzy, byli miliarderami, i z pewnością nie zawahają się wydać kilku miliardów na zdobycie dostępu do pewnych informacji.

Clark westchnął i pokręcił głową - czekała go nudna i uciążliwa droga. Informacja, oto co w tym całym bałaganie się liczy. To prawdziwa potęga i ludzie tacy jak Ellis rozumieją, że Clark może pomóc w zdobyciu wiadomości koniecznych do pomnożenia miliardów i ochrony ich królestwa.

Mimo ryku fal Clark usłyszał wchodzącego do domu Ellisa. Obaj, Clark i Ellis, tak samo pragnęli władzy. Tyle że Clark był spokojny i czujny, natomiast Ellis - nerwowy i agresywny. Zazwyczaj niszczył ludzi serią frontalnych ataków; żadnych sztuczek, żadnego podchodzenia przeciwników, po prostu siłą zmuszał ich do uległości. Clark uważał to za bardzo interesujące, ale sam był wyrafinowanym taktikiem i manipulacja takimi ludźmi jak Ellis sprawiała mu przyjemność. Dzisiejszego jednak wieczoru, w gorącym karaibskim powietrzu, wolałby drinka, jakąś lekką przekąskę i

gładką skórę młodej dziewczyny dostarczonej z Miami.

Ellis wszedł szybkim krokiem na taras, niczym agresywny książę przynoszący złe wieści z jakiegoś dalekiego frontu. Takie zachowanie nie licowało z tym uroczym miejscem i było dalekie od atmosfery prywatnego sanktuarium Clarka, ale senator nawet drgnieniem powiek nie zdradził niezadowolenia. Żadnych powitań, żadnej zdawkowej wymiany zdań na temat pogody czy pięknego zachodu słońca. Ellis z pasją cisnął na mały stolik egzemplarz „San Francisco Chronicle” i wlepił wzrok w gospodarza.

- Co to wszystko, u diabła, ma znaczyć?!
- Dobry wieczór, Mark. Jak minął lot?
 - Nie mówmy o moim locie - warknął Ellis, patrząc na wyższego i potężniejszego Clarka. - Wyjaśnij mi to. - Wskazał gazetę, nie spuszczać oczu z senatora.

Clark spojrział na gazetę i poprosił:

- Możesz mi przeczytać? Nie mam przy sobie okula

rów.

A gdy Ellis chwycił gazetę, uśmiechnął się. Sytuacja mimo wszystko była zabawna: byk i matador.

- Tytuł: „Nowy dyrektor CIA”. I dalej: „Źródła zbliżone do prezydenta donoszą, że w przyszłym tygodniu nominuje on na dyrektora CIA doktor Irenę Kennedy. Jeżeli tak się stanie, Kennedy będzie pierwszą kobietą kierującą agencją szpiegowską”. - Ellis z obrzydzeniem odrzucił gazetę na stolik. - Mówiłeś, że zajmiesz się tym bałaganem.
- Owszem, mówiłem i zajmę się.
- W jaki sposób, na Boga, chcesz to zrobić, Hank? Nie jesteś jedynym

moim źródłem informacji w Waszyngtonie -rzucił Ellis. -

Dowiedziałem się kilku rzeczy.

Clark pociągnął łyk, usiłując ocenić powagę zawołanej groźby.

- Więc czego się dowiedziałeś?
 - Że Kennedy nie zagra z nami w jednej drużynie. Słyszałem też, że będziemy mieli poważne kłopoty, jeżeli dowie się o naszym układzie.
 - Co do pierwszego - odparł Clark, kręcąc głową - to nie jestem taki pewien, czy nie będzie z nami współpracować. Co do drugiego, nigdy nie ujawni naszego układu.
- Skąd ta pewność?
 - Bo będzie wolą cię zabić - stwierdził Clark zupełnie szczerze. Ellis cofnął się o krok, rzucając senatorowi pytające spojrzenie.
- Chyba nie mówisz poważnie?
 - Bardzo poważnie. Nie wiem, kto jest twoim źródłem, ale mogę ci zagwarantować, że nie zna Kennedy tak dobrze jak ja. Została dobrze wyszkolona. Na czele tej agencji nigdy wcześniej nie stał ktoś tak kompetentny, skuteczny i śmiertelnie niebezpieczny jak Thomas Stansfield i wątpię, czy będzie stał w przyszłości... Ale Kennedy może go godnie zastąpić. Stansfield niewątpliwie zostawił jej swoje akta. - Clark odwrócił się i spojrzał na morze. -Wszystkie tajemnice, jakie poznał w ciągu ponad pięćdziesięciu lat służby w wywiadzie. Znam bardzo wpływowych ludzi w Waszyngtonie, którzy niezwykle nerwowo przyjęli możliwość jej nominacji.

Ellis z rozpaczą zacisnął pięści.

- Dlaczego więc, u diabła, nie kazałeś swoim chłopcom wpłynąć na prezydenta, żeby wycofał jej nominację i w zamian wyznaczył kogoś,

kto by z nami współpracował?

- To nie takie proste, Mark. Ci chłopcy się jej boją. Boją się tego, co o nich wie, i wolą nie zwracać na siebie uwagi.
 - Pieprzysz! Gównu mnie obchodzi, ilu z nich się jej boi, ilu straci stołki albo żony czy co tam jeszcze mogą stracić...
 - A co z ich wolnością? - zapytał Clark, marszcząc brwi.
 - Co masz na myśli?
 - Niektórzy z nich mogą się znaleźć w więzieniu.
 - Och, nie przesadzaj.
 - Lepiej znajdź sobie nowe źródła informacji, Mark. -Clark skierował się do drzwi. - Idę sobie nalać następnego drinka. Napijesz się?
- Ellis zawahał się, ale poszedł za Clarkiem.

- Moje źródła są dobre. - Patrzył sceptycznie na sze rokie plecy senatora. - Domyślam się, o co ci chodzi. Pró bujesz mnie przestraszyć. Ale oświadczam, że ci się to nie uda.

Clark stanął za prostym granitowym barem, za którym były dwa duże okna wykuszowe. Pod blatem ciągnęły się dwie półki wypełnione butelkami. Chwycił butelkę szkockiej.

- Ta twoja mała firma detektywistyczna, z której usłu gi korzystasz w Waszyngtonie... - zachichotał - ...jest do bra do wyszukiwania brudów na kolegów albo reporterów, których się nie lubi... Czy też do grzebania w śmieciach konkurentów. Och, przepraszam, zapomniałem, że ich na tym przyłapano. - Nalał Ellisowi tequila. - Sprawilo ci to trochę kłopotów, prawda? - Okrasił pytanie uśmiechem

i uniósł szklanę w toaście.

Ellis wymruczał pod nosem jakieś przekleństwa i wypił. Sytuacja, do której nawiązywał senator, to była prawdziwa katastrofa. Otóż zatrudnił w Waszyngtonie prywatną firmę detektywistyczną do obserwacji biura jednego z jego głównych konkurentów. Jej pracownicy usiłowali przekupić nocną służbę porządkową, by przejąć wyrzucane śmieci. Sprzątacze donieśli jednak o tym szefowi, w sprawę włączyli się gliniarze i w efekcie detektywi Leiser Security zostali skompromitowani. Potem wydało się, kto ich wynajął. Ellis ukrył się wprawdzie za tarczą prawników i nie sporządzono w tej sprawie żadnych akt, ale w Dolinie Krzemowej obszernie komentowano ten incydent. Przez wiele miesięcy był obiektem niewybrednych dowcipów i musiał unikać spotkań towarzyskich.

Nie przejął się jednak złośliwymi aluzjami senatora.

- To nie ma nic wspólnego z tematem naszej rozmowy. Nie kupuję tych bzdur, że garstka senatorów trzęsie portkami przed Kennedy. Jeżeli naprawdę się jej boją, to mamy jeszcze jeden powód, aby ją zablokować. To, co mówisz, nie ma żadnego sensu. - Ellis pokręcił głową i zmarszczył brwi.
- Mark, nie ma nagrody bez ryzyka - Clark zganił go jak chłopca. - W Waszyngtonie nikt tak nie nalatuje na CIA jak ty. Większość sądzi, że Kennedy jest dobrą, a może nawet lepszą od innych kandydatką. Dla nich zablokowanie jej nominacji to żaden interes. - Napił się szkockiej. - Tylko ryzyko.
- Mogę im to wynagrodzić. Nabiję ich reelekcyjne kieszenie forszą. Senator się zastanowił.

- Może kilku dałoby się skusić, ale sama forsa to nie wszystko. Obecnie jedynym sposobem powstrzymania jej nominacji byłoby skompromitowanie jej. Dopóki ma nie poszlakowaną opinię, dopóty senatorowie zasiadający w mojej komisji nie będą głosować przeciwko niej. Kierując antyterrorystami, wyrobiła sobie zbyt dobrą reputację.

- Zatem znajdziemy coś w jej przeszłości i skończmy z tym, zanim się zacznie.
- Szukałem, ale nic nie znalazłem.
- Niech to szlag! I nic nie znajdziesz, jeżeli ciągle będziesz się trzymał tych swoich kretyńskich zasad.

Clark doskonale wiedział, że Kennedy bez skrupułów depta wszystkie zasady, ale robi to dlatego, że Clark i wielu innych ważnych senatorów prosiło Thomasa Stansfielda o podjęcie skutecznych działań w związku z nasilającymi się atakami terrorystycznymi na Stany Zjednoczone. W rezultacie utworzono drużynę Oriona, organizację wspieraną przez agencję, ale pozostającą poza jej strukturami.

Jej zadaniem, ujmując rzecz najprościej, było prowadzenie wojny z terrorystami na ich terenie i według ich zasad. Myśliwi stali się zwierzyną. Wykorzystanie tego przeciwko Kennedy było bardzo ryzykownym przedsięwzięciem, mogłoby się przykro skończyć, gdyby Kennedy postanowiła kogoś zniszczyć. Clark uważał jednak, że jego wiedza o tej sprawie jest zbyt cenna, aby dzielić się nią z Ellisem, pokręcił więc tylko głową i powtórzył:

- Nic. Wierz mi, rozejrzałem się.
- Może twoje źródła informacji nie są tak dobre, jak sądzisz? - odparł

Ellis, dumny z zastosowania tej samej retoryki, jakiej użył Clark przeciwko niemu.

Clark jednak, jak zwykle nieporuszony, uśmiechnął się tylko i stwierdził:

- Mam dobre źródła.
 - No cóż, w takim razie będę musiał wykorzystać moich ludzi do sprawdzenia jej przeszłości.
- Nie krępuj się, ale bądź bardzo ostrożny.
- Dlaczego? Czego, u diabła, mam się bać?
 - Och, Mark, nie wiesz, w co wdepniesz. Znałeś jej mistrza?
- Stansfielda?
 - Tak. - Clark uśmiechnął się, z podziwem wspominając tego doskonałego szpiega. - Thomas Stansfield nigdy nie bał się eliminować ludzi.
- To znaczy zabijać?
 - Oczywiście, ale tylko tych, którzy byli na tyle głupi, aby spiskować przeciwko niemu, i pozwalali się zidentyfikować.
 - Myślisz więc, że Kennedy pójdzie w ślady szefa i będzie tak samo bezwzględna?
 - Och, tak bym tego nie określił. Thomas Stansfield nie był bezwzględny, był wyrachowany. Gdybyś spróbował zrobić coś, co zaszkodziłoby temu krajowi, jego agencji lub jemu osobiście - Clark pokręcił głową - skończyłbyś jako trup.
 - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - rzucił ze złością Ellis. - Czy Kennedy byłaby zdolna kogoś zabić?
 - Tego nie jestem pewny, natomiast jestem cholernie pewny tego, że nie

chciałbym się o tym osobiście przekonać.

- Miliarder zatupał nogą niczym rozdrażnione dziecko.

- A mnie właśnie, cholera jasna, morduje! Mój portfel schudł o czterdzieści procent! Moi inwestorzy stracili po nad pięćdziesiąt procent! Wystarczy, że rynek pełza po omacku. Nie pozwolę, żebym i ja latał jak ślepy nietoperz! Straciłem dość pieprzonej forsy na Echelon! Chcę teraz odzyskać to, co zainwestowałem!

Clark miał doradzić spokój, ale rozmyślił się, uznając, że Ellis zupełnie już nad sobą nie panuje. Echelon był su-pertajnym programem wdrożonym w latach siedemdziesiątych przez Narodową Agencję Bezpieczeństwa. Za pomocą rozlokowanych na całym świecie stacji naziemnych i satelitów agencja przechwytywała treść teleksów, faksów i rozmów telefonicznych, a dzięki superkomputerom i programom do analizy głosu z milionów rozmów wybierała tylko te godne uwagi. W jakimś momencie ktoś wpadł na pomysł wykorzystania tego sposobu także przeciwko firmom zagranicznym, bezpośrednio konkurującym z amerykańskimi. Informacje te na przykład wykorzystano do zdobycia przewagi nad pewną francuską firmą telekomunikacyjną. Proceder ten trwał do lat dziewięćdziesiątych. Potem zaniepokojeni rozwojem technologii amerykańskiej superszperacze z NSA zaczęli też monitorować firmy działające w Dolinie Krzemowej i poza nią, a senator Clark, jako przewodniczący Senackiej Komisji do spraw Wywiadu, chciał oczywiście wiedzieć o wszystkim z pierwszej ręki. Informacje te były niezwykle cenne zwłaszcza dla takich ludzi jak Mark Ellis. Kto nad czym pracuje? Jak szybko finalny produkt trafi na rynek? Kto kogo chce wykupić? Ellis

korzystał z nich i zarabiał krocie. I teraz właśnie Clark, który pomógł stworzyć to monstrum, musiał poradzić sobie z tym problemem.

Po dłuższym namyśle oznajmił:

- Nie moja wina, że Echelon został zlikwidowany.
- Cóż, twoi chłopcy powinni byli zlikwidować tę sukę, zanim poszła do prasy i zaczęła sypać.

Ta „suka” to pracownica NSA, która poznała jedną informację za dużo, przechwyciła niewłaściwe wiadomości i uznała, że rząd Stanów Zjednoczonych nie powinien szpiegować własnych firm.

- Mark, my na ogół unikamy zabijania ludzi. To nie robi dobrego wrażenia.
- Nie pouczaj mnie. Istnieją inne sposoby.
- Spróbowaliśmy ich. - Ellis wyraźnie zaczynał już Clarka drażnić. - Zrobiliśmy z niej absolutną kretynkę i przestraszyliśmy, kogo tylko się dało. W końcu nie siedzisz w więzieniu, ja też nie siedzę... nikt nie siedzi. Nikogo nawet nie oskarżono, Mark. Uważam, że udało nam się zapobiec potężnemu nieszczęściu.
- To jest nieszczęście! - krzyknął Ellis. - Nie słuchasz mnie? Straciłem już czterdzieści procent. Straciłem klientów. Kolejni grożą mi, że się wycofają.

Clark westchnął i położył rękę na ramieniu Ellisa. Popychając go z powrotem na taras, stwierdził:

- Za dwa lata się odkujesz, a po dziesięciu podwoisz zyski osiągnane przed tym bałaganem. Każdy dostanie swoje.
- Ja nie jestem każdy - jęknął z rozpaczą, ale już spokojniej Ellis. - Chcę ponownego uruchomienia Echelonu. Chcę skłonnego do współpracy

dyrektora CIA. Muszę zdobyć informacje.

Clark, nadal trzymając rękę na ramieniu miliardera, przystanął na skraju tarasu.

- Mark, przyrzekam, że ci ich dostarczę.
- A co z Kennedy? Mówiłeś, że nie mamy szans kontrolowania jej.
- Powiedziałem, że to będzie trudne, ale nie niemożliwe.

Ściskając ramię Ellisa, patrzył na powierzchnię wody i zastanawiał się nad rozwiązaniem. Musi znaleźć kogoś do tej brudnej roboty. On sam powinien zostać poza wszelkimi podejrzeniami. Musi się trzymać blisko prezydenta i dbać o jego zaufanie. Dopiero potem, gdy wszystko się ułoży, uderzy.

2

MARYLAND, PONIEDZIAŁEK RANO

Mitch Rapp obudził się, leżąc na brzuchu. Wyciągnął rękę, szukając Anny, ale jej nie znalazł. Nie miał zamiaru się ruszać, więc po prostu leżał, myśląc o tym, jak bardzo jest zmęczony. Lewe ramię boleśnie zeszywniało. Wolałby, aby to była pozostałość po zwichnięciu z czasów gry w hokeja na Alma Mater, czyli uniwersytecie w Syracuse, ale dobrze wiedział, iż tym razem powodem była rana postrzałowa.

Trzydziestodwuletni Rapp czuł się jak znokautowany starzec. Od ukończenia studiów prawie nie wiedział, co to urlop.

Miał obsesję walki z islamskimi terrorystami. Chciał ich zabić jak najwięcej, zanim oni zdążą zabić niewinnych ludzi, których jedynym przestępstwem było nieakceptowanie islamskiej odmiany fanatyzmu religijnego. Niekiedy zastanawiał się, czy to, co robi, naprawdę coś

zmieni. Ci szaleńcy, grożący Ameryce Armagedonem, ciągle byli nieuchwytni. Ale w głębi duszy wiedział, że może wiele zmienić. Nawet nie wysiłał się, żeby policzyć tych, których zabił. Z oczywistych powodów wolał tego nie wiedzieć, w praktyce zaś i tak byłoby to niemożliwe.

Karabiny maszynowe i materiały wybuchowe utrudniały takie obliczenia, choć liczba ta byłaby z pewnością duża. Rapp wiedział, że było ich ponad pięćdziesięciu, może stu - i to tylko tych, którzy zginęli z jego ręki. Jeśli wzięłoby się jeszcze pod uwagę sytuacje, gdy dowodził jednostkami Sił Specjalnych albo wyznaczał cele dla amerykańskich odrzutowców zrzucających kierowane laserem bomby, tę liczbę można by z pewnością podwoić czy nawet potroić.

Ten problem miał już za sobą, albo przynajmniej łudził się, że ma. Po tylu latach niełatwo będzie się wycofać. Był w tej robocie naprawdę dobry. Ale robota ta sprowadzała się w gruncie rzeczy do zabijania. Tak, był bardzo inteligentny. Mówił biegle po arabsku, francusku i włosku. Posiadał zdolności analityczne i organizacyjne, ale jeżeli to wszystko pominąć, pozostanie tylko zabójca. Tylko amerykański zabójca. Był ostrzem amerykańskiej włości, człowiekiem działającym w terenie, podejmującym walkę z każdym wrogiem, który chciał siać grozę i nieść śmierć obywatelom Stanów Zjednoczonych. Mitch Rapp był zdecydowanie żołnierzem frontowym. W epoce bomb sterowanych laserem i precyzyjnych uderzeń był neurochirurgiem operującym przez wiele miesięcy w takich państwach jak Iran i Irak niemal bez wsparcia kierownictwa z Waszyngtonu.

Cierpliwie tropił swoją ofiarę, zbliżał się i w odpowiedniej chwili eliminował. I mimo wielu sukcesów tylko garstka ludzi wiedziała o jego

istnieniu. Drużyna Oriona i jej członkowie to najbardziej strzeżona tajemnica w Waszyngtonie i nazwę tej organizacji znało najwyżej dziesięciu ludzi.

Rapp wiedział, że w Waszyngtonie niektórzy dostaliby szalu, gdyby dowiedzieli się, co robił przez ostatnie dziesięć lat. Można powiedzieć, że był nawet na tym punkcie uczulony. Bóg tylko wie, ile razy był świadkiem nadużyć władzy, ale nie dopuszczała się tego Kennedy i on sam też nigdy nie uległ pokusie. Podobne działania powinny odbywać się za wiedzą i zgodą Kongresu, ale istniała też konieczność prowadzenia operacji kompletnie tajnych. Politycy byli tylko politykami i historia dostarcza wiele dowodów na to, że nie potrafią dochować tajemnicy. Wiąże się to z ich przemożną chęcią gadania, mnożenia pieniędzy i tworzenia plotek - a niektórzy po prostu nie potrafią trzymać języka za zębami. Taka opinia na ich temat panowała między pracownikami wywiadu i wojskowymi w Waszyngtonie, politycy zaś patrzyli na ludzi z CIA i Pentagonu jak na gromadę szalonych kowbojów, których należy trzymać na smyczy, żeby się wzajemnie nie wystrzelali.

Rapp w pewnym stopniu zgadzał się z dwiema stronami. Było dość wpadek, aby udowodnić winę obu obozów. Agencja z pewnością zbyt lekkomyślnie angażowała się w projekty nie mające szans powodzenia, prowadziła akcje nie do zaakceptowania przez Kongres i, co ważniejsze, dalekie od poczucia zdrowego rozsądku Rappa. Na Kapitolu byli zaś tacy, którzy celowo przekazywali mediom tajne informacje, aby wprawić w zakłopotanie politycznych przeciwników. Oto, jak działał Waszyngton - i to od wielu już lat.

Amerykanie wzrastali w atmosferze przestrzegania praw i swobód

obywatelskich. Nie mieli pojęcia, jak brutalna jest reszta świata. Wielu z nich byłoby zszokowanych tym, co robi Rapp. Ale ocenialiby go, żyjąc w wygodnych domach i nie troszcząc się o to, co się dzieje na Bliskim Wschodzie. Kobiety osądziłyby go surowiej, nie myśląc o tym, jak byłyby traktowane przez mężczyzn, których Rapp zabił. Dla fundamentalistów islamskich nie byłyby nawet obywatelkami drugiej kategorii. Były własnością ojców, a potem mężczyzn, z którymi zaaranżowano by ich małżeństwa. Nie, Ameryka nie była przygotowana na konfrontację z tym, co robił. Dlatego najważniejsza była dyskrecja.

Rapp wstał i wyjrzał przez okno swego niewielkiego domu, utrzymanego w stylu Cape Cod. W dole zimne wody Zatoki Chesapeake, drzewa bez liści, a nad nimi zimne, szare listopadowe niebo. Rapp zadrżał z chłodu, gdyż stał tylko w bokserkach. Bez entuzjazmu zaczął schodzić na parter. O dziesiątej miał w Langley spotkanie, które budziło w nim poważne zastrzeżenia. Na dole czekała na niego nowa najlepsza przyjaciółka, niezwykle rozgarnięta i posłuszna suka Shirley. Rapp przywitał ją i poklepał po głowie. Zabrał ją z towarzystwa opieki nad zwierzętami kilka tygodni temu. Miał nadzieję, że pies pozwoli mu zapomnieć o tym, co robił, choć przy jego niestabilnym rozkładzie zajęć posiadanie psa wiązało się z pewnym ryzykiem. Teraz jednak wszystko się zmieni. Skończą się czasy włóczęgi. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Rapp wszedł do kuchni, gdzie zastał miłość swego życia, siedzącą przy stole z miską płatków zbożowych i czytającą „Post”. Podeszedł i pocałował Annę w czoło. Bez słowa skierował się do ekspresu i nalał sobie kawy do kubka. Bez cukru, bez śmietanki, zwykła czarna kawa.

Anna Rielly przełknęła płatki i spojrzała na Rappa rozpromienionymi,

zielonymi oczami.

- Jak się dziś czujesz?
 - Paskudnie. - Poruszył ramieniem, z wysiłkiem rozluźniając mięśnie.
- Co ci jest?
 - Czuję się stary. To mi jest. - Rapp pociągnął łyk gorącego czarnego płynu.
 - O czym ty mówisz? - Rielly uśmiechnęła się. - Masz dopiero trzydzieści dwa lata.
 - Prowadziłem takie życie, że czuję się, jakbym miał sześćdziesiąt trzy.

Przez chwilę Rielly przyglądała się swojemu mężczyźnie. Spotkali się w niezwykłych okolicznościach i wtedy nie uświadamiała sobie, jak bardzo jest przystojny. Ale miała już dość czasu, aby to zauważyć. Patrzyła na szczupłe oliwkowe ciało Mitcha. Nie zawierało ani grama zbędnego tłuszczu. Same mięśnie - od szerokich ramion po gładkie, sprężyste łydki. Miał kilka blizn, chociaż nigdy ich tak nie nazywał. Dla niego były to „szczeliny w zbroi”. Trzy wyraźne blizny po kulach: jedna na nodze i dwie na brzuchu. Wiedziała, że była też czwarta na ramieniu, ale pokrywała ją inna, którą lekarze musieli zrobić, żeby wyjąć kulę, usunąć fragmenty kości i zrekonstruować bark. Poza tym była jeszcze ukośna blizna po pchnięciu nożem na prawym boku. I ostatnia, z której był szczególnie dumny. Przypominała mu mężczyznę, którego przysiągł zabić, gdy dziesięć lat temu rozpoczął swoją szaloną podróż. Biegła po lewej stronie twarzy, od ucha do szczęki. Chirurdzy plastyczni dokonali ogromnego wysiłku, aby zmniejszyć ją i sprowadzić do cienkiej linii, ale dla Rappa najważniejsze było to, że człowiek, który przyczynił się do jej powstania, już nie żyje.

Rielly uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

- Uważam, że wyglądasz wspaniale.

- Ale ciągle czuję się beznadziejnie.

Oparł się o blat kuchenny.

- O, Boże, jesteś dziś w złym humorze. - Rielly opuściła rękę. Przez chwilę obserwowała go i wtedy zorientowała się, co go martwi. - Nie chcesz dziś widzieć Irene, prawda?

Rapp wymruczał coś do kubka i Rielly dodała:

- Wiedziałam.
- Nie chodzi o Irene... Spotkam się z nią później.
- A więc Langley?
- Tak... Nie wiem... Chyba tak.

Rielly była zaniepokojona, ale nie dała nic po sobie poznać. Jej praca reporterki polegała na obserwowaniu wszystkiego, zwłaszcza ludzi. Jako korespondentka NBC w Białym Domu poważnie wątpiła, czy Mitchowi uda się zmienić z tajnego agenta w biurokratę. Przyzwyczyił się działać samodzielnie i panować nad sytuacją. W Langley byłby tylko częścią zespołu i musiałby słuchać rozkazów, ale najgorsze byłoby to, że musiałby uważać na to, co mówi. W Waszyngtonie ludzie chętnie słuchają wszystkiego z wyjątkiem prawdy.

Rielly podeszła i pocałowała go w policzek.

- Zrobisz, co zechcesz, kochanie. Będę cię zawsze wspierać. Jeżeli chcesz, zostań w domu i wychowuj dzieci. Myślę, że to też ważne zadanie.

Rapp odstawił kubek i ułożył dłonie w literę T jak sędzia w czasie

meczu koszykówki.

- Faul techniczny. Żadnej dyskusji o małżeństwie, we selu i dzieciach, dopóki nie masz na palcu pierścionka.

Rielly się skrzywiła.

- To twoja głupia zasada, nie moja. Oboje wiemy, że mamy zamiar się pobrać. - Ścisnęła go w talii i dodała wesoło: - Ruszaj do akcji.

Rapp chwycił ją za ramiona.

- Ostatnio byłem trochę zajęty. - Spojrzał na to miejsce w kuchni, gdzie zaledwie przed dwoma tygodniami zastrzelił człowieka. - Zanim zrobimy ten wielki krok, mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Rielly machnęła ręką.

- Tak... tak... Zawsze jest coś. - Odwróciła się. - Muszę jechać do Białego Domu. Później do ciebie zadzwonię.

Rapp skierował się do drzwi frontowych.

• Chyba nie jesteś zła?

• Nie - odparła beztrąsko. - Idę do pracy, a ty - ujęła go pod brodę - przygotuj się na spotkanie. - Przewróciła oczami i pocałowała go w usta. - Nie będzie tak źle. Spróbuj potraktować to lekko i nie przejmuj się. Muszę już jechać. Zadzwon do mnie i opowiedz, jak było.

• Jeżeli nie będziesz miała dostępu do tajnego prezydenckiego telefonu, to będziemy musieli poczekać z dyskusją o mojej nowej pracy do wieczora.

- Och, w porządku. Ciągle zapominam, jak bardzo jesteście paranoiczni.

Otworzyła drzwi.

- Hej, a co ci zawsze mówiłem? To, że jesteś paranoikiem...

Rielly była już na werandzie, krzyknęła więc jeszcze, nie odwracając się:

_ Wiem, wiem. To, że jesteś paranoikiem, nie znaczy, że ktoś cię nie śledzi.

Rapp uśmiechał się, obserwując, jak Anna otwiera drzwi auta. Shirley pobięła za nią i zaczęła skakać wokół pojazdu.

- Kocham cię! - krzyknął Mitch.

Rielly zatrzymała się i patrząc z uśmiechem na białe bokserki, odrzekła:

- Ja ciebie też kocham. A teraz wracaj do domu i włóż coś na siebie, zanim zobaczą cię sąsiedzi.

3

BIAŁY DOM, PONIEDZIAŁEK RANO

Przez arkadowe okna gabinetu w zachodnim skrzydle wpadały promienie słońca. Szare niebo trochę się przejaśniło. Nadszedł zwykły dzień konferencji prasowej w Waszyngtonie. Organizuje ją jak zwykle obsługa techniczna i prezydent nauczył się całą operację tolerować - to była część jego pracy. Kamery przypominały bolące plecy - były zawsze obecne i nie dało się wiele na to poradzić. Siedział tyłem do okna w skórzanym fotelu ustawionym w połowie długiego stołu. Fotel był wyższy

od innych, aby nikt nie zapomniał, kto tu jest najważniejszy.

Po prawej stronie prezydenta siedział senator Moeller, demokrat a mniej ważny członek Senackiej Komisji do spraw Wywiadu, a dalej przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów generał Flood.

Po lewej stronie

prezydenta miejsce zajął senator Clark, przewodniczący Senackiej Komisji do spraw Wywiadu, a obok niego doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego Michael Haik. Pozostałe fotele zajmowali sztabowcy i adiutanci. Prawie ciągle błyskały flesze aparatów dwóch fotografów z biura prasowego Białego Domu, a kamerzyści z sieci telewizyjnych nagrywali konferencję. Dwóch reporterów w pogotowiu czekało na sygnał od sekretarza prasowego Białego Domu, który skinieniem głowy miał zezwolić na zadawanie pytań. Wcześniej otrzymali biuletyny z instrukcją, co jest dozwolone, a co wykracza poza dopuszczalne granice.

Prezydent Hayes, umiarkowany demokrat z Columbus w stanie Ohio, dobrze znał siedzących obok siebie mężczyzn z czasów, gdy zasiadał w Senacie. Gdy obiektywy kamer odwracały się od niego, prowadził z nimi swobodną rozmowę przeplataną dowcipami. W Waszyngtonie takie rozmowy nazywano przyjaznymi kontaktami: członkowie dwóch partii zostawiali wtedy na boku dzielące ich kwestie i działali konstruktywnie. Prezydent Hayes był bardzo przystojnym mężczyzną. Wysoki, o kasztanowych włosach, które w ciągu miesiąca trochę posiwiały. Zachowywał szczupłą sylwetkę dzięki ćwiczeniom na ruchomej bieżni lub rowerze przez pół godziny cztery lub pięć razy w tygodniu. Prawie zawsze ćwiczył wcześniej rano, wiedząc, że zwykle nikt mu wtedy nie będzie

zawracać głowy.

Hayes spojrział na zegarek i skinął głową sekretarzowi prasowemu, sygnalizując, że można zadawać pytania.

Ponieważ czas często bywał ograniczony i cały korpus prasowy Białego Domu nie miał szans na uzyskanie odpowiedzi na wszystkie przygotowane pytania, dlatego ustalano i przekazywano zakres poruszanych spraw fotografom i reporterom, którzy potem dzielili się uzyskanymi informacjami. Tego ranka Anna Rielly miała szczęście. Korespondentka NBC w Białym Domu włączyła przycisk nagrywania w dyktafonie i uśmiechnęła się do Hayesa.

- Dzień dobry, panie prezydencie. Czy w Waszyngtonie odbędą się uroczystości pogrzebowe ku czci dyrektora Stansfielda?
 - Nie. Dyrektor Stansfield przed śmiercią wyraził sta-
- nowcze życzenie, aby mieć zwykły prywatny pogrzeb w Dakocie Południowej. CIA planuje wznieść coś w rodzaju pomnika, aby uczcić jego służbę w Langley, a ja chcę umieścić na cmentarzu w Arlington tablicę upamiętniającą jego zasługi w czasie drugiej wojny światowej.
 - Czy podjął pan już decyzję, kto będzie jego następcą w CIA?
 - Tak, istotnie, podjęliśmy już decyzję. - Hayes spojrział na obu byłych kolegów. - Mielśmy szczęście trafić na jedną z tych niezwykle rzadkich chwil zgody wszystkich. - Hayes zaśmiał się i pozostali mu zawtórowali. - Przy bardzo małej różnicy zdań zdecydowaliśmy się na jedną osobę, która nadaje się do zajęcia stanowiska dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Prezydent spojrział w lewo i dodał: - Hank, uczyn nam zaszczyt i przedstaw naszą decyzję.
- Rielly była trochę zaskoczona - senator republikanin ma oznajmić

nominację prezydenta demokracji. To oznaczało wspólny front działania. Zwróciła zielone oczy na powszechnie lubianego senatora z Arizony i zapytała:

- Senatorze Clark?
- Prawdą jest, że nie zastanawialiśmy się długo i nie musieliśmy szukać daleko, aby znaleźć najlepszą osobę na to stanowisko. - Clark mrugnął do Rielly, ignorując polityków i poprawność polityczną. - Najlepszym kandydatem do tej pracy jest kobieta, która obecnie kieruje Centrum Antyterrorystycznym CIA. Naszym oczywistym wyborem na następnego dyrektora CIA jest doktor Irene Kennedy.

W błysku fleszów i świetle reflektorów pięciu mężczyzn, spoglądając po sobie, z uśmiechem skinęło głowami. Wyłowiony przez kamerę reflektora senator Moeller chrząknął i powiedział:

- To naprawdę historyczna chwila. Doktor Kennedy będzie pierwszą kobietą kierującą CIA, a w istocie pierwszą kobietą kierującą jakąkolwiek naszą agencją wywiadowczą.

Rielly pilnie wszystko zapisywała w notesie i nie podnosząc wzroku, stwierdziła:

- Oczywiście jeżeli zostanie zatwierdzona przez Senat.
- Z tym nie będzie kłopotu - odparł Clark. - Ja i senator Moeller możemy oświadczyć, że nasza komisja z pewnością ją zatwierdzi.
- Zakładam, że nie wydarzy się nic nieprzewidzianego.

Clark spojrział na Rielly. Była naprawdę ładną, inteligentną kobietą, z lekką skłonnością do uszczypliwości. Przez moment zastanawiał się, czy

wiedziała, jakiego typu człowiekiem jest jej przyjaciel. Ilu zabił ludzi.

- W tym mieście nikt tego nam nie zagwarantuje, panno Rielly. Ale przyjmując, że nie będzie żadnej niespodzianki, ufam, iż doktor Kennedy przejdzie pozytywnie proces za twierdzący.

Rielly skierowała wzrok na prezydenta.

- Czy doktor Kennedy była pańską pierwszą kandydatką, panie prezydencie?

Hayes odparł bez wahania:

- Tak.
- Czy dyrektor Stansfield też wybrał ją na swoją następczynię?
- Dyrektor Stansfield uważał, że będzie najlepszą osobą do tego zadania.
- Zatem przyjmuję - skomentowała Rielly - że Kennedy była też i jego kandydatką.
- Dyrektor Stansfield sądził, że doktor Kennedy jest bardziej niż odpowiednia na to stanowisko kierownicze w agencji - skwitował komentarz Rielly prezydent, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, że nie odpowie już na kolejne podobne pytanie.

Rielly pojęła sugestię i przejrzała notes.

- Czy zastępca dyrektora CIA Brown pozostanie osobą numer dwa w agencji, czy może odejdzie?

Na to pytanie odpowiedział Michael Haik, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- Dziś rano rozmawiałem z zastępcą dyrektora CIA i oświadczył, że pozostanie na tym stanowisku, dopóki będzie potrzebny.

- Czy to znaczy, że planuje odejście po zatwierdzeniu doktor Kennedy?
- Nie. Brown darzy najwyższym szacunkiem doktor Kennedy i zamierza z nią współpracować.
- Nie jest rozczarowany, że nie otrzymał prezydenckiej - nominacji? - Rielly, zadając to pytanie, nie patrzyła na prezydenta - nie spuszczała oczu z Haika.

Haik wiedział, że musi jej teraz coś odpowiedzieć albo będzie nadal drażyła temat.

- Oczywiście był trochę rozczarowany. Brown ma wysokie kwalifikacje. Mielіśmy szczęście, że mogliśmy wybierać spośród dwóch doskonałych kandydatów. Brown respektuje nominację dla doktor Kennedy i będzie jej pomagał w przejściu nowych obowiązków na najwyższym szczeblu.
- Mogę jeszcze coś dodać? - wtrącił senator Clark. -Brown jest nieoceniony dla CIA, dla Senackiej Komisji do spraw Wywiadu i dla tego kraju. - Pochylił się, aby zobaczyć, że senator Moeller potwierdza jego słowa skinieniem głowy. - Nie ma powodu, żeby zrezygnował tylko dlatego, że Kennedy zajmie stanowisko dyrektora CIA. Byłbym bardzo zmartwiony, gdyby Brown postanowił odejść. Spodziewam się, że doktor Kennedy ma do niego zaufanie.

Słowa Clarka były oczywiście skierowane pod adresem Irene Kennedy. Uważał, że teraz byłoby bardzo niefortunnie pozbywać się Browna. Kennedy musi zrozumieć, że jeżeli chce tam zrobić porządek, nie wolno jej ruszać Browna.

Rielly przewróciła stronę notesu.

- Z Kapitolu docierają pewne pogłoski na temat zajęcia głównego

stanowiska w CIA przez doktor Kennedy. Czy uważa pan, że jej zatwierdzenie przebiegnie tak gładko, jak się pan tego spodziewa?

- Nie znam tych pogłosek - odparł prezydent. - Może je pani przedstawić albo powiedzieć nam, kto je rozpowszechnia?

Rielly odparła z uśmiechem, patrząc na prezydenta:

- Przewodniczący Rudin oficjalnie stwierdził, że nominacja doktor Kennedy na dyrektora CIA to wielki błąd.
- Jeśli się nie mylę, przewodniczący Rudin jest członkiem Izby Reprezentantów, a nie Senatu - odparł prezydent stanowczo. Ostatnio posprzeczał się z kolegą demokratą i nie darzył go zbyt dużą sympatią.

Rielly sprawiała wrażenie nieco speszzonej.

- Tak, ale jest przewodniczącym Stałej Komisji do spraw

Wywiadu tej izby.

- Zgadza się, ale to oznacza też, że nie ma nic wspólnego z zatwierdzeniem doktor Kennedy.
- Kieruje jednak komisją zatwierdzającą budżet agencji. Nie jest pan trochę zaniepokojony, że przewodniczący Rudin uważa, iż wybór doktor Kennedy to katastrofa?

Prezydent uśmiechnął się z przymusem.

- Tym bym się nie przejmował, Anno. Przewodniczący Rudin byłby nieszczęśliwy, nie mając powodu do narzekań.

Hayes mrugnął do Rielly i zwrócił się do sekretarza prasowego. Na dany znak sekretarz ruszył do akcji i wyprowadził przedstawicieli prasy z pokoju, zostawiając prezydenta z gośćmi, aby mogli swobodnie omówić bieżące sprawy.

Rapp wziął prysznic i zaczął się ubierać. Włożył popielaty garnitur z marynarką na trzy guziki, białą koszulę i krawat bordo. Nie przejmując się, wyruszył z domu trochę później, niż powinien. Jechał obwodnicą ze wschodniej strony miasta na zachód, cały czas mając włączone radio. Jeszcze raz próbował prześledzić w myślach szczegóły ostatniej misji. Jako pracownik agencji był pewien, że jego tożsamość jest pilnie strzeżona. Swobodnie poruszał się po Waszyngtonie, nie bojąc się, że zostanie rozpoznany przez kogoś, kto mógłby wiedzieć, iż wcale nie zajmuje się międzynarodowym konsultingiem w branży komputerowej. Bliższy kontakt miał jedynie z garstką światowej klasy triatlonistów z rejonu Baltimore-Waszyngton. Kiedyś razem trenowali, ale gdy Rapp przed laty porzucił sport, przestali się spotykać.

Przebijając się przez ruch uliczny, zaczął analizować wydarzenia z Niemiec. Właśnie tam wszystko zaczęło się komplikować. Zaledwie przed miesiącem Kennedy poprosiła go, aby pokierował bardzo delikatną akcją. Niemiecki przemysłowiec, hrabia Heinrich Hagenmiller, został przyłapany na sprzedaży Irakowi specjalistycznych urządzeń niezbędnych do produkcji broni nuklearnej. Zadanie Rappa było stosunkowo proste, nie tak jak bywało wcześniej. Pojechał do Niemiec, gdzie skontaktował się z pewnym małżeństwem, Tomem i Jane Hoffmanami. Przez tydzień śledzili hrabiego. Przebrani za agentów niemieckiej policji BKA, w czasie przyjęcia dostali się do posiadłości hrabiego Hagenmillera. Rapp wszedł do budynku razem z Jane Hoffman, natomiast jej mąż czekał przed domem w samochodzie.

Wszystko szło zgodnie z planem. Hrabia opuścił gości i dołączył do nich w swoim gabinecie. Towarzyszył mu prawnik i ochroniarz. Nikt niczego nie podejrzewał. Rapp zabił hrabiego jednym strzałem z pistoletu Ruger kaliber .22 z tłumikiem, a potem unieszkodliwił ochroniarza i prawnika. Kiedy odwrócił się do Jane Hoffman, by pomogła mu założyć kajdanki prawnikowi, ujrzał wycelowaną w siebie lufę jej pistoletu. Strzeliła mu dwa razy w pierś. Upadł na podłogę, uderzył potylicą w szczebel drabiny bibliotecznej i zemdłał.

Hoffmanowie nie wiedzieli, że Rapp miał w podszewce skórzanej marynarki wszyty kuloodporny kevlar. Gdy po pięciu minutach się ocknął, Hoffmanów już nie było, a wokół jego głowy na podłodze utworzyła się kałuża krwi. Potem działał już instynktownie. Postanowił odwrócić uwagę i zbiec. Wzniecił ogień w gabinecie, aby zniszczyć dowody, a potem ukradł samochód jednego z gości hrabiego. Rapp zawsze miał szczegółowy plan ucieczki na wypadek, gdyby coś poszło źle. Doświadczenie zrobiło swoje i następnego dnia po południu, nie korzystając z pomocy agencji, bezpiecznie opuścił Niemcy.

Po raz pierwszy w swojej karierze Rapp stanął przed najtrudniejszą stroną swego zawodu - możliwością, że został wystawiony jako człowiek niewygodny lub zbędny. A w jego świecie oznaczało to szybki koniec. Najgorzej by było, gdyby go zdradził Stansfield albo Kennedy. Im ufał najbardziej. Na szczęście po powrocie do Stanów ustalił, że to nie jego przełożeni byli źródłem kłopotów. Był inny problem. Przeciek. Ktoś dowiedział się, kim Rapp jest, i postanowił go zlikwidować. Stansfield i Kennedy odkryli, że Hoffmanów zatrudnił Peter Cameron. Rapp już miał go dopaść, ale spóźnił się - znalazł go martwego

w jego biurze.

Kilka tygodni po śmierci Camerona dowiedzieli się interesujących rzeczy o tym byłym agencie CIA, utknęli jednak przy ustalaniu, dla kogo pracował. Kennedy powołała w ramach agencji specjalny zespół do zbadania każdego szczegółu z życia Camerona w nadziei wykrycia jego mocodawcy i motywu zabicia Rappa, ale Rapp niewiele się po nim spodziewał. Camerona zabił człowiek, który go wcześniej zatrudnił. Tego Rapp był pewien.

Teraz chciał się wycofać. Koniec zadań, koniec zabijania. Koniec ze śmiercią, czas ułożyć sobie życie. Kochał Annę bardziej niż kogokolwiek. Przeznaczenie sprawiło, że ocalił jej życie i właśnie wtedy zakochali się w sobie. Myśl, że mógłby ją stracić, przyprawiała go o mdłości, ale najgorsze było to, iż osłabiała jego instynkty. Tracił przewagę nad wrogami. Jak na ironię jednak, gdy był już gotów ostatecznie odejść z agencji, z drużyny Oriona, nie mógł tego zrobić. Zbyt wiele pytań wymagało odpowiedzi.

Musiał się dowiedzieć, kto, u diabła, i dlaczego zatrudnił Petera Camerona. Co innego, gdy ktoś depta ci po piętach na Bliskim Wschodzie, ale co innego, gdy dzieje się to w USA. Nie mógł założyć rodziny, ciągle się bojąc, że ktoś mógłby skrzywdzić jego ukochaną. Wiedział, że musi doprowadzić sprawę do końca.

Gdy zajechał przed główną bramę CIA, był już pięć minut spóźniony. Zbliżył się do groźnie wyglądającego posterunku kontrolnego i skręcił w lewo na pas dla pracowników. Zatrzymał się przed szlabanem, gdzie odpowiednio sfabrykowane dokumenty obejrzał ubrany na czarno funkcjonariusz z Biura Bezpieczeństwa CIA. Przez piersi miał przewieszony

pistolet maszynowy MP-5, a na biodrze nylonową kaburę z pistoletem. Bramę obserwowało dwunastu jego kolegów, a jeszcze kilku stało za przyciemnioną kuloodporną szybą w murowanym bunkrze posterunku, sprawiającym wrażenie stacji kontroli wagi przy autostradzie. Znajdujący się w środku funkcjonariusze mieli jeszcze cięższe uzbrojenie, w tym ręczne wyrzutnie rakiet przeciwpancernych LAW 80 na wypadek, gdyby jakiś ciężki wehikuł próbował wtargnąć na teren należący do CIA. Agencja traktowała bardzo poważnie kwestię własnego bezpieczeństwa.

Mężczyzna przez chwilę studiował dokumenty Rappa, po czym zwrócił je ze słowami:

- Miłego dnia.

Rapp skinął głową i przejechał nad jasnożółtymi, sprężynowymi barykadami. Te ciężkie stalowe urządzenia zaprojektowano tak, aby wynurzały się z jezdni w chwili, gdyby jakiś nie upoważniony pojazd chciał wjechać na teren. Rapp skierował się teraz do podziemnego parkingu pod starą kwaterą główną, gdzie znowu musiał pokazać dokumenty. Zaparkował w miejscu zarezerwowanym dla gości dyrektora CIA i wszedł w nie oznakowane drzwi, wiodące do niewielkiego holu. Tu czekał na niego następny strażnik. Pokazał drzwi windy. Rapp wszedł i drzwi się zamknęły. Winda wywiozła go wprost z podziemnego garażu na poziom biur dyrektorskich na szóstym piętrze. Otwarły się drzwi i powitało go dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn. Niższy dokładnie go obejrzał i wskazał drzwi prowadzące do gabinetu asystentki dyrektora.

Rapp w milczeniu wszedł do obszernego pomieszczenia. Kobieta wstała zza biurka i zaskoczyła go słowami:

- Dzień dobry, panie Rapp. Czy przed spotkaniem zechce się pan czegoś napić?

- Jeśli można, kawy.

Zastanawiał się, skąd ta kobieta zna jego prawdziwe nazwisko.

- Ze śmietanką? Może z cukrem?

- Nie, dziękuję. Tylko czarną.

Nacisnęła guzik na jednym z trzech telefonów i powiedziała:

- Doktor Kennedy, przyszedł umówiony na dziesiątą pan Rapp.

- Dziękuję, Dottie. Niech wejdzie.

Dottie podeszła do ekspresu i naląła kawę do typowego dla Centralnej Agencji Wywiadowczej niebieskiego kubka. Wręczyła kubek Rappowi, wprowadziła go do gabinetu doktor Kennedy i zamknęła za nim drzwi.

Kennedy siedziała w odległym końcu długiego gabinetu, wśród piętrzących się na stole konferencyjnym stosów pudeł z aktami. Rapp był w tym pokoju tylko dwa razy i teraz rozglądał się, chcąc ustalić, co się zmieniło od śmierci Stansfielda. Wyglądało na to, że niewiele. Na ścianach ciągle wisiały dyplomy i pamiątkowe fotografie. Zastanawiał się, czy to przeoczenie, czy może znak, że Kennedy nie mogła się rozstać z rzeczami po szefie i mentorze.

Doktor Kennedy zdjęła żakiet z oparcia krzesła stojącego przy stole konferencyjnym i włożyła go. Miała na sobie stylowy kostium europejskiego kroju z szerokimi, naciętymi wyłogami. Był tego samego koloru co garnitur Rappa. Taka unifikacja koloru ubrań wywołałaby zapewne ironiczne uśmieшки miłośników George'a Orwella.

- Przepraszam za bałagan. Przenieśli to wszystko z mojego gabinetu, gdy byłam na pogrzebie. - Kennedy uśmiech

nęła się smutno. - Tak polecił Thomas. Ciągłe jeszcze tu dyryguje, nawet zza grobu. - Wyciągnęła ręce i ofiarowała policzek Rappowi.

Starając się trzymać prosto kubek, objął ją i pocałował.

- Przykro mi, że nie mogłem wziąć udziału w pogrzebie - zaczął - ale sprawy trochę się...
- Nie musisz się usprawiedliwiać. - Kennedy uścisnęła go serdecznie. - Nie powinieneś się pojawiać w miejscach publicznych. Thomas z pewnością by to zrozumiał.
- Przecież wiesz, jak wielkim szacunkiem darzyłem starego.

Kennedy opuściła ręce, odwróciła się i wskazała mu miejsce na kanapie.

- On także bardzo cię szanował, Mitch. - Usiadła w miękkim, wyściełanym fotelu. - Wiesz przecież.

Rapp jak zwykle przyjął komplement z zażenowaniem.

- Tak, bardzo cię szanował. Kiedyś powiedział mi, że przez te wszystkie lata, jakie spędził w tym biznesie, nie spotkał nikogo lepszego.

Kennedy rozsiadła się wygodnie i obserwowała, jak Rapp usiłuje przyswoić sobie pochwały. Rozpaczliwie pragnęła, by został w zespole i pracował dla Centrum Antyterrorystycznego. Znał i rozumiał Bliski Wschód, rozszyfrował wiele komórek terrorystów i wiedział, jak działają. Ta wiedza była nieoceniona. Choć nie dziwiła jej chęć wycofania się z działań operacyjnych w terenie. Wiedziała, że nikt tego długo nie wytrzyma. Tego rodzaju praca wymaga zbyt wielkiego wysiłku, zarówno fizycznego, jak i psychicznego. Zdając sobie z tego sprawę, już cztery lata temu zaczęła szukać kogoś na miejsce Rappa. Młody kandydat zapowiadał

się wprawdzie nieźle, ale teraz, obarczona nowymi obowiązkami dyrektora CIA, nie mogła już kierować drużyną Orion. Nie była pewna, czy delikatne zadania, leżące w gestii tej drużyny, można powierzyć komuś innemu niż Rapp.

Przede wszystkim jednak potrzebowała w agencji kogoś, kto czuwałby nad nią. Zwłaszcza teraz, gdy musieli się zmierzyć z niepowodzeniem operacji w Niemczech. Ktoś wiedział to, czego wiedzieć nie powinien. Może ci ludzie pracowali w agencji albo ktoś dla nich tu pracował? Kennedy raczej skłaniała się do hipotezy, że chodziło o byłego agenta. Tak też przypuszczał Stansfield. Przed śmiercią otrzymał ostrzeżenie, że Rapp nie był głównym celem w Niemczech. To prawda, ktoś chciał go zabić, ale motywem działania nie była zemsta. Rapp miał leżeć martwy obok hrabiego Heinricha Hagenmillera. Skandal wywołany jego znalezieniem oznaczałby kłopoty dla agencji i według analizy Stansfielda miał ostatecznie zrujnować karierę Irenę Kennedy i być może prezydenta. Ceną, jaką miał za to zapłacić Stansfield, było stanowisko dyrektora CIA. Ktoś nie chciał, aby Kennedy została szefową najważniejszej agencji wywiadowczej na świecie.

- Jak tam Tommy? - zapytał Rapp, wymieniając imię jej sześciolatniego syna.
- W porządku. Rośnie jak na drożdżach. Kiedyś pytał o ciebie. Musisz go odwiedzić.
- Wiem. - Rapp się skrzywił. - Ostatnio jakoś się nie układa. Nie chcę, żeby moje problemy stały się jego problemami.

Kennedy przyznała mu rację - doceniała jego troskę i powiedziała mu to.

- Jak się miewa Anna?
- Doskonale.
- Rozmawiałeś z nią o otrzymanej propozycji pracy?
- Tak.
- I... co o tym myślisz?
 - No cóż, lepsze to od tego, co teraz robię, ale chyba nie jest przekonana, że na dłuższą metę to dobry pomysł.
- Praca dla CIA? - zapytała Kennedy.
 - Taa... chyba tak. Ona, jak wiesz, jest reporterem. Nigdy się do tego nie przyznała, ale jej koledzy uważają nas za bandę faszystów.

Kennedy skinęła głową ze zrozumieniem. Założyła niesforne pasmo brązowych włosów za ucho i powiedziała z uśmiechem:

- A oni są bandą komunistów.
 - Wielu z nich. Chociaż od kiedy komunizm nie ma najlepszych notowań, wolą myśleć, że są socjalistami.

Zaśmiał się z tego niezbyt zręcznego przytyku i Kennedy mu zawtórowała. W duszy zastanawiała się, jak Mitch i Anna godzą tak odmienne zainteresowania. Często była świadkiem, jak koledzy Anny kpią z jej przyjaciela pracującego w CIA. Ciągłe w jej wyobraźni powracała scena, jak to jakiś reporter spryciarz, po wypiciu zbyt wielu lampek chardonnay, postanawia popisać się intelektem i rzuca światło na karierę Mitcha. Wszystkie te sceny zawsze kończyły się podobnie: cwaniak lądował na podłodze w kałuży krwi z nosem już nie zdobiącym środka twarzy.

Kennedy oddaliła od siebie ten obraz i natychmiast wróciła do rzeczywistości.

- Posłuchaj, nie chcę cię namawiać do tego, do czego przed śmiercią namawiał cię Thomas. Nie było to fair z jego strony, zwłaszcza w tamtym trudnym dla ciebie momencie. Wiem, że masz pewne zastrzeżenia do pracy biurowej tu, w Langley, ale chcę, żebyś wiedział, że jesteś nieoceniony dla Centrum Antyterrorystycznego. - Spuściła na chwilę wzrok i dodała: - I, Mitch, ja naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

To był ostatni, najmocniejszy argument. Rapp przywiązywał niezwykle wagę do lojalności, zwłaszcza jeśli chodziło o Kennedy. Wiedział, że nie będzie jej mógł odmówić, gdy uczyni z tego sprawę osobistą, ale podjął ostatnią próbę.

- Muszę to przemyśleć. Posłuchaj mnie przez chwilę. - Wyciągnął i skrzyżował nogi. - Przez wiele lat pracowałem dla agencji w terenie i byłem w tym dobry. Nie jestem pewien, czy nie lepiej pozostać w ukryciu i nadal służyć jej w subtelniejszy sposób.

Kennedy myślała już o tym, rozważał to też Stansfield. Ale nie podobał mu się ten pomysł, ponieważ stwarzał problemy logistyczne. Kennedy i Rapp potrzebowali jakiegoś oficjalnego wytłumaczenia, aby w każdej chwili móc prowadzić poufne rozmowy w jej gabinecie.

- Nie znasz jeszcze wszystkich warunków propozycji. Nie będziesz zwykłym analitykiem w Centrum Antyterrorystycznym. - Przerwała na chwilę. - Chcę, żebyś w moim imieniu dowodził Orionem.

Rapp był zaskoczony.

- Naprawdę?

Musiał teraz przyznać, że jego niechęć do pracy w biurowym ciepłku opierała się na strachu, iż przez pięć dni w tygodniu będzie siedział w pułapce. Nigdy tego nie robił i nie był pewien, czy teraz chce zacząć. Znał siebie dobrze, lepiej niż ktokolwiek inny, no, może z wyjątkiem Kennedy. Był samotnym wilkiem, przyzwyczajonym działać bez ingerencji z zewnątrz. Nie był graczem zespołowym, ale propozycja dowodzenia drużyną Oriona była niezwykle kusząca.

- Chcę, żebyś był bardzo blisko mnie - stwierdziła Kennedy. - Wiesz z doświadczenia, że większość decyzji musimy podejmować bardzo szybko.
- Kusi mnie dowodzenie Orionem, ale nie jestem pewien, czy podoba mi się pomysł pracy w Centrum Antyterrorystycznym.
- Dlaczego?

Rapp wzruszył ramionami.

- Jakoś nie podnieca mnie myśl o życiu z zegarkiem w ręku. Dobrze znam to miejsce i wiem, że w końcu... - przerwał, szukając odpowiedniego określenia - całe dnie będę spędzał na naradach. To mnie przyprawi o szaleństwo. W końcu może się tak zdarzyć, że jakiemuś urzędasowi powiem na zebraniu, aby sobie w dupę wsadził kolejny bzdurny pomysł.

Kennedy uśmiechnęła się na tak zachwycającą perspektywę. Byłoby to przydatne, ale wiedziała, że nie jest realne.

- O to się nie martwię. Wiem, że umiesz poskromić swój temperament i uważać na słowa, Mitchell, przecież już to robiłeś. Pracując w ukryciu, nie mogłeś mówić, co myślisz. Masz więc wprawę.

- Och, zatem powinienem się zachowywać tak, jakbym nadal działał na wrogim terenie. - Rapp się roześmiał. -Wyobrażasz sobie, jakie to może być dla mnie stresujące? Ani na sekundę nie będę mógł zachowywać się normalnie.
- Uważam, że masz dość praktyki, aby zdobyć się na odrobinę powściągliwości.
- Owszem, mam w tym praktykę, ale muszę podkreślić - Rapp stuknął się w piersi - że nie jestem pewny, czy tego chcę. - Odwrócił się i spojrzał przez okno na szare poranne niebo. - Nie jestem pewny, co chcę robić, kropka.

Kennedy przez chwilę patrzyła na niego badawczo, po czym zapytała:

- Mitch, co w takim razie chcesz zrobić ze swoim życiem?
- Nie wiem. - Przypomniał sobie rozmowę z Anną. -Może zostanę w domu i będę niańczył dzieci?
- Jakie dzieci? - zapytała Kennedy rozbawiona.
- Te, które planuję kiedyś mieć.
- A nie masz jeszcze czegoś przedtem w planie?
- Czego?
- Na przykład małżeństwa - odparła Kennedy.
 - O, tak. Pracuję nad tym. - Uśmiechnął się na myśl o ślubie z Anną.

Kennedy nie mogła ukryć radości. Mitch zasługiwał na szczęście.

- Zechcesz podzielić się ze mną szczegółami?
- Najpierw muszę się nimi podzielić z kimś innym -odparł Rapp ze złośliwym uśmiechem.

- Oczywiście. - Kennedy zamyśliła się na chwilę, po czym wróciła do pierwotnego tematu: - Nie przejmuj się tym całym bałaganem, jaki tu panuje. Przed dużą jego częścią mogę cię uchronić... Ale nie mogę... a zresztą sam wiesz, jak postępować. Jestem przekonana, że od czasu do czasu będę musiała różne rzeczy łagodzić. Na początek mogę ci zapewnić sześćdziesiąt tysięcy rocznie i dodatkowo - sto pięćdziesiąt za dowodzenie Orionem. Oczywiście wolne od podatku i przelewane na zagraniczne konto.

Rapp skinął głową. Pieniądze nie były najważniejsze, ale miło było wiedzieć, że jest się docenianym.

- Jaka byłaby moja oficjalna pozycja?
 - Pracuję nad tym. Z łatwością ulokujemy cię w Centrum Antyterrorystycznym w roli analityka, ale wolałabym bardziej utajnioną pozycję. Może rolę specjalnego asystenta dyrektora CIA do spraw Bliskiego Wschodu?
- Muszę to przemyśleć. Kiedy miałbym zacząć?
- Dzisiaj - odparła Kennedy poważnie.
 - Nie da rady. Muszę jeszcze zająć się kilkoma sprawami i na tydzień jadę z Anną do Włoch.

Nie była to dla Kennedy dobra wiadomość. Wstała, podeszła do biurka, chwyciła kasetę wideo i włożyła ją do magnetowidu. Z pilotem w ręce odsunęła się od telewizora i włączyła odtwarzanie.

Na ekranie ukazała się kobieta wychodząca z windy i idąca korytarzem. Rapp widział już tę taśmę ze dwanaście razy. Kobieta sprawiała całkiem niewinne wrażenie - blondynka z włosami opadającymi na ramiona, nieco wyższa niż średniego wzrostu, z figurą ukrytą pod obszerną jasnożółtą

suknią. Jej twarz osłaniały długa grzywka i ciemne okulary. Wyraźnie unikała obiektywu kamery ochrony. Była profesjonalistką. W połowie korytarza zatrzymała się i zapukała do drzwi. Znajdowała się w budynku Fungler Hall, stojącym na terenie kampusu Uniwersytetu George'a Washingtona. Drzwi się otwarły. Nie było widać, kogo odwiedza, ale Rapp i Kennedy wiedzieli, że był to Peter Cameron, człowiek, który próbował zorganizować śmierć Rappa w Niemczech.

Kennedy szybko przewinęła taśmę do miejsca, w którym korytarz znów był pusty. Nagle pojawiła się na nim blondynka i poszła w przeciwnym kierunku, do klatki schodowej. Gdy była już tuż przed drzwiami ewakuacyjnymi, otworzyła się winda i wyszło z niej dwóch mężczyzn. Kobieta obejrzała się szybko. Kennedy zatrzymała obraz i powiększyła jej twarz.

- Znasz ją?

Rapp wpatrywał się w ziarnisty obraz. Bardzo dobrze pamiętał. Prawie przed dwoma tygodniami wyszedł z tej windy razem ze Scottem Colemanem. Chwilę przedtem ustalili tożsamość człowieka, któremu nie udało się doprowadzić do śmierci Rappa w Niemczech, i usiłowali go zwabić w pułapkę w jego domu. Tym człowiekiem był Peter Cameron. Gdy Rapp z Colemanem zjawili się w jego biurze, był już martwy. Wbito mu w ucho coś ostrego i długiego, co dotarło do mózgu i spowodowało niezwykle bolesną, ale szybką śmierć.

- Nie - skłamał, odpowiadając na pytanie Kennedy.

Już w chwili znalezienia ciała Camerona wiedział, kto go zabił. Tylko ona stosowała taką metodę. Nazwisko tej kobiety brzmiało Donatella Rahn i Rapp dużo jej zawdzięczał.

- Wysłałam Marcusa, żeby poszukał jej w gronie znanych zabójców.

Rapp skinął głową z udaną obojętnością. Kennedy usiadła i wskazała ekran telewizora.

- Teraz ona jest naszym jedynym ogniwem. Ktoś wynajął Petera Camerona, aby mieć pewność, że nie wrócisz z Niemiec. Chciał skompromitować CIA. Ujawnić istnienie drużyny Oriona i jeśli słusznie się domyślamy, potrzebował dowodu w postaci twoich zwłok. Ktokolwiek za tym stoi, wie, że sprawy nie potoczyły się tak, jak sobie życzył.

Rapp przewrócił oczami na to oczywiste stwierdzenie i zapytał:

- A zatem czego dokładnie ode mnie oczekujesz?

Kennedy odpowiedziała z przebiegłym uśmiechem:

- Jedź do Włoch i poproś Annę o rękę - przerwała, obserwując z rozbawieniem wyraz zaskoczenia na jego twarzy. Ale tego stopnia zaskoczenia nie można było porównać z następnym. - Potem zatrzymasz się w Mediolanie i spytasz swoją starą znajomą Donatellę, kto ją wynajął, by zabiła Petera Camerona.

Na wspomnienie Donatelli uśmiech znikł z twarzy Rappa. Milczał, nie chcąc powiedzieć czegoś głupiego, i czekał na następny ruch Kennedy. Wstała i podeszła do sejfów za biurkiem. Wróciła z teczką, którą rzuciła Rappowi na kolana.

- Tu jest wszystko. Większość już znasz. Znajdziesz tam też coś nowego, ale to i owo pewnie zechcesz skorygować. Znasz ją najlepiej ze wszystkich, którzy pracują w tym budynku.

Spojrzał na dokumentację Donatelli. Była dość gruba, przynajmniej na pięć centymetrów. Nie otwierając, odłożył ją na stolik.

- Skąd wiedziałaś?
- Domysł potwierdzony przez poszukiwania Marcusa. Zjawiała się w Nowym Jorku na dzień przed śmiercią Camerona, jak wynika z odprawy paszportowej. - Przekrzywiła głowę i zapytała: - Dlaczego mi nie powiedziałaś?
- Nie byłem pewny. - Wzruszył ramionami.
 - Czy ma to związek z tym, że byłeś z nią w bliskich stosunkach?Rapp zastanawiał się przez chwilę.
 - Nie jestem pewny. W jakimś stopniu może... ale... -

Poddał się i nie próbował wyjaśniać.

Kennedy jednak naciskała:

- Ale co...?

Rapp bardzo szanował Kennedy, dlatego ostrożnie dobierał słowa.

- Masz teraz dość kłopotów. Sam chciałem się tym zająć i zyskać pewność, zanim do ciebie przyjdę.
- Nie ufasz mi. - Kennedy wpatrywała się w niego bez zmrużenia oka.
- Ufam.
- Zatem o co chodzi?
 - O to, że miałaś przeciek. - Rapp przesunął się na brzeg kanapy. - Sądzone, że nikt nie wiedział o moim wyjeździe do Niemiec, a jednak. Dobrze znam Donatellę. Ona mi powie. Dowiem się, czy zabiła Camerona. Jeżeli pošlesz jeszcze kogoś, aby ją przycisnął, to skończy się to nagłą śmiercią jego lub jej, a tego chcielibyśmy najmniej.

Nie miała ochoty tego głośno powiedzieć, ale wiedziała, że Rapp ma

rację. Nie chciała jednak tkwić w nieświadomości.

- Mogę ci w czymś pomóc? Mam wysłać kogoś, żeby ją śledził do twojego przyjazdu?

- Nie. Im mniej ludzi będzie wiedziało, tym lepiej.

Kennedy skinęła głową, zastanawiając się, jak ważna jest ta wycieczka dla Rappa. Po chwili namysłu stwierdziła:

- Mitch, ona jest naszym jedynym ogniwem.

Rapp odwrócił wzrok od szefowej i spojrzał przez okno. Myśląc, jak bardzo chce zamknąć ten rozdział życia, powiedział krótko:

- Wiem.

5

WASZYNGTON, PONIEDZIAŁEK WIECZÓR

Mniej więcej trzy kilometry na północ i nieco na zachód od Białego Domu znajduje się jedna z najbardziej okazałych ambasad w Waszyngtonie. Na szczycie wzgórza przy Connecticut Avenue rozciągały się zabudowania pasujące do narodu odczuwającego zagrożenie przez cały czas swego istnienia. Wielu mieszkańców Waszyngtonu nie wiedziało, że ta ambasada należy do Izraela. Dla nich budynki te reprezentowały jedynie interesujący styl architektoniczny i tworzyły imponujący widok. Lepiej poinformowany obserwator widział w nich fortecę. Budowle miały małe, rzadko rozmieszczone okna. Takie rozwiązania stosowano na Bliskim Wschodzie w celu ochrony przed gorącym słońcem, ale tu, w Waszyngtonie, służyły bezpieczeństwu. Wszystkie okna miały

kuloodporne szyby i pochłaniały dźwięki, uniemożliwiając podsłuch. Budynki stały w odpowiedniej odległości od ulicy i fasady i były zbrojone stalą, a ogrodzenie sprawiało dość normalne wrażenie, ale w rzeczywistości mogło powstrzymać wszystko lżejsze od czołgu.

Państwo Izrael miało duże doświadczenie w kwestii ataków terrorystycznych za pomocą aut wypełnionych materiałami wybuchowymi i dlatego w ten sposób budowało swoje ambasady. Ludzie od zawsze musieli walczyć o przetrwanie, ale dzisiaj chyba nie ma innego plemienia, które częściej musiałoby wykorzystywać te umiejętności niż Izrael. Zachodni świat doskonale wie, z jakim okrucieństwem naziści obchodzili się z Żydami w czasie drugiej wojny światowej. Niestety, według Izraela, Zachód dziś ujmuje holokaust w kategoriach historycznych: faszyci odeszli i teraz Żydzi mają własne państwo. Zdaje się nie rozumieć, że Izrael to skrawek ziemi otoczony z trzech stron krajami arabskimi, które przez pięćdziesiąt lat nieustannie atakowały to małe państwo i groziły, że wymażą je z mapy świata. Dodatkowo Żydzi muszą się zmagać z zagrożeniem wewnętrznym. Palestyńczycy, zajmujący te ziemie od pradawnych czasów, poprzysięgli ich zniszczyć, gdy Żydzi ulokowali się tam po drugiej wojnie światowej. Izrael, cały naród żydowski muszą więc codziennie walczyć o przeżycie. Należy o tym pamiętać, stykając się z obywatelami tego państwa.

Senator Hank Clark nigdy nie zapominał o tym ważnym fakcie. Ludzie, którzy muszą walczyć o przeżycie, skłonni są do okazywania dużej determinacji. Limuzyna senatora wjechała właśnie w główną bramę ambasady. Gdy reflektory oświetliły masywne wrota i strażników w smo-

kingach, pomyślał, jak bardzo podziwia Żydów za ich wytrwałość. Samochód dokładnie przeszukano, nim pozwolono na wjazd.

Przyjęcia w ambasadzie Izraela nigdy nie były miejscem skandali i romansów. W ambasadzie francuskiej zaś było zupełnie inaczej. Francuzi wiedzieli, jak się bawić. W ambasadzie Izraela poważniej traktowano życie i dlatego tam spotkania odbywały się w surowej atmosferze.

Senator Clark chciał jednak brać w nich udział tak często, jak to tylko było możliwe. Wszyscy po prostu zakładali, że w ten sposób chce zyskać głosy Żydów w Phoenix, ale to nie była prawda. Clark cieszył się w swoim stanie ogromną popularnością i jego powtórny wybór nie zależał od uczęszczania na tego rodzaju imprezy. Bawiło go jednak, gdy jego personel, koledzy i prasa wyobrażali sobie, że zabiega o względy Żydów. Gdyby ktoś zechciał trochę pogrzebać, mógłby poza innymi sprawami odkryć prawdziwą przyczynę sympatii Clarka dla pracowników ambasady.

Wysoki senator wszedł sam do głównego foyer ambasady. Zostawił w domu żonę numer trzy. Nie interesowały jej takie nadęte przyjęcia, ważne dla tych, którzy szukają kontaktów z izraelskimi dyplomatami. Postanowiła zostać w domu, wziąć ciepłą kąpiel i zaaplikować sobie sesję aro-materapii razem z butelką drogiego wina. To było na rękę senatorowi. Tego wieczoru musiał myśleć o zbyt wielu sprawach i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było niańczenie żony. Senator Clark zresztą najbardziej życzyłby sobie zastąpić numer trzy numerem cztery, ale obawiał się, że mogłoby to nie pasować do jego obecnych planów. Amerykanie odpuścili mu dwa rozwody, ale trzeciego mogli już nie zaakceptować.

Ledwo przekroczył próg placówki, natknął się na ambasadora, który powitał go serdecznym uściskiem dłoni. Senator, przywoławszy na twarz

szeroki uśmiech, oszczędnie rozdzielił kilka klepnięć w plecy. Jeden ze starych dyplomatów, który znał Clarka lepiej od innych, nalał mu whisky, aby ułatwić załatwienie pierwszej sprawy. Po trzydziestu sekundach Clark stał już na progu dużej sali balowej ze szklanką scotcha z lodem w ręce. O głowę wyższy od większości uczestników przyjęcia mógł swobodnie obserwować gąszcz twarzy. Ale człowiek, z którym chciał się dziś spotkać, nie lubił pokazywać się publicznie.

Mniej więcej po godzinie pogawędek senator Clark został wyprowadzony z sali przez jakiegoś czterdziestoletniego mężczyznę. Nie miał pojęcia, kim on jest, i nie był tym zainteresowany. Po krótkim przystanku w męskiej toalecie przekazano go innemu osobnikowi, który przeprowadził go przez ochronę Shin Bet do roboczej części ambasady. Żaden ze strażników nie poprosił go o dowód tożsamości, prawie na niego nie patrzyli. Clark wiedział, że wszystko zostało zaaranżowane przez tego, z kim miał się spotkać. Tymczasem dotarli do windy. Gdzieś w oddali słychać było odgłosy przyjęcia.

Całą ambasadę ubezpieczało Shin Bet, zajmujące się ochroną wszystkich izraelskich placówek i konsulatów. Ale nigdzie kwestia bezpieczeństwa nie była tak poważnie traktowana jak na trzecim z podziemnych poziomów. Oddzielony od reszty budynku, mieścił biura rozmaitych rodzajów wojskowego wywiadu: Aman, AFI i NI oraz Mosad, wywiad zagraniczny, którymi Izrael chełpił się najbardziej. W ten rejon można się było dostać tylko dwiema drogami: windą lub schodami. Schody służyły jednak jako droga ewakuacji, której zasadniczo nie używano. Całą komunikację na to piętro obsługiwała więc winda.

Clark wszedł do windy sam i zjechał cztery kondygnacje pod ziemię, gdzie elektroniczny podsłuch był trudniejszy. Powitała go tam sterylna kombinacja jasnych światła, bieli posadzki i ścian. Jedynym godnym uwagi elementem w tym pomieszczeniu były ciężkie pancerne drzwi z zamontowaną nad nimi kamerą i mieszczącą się z prawej strony płytką do identyfikacji odcisku palca. Clark usłyszał metaliczne kliknięcie zwolnionego zamka i otworzył drzwi. Po drugiej stronie stała kobieta, którą Clark oceniał na ponad trzydzieści lat. Dała mu znak, żeby szedł za nią. W połowie korytarza skręciła w prawo i po minięciu kilku drzwi zatrzymała się. Z uprzejmym uśmiechem zaprosiła go ruchem ręki, aby wszedł do mrocznego pokoju.

Clark ujrzał przyjaciela siedzącego po drugiej stronie prostokątnego, dziesięciomiejscowego stołu konferencyjnego. Wszedł do środka. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się automatycznie z charakterystycznym sykiem pneumatycznych uszczelek. Ściany i sufit pokrywała szara pianka ułożona we wzór upodabniający pokój do pojemnika na jajka. Senator wiedział, że była to warstwa dźwiękochłonna, uniemożliwiająca usłyszenie tego, co tu zostanie powiedziane. Obaj rozmówcy właśnie tego chcieli.

Mężczyzna złożył dokumenty i przełożył papierosa z prawej ręki do lewej. Wstał, wyciągnął dłoń i serdecznie powitał senatora.

- Dobry wieczór, Hank. Jak zawsze miło mi cię znowu widzieć.

- Dziękuję, Ben, za przybycie. Naprawdę to doceniam.

Ben Freidman wzruszył ramionami, jakby ta wyprawa z Tel Awiwu, jaką podjął dla przyjaciela, nie była dla niego niczym szczególnym. Wskazał Clarkowi krzesło i odwrócił się do małego barku

za plecami. Podobnie jak Clark, nie gardził alkoholem.

- Tak czy owak, jestem tu. Rano muszę się spotkać z prezydentem. - Nalał dwa drinki i usadowił się na krześle u szczytu stołu.
- Coś ważnego?
- Można tak powiedzieć - odparł Freidman, sprawiając wrażenie zmartwionego.
- Powiesz mi?
- Dotyczy Iraku. Wkrótce się dowiesz, ale teraz jeszcze nie chcę mówić o moich problemach. Opowiedz o swoich.

Freidman przypominał pitbula. Był agresywny, wytrwały i lojalny. Niebezpieczny dla tych, których nie lubił, ale ten, kogo cenił, mógł na nim polegać jak na eunuchu strzegącym cnoty westalki. Najbardziej kochał swój kraj i tych, którzy pomagali go bronić. Senatora Clarka zaliczał do tej kategorii.

Freidman golił głowę i rzadko wkładał krawat. Przeważnie, tak jak dziś wieczorem, miał na sobie wizytowe spodnie i zwykłą koszulę z krótkimi rękawami. Przy wzroście metr dziewięćdziesiąt miał nadwagę rzędu dwudziestu pięciu kilogramów. Lubił nosić wypuszczoną ze spodni koszulę, co było praktyczne nie tylko ze względu na upał w Teł Awiwie, ale i pozwalało sięgnąć po ukrytą broń, którą zawsze nosił w kaburze na plecach. Urodzony w Jerozolimie w 1949 roku, miał właściwy wiek, by służyć w jednostce frontowej, która w pierwszych godzinach wojny sześciodniowej w 1967 roku została ogarnięta przez atakujących Egipcjan. Zamiast cicho doczekać kontrataku, który wypchnąłby Arabów za granicę, Freidman zabrał dwóch ludzi ze swojego oddziału i wbrew rozkazowi nocą zrobił wypad. Odniósł błyskawiczny sukces, docierając do rucho-

mego posterunku dowodzenia Egipcjan i siejąc w nim spustoszenie. Ta odważna akcja nie pozostała niezauważona i po zakończeniu wojny zainteresował się nim Aman, izraelski wywiad wojskowy. Już w wieku trzydziestu lat Freidman dosłużył się rangi pułkownika i zyskał opinię człowieka sukcesu. Następnie został zwerbowany albo, jak twierdzili niektórzy wojskowi, skradziony przez Mosad.

W ciągu następnych dwudziestu lat Freidman stał się w Mosadzie legendą. Niektórzy uważali, że posiada cudowną zdolność unikania wysoce kłopotliwych sytuacji. Dzięki szczęściu czy może sprytowi - tego nikt nie był pewny - Ben Freidman wdrapał się na sam szczyt agencji wywiadu, którą wielu uważało za najsprawniejszą na świecie. Równocześnie szanowano go i bano się go. W czasie piastowania funkcji dyrektora generalnego w Mosadzie rzadko się zdarzało, aby w ciągu miesiąca nie posłał kogoś na śmierć.

Freidman pociągnął łyk polskiej wódki i spojrzał na gościa, domyślając się, z czym do niego przychodzi. Przekrzywił głowę i zapytał przewodniczącego Senackiej Komisji do spraw Wywiadu:

- Co cię martwi, przyjacielu?
- Och, wiele rzeczy, ale jedna szczególnie.
- Doktor Kennedy?
- Hm... tak i nie. Ona jest problemem, ale teraz ktoś ma przed nią bezwzględne pierwszeństwo.

Na cienkich wargach Freidmana ukazał się złośliwy uśmiezek.

- Pan Rapp? - Pokręcił głową i dodał: - Mówiłem, że nie powinieneś go w to wszystko mieszać. To zbyt niebezpieczny człowiek.
- Tak, miałeś rację, ale czasu nie można cofnąć. - Clark zawahał się

jakby pod wpływem złych wspomnień.

Freidman rzeczywiście radził mu unikać Mitcha Rappa. Pod tym względem był bardzo stanowczy, ostrzegał, że cztery kontynenty usłane są ciałami ludzi, których tropił i którzy potem zginęli z jego ręki. Clark sądził wtedy, że był to jedynie objaw szacunku gospodarza dla Rappa, wynikającego z więzów łączących ich w walce ze wspólnym wrogiem. I dlatego tak głupio zaufał Peterowi Cameronowi.

Właśnie na myśl o Cameronie Clark się skrzywił. Zatrudnił go osobiście. Jako godny zaufania przewodniczący Senackiej Komisji do spraw Wywiadu mógł prawie wszystkim zajmować się osobiście. Wybrał Petera Camerona po wielu latach studiowania każdego ruchu tego człowieka. Był on dwudziestoczteroletnim specem z Biura Bezpieczeństwa CIA - gestapo CIA. Do zadań szefa Biura Bezpieczeństwa należało obserwowanie obserwowanych, szpiegowanie szpiegów.

Cameron posiadał rozległą wiedzę i kontakty. Senator zamierzał mu się odwdziżyć za ich przekazanie. Po ponad dwudziestu latach miernych zarobków Cameron chwycił okazję zostania dobrze opłacanym najemnikiem senatora. Zabicie Rappa i zostawienie jego zwłok w Niemczech, aby cały świat się o tym dowiedział, było jego pomysłem.

Ale mimo wściekłości Clark nie zamierzał się okłamywać. Plan był bardzo ryzykowny. Dzięki opłacaniu kontaktów w agencji Cameron zdołał śledzić ruchy Rappa i Kennedy i poznać rozkazy, z jakimi ten pojechał. Gdyby plan się powiódł, przewodniczący Hank Clark mógłby stanąć na czele komisji prowadzącej najbardziej sensacyjne od dziesięcioleci przesłuchanie w tym kraju. Fakty, które od wielu lat gromadził, mogłyby ujrzeć światło dzienne, zniszczyć prezydenta Hayesa i poważnie

zaszkodzić Partii Demokratycznej na co najmniej dwie elekcje, co z kolei pozwoliłoby senatorowi dosłownie wybrać następnego dyrektora CIA, który ochoczo otworzyłby skarbiec tajemnic, dawniej zwany Echelonem. Ale najważniejsze, że cała ta afera pozwoliłaby Hankowi Clarkowi wysunąć swoją kandydaturę na szefa Białego Domu. Pieniądze popłynęłyby od Ellisa i jego współpracowników z Doliny Krzemowej, przesłuchanie transmitowałaby państwowa telewizja, dzięki czemu twarz Clarka byłaby dla wszystkich rozpoznawalna, a partia byłaby mu zobowiązana za powalenie demokratów na kolana. Taki był cel. I byli już tak blisko. Gdyby tylko powiodło się Peterowi Cameronowi.

Clark nie posłuchał Freidmana i teraz za to płacił. Kiedy operacja w Niemczech skończyła się klęską, Cameron zapewniał Clarka, że załatwi głównego zabójcę CIA. Senator dał mu jeszcze jedną szansę i Cameron też ją spieprzył. Przebrany za agenta specjalnego FBI Cameron z kumplami zwabił Annę Rielly do domu Rappa. I znowu zbyt nisko ocenił wroga. Zanim minęła noc, jego ludzie zginęli z ręki Rappa.

Wtedy senator postanowił skończyć ze stratami. W krótkim kodowanym e-mailu do Freidmana załatwił Peterowi Cameronowi spotkanie. Dobę później Cameron był już trupem, a Mitch Rapp napotkał mur w wysiłkach wykrycia, kto rozkazał go zabić w Niemczech.

Clark wyciągnął wnioski z doświadczeń ostatniego miesiąca i teraz był szczególnie ostrożny. Kuszony perspektywą najwyższej władzy podjął kilka niewłaściwych decyzji i nie mógł już sobie pozwolić na dalsze błędy. Potrzebował też rady Bena Freidmana.

Freidman rozsiadł się wygodnie i gestem dał mu znak, żeby zrzucił ciężar z serca.

- Jak mogę ci pomóc?

Clark zawahał się, ale po chwili zapytał:

- Wysłałeś kobietę, żeby zajęła się Cameronem? Freidman uniósł brwi.
- Nie mówiłem ci, że to była kobieta.
- CIA ma ją nagraną.
- Mówiąc o CIA, kogo masz konkretnie na myśli?
- Kennedy.
- Co jest na tej taśmie?
- Jak wchodzi i wychodzi.

Freidman zauważył, że Clark sprawia wrażenie bardzo zaniepokojonego, ale pamiętając o celu ostatecznym, postanowił udąć, że się tym nie przejmuje.

- Ona jest zawodowcem. Wątpię, czy znajdą coś istotnego na tej taśmie.
- A jeżeli znajdą?

Freidman zachował się tak, jakby chciał sprawić na senatorze wrażenie, że traktuje jego słowa poważnie. Podrapał się po muskularnej ręce i odpowiedział:

- O to się nie martwię. Nawet gdyby mieli szczęście i znaleźli ją, nigdy z niej nic nie wyciągną.

Na myśl, że CIA mogłoby znaleźć tę kobietę, Clark poczuł ucisk w piersiach. Pamiętając jednak o trzymaniu nerwów na wodzy, stwierdził po prostu:

- Martwię się. Wolałbym uniknąć jakiegokolwiek ryzyka. Ostatnim razem Rapp prawie dowiedział się prawdy.

Freidman skrzywił się, jakby trafił na coś, czego bardzo nie lubi.

- Ona jest bardzo dobra. Jedna z moich najlepszych. Szkoliłem ją wiele

lat.

- Pięćset tysięcy.

Freidmanowi podobała się cyfra. Dwa razy większa od tej, jakiej się spodziewał. To jeszcze jedna zaleta Clarka, poza jego kowbojską naturą. Nie targował się o pieniądze. Po krótkim namyśle skinął głową i oświadczył:

- Zajmę się tym, ale dopiero po powrocie. To zbyt delikatna sprawa, żeby załatwiać ją stąd, z Ameryki.

Clark poczuł się tak, jakby ktoś zdjął mu ogromny ciężar z ramion. Odetchnął z ulgą i zapytał:

- Kiedy wracasz?
- Jutro po południu.

Senator powiedział z uśmiechem:

- Ben, nie myślałem, że tak to wszystko załatwisz. Naprawdę doceniam to. Powinienem posłuchać cię, kiedy ostrzegałeś mnie przed Rappem.
- Nie przejmuj się. - Freidman machnął ręką, jakby to nie było ważne. - Jesteś dobrym sojusznikiem, a gdy będziesz prezydentem - dyrektor Mosadu uniósł w toaście szklankę - będziesz jeszcze lepszym.

6

MARYLAND, PONIEDZIAŁEK WIECZÓR

Gwiazdy błyszczały na niebie mimo ognia. Anna dała mu na urodziny przenośne palenisko z kutego żelaza i Mitch zrobił z niego dobry użytek.

Temperatura powietrza zbliżała się do dziesięciu stopni i spadała. Od wody wiała lekka bryza, ale na tyle silna, aby zwiewać dym z twarzy. Rapp siedział na werandzie swojego domu z widokiem na Chesapeake. Był ciepło ubrany w spodnie, trykotową koszulkę i starą brązową kurtkę Carhartt. Siedział na białym krześle Adirondack, z gołymi stopami opartymi na taborecie i zwróconymi w stronę ognia. Shirley leżała przy nim spokojnie. Do pełni szczęścia tego wieczoru brakowało jeszcze Anny.

Dziesięć minut później jego życzenie się spełniło - albo przynajmniej miało się spełnić. Pierwsza usłyszała samochód Shirley. Podniosła głowę, co zwróciło uwagę Rappa. Zaczął czujnie nadśłuchiwać z zamkniętymi oczami. Shirley skoczyła i zbiegła z werandy, aby okrążyć dom. Rapp lewą ręką namacał chłodny metal beretty kaliber 9 mm, ukrytej pod kurtką. Nieodłącznym elementem życia Rappa była nieustanna groźba, że ktoś zechce go zabić. W pierwszych latach pracy w jednostkach antyterrorystycznych zawsze liczył na to, że po powrocie do domu będzie mógł odpocząć i osłabić czujność. Tego wymagała jego praca. Tygodniowe, a czasem wielomiesięczne pobyty za granicą i wyczerpujące zadania wymagały ogromnego wysiłku. Przed przystąpieniem do akcji musiał zapamiętywać mnóstwo informacji: mapy, szyfry, szczegóły dotyczące celu, organizacje miejscowych władz, grup politycznych i walczących ze sobą organizacji terrorystycznych.

A gdy już znalazł się na miejscu akcji, musiał działać w niezwykle trudnych warunkach. Nie rozpoznany, musiał zachować szczególną ostrożność i mieć oko na wszystko, co się wokół działo. Można sobie wyobrazić przeciskanie się przez tłum ludzi w niezwykle ruchliwym Damaszku. Musiał nie tylko tropić tych, których miał zabić, ale ciągle się

ogłądać, czy nie jest śledzony. A niełatwo wykonać takie zadanie w tej części świata, gdzie ponad dziewięćdziesiąt procent mężczyzn ma czarne włosy i nosi wąsy, a większość kobiet od stóp do głów spowita jest w *abaje*. Gdyby go zidentyfikowano, zostałby ukamienowany bez sądu. Gdyby złapały go policja albo wywiad, zostałby poddany brutalnym torturom. Groziło mu nie tylko bicie lub wrzaski. To był Bliski Wschód. Tam stosowano metody brutalne, pomysłowe i obejmujące całe ciało. Od samego wyobrażania sobie można było dostać obłędu. On nie dostał, ale dlatego potrzebował bezpiecznego schronienia. Miejsca, w którym mógłby przestać nieustannie czuwać i gdzie mógłby odzyskać siły. I takie miał do niedawna. A teraz musiał odzyskać to, co mu zabrano. Ktoś w Ameryce znał prawdziwy życiorys Rappa. Dwa razy próbowano go zabić: raz w Europie i raz w Stanach. W Europie niemal się to udało, ale szczytem było zastawienie pułapki na niego w jego własnym domu z przyjaciółką w roli przynęty. Ktoś wiedział o nim za dużo i każdy dzień umacniał Rappa w przekonaniu, że musi go wytropić. Musi zamknąć ten rozdział przed uporządkowaniem swojego życia. A Rapp rozpaczliwie chciał je unormować. Pragnął Anny i chciał mieć dzieci. Chciał żyć normalnie, ale wiedział, że musi jeszcze poczekać na widok Anny stojącej w kuchni przed lodówką. Musiał wcześniej zapolować na tego, kto wynajął Petera Camerona i chciał go zabić.

Rielly z idącą tuż za nią Shirley pojawiła się na werandzie z chytrym uśmiechem. W obu rękach niosła piwo. Pochyliła się i pocałowała Rappa w usta.

- Jak minął dzień, kochanie?
 - Nieźle - odparł z zauważalnym brakiem entuzjazmu. -A tobie?

Rielly wyprostowała się i wręczyła mu piwo.

- Dobrze. - Odwróciła się i dodała: - Włożę dzinsy.

Zaraz będę z powrotem.

Rapp uśmiechał się do niej, gdy wchodziła do domu. Gładko poszło, pomyślał. Bał się przesłuchania na temat spotkania z Kennedy. Pociągnął łyk piwa. Wiedział, że gdy Reilly wróci, i tak zacznie drażnić. Zastanawiał się, jak zaprezentować wydarzenia w najlepszym świetle. O niektórych sprawach nie mógł mówić ze względu na bezpieczeństwo narodowe, innych nie powinien poruszać, aby źle o nim nie pomyślała.

Rielly wróciła w dzinsach, w jego flanelowej koszuli i ze starym wełnianym kocem na ramionach. Opadła na krzesło, uniosła wojowniczo podbródek, ściągnęła wargi i zamknęła oczy.

Rapp nachylił się do niej i pocałował ją w usta.

- Dzięki za piwo.
- Miły jesteś. - Pociągnęła łyk z butelki i dodała: -A teraz opowiedz mi o spotkaniu.
- No wiesz... rozmawialiśmy o tym i owym. Prawie godzinę. Nic ważnego. Naprawdę. Co słyhać w Białym Domu?
- Nie wykręcaj się. - Uśmiechnęła się. - Nie obchodzi cię, co się dzieje w Białym Domu, a ja nie mam pojęcia, co znaczy „to i owo”. Więc nie pleć bzdur i mów, co się stało.
- Nie wiem, od czegoś zacząć.

O tak, kochał ją. Była taka piękna i silna - psychicznie i fizycznie. Rapp podziwiał ją za jedno i drugie. Znał siebie dobrze i wiedział, że potrzebuje kobiety, która od czasu do czasu będzie go mitygować. Zbyt długo był samotnikiem i nabył pewnych przyzwyczajień,

które nie bardzo pomagają w utrzymywaniu dobrych stosunków partnerskich. Rielly spytała zachęcająco:

- Dlaczego po prostu nie zaczniesz od początku?
- No więc włożyłem popielatą marynarkę na trzy guziki i ten krawat, który kupiłeś mi na Dzień Ojca. - Przerwał i spojrzał na nią z nikłym uśmiechem. - A przy okazji, dlaczego kupiłeś mi krawat na Dzień Ojca? Przecież nigdy go nie obchodziliśmy. Czy to twoje pobożne życzenie, czy też może próbowałaś dać mi do zrozumienia, że istnieją jakieś dzieci, o których nie mam pojęcia?
- Mamy przed sobą całą noc, Mitchell, kochany. Możemy to zrobić szybko lub przeciągać w nieskończoność. Po prostu wszystko mi opowiedz, inaczej będę cię męczyć godzinami.

Rapp z uśmiechem napił się piwa.

- Wytrzymam.
- O, jestem pewna. Ale możemy się w to bawić we dwójkę. - Rzuciła mu szatański uśmiech i spojrzała na ogień.
- Co masz na myśli? - zapytał Rapp z większym zapalem, niż chciałby okazać.
- Żadnego seksu.
- O, Boże -jęknął. - Czy nie poświęcasz za dużo uwagi tym wszystkim głupim książkom o stosunkach międzyludzkich, które czytają twoje przyjaciółki? We wszystkich wypisują to samo. Nigdy! Powtarzam - nigdy nie używaj seksu jako broni.
- Nie używam go jako broni. - Rielly pokręciła głową. - Jeżeli zamierzam się powstrzymać, robię to tylko ze względów religijnych.

- A jakie to są względy? - Rapp się zaśmiał.
- Takie, że nie powinnam zbyt łatwo ulegać mężczyźnie, z którym nie mam ślubu, lecz tylko jestem zaręczona. - Rielly szybko napiła się piwa, żeby ukryć uśmiech.

Rapp obserwował ją przez chwilę.

- Chcesz więc zostać jakby nowo nawróconą dziewczyną? — zapytał.

- Tak, coś takiego.

Zaśmiał się.

- To najgłupsza rzecz, jaką słyszałem. Tylko seksualnie ograniczona irlandzka katoliczka z Chicago może chlapanąć coś tak śmiesznego.
- Zobaczymy, jakie to będzie śmieszne po kilku tygodniach samego obejmowania się.

Rapp, ciągle się śmiejąc, uniósł ręce w geście poddania.

- No to niech już będzie moja krzywda. Co chcesz wiedzieć?

Rielly uśmiechnęła się z triumfem.

- Co nowego w sprawie pracy?
- Mam pracować w Centrum Antyterrorystycznym. Jeszcze nie zdecydowała, na jakim stanowisku. Mam się przy biurku w jakiś sposób zajmować Bliskim Wschodem. Albo pracować jako starszy analityk. Może obejmę stanowisko specjalnego asystenta dyrektora centrum do spraw islamskiego terroryzmu.

Rielly uniosła brwi z podekscytowania.

- Podoba mi się to drugie. Wygląda na bardzo ważne. Rapp się skrzywił.
- Ja nie jestem pewien, czy mi się którekolwiek podoba.

- Dlaczego?
 - Nie wiem, kochanie. Nie mam ochoty pracować w tym domu wariatów.
- Co masz na myśli?
 - Nie przywykłem do pracy z zegarkiem w ręku i, jak wiesz, nie lubię słuchać rozkazów.
- Tak, ale co w końcu chciałbyś robić? Rapp, patrząc w ogień, odpowiedział:
- Nie wiem. Może chcę zostać w domu i przedłużać ród.
 - O nie, tego nie chcesz. - Rielly pokręciła głową. -I ja też nie chcę, żebyś był mężem przedłużającym ciągłość swego rodu. Zwariowałbyś, Mitchell. Potrzebujesz w życiu zmian. Nie czaruj. Myślę, że byłbyś wspaniałym ojcem, ale nie widzę cię w roli niańki.
- Tak, wiem, ale... - Przerwał, żeby się napić.
- Ale co?
 - Nie wydaje mi się, żebym był stworzony do tych wszystkich zabaw w kotka i myszkę w Langley.
 - Rielly chwyciła go za rękę.
- Myślę, że powinieneś przynajmniej spróbować.
- Naprawdę? - Rapp był trochę zaskoczony.
 - Tak. I nie zapominaj, że w razie niepowodzenia masz poparcie dyrektora.

Rapp obserwował ją uważnie.

- Hmm...
- Co?
 - Nie spodziewałem się, że zgodzisz się, abym podjął tę pracę.
 - Wszyscy musimy coś robić, kochanie. Byłeś bardzo dobry w tym, co robiłeś przez ostatnie dziesięć lat. - Rielly pogłaskała go po policzku. - Mogłam to obserwować osobiście - dodała łagodnie. - Ocaliłeś mi życie. - Uśmiechnęła się z czułością i pocałowała go. - A teraz, gdy się w tobie zakochałam, masz okazję wycofać się z linii frontu i zasiąść za biurkiem. - Uszczypliła go w policzek. - Ta zmiana może być z początku trudna, ale zbyt dobrze znasz Bliski Wschód, żeby właśnie teraz się wycofać.
 - I wcale się nie martwisz, że będziesz musiała powiedzieć rodzinie i przyjaciółkom, iż pracuję w CIA?
 - Kpisz ze mnie? - Rielly odparła z uśmiechem. - Moje przyjaciółki już plotą o tobie bzdury i nie skończą, kiedy się dowiedzą, że jesteś szpiegiem - roześmiała się.
 - Nie, ja mówię poważnie. Czy to nie będzie miało wpływu na twoją pracę? No wiesz... sypianie z wrogiem.
 - Nie. - I po zastanowieniu się nad kilkoma potencjalnymi problemami dodała: - A jeśli nawet, poradzę sobie.

Rozmyślając nad jej słowami, Rapp wolno skinął głową.

- No cóż, teraz czuję się lepiej.
- To dobrze. Coś jeszcze?

Pomyślał o propozycji Kennedy dowodzenia Orionem, ale o tym nie mógł jej powiedzieć.

- Nic więcej. Tylko wynagrodzenie i pewne sprawy organizacyjne.

Rielly spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- No dalej. Co jeszcze?
- Nic, o czym mógłbym ci powiedzieć.
- Mitchell?
- Anno - odparł kpiąco. - Musisz się z tym pogodzić.

- Jeżeli przyjmę tę pracę, prawie wszystko, czego się tknę, będzie utajnione. Nie mogę po powrocie do domu gawędzić na te tematy.

Rielly przewróciła oczami.

- Całe twoje życie jest utajnione.
- Kochanie, z pewnością dojdziemy do porozumienia. Jeżeli nie zechcesz respektować faktu, że nie mogę rozmawiać na temat pięćdziesięciu procent swoich zadań, to równie dobrze mogę powiedzieć Irene, że nie przyjmuję jej propozycji. - Rapp patrzył badawczo na Rielly, aby się upewnić, że uświadamia sobie, jak bardzo sprawa jest poważna.
- Respektuję to, respektuję. Nie martw się.
- To dobrze. - Pochylił się i złożył na jej ustach długi pocałunek, który odwzajemniła z uczuciem. Wiedział, jakie wrażenie wywarło na niej to stanowcze oświadczenie, ale nic na to nie mógł poradzić. Nie było odwrotu, nic nie mogło go powstrzymać. Nawet nie miał na to wystarczającej siły woli. Po chwili przesunął wargi w kierunku jej ucha i zapytał: - Pójdziemy na górę i będziemy się teraz kochać?

Rielly wymruczała odpowiedź. Wstali i weszli do domu, zostawiając za sobą ciepło ognia.

GABINET OWALNY, WTOREK RANO

- Po co, u diabła, to spotkanie? - spytał prezydent Hayes, tak pochylając głowę, aby spojrzeć nad okularami na stojącą przed biurkiem trójkę.

Pił poranną kawę i przeglądał plan dnia, gdy przyszli tu z niepewnymi minami i przekazali mu co najmniej zaskakującą informację.

Pierwsza odezwała się Valerie Jones, szefowa prezydenckiego sztabu:

- Usłyszałam o tym dopiero przed pięcioma minutami. - Minęła wzrokiem doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego Michaela Haika i spojrzała na Irenę Kennedy.
- Telefon odebrałam wcześniej rano - wyjaśniła Kennedy. - Był bardzo poważny, ale on zawsze taki jest.

Hayes przechylił się w lewo w fotelu i potarł brodę. Po raz pierwszy w swej dość krótkiej karierze prezydenta pomyślał, że to dziwne. Był pewien, że nie wróży nic dobrego. Spojrzał na Kennedy i zapytał:

- Robili już coś takiego przedtem?

Kennedy pomyślała o sprawach, jakie prowadziła z Izraelem w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

- Od czasu do czasu prosili o nieoficjalne spotkanie. Zwykle z oczywistych powodów: nie chcą prasy ani żadnego rozgłosu, ale nie mogę sobie przypomnieć, żeby adresowali taką prośbę prosto na samą górę.
- To niedobrze. Dyrektor Mosadu przylatuje do Stanów i prawie natychmiast chce się ze mną zobaczyć. Nic dobrego z tego nie wyniknie. - Hayes spojrział na doradcę do spraw bezpieczeństwa

narodowego. - Michael, co się dzieje? Jakies poważne zakłócenia w procesie pokojowym, o których nie wiem?

- Nie, wszystko po staremu. Arafat żąda X, Y i Z, a potem odchodzi od stołu. Eksplodują bomby, a miesiąc później siadają przy stole pokojowym i znowu zaczynają.
- To nie to - powiedziała Kennedy w zamyśleniu. -Gdyby chodziło o proces pokojowy, nie wysyłaliby z Tel Awiwu Bena Freidmana. Mógł się tym zająć ich ambasador albo drogą telefoniczną premier. - Przerwała, zastanawiając się nad inną możliwością. - Nie, obecność Bena Freidmana zapowiada poważne kłopoty. Dzieje się coś, o czym nie wiemy. Coś poważnego.
- No ładnie - mruknął prezydent i dodał mocno sfrustrowany: - I nikt z was nie ma pojęcia, o co chodzi?
- Przykro nam, ale nie - odpowiedział tylko Haik.

Prezydent przez chwilę się zastanawiał nad powstałą sytuacją. Kusiło go, by chwycić za słuchawkę i połączyć się z premierem Izraela, ale zwyciężył rozsądek. Premier ma za dwa tygodnie odwiedzić Stany. Może dlatego wysłał Freidmana? Prezydent spojrzał na Haika i polecił:

- Ściągnij tu generała Flooda. Chcę, żeby przy tym był.

Haik chwycił białą słuchawkę masywnego bezpiecznego zestawu telefonicznego stojącego na biurku prezydenta i nacisnął guzik wywołujący numer szefa Połączonego Komitetu Szefów Sztabów. Generał Flood zgłosił się po sekundzie i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego opisał mu sytuację. Generał odparł, że przyjedzie jak najszybciej, musi się tylko przedrzeć limuzyną na drugą stronę Potomacu.

Prezydent Hayes spojrział na zegarek. Była ósma piętnaście.

- Freidman będzie tu o dziewiątej?
- Tak - odparła Kennedy.
 - Dobrze. Na razie chciałbym, żebyśmy się zastanowili, o co w tym wszystkim chodzi.

Hayes zdjął okulary i patrzył na trójkę najbardziej godnych zaufania doradców, ale w odpowiedzi napotkał tylko pusty wzrok.

Pułkownik Freidman i jego ochroniarz złapali taksówkę na Connecticut Avenue. Freidman mógł wziąć jedną z limuzyn ambasady, ale wolał nie rzucać się w oczy. Każdy, kto zajeżdżał przed Biały Dom limuzyną, musiał się liczyć z tym, że zostanie sfotografowany. W innych miastach Freidman nie odważyłby się poruszać czymś innym niż opancerzony samochód, ale Waszyngton należał do wyjątków. Wszystkie organizacje terrorystyczne z Bliskiego Wschodu znały reguły gry. Zabójstwo dokonane na ziemi amerykańskiej oznaczało samobójstwo - finansowe i polityczne.

Gdy taksówka ruszyła w kierunku Białego Domu, Freidman wyjrzał przez okno i spojrział na mijane ambasady. W tym mieście jak w żadnym innym skoncentrowana była władza i Freidman przybył tu, aby to wykorzystać. Szanował Stany - między innymi za to, że były najważniejszym sojusznikiem jego kraju. Co roku pompowały w izraelską gospodarkę miliardy dolarów, a dostarczana przez nie pomoc wojskowa była wprost nieoceniona. Ale Stany Zjednoczone dysponowały bogactwami daleko wykraczającymi poza ich potrzeby. W ojczyźnie Freidmana wielu uważało, że Amerykanie mogą dać im więcej,

że mogą więcej zrobić dla zabezpieczenia granic jedynej prawdziwej demokracji na Bliskim Wschodzie. Należał do nich i Freidman.

W imię bezpieczeństwa swego małego kraju zdolny był uczynić wszystko. Szacunek wobec Stanów był niczym w porównaniu z lojalnością wobec Izraela. Amerykanie nie zawsze byli skłonni robić to, o co prosił jego kraj, i wtedy zaczynała się rola Freidmana. Brzydkim sekretem było to, że Mosad szpiegował Stany Zjednoczone. Nie tylko szpiegował, ale od czasu do czasu prowadził tajne operacje przeciwko swojemu najlepszemu sojusznikowi. Dzisiejsze spotkanie jednak nie miało z tym nic wspólnego, przynajmniej jeszcze nie. Oceniając rzecz w najkorzystniejszym świetle, obaj sojusznicy mieli problem ze wspólnym wrogiem. Z cynicznego punktu widzenia Bena Freidmana, chodziło o to, żeby Stany wykonały za Izrael brudną robotę.

Z taksówki wysiedli dwie przecznice przed Białym Domem i niedbałym krokiem udali się do północno-zachodniej bramy. Przeszli kontrolę i jeden z sekretarzy prezydenta zaprowadził ich do sali konferencyjnej.

Ochroniarz Freidmana bez niczyich wskazówek skierował się do jadalni. Jego szef był w Białym Domu bezpieczny, mógł się więc napić kawy i zobaczyć, czy uda mu się podsłuchać coś pożytecznego. Gdy Freidman wszedł do małego pokoju konferencyjnego w podziemiach zachodniego skrzydła, nie był zaskoczony tym, że znajdowało się w nim tylko pięć osób.

Ale był trochę zaskoczony tym, że nikt nie wstał, żeby go przywitać. Zanotował to w pamięci. Prezydent siedział tam, gdzie się tego spodziewał, u szczytu stołu. Kennedy zajmowała miejsce na drugim końcu stołu, naprzeciwko niego, a przewodniczący Połączonego Komitetu

Szefów Sztabów, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego i szefowa prezydenckiego sztabu siedzieli po jednej stronie stołu. Freidman zarzucił płaszcz na oparcie jednego z czterech pustych krzeseł, spojrzał na Kennedy i pragnąc rozluźnić sztywną atmosferę, uśmiechnął się i powiedział:

- Dziękuję, Irene, za zorganizowanie spotkania w tak krótkim czasie.

Kennedy w milczeniu skinęła głową.

Freidman, pojąwszy sytuację, usiadł. Ten nastrój się zmieni, gdy pokaże im, co kryje jego aktówka. Zwrócił się do prezydenta:

- Dziękuję, panie prezydencie, że zechciał mnie pan przyjąć. Sądzę, że zdaje pan sobie sprawę, iż nie prosili byśmy o to, gdyby sprawa nie była bardzo ważna.

Hayes, podobnie jak Kennedy, też tylko skinął głową w milczeniu. Tak, Izrael był przyjacielem, ale podobnie jak jego poprzednicy, Hayes nie był ślepy, i wiedział, że często kieruje nim egoizm. Dlatego wydał współpracownikom odpowiednie instrukcje: żadnych serdecznych powitań szefa izraelskiego wywiadu. Freidman poprosił o spotkanie i to on będzie mówił.

- Czy ostatnio zauważyłaś coś alarmującego w Bagdadzie? - zapytał Freidman Kennedy.

Prezydent uprzedził jej odpowiedź:

- Panie Freidman, dziś rano mam mało czasu. Myślę, że weźmie pan to pod uwagę i powie, o co chodzi.

Freidman złożył ręce na stole i rzekł:

- Otrzymaliśmy bardzo alarmujące wieści, panie pre

zydencie, i obawiam się, że nie będzie pan zachwycony.

Sięgnął po aktówkę, otworzył zamek i wyjął z niej dużą czerwoną teczkę. Była zaopatrzona w woskową pieczęć. Freidman złamał pieczęć i wyjął plik papierów z przypiętą na wierzchu czarno-białą fotografią o wymiarach 10 na 18 centymetrów. Przysunął zdjęcie do prezydenta i wyjaśnił:

- To Park Chow Lee. Obywatel Korei Północnej. Teraz siedzi w Bagdadzie. Park jest doktorem. - Freidman wyjął następną fotografię i pchnął je ku prezydentowi. Podczas gdy pierwsze zdjęcie było wyraźne i ostre, następne, robione z dużej odległości, były trochę ziarniste. - Na pierwszej fotografii, panie prezydencie, Park ma na sobie białe kitle laboratoryjne i wchodzi do Szpitala Al Husajna w Bagdadzie. - Przerwał na chwilę, aby się przekonać, czy ktoś zechce zadać pytanie. Milczeli, więc kontynuował: - Jest tylko pewien problem, pan Lee nie jest doktorem medycyny, ale fizyki jądrowej. - Przekonany, że wreszcie wzbudził zainteresowanie, Freidman usiadł wygodniej i zamilkł.

Siedząca na drugim końcu stołu Kennedy obserwowała go. Wiedziała, do czego zmierza. Dostarczane jej codziennie raporty wywiadu zawierały krótkie wzmianki, że Saddam robi interesy z ekonomicznym bankrutem, jakim jest Korea Północna. Wysyła jej ropę naftową w zamian za broń i technologię. Z tego, co powiedział Ben Freidman, wynikało, że także naukowców. Kennedy zauważyła, że prezydent Hayes rzucił jej krótkie spojrzenie. Nieznacznie skinęła głową, potwierdzając, że ta informacja najprawdopodobniej jest prawdziwa. Zauważyła ślad irytacji na twarzy

prezydenta i przez moment zastanawiała się, czy to ona była jej źródłem. Pewnie tak. Po zakończeniu spotkania wyjaśni, dlaczego Mosad ubiegł CIA. W porządku. Kennedy musi przyznać, że jeśli chodzi o Bliski Wschód, to USA nie mogą konkurować z Mosadem.

- Mamy fotografie dokumentujące, jak pan Lee prawie przez trzy miesiące wchodzi i wychodzi ze szpitala. Przychodzi wcześnie, wychodzi późno, a czasem zostaje kilka dni.

Zdjęcia Lee okrążyły stół. Doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego Haik zwrócił uwagę na pewien fragment wypowiedzi Freidmana:

- Skąd pan wie, że spędza tam noc? Może przeoczyliście moment wyjścia?
- Być może - Freidman rzucił na stół następne fotografie - ale wiemy też, gdzie on i inni naukowcy z Korei Północnej mieszkają. - Przesunął zdjęcia po blacie do Haika.

Prezydent stracił cierpliwość i nagle zapytał:

- Do czego pan zmierza, panie Freidman?
- Do czegoś bardzo złego, panie prezydencie. - Freidman zaczerpnął tchu. - Saddam dzięki pomocy pana Lee i innych północnokoreańskich naukowców jest bliski osiągnięcia upragnionego celu. Za niecały miesiąc może dołączyć do swego arsenału trzy ładunki nuklearne.

Prezydent Hayes zamrugał.

- Co?

- Pod koniec roku będzie miał trzy w pełni sprawne ładunki nuklearne.
- Jak to możliwe? - Hayes spojrział na doradcę. - Mówiono mi, że do

tego momentu upłyną dwa lata. Dwa lata, nie miesiąc!

- Ta ocena - wtrąciła Kennedy - oparta była na konieczności odtworzenia programu nuklearnego przez samego tylko Saddama. Nie brano pod uwagę, że może obejść stadium rozwojowe, kupić technologię, komponenty oraz sprowadzić naukowców z Korei Północnej.

Prezydentem zatrzęsło. Jego administracja podejmowała ogromne wysiłki w celu zbliżenia się z Koreą Północną. Właśnie teraz próbowano przepchnąć pakiet pomocy o wartości miliarda dolarów, aby podreperować jej upadającą gospodarkę. Kim Dzong II zapewniał Hayesa, że osobiście dopilnuje, żeby Korea skończyła z państwowym sponso- ringiem terroryzmu. Prezydent postanowił na razie nie myśleć o Korei, tym tematem zajmie się później. Wskazując palcem leżące przed nim fotografie, zapytał:

- Na ile dokładne są te informacje?
- Uważam, że są bardzo dokładne.

Freidman bez drgnienia powieki wpatrywał się w prezydenta.

- Jak bardzo? - Prezydent chciał więcej.
- To oczywiście nie może wyjść poza ściany tego pokoju - Freidman przerwał i kolejno spojrzał w oczy prezydenckich doradców. Agent, od którego miał te dane, był najwyżej ze wszystkich dotychczasowych ulokowany w irackim systemie władzy. - Mamy tam człowieka, więcej powiedzieć nie mogę. Zajmuje dobrą pozycję i jest bardzo wiarygodny.
- Pod cholernym szpitalem - warknął generał Flood. Już analizował, jak zrównać z ziemią taki budynek.

- O jakim typie broni nuklearnej mówimy? - zapytał Haik.
- Dwa ładunki o mocy dziesięciu megaton opracowane jako głowice do scuda-3 i jedna pięciomegatonowa, przenoszona przez bombowiec albo wystrzeliwana przez artylerię.

W pokoju zapanowała śmiertelna cisza. Wszyscy wiedzieli z doniesień wywiadu, jaką rzeź mogą spowodować takie pociski. Każdy z nich mógłby zrównać Tel Awiw z ziemią.

- Panie prezydencie, wszyscy jesteśmy tym bardzo za niepokojeni. A przynajmniej przywódcy mojego kraju. - Freidman przerwał na chwilę. - Przysłał mnie tu premier, żebym was poinformował, że nie możemy pozwolić, aby ta broń została ukończona.

Freidman mówił spokojnie, ale z determinacją. Wysłano go do Waszyngtonu, żeby namówił Amerykanów do wykonania za Izrael brudnej roboty, ale gdyby Amerykanie zawiedli, Izrael załatwi to we własnym zakresie.

Prezydent Hayes powoli skinął głową. Zdążył to już wy-dedukować. Izrael w żadnym razie nie może dopuścić, aby taki megaloman jak Saddam dołączył do nuklearnego klubu. Prezydent również nie mógł na to pozwolić, chociaż dzieliło go od niego osiem tysięcy kilometrów, a mieszkańców Izraela - zaledwie osiemset kilometrów. W końcu zapytał:

- Kiedy pan wraca do Izraela?
- Dziś wieczorem.

Hayes, bębniąc palcami po stole, zastanawiał się nad następnym krokiem.

- Panie Freidman, jestem wdzięczny, że przybył pan

do nas. Czy może pan poczekać chwilę na zewnątrz? Muszę zamienić słówko z moimi doradcami.

Freidman zebrał fotografie i schował do teczki. Po jego wyjściu Hayes zdjął marynarkę i zaczął spacerować po pokoju. Zastanawiał się, czy nie zrugać nowo mianowanej dyrektorki CIA za to, że o niczym nie wiedziała, ale zdecydował, że byłoby to nie fair i w sumie prawdopodobnie mało opłacalne.

- Mamy problem. Chcę znać waszą opinię na temat tego, co tu usłyszeliśmy. Valerie, ty zaczynasz - oznajmił.
- Myślę, że zanim cokolwiek zrobimy, musimy ustalić, czy to wszystko prawda - odpowiedziała.
- Och, to z pewnością prawda - jęknął generał Flood. -Nie wysłaliby Bena Freidmana do Waszyngtonu, gdyby to nie była prawda. Poza tym wiemy, jak bardzo Saddam tego pragnie. Właśnie znalazł sposób, jak dzięki Korei Północnej przyspieszyć cały proces o kilka lat.
- Michael? - zapytał Hayes.
- Musimy się upewnić, że właściwie określono limit czasu - odparł doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. -A następnie należy uzyskać gwarancje Izraela, że nie zacznie działać na własną rękę, zanim my nie znajdziemy jakiegoś rozwiązania.
- Generale?
- Nienawidzę o tym mówić, panie prezydencie, ale musimy to zniszczyć. I sądzę, że tomahawki nie dadzą sobie z tym rady. Musimy wysłać nad Bagdad samoloty. Możemy zabić przy tym kilku ludzi, ale oni najwyraźniej spisali ich już na straty. Chcę przez to powiedzieć, że nie bez powodu ulokowali to świństwo pod szpitalem. Są przekonani,

że nie będziemy mieli jaj, żeby go zrównać z ziemią. — Flood był o tym święcie przekonany. Od lat każdemu, kto chciał go słuchać, zwracał uwagę na problem rozprzestrzeniania broni atomowej. - Mogę dokładnie powiedzieć, Valerie, o czym teraz myślisz. Wyprzedzasz nas o jakieś dziesięć kroków. Kombinujesz, jakie to może wywołać reperkusje polityczne. Już sobie wyobrażasz reporterów stojących przed ruinami szpitala, gdy wynoszą zmasakrowane ciała dzieci. No to pozwól, że zastąpię ten widok innym obrazem. Wyobraź sobie naszą grupę uderzeniową patrolującą Zatokę Perską. Teraz zamknij oczy i ona znika. Ponad siedem tysięcy mężczyzn i kobiet wyparowuje. Wyobraź sobie, jak nad polami naftowymi Arabii Saudyjskiej eksploduje głowica nuklearna. A potem pomyśl, jaki to będzie miało wpływ na światową gospodarkę. Świat ogarnie chaos gospodarczy, te pola będą bowiem bezużyteczne przez sto lat z powodu skażenia radioaktywnego. -Flood przerwał, ale tylko po to, by zaczerpnąć tchu. - To dopiero początek. A teraz wyobraź sobie, że Saddam wysyła dwa pociski na Izrael, sądząc, że w ten sposób wymaże go z mapy świata, zanim ten zdąży wziąć odwet. Jest tylko jeden problem. Izrael nie jest głupi. Oni trzymają swoje pakiety nuklearne głęboko ukryte w podziemnych bunkrach rozsianych na dużym obszarze. Dlatego jakaś część tego arsenału na pewno ocaleje, a ci, którzy przeżyją, bez wahania użyją jej, żeby się zemścić. I oto mamy na Bliskim Wschodzie regularną wojnę nuklearną.

- Pierwsze wybuchy zabiją miliony. Bóg wie, ilu potem umrze od opadu radioaktywnego, ale nie sędzę, żeby zostało ich wielu. Cały region zostanie zniszczony, wydobywanie ropy naftowej zahamowane, świat

obejmie recesja ekonomiczna, podobna do amerykańskiego Wielkiego Kryzysu.

Prezydent przerwał spacer w połowie przemówienia generała. Był nieco zaniepokojony tym, że zgadzał się ze wszystkim, co ten człowiek mówi. Czuł dreszcze biegnące wzdłuż kręgosłupa. W końcu spojrzał na Kennedy i zapytał:

- Irene?

Kennedy też się z tym wszystkim zgadzała.

- Chcą, żebyśmy za nich zajęli się tym problemem.
- Masz na myśli Izrael?
 - Tak. - Kennedy założyła ręce na piersiach. - Ale nie pomylę się, twierdząc, że... jeśli my nie będziemy działać, to oni zaczną.
 - Do diabła. - Prezydent wrócił na swoje miejsce.

Próbował podjąć jakąś decyzję. Zniszczenie szpitala, z Bóg tylko wie, jaką liczbą niewinnych ofiar, nie było miłą perspektywą, ale brak decyzji i realizacja jednego z przedstawionych przez generała Flooda scenariuszy były perspektywą wprost przerażającą.

Pierwszy raz prezydent był naprawdę przestraszony. Powinien zatelefonować do premiera Izraela, ale z tym trzeba poczekać jeden dzień. Lista tych, do których musi zatelefonować tu, na miejscu, była długa, ze względów bezpieczeństwa jednak wielu z nich musi poczekać do ostatniej chwili. Teraz najlepszym wyjściem było delegowanie i kierowanie.

Prezydent uniósł głowę i jakby ocknął się z transu, rzekł:

- Irene, zabierz Freidmana do Langley i osobiście go przepytaj.

Wyciągnij z niego maksimum informacji, a potem jak najszybciej spróbuj je potwierdzić. Ale zanim do tego wciągniesz któregoś ze

swoich ludzi, zadzwoń do mnie i powiedz, czego się dowiedziałaś. - Patrząc na Flooda, prezydent dodał: - Generale, proszę wyznaczyć do tego najlepszych ludzi i przedstawić mi możliwości działania. Chcę, byśmy byli gotowi do akcji w każdej chwili, jeśli zajdzie taka konieczność.

- Chwileczkę - wtrąciła się Yalerie Jones. - Zwolnijcie - trochę. Czy nie uważa pan, że najpierw powinniśmy wykorzystać kanały dyplomatyczne? Ostatnio poczyniliśmy znaczne postępy w stosunkach z Koreą Północną. Może należałoby wyrzucić na nich presję, aby wycofali z Iraku swoich ludzi? Mamy wладować w nich tyle dolarów, że możemy wpływać na przywódców.

Jones przerwała, gdy prezydent zaczął kręcić głową.

- Nie będziemy telefonować do Korei Północnej. Nie będziemy telefonować do Saddama, Jordańczyków albo Saudyjczyków, a już z pewnością nie będziemy w tej sprawie kontaktować się z Narodami Zjednoczonymi. Jeżeli Saddam wyczuje, że coś wiemy, to koniec. Przeniesie te ładunki i znajdziemy się w punkcie wyjścia. - Prezydent znowu pokręcił głową. - Nie. Nie damy mu takiej szansy. Już wiele razy kazano mu przerwać produkcję broni masowego rażenia i zawsze ignorował wszystkie międzynarodowe zalecenia. Tym razem nie będzie ostrzeżenia. Te ładunki muszą zostać zniszczone.

Kongresman Albert Rudin szedł przez szatnię dla mężczyzn Congressional Country Club w białym ręczniku zarzuconym na ramiona i w klapkach pod prysznic. Rudin dorastał w czasach, gdy do pływania w YMCA dosłownie nic nie było potrzebne. Używanie stroju kąpielowego było nie tylko niewskazane, ale wręcz zabronione. Ręcznik służył jedynie do wycierania się. W efekcie sześćdziesięcioośmioletni polityk ze Stamford w stanie Connecticut nie krępował się paradować przez szatnię kompletnie nago. Wiek zrobił swoje i zwiotczała skóra wisiała luźno na kościach. Nie był to miły widok.

Rudin często ćwiczył w sali gimnastycznej Kongresu na Kapitolu, ale dziś chciał porozmawiać z kolegą z Senatu i musiał to zrobić w ustronnym miejscu. Dlatego umówił się z przyjacielem w łaźni parowej klubu golfowego. Szatnia od listopada do marca świeciła pustkami, co Rudinowi bardzo odpowiadało. Ostatnie stresujące wypadki sprawiły, że przestał już odróżniać sojuszników od wrogów. Otworzył drzwi łaźni i stał w nich niemal pięć minut, aby wypuścić dość pary i przekonać się, że w środku nie ma nikogo.

Stwierdziwszy z zadowoleniem, że jest sam, wszedł do środka i położył ręcznik na ławce. Zaczął starannie ugniatać sflaczałą skórę, jakby chciał wycisnąć z niej jakąś śmiertelną truciznę. Przewodniczący Albert Rudin był zręcznym, mało subtelnym politykiem, który miał za sobą bardzo zły rok. Najgorszy z ostatnich, i to wszystko z winy cen-trycznie nastawionego prezydenta, sprzeniewierzającego się pryncypiom własnej partii. Albert Rudin przez ponad trzydzieści lat był lojalnym żołnierzem Partii Demokratów i był święcie przekonany, że to właśnie jest nie fair. W końcu próbował tylko robić to, co do niego należało.

Rudin piastował w Izbie Reprezentantów stanowisko przewodniczącego Stałej Komisji do spraw Wywiadu. A to go zobowiązywało do ciężkiej pracy. Dlatego unikał kłopotów. Działalność w komisji wywiadu nie była źródłem splendoru. Większość zebrań organizowano przy drzwiach zamkniętych i w pomieszczeniu przesłuchań rzadko były obecne kamery. Gdyby Rudin był tak żądny władzy jak inni, zasiadałby w komisji sądownictwa lub którejś z komisji specjalnych. Ale nie był. Po prostu jego ambicją było przewodniczenie komisji wywiadu. Chciał tylko służyć swojej partii, a głównym jego celem życiowym był demontaż CIA. W jego pojęciu największym marnotrawstwem federalnych pieniędzy było pchanie ich w czarną dziurę znaną pod nazwą Langley.

Rocznie trwoniono miliardy dolarów na zbieranie informacji wywiadowczych. I co później rząd z nimi robił? Nic. Wychwalano CIA, ale w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie przewidziano dwóch niezwykle ważnych wydarzeń: upadku Związku Radzieckiego i inwazji Iraku na Kuwejt. Rudin często jednak miał wrażenie, że zaczyna tracić rozum. Zdawało mu się, że im gorliwiej wskazuje błędy Langley, tym więcej osób zaczyna go unikać. Czuł, że w końcu od tego zwariuje. Wszyscy powinni wiedzieć, że CIA całymi latami karmiło ich przecenianymi raportami na temat sowieckiej gospodarki i przygotowań wojskowych. Rozgorączkowany umysł Rudina dostrzegał tylko jeden powód istnienia agencji: musiała wraz z Pentagonem konspirować przeciwko rządowi. Nie chcąc cięć budżetowych, wyolbrzymiała potęgę Imperium Zła.

Rudin otarł krople potu z twarzy, głęboko odchrząknął, podszedł do kąta i celnie splunął. Najprawdopodobniej to Reagan popełnił ten cholerny

błąd, pomyślał. Według Rudina Reagan ponosił winę za większość spraw. I gdyby zło miało twarz, byłaby to twarz Ronalda Reagana. Rudin nie wątpił, że były prezydent zmusił CIA i wojsko do sztucznego rozdmuchiwania zagrożenia ze strony Związku Radzieckiego, tak aby CIA i Pentagon mogły zwiększać swoje budżety. Po Reaganiu robił to jego następca, Bush, były dyrektor CIA, który postanowił zaprzyjaźnić się z Saddamem Husajnem. Ten maniackalny przywódca w ciągu jednej nocy zmienił się z zaufanego sojusznika we wroga numer jeden. Był to najlepszy przykład dwulicowości i braku kompetencji CIA.

Rudin miał rację. Był o tym głęboko przekonany. To inni się mylili. Odwrócili się od niego nawet członkowie jego partii. A wszystkiemu winni byli ten sukinsyn Thomas Stansfield i prezydent Hayes. Stansfield już nie żyje, ale to nie rozwiązało jego problemów. Teraz miał na głowie Kennedy. Musi wymyślić jakiś sposób, aby się jej pozbyć. Nie można pozwolić, żeby rządziła CIA. Chciał mieć tam kogoś, kto wydobędzie na światło dzienne całe kryjące się tam robactwo. A wtedy Rudin z rozkoszą będzie obserwował, jak w popłochu zacznie się ono kryć. Musi mieć kogoś zaufanego na stanowisku dyrektora. Musi mieć kogoś chętnego do współpracy z komisją, gdy będzie przewodniczył przesłuchaniom. Musi mieć kogoś, kto tam posprząta.

Kennedy nie spełniała jego wymagań, ale miał związane ręce. Kilka tygodni wcześniej prezydent Hayes udzielił mu ostrej reprymendy. Była przy tym obecna cała góra partyjna. Rudin uważał, że został potraktowany niesprawiedliwie. Taką zapłatę otrzymał za utrudnienie Thomasowi Stansfieldowi przekazania władzy nad CIA w ręce Irene Kennedy. Osiągnął tylko tyle,

że jednego łgarza zastąpiono innym, a Rudin miał już dość kłamstw. Thomas Stansfield był prawdopodobnie najlepszym kłamcą w Waszyngtonie. Prawie przez dwadzieścia lat łgał przed jego komisją i teraz Rudin każdego ranka dziękował Bogu, że w końcu nie żyje.

Choć nie zmieniło to faktu, że prezydent mianował na jego stanowisko doktor Kennedy. Rudin próbował temu zapobiec. Pod koniec życia Stansfielda spotkał się z senatorem Hankiem Clarkiem, przewodniczącym Senackiej Komisji do spraw Wywiadu, i sekretarzem stanu Charlesem Midletonem. Midleton był jego kolegą z Partii Demokratycznej i dzielił z nim opinię o CIA, która działając jak w amoku, psuła stosunki dyplomatyczne i negocjacje. W interesie Midletona leżało zastąpienie Stansfielda kimś, kto nie będzie taki lojalny wobec CIA. Wspólna walka z agencją doprowadziła ich do spotkania z senatorem Clarkiem. Clark był republikaninem i działając w komisji, mógł wpłynąć na zatwierdzenie lub zablokowanie nominacji Kennedy. Był kartą atutową w tej rozgrywce, której celem było storpedowanie kariery Kennedy - jako jedyny republikanin, na którego Rudin mógł liczyć i którego obecnie tolerował.

Rudin czuł, że Clarkowi można zaufać. Pokazał mu, dlaczego w jego najlepszym interesie, w najlepszym interesie republikanów, leży utracenie nominacji Kennedy, zanim jej sprawa stanie przed jego komisją. Clark okazał zrozumienie, ale ostatecznie nie wykazał chęci współpracy, co uniemożliwiło Rudinowi i Midletonowi powstrzymanie zmian. Pierwszym ruchem Rudina było wezwanie Kennedy do stawienia się przed komisją. Chciał złapać ją na kłamstwie. W tym samym czasie sekretarz stanu Midleton zaczął wykorzystywać swoje środki i wpływy do podkopania jej pozycji.

Kłeska nadeszła, gdy prezydent dowiedział się, co robią. Z nie znanych Rudinowi przyczyn sekretarz Middleton i prezydent Hayes nie byli ze sobą w najlepszych stosunkach. Najwyraźniej spór zaczął się już w czasie kampanii

wyborczej. Middleton był wtedy senatorem i dotarł do trzeciego miejsca w trzech kolejnych prawyborach. Udał się wtedy do Hayesa, czołowego działacza partyjnego, i zadeklarował wycofanie się oraz poparcie jego kandydatury. Ale jak wszystko w polityce propozycja Middletona łączyła się z pewnymi warunkami. Nie, nie chciał być wiceprezydentem, nawet nie liczył też na to, że zajmie stanowisko prezydenta. Dla niego lepszym rozwiązaniem była funkcja sekretarza stanu, której zawsze pragnął i która pozwoliłaby mu zdystansować się od prezydenta Hayesa w razie potrzeby.

Midleton jednak nigdy tak naprawdę nie zrozumiał, że teraz Hayes jest jego szefem. Arogancki sekretarz stanu był przyłapywany na wtykaniu nosa w sprawy innych departamentów i krytykowany za to. Prezydent Hayes bardzo wyraźnie go ostrzegł, żeby trzymał się z dala od CIA, ale kiedy odkrył, że Middleton zignorował radę i usiłował zniszczyć karierę Irene Kennedy, wściekł się. Wezwał go do Białego Domu i zmusił do natychmiastowej rezygnacji.

Midleton nie był tego dnia jedyną osobą, na którą prezydent był wściekły. Dosłownie minutę później przewodniczący Izby Reprezentantów ściągnął Rudina do Gabinetu Sytuacyjnego. Gdy do pokoju wszedł prezydent, Rudin już wiedział, że stało się coś przerażającego. Nie miał jednak pojęcia, że prezydent był zdolny do okazania takiego gniewu. Hayes donośnie zakomunikował Rudinowi, że wybór nowego dyrektora CIA to nie jego zasrany interes i jeśli usłyszy od

niego na ten temat jeszcze jedno słowo, zrobi wszystko, co w jego mocy, aby pozbawić go stołka przewodniczącego, i postara się, żeby cierpiał upokorzenie z powodu sromotnej klęski w następnych wyborach. Rudin opuścił gabinet w szoku.

Tego wieczoru odebrał telefon. Ktoś poinformował go, że sekretarz stanu Midleton popełnił samobójstwo. Zanim Rudin zdążył się odezwać, zaczerpnąć tchu, a nawet mrugnąć, poczuł przerażenie. Zbyt długo działał w Waszyngtonie, aby myśleć, że Charles Midleton zabił się, uciekając przed kompromitacją. Był próżny, ale też ambitny. Czy warto kończyć z życiem tylko dlatego, że zostało się zmuszonym do rezygnacji, i to na początku kariery w administracji? Gdyby Hayes nie sprawdził się jako prezydent, to może Midleton okazałby się na tyle bystry, żeby wskoczyć na jego miejsce? Za tym musiało się kryć coś więcej -i według Alberta Rudina tym czymś więcej, albo kimś więcej, był Thomas Stansfield. Rudin czuł to w starych, trzeszczących kościach. Midleton został zamordowany. Zabił go Stansfield za coś, co ten zrobił albo co próbował zrobić. To było jego ostatnie przed śmiercią ostrzeżenie dla wszystkich wrogów. Nie tykajcie Irenę Kennedy.

W ciągu kilku tygodni, jakie upłynęły od śmierci Midletona, Rudin zwierzył się ze swoich podejrzeń kilku osobom. Ale teraz, gdy Stansfield już nie żył, zaczął prowadzić coś w rodzaju śledztwa. Musiał to robić. Po tylu latach nie mógł zrezygnować z walki z CIA. Jego partia odwróciła się od niego, przesunęła się ku centrum, trzymając z tym pewnym siebie sukinsynem Hayesem. Wprawdzie ich notowania poszły w górę, ale mogły spaść w ciągu jednej nocy. Rudin musiał przestrzegać pryncypiów

leżących u podstaw programu partii. A do nich należało trzymanie w cuglach CIA, nawet gdyby Rudin miał za to zapłacić utratą stanowiska. Czuł, że postępuje słusznie. Kojąca kombinacja strumienia pary i przekonania o słuszności jego działania zrodziła w Rudinie poczucie, że może to zrobić, że może zrobić, co zechce. Jeżeli tylko utrzyma się w kur-sie, znajdzie sposób, aby prezydent Hayes za wszystko zapłacił.

Drzwi do łaźni otwarły się i ukazała się w nich sylwetka masywnie zbudowanego mężczyzny w białym ręczniku. Senator Hank Clark, bardziej wstydlivy od kolegi, owinął ręcznik wokół bioder. Wtoczył się do wypełnionego parą pomieszczenia i mimo słabej widoczności z łatwością rozpoznał ostry profil Rudina.

- Dzień dobry, Albercie. - Nie usiadł, tylko zaczął szukać butelki z płynem eukaliptusowym. Znalazł ją na górnej ławce i po wstrząśnięciu rozpylił trochę w pobliżu dysz.
- Tylko nie za dużo - mruknął Rudin.

Coś jeszcze dodał, ale Clark nie zrozumiał i nawet nie starał się zrozumieć. Albert Rudin był malkontentem i Clark nauczył się to ignorować. W istocie nauczył się ignorować wiele jego irytujących zwyczajów. Odstawił butelkę na miejsce i spoczął w pozycji półleżącej na ławce stojącej naprzeciw Rudina. Wyprostował ręce i jęknął z ulgą, wchłaniając w płuca powietrze przesycone aromatem eukaliptusa.

- Co cię dziś dręczy, Albercie - zapytał - i dlaczego spotykamy się w łaźni? Postanowiłeś wyparować z siebie jakąś tajemnicę?

Z trudem zapanował nad chęcią parsknięcia śmiechem. Wymyślił to w

drodze do klubu, wiedząc, że rozzłości Rudina. Ten człowiek był całkowicie pozbawiony poczucia humoru.

- Nie widzę w tym nic zabawnego.

Clark zaczął się dusić ze śmiechu.

- Przepraszam, Albercie, ale nie mogłem się powstrzymać. Nigdy nie prosiłeś o spotkanie w łaźni.

Dysze zasyczały i Clark nie dosłyszał wymruczanej odpowiedzi. W końcu Rudin zaczął mówić głośniej i wyraźniej:

- Wybacz, ale zrobiłem się ostatnio nieco podejrzliwy.
- A czemuż to? - Clark zaczął rozcierać twarz gorącą wodą.
- Wiesz dlaczego. - Słowa Rudina zawierały wyraźne oskarżenie. Zastanawiał się, czy powinien mówić o podejrzeniach dotyczących samobójstwa Charlesa Midletona. Po chwili milczenia doszedł jednak do wniosku, że najpierw musi wybadać grunt. - Widziałem nagrania z tobą w Białym Domu. Jak, u diabła, mogłeś siedzieć obok tego oszusta?
- O jakim oszuście mówisz? W tym mieście mamy pełno oszustów.
- Mówię o tym najgorszym, o Hayesie! - Nazwisko prezydenta wymówił z sykiem.

Clark uniósł głowę i spojrzał przez parę na sufit.

- Daj spokój, Albercie. Mamy tu znacznie gorszych oszustów od Roberta Hayesa.

- Nie według mnie.

Clark tylko pokręcił głową.

- Jak, u diabła, mogłeś siedzieć obok **niego i zgodzić się, żeby Irenę Kennedy objęła stanowisko dyrektora CIA?**

Jak? - pytał z gniewem Rudin.

- Albercie, nie wiem już, ile razy ci to wyjaśniałem, ale nie sądzę, żeby wybór doktor Kennedy był zły.
- Boże! Nie mogę uwierzyć, że mówisz poważnie. Co ci w zamian zaproponował Hayes?
- Nie potraktuję tej insynuacji serio, Albercie. Niczego mi nie zaproponował. Chyba powinieneś pójść na kurs odświeżający zasady dobrego wychowania i wiedzy obywatelskiej .
- Co, u diabła, mi tu sugerujesz?
 - Sugeruję, że jesteś w tym mieście już dość długo, by znać pewne podstawy. - Słowa Clarka zabrzmiały ostro, już dość długo tolerował aroganckie zachowanie Rudina i chciał zwrócić mu uwagę, że nie powinien się posunąć za daleko. - Prezydent ma prawo mianować. Znajdziesz to wyraźnie zapisane w konstytucji.
 - Wiem - warknął Rudin. - Czytałem ją częściej od ciebie. Mówi o tym fragment dotyczący podziału władzy. Ma moc mianowania i nominowania, a Senat to zatwierdza. Fundamentalną zasadą jest podział władzy, ale też równość obu władz - syknął Rudin. - Miałeś prawo... nie, miałeś obowiązek zablokować nominację Irene Kennedy.
 - W Senacie funkcjonuje coś, co dla ciebie i twoich przyjaciół z Izby Reprezentantów jest obce. Nazywamy to dobrymi manierami. Gdy prezydent kogoś mianuje na jakieś stanowisko, prawie zawsze akceptujemy ten wybór, chyba że kryje się za tym jakaś wstydliva tajemnica, czyli -jak to mówią - ktoś trzyma w szafie trupa.
 - No, lepiej, żebyś sam zajrzał do szafy Kennedy. Znajdziesz w niej pełno trupów.

- Masz na to dowody?

Rudin się pochylił.

- Och, daj spokój. Wiesz przecież, co chciałem przez to powiedzieć. Ona jest tak brudna, że gówno wyłazi jej uszami.

Tego już było Clarkowi za wiele. Rozsądek podpowiadał mu, żeby rozbić w pył słabe argumenty Rudina, ale zwyciężył pragmatyzm. Musiał go umocnić w uporze, a nie dać temat do przemyśleń. Dotychczas wszystko szło dobrze, wykonał mistrzowskie posunięcie. To on powiedział prezydentowi, że Rudin i Midleton knują przeciwko niemu i jego wyborowi następcy dyrektora CIA. Na szczęście dla Clarka Rudin nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Zaćmiewająca mu mózg paranoja sprawiała, że niemal całe zło, jakie go spotykało, przypisywał nieżyjącemu już su-perspieszycowi Stansfieldowi.

Teraz Clark pochylił się ku Rudinowi. Ich twarze dzielił niecały metr.

- Dobrze wiesz, Albercie, że jako senator mogę zatwierdzać albo blokować prezydenckie nominacje, ale dobrze też wiesz, że twoja komisja może prowadzić śledztwo. Jeżeli jesteś przekonany, że Irenę Kennedy jest skorumpowana, zabierz się za nią. - Clark patrzył przez parę w głęboko osadzone oczy Rudina, czekając na jego reakcję.

Wiedział, że Rudin nie ma wyboru i musi się przyznać do porażki. Nie miał już dokąd iść i Clark wskazał mu miejsce, w którym chciał go widzieć.

Rudin zamrugał, gdy kropla potu zsunęła się mu z brwi na wydatny nos. Zawisła na nim na sekundę i wolno opadła. Oparł się i dziko machnął

ręką, sygnalizując, co o tym myśli.

- Nie mogę - odparł krótko.
- Dlaczego? - zachęcał Clark.
 - Mówiłem ci, co się stało. Mówiłem, co prezydent i góra partii zdecydowali: Jeśli to zrobię, to mnie załatwią. Moja kariera legnie w gruzach. Pozbawią mnie stołka przewodniczącego komisji, a wtedy nikt by mnie już nie słuchał.

Clark łatwo mógł sobie to wyobrazić. Uśmiechnął się szeroko.

- Nie wierzę, żeby mogli cię uciszyć.
 - Dlatego że nie byłeś przy tym obecny. Hayes mi groził. - Rudin stuknął się palcem w pierś. - Powiedział, że moją klęskę w następnych wyborach uczyni swoim celem życiowym.
 - Uspokój się, Albercie. Zabrnąłeś już tak daleko, iż nie stać cię na trzeźwe myślenie.
 - Coś przeoczyłem? Przewodniczący Izby Reprezentantów wsadził mnie do swojej limuzyny i zawiózł do Białego Domu, gdzie napadło na mnie kierownictwo mojej partii i groził mi sam prezydent. - Rudin skrzywił się i dodał: -Powiedz mi, proszę, co przeoczyłem?

- Clarka kusilo, żeby przypomnieć Rudinowi, że sam się do tego przyczynił, ale na razie postanowił tego nie robić. Teraz to i tak nic by nie dało.

- Albercie, myślę, że sam siebie nie doceniasz. Kiedy ostatni raz uczestniczyłeś w przedwyborczym współzawodnictwie? Dziesięć lat temu?
- Osiem.
 - Gdy moja partia ostatni raz rzuciła ci poważne wyzwanie?

- Tak, wtedy - przyznał z dumą.
- Zatem jak prezydent może cię powstrzymać od kandydowania na osiemnastą kadencję?
- Jeżeli prezydent silnie naciśnie partyjne kierownictwo w Connecticut... jeżeli przyrzeknie napchać im portfele, to w mgnieniu oka wyrzucą mnie na śmieci.
- Może masz rację, ale to byłoby chyba dla prezydenta zbyt ryzykowne. Wyborcy nie zawsze lubią, gdy ważniacy z Waszyngtonu wtykają nos w lokalną politykę. Możesz wystąpić w mediach i ogłosić, że prezydent wszczął przeciwko tobie wendetę. Jeżeli dobrze to rozegrasz, zrobisz z siebie ofiarę waszyngtońskich polityków, co z pewnością spodoba się lokalnym mediom i wyborcom.

Rudin przez chwilę zastanawiał się nad tym i doszedł do wniosku, że to może zadziałać. Może nie znajdował się w tak złej sytuacji, jak sądził?

- Ale co teraz? Jeżeli zacznę śledztwo, obetną mi jaja.
- Może nie zdążą, jeśli włączą się w to media. - Clark założył ręce na piersi i czekał, aż Rudin to sobie przyswoi.

Kongresman, poważnie rozważając podsuniętą możliwość, powiedział z powątpiewaniem:

- To ryzykowna gra.

Clark stwierdził, że jego słowa zaowocowały. Teraz czas sprowokować Rudina do działania.

- Albercie, wiem, że jesteś człowiekiem uczciwym. Nie zawsze zgadzam się z twoją polityką, ale pozostawałeś wierny swojej partii w najgorszym dla niej okresie i, szczerze mówiąc, nie sędzę, abyś zasłużył na takie traktowanie. -

Bacznie obserwował podatnego na takie pochlebstwa kongresmana. Starał się mówić tylko to, co Rudin chciał usłyszeć. - Wielcy ludzie za zbytnią dociekliwość często narażają się na ludzką nienawiść i zazdrość. Ale potem, gdy już odejdą, zwykle doceniani są za swą wielkość. - Clark pokręcił głową, jakby był tym wielce zasmucony. - Jestem przekonany, że nie powinni cię tak potraktować. To źle, że prezydent ci groził.

- Dlaczego mu tego nie powiesz? - spytał poważnie Rudin.

Teraz Clark stanowczo pokręcił głową.

- W tym mieście każdy z nas toczy własną bitwę. I ty o tym wiesz, Albercie. Moje zdanie, jako republikanina, na temat twojej partii może być źle odebrane. Nie... tego nie mogę zrobić. Zawsze miałeś czyste sumienie i byłeś człowiekiem zasad, i nie sądzę, żebyś teraz miał je zmieniać. - Senator badał wyraz twarzy Rudina, szukając oznak zrozumienia i wystarczającego podbudowania jego ego. Zaadowolony z wyniku, zmierzał do końca: - Albercie, postępuj zgodnie ze swoim sumieniem. Jeżeli jesteś przekonany, że Kennedy jest skorumpowana... - Zawahał się, jakby udzielenie takiej rady było dla niego zbyt trudne. Pochylił się jeszcze niżej, jeszcze bardziej zbliżył do kongresmana i do końca: - ...Jeżeli jest taka zła, jak myślisz, to naprawdę nie masz wyboru.

Rudin wsparł głowę na rękach. Wyraźnie toczył wewnętrzną walkę.

- Ale to może oznaczać polityczne samobójstwo - jęk

nał błagalnie. - Oni mnie zabijają.

Och, jest już tak blisko. Teraz trzeba postępować bardzo ostrożnie.

- Mówiłem ci już, jak możesz ich unieszkodliwić. Pozwól, żeby media się tym zajęły, a potem zacznij przesłuchanie. Prezydent nie odważy się podejmować żadnych kroków przeciwko tobie.
- Jak, u diabła, mam w to włączyć media? Jeśli zacznę obrzucać obelgami Langley, nikt nie będzie mnie słuchać. Potrzebuję pomocy. Potrzebuję twojej pomocy. W czasie zatwierdzania kandydatury sprowadź Kennedy przed swoją komisję i przygwoźdź ją.
- W żadnym razie. - Clark energicznie pokręcił głową. - Mówię ci to ostatni raz, Albercie. Lubię doktor Ken-

- nedy i myślę, że wykonuje dobrą robotę. Jeżeli uważasz, że będzie zła, musisz to nam wszystkim udowodnić.

- Nie mogę - Rudin prawie krzyknął. Opanował się i dodał: - Coś tam wiem, ale nie mam dowodów, które mógłbym przedstawić prasie. Zadaj jej kilka odpowiednich pytań, które ci przygotuję, a gwarantuję ci, że ulegnie.

W twoich erotycznych snach, pomyślał Clark. Irenę Kennedy nie należy do osób, które poddają się w światłach reflektorów w czasie przesłuchania zatwierdzającego. Nie ulegnie, jeżeli nie zostanie skonfrontowana z autentycznym dowodem. Clark doszedł do wniosku, że teraz należy okazać lekki gniew, więc powiedział podniesionym głosem:

- Albercie, ja się w to nie mogę mieszać. Jeżeli chcesz, żeby zmięła, to jako twój przyjaciel trzymam za ciebie kciuki, ale jeżeli po tym, co powiedziałem prezydentowi, chcesz, żeby zwabił ją w pułapkę przed moją komisję

i przed kamerami, to wysiadam.

Rudin się wycofał.

- W porządku. Rozumiem twoją sytuację, ale co, do cholery, mam robić? Kiedy usłyszałem, że ten sukinsyn Stanfield ma raka, tańczyłem z radości. Pomyślałem: nareszcie wyczyścimy tę szczurzą norę. Ale teraz... nie, to już dla mnie za wiele. Kawał życia poświęciłem służbie publicznej i nie mogę siedzieć beczynn timer, patrząc, jak się ple ni ta cholerna korupcja.

Zapanowało długie milczenie. W końcu Clark doszedł do wniosku, że Rudin jest już dostatecznie urobiony.

- Naprawdę ci współczuję... - powiedział. - Na to mogę ci dać słowo. - Senator odwrócił wzrok, jakby usiłował podjąć trudną decyzję. - W jednym mogę ci pomóc - przerwał, dostrzegłszy podniecenie na twarzy Rudina. Wyraźnie było widać, że Rudin bardzo to przeżywa i z wielką ochotą przyjmie każdą propozycję przyjaciela. - Znam kogoś, kto potrafi dokopać się do wszystkiego. - Clark patrzył koledze politykowi prosto w oczy. - Kto może się dowiedzieć takich rzeczy, których nikt nie chce znać. I pragnę to wyraźnie zaznaczyć, jest to ktoś, z kim będziesz chciał rozmawiać.

- Jest drogi?

Clark jęknął w duszy. Rudin był największym sknerą, jakiego znał. Tak, ten człowiek był drogi, ale Clark skłonny był go dotować.

- W granicach rozsądku - odparł i dodał z uśmiechem: -Przynajmniej tak bym to określił.

- Kiedy mogę się z nim spotkać?
 - Postaram się, żeby wpadł do twojego biura dziś po południu, ale nie mogę przyrzec. To bardzo zapracowany człowiek.
 - Im szybciej, tym lepiej. Nie zostało mi wiele czasu na wykolejenie tego pociągu.

Clark skinął głową.

- I jeszcze jedno, Albercie. Trzymaj mnie od tego z daleka. Ja mogę dać ci tylko nazwisko tego człowieka. Co potem z tym zrobisz, to już wyłącznie twoja sprawa.
- Nie martw się, Hank. Nigdy nie zapomnę, że nie opuściłeś mnie w najczarniejszej godzinie.
- Nie ma o czym mówić - odpowiedział Clark z uprzejmym uśmiechem.
 - Od czego są przyjaciele.

Ciągle się uśmiechał, ale w głębi ducha czuł podniecenie. Rudin dostanie wystarczającą ilość informacji, żeby uniemożliwić Kennedy ubieganie się o stanowisko dyrektora CIA. Partię Demokratów czeka niemiła niespodzianka.

9

TEL AWIW, ŚRODA RANO

Czarny, lśniący mercedes szybko jechał ulicami Tel Awiwu. Miał przyciemnione kuloodporne szyby, pancerną karoserię i podłogę wytrzymującą wybuch miny. Na tylnym siedzeniu siedział Ben Freidman,

a z przodu dwaj ochroniarze z Mosadu - jeden kierował, drugi skupił się na obserwacji otoczenia. Na wypadek ataku zbrojnego w samochodzie zgromadzono cały arsenał. A atak był na tyle realny, że Freidman dysponował dwoma opancerzonymi autami - mercedesem i peugeotem. W ciągu dnia zmieniał je, zawsze w podziemnym garażu albo w jakimś odosobnionym miejscu, gdzie nikt nie mógł tego widzieć.

Pułkownik Ben Freidman, dyrektor generalny Mosa-du, był prawdopodobnie najbardziej nienawidzonym człowiekiem na Bliskim Wschodzie. Owszem, Saddam Husajn i Jasir Arafat też mieli wrogów, ale oni byli Arabami, a oczywiście Bliski Wschód był w przeważającej części arabski. Od stuleci zamieszkują go walczące ze sobą niezliczone frakcje i plemiona arabskie. Waśnie te mają głębokie korzenie, choć nawet jeśli różnice między nimi były drobne, rzadko osiągnęto porozumienie. Ale istniał wyjątek - była nim powszechna nienawiść do Izraela.

Arabowie ze wszystkich izraelskich organizacji najbardziej nienawidzili Mosadu. Uważali go za przystań zabójców i złodziei, którym rząd dał wolną rękę do działania i prowadzenia w jego imieniu nielegalnej wojny z muzułmanami na całym świecie.

Ta opinia wcale nie martwiła Bena Freidmana. W istocie robił wszystko, aby ją ugruntować, a dzięki temu zwiększyć strach. Jeśli musiał zapłacić za to spędzeniem reszty życia w otoczeniu uzbrojonych mężczyzn za kuloodpornymi osłonami, była to niska cena. Arabowie przysięgli zniszczyć państwo Izrael, a Ben Freidman przysięgł go bronić. Od ponad pięćdziesięciu lat obie strony znajdowały się w stanie wojny. Chwiejny pokój na Bliskim Wschodzie, utrzymywany dzięki wysiłkom Stanów

Zjednoczonych i uległości polityków izraelskich, czynił jego pracę jeszcze trudniejszą, jednak Freidman nie należał do malkontentów. Potrafił się przystosować, zawsze był gotów stoczyć następną bitwę.

Przez czterdzieści lat działania Mosadu utrzymywano w tajemnicy i dlatego jego dyrektorów generalnych nie znał nikt poza premierem i członkami jego gabinetu. Ale czasy się zmieniły i w latach pięćdziesiątych Mosad padł ofiarą coraz bardziej partyzanckiej i chwiejnej polityki rządzących. Agencja straciła anonimowość i stanowisko dyrektora generalnego stało się jedną z najgorętszych posad. W gazetach regularnie pojawiała się nazwisko Bena Freidmana, a jego zdjęcia często pokazywano w telewizji. Każdy, nawet najprymitywniejszy terrorysta mógł go wyłowić z tłumu i rozwalić mu głowę.

Czystki, jakie w latach pięćdziesiątych dotknęły Mosad, nauczyły Freidmana ostrożności w relacjach z politykami. Musiał być lojalny wobec swego kraju i Mosadu. Premiera i innych skłóconych polityków należy trzymać z boku. Z nienasyconej chęci wtrącania się do wszystkiego zdążyli już prawie zniszczyć najlepszą siatkę wywiadowczą na świecie. Od 1951 roku do 1990 przez Mosad przewinęło się sześciu dyrektorów generalnych, ale w czasie politycznych krwawych sporów w latach pięćdziesiątych było ich aż czterech. Ciągłe zmiany kierownictwa miały zgubny wpływ na rekrutację i morale pracowników agencji. Mimo to, gdy premier mianował na to stanowisko Bena Freidmana, ten przyjął tę nominację z zadowoleniem.

Freidman rozumiał bowiem to, czego nie rozumiało czterech jego poprzedników. Jeżeli chcesz kierować najlepszą agencją szpiegowską na

świecie, musisz się zachowywać jak dyktator, a nie jak polityk. A być dyktatorem to mieć władzę. Freidman spędził dużo czasu w Ameryce i przez wiele lat współpracował z CIA, zwalczając terroryzm. Wtedy zorientował się, że CIA o wiele wcześniej niż Mosad było zmuszone dostosować się do gry politycznej. Waszyngton był silniej rozpolitykowanym miastem niż Tel Awiw i amerykańskie media były o wiele gorsze od izraelskich. Thomas Stansfield pokazał Freidmanowi, jak odnieść sukces w takim środowisku.

Stansfield bardzo wyraźnie podkreślał, że jego agencja nie miesza się do polityki. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było rozwinięcie działań poza zwykłymi kanałami, co pozwoliło mu podejmować akcje bez wiedzy polityków z Kapitolu, a następnie zaczął wykorzystywać posiadane przez agencję informacje przeciwko każdemu politykowi, który próbował zakłócić pracę CIA. W Waszyngtonie większość polityków rozumiała, że CIA ma do wykonania brudną robotę i działa w słusznej sprawie, ale zawsze istniała garstka oportunistów, szukających przede wszystkim sposobów zrobienia kariery - przez siebie, swoją partię albo i siebie, i partię. Stansfield pamiętał o tworzeniu dossier tych, którzy byli naprawdę agresywni, i przez wiele lat udawało mu się trzymać ich krótko przy nodze.

Freidman przekonał się, że izraelscy politycy byli tacy sami. Każdy, kto chciał się wspiąć na wyższy szczebel w hierarchii rządowej, miał na sumieniu coś, co próbował ukryć. Freidman, stosując zasadę szeroko rozwiniętej profilaktyki, zbierał informacje pomocne w utrzymaniu w ry-
zach premiera i partii opozycyjnych. Mógł dzięki temu spokojnie działać i prowadzić wojnę z terrorystami, którzy przysięgli zepchnąć Izrael do

morza.

W śródmieściu Tel Awiwu przed południem prawie zawsze panowały podobne warunki. Słońce jeszcze nie prażyło, a temperatura dochodziła do trzydziestu stopni. Na jezdniach nieduży ruch, na chodnikach niewielu pieszych. Limuzyna szybko zbliżała się do siedziby premiera. Kierowca przez radio zawiadomił ochronę o swoim przybyciu. Ta dokładnie sprawdziła ulicę, szukając oznak zasadzki, i dała sygnał, że droga jest czysta. Gdy opancerzony samochód okrążał masywne zapory, kierując się do podziemnego garażu, teren patrolowało czterech uzbrojonych w uzi ludzi.

Mercedes zjechał do garażu i prawie natychmiast drogę za nim zablokowały ciężkie sprężynowe zapory. Wszyscy, ludzie w Izraelu byli do tego przyzwyczajeni. Tak toczyło się ich życie. Dorastali na linii frontu, od najwcześniejszych lat ćwiczyli się w samoobronie, nawet przez moment nie zastanawiając się nad jej potrzebą. Wszyscy stawali w pierwszej linii. Uczyli się nigdy nie podnosić rzeczy zostawionych przez kogoś w miejscu publicznym, podejrzliwości wobec obcych i natychmiastowego wzywania policji po zauważeniu czegoś niezwykłego. Wrogowie byli wszędzie, wśród nich, i codziennie musieli o tym myśleć. Osłabienie czujności to wyzwanie rzucone śmierci i groźba stania się jedną z tysięcy ofiar, jakie to małe państwo poniosło od swych narodzin.

Freidman wysiadł z samochodu, zostawiając metalową teczkę pod opieką swoich ludzi. Miał na sobie jasne spodnie i wypuszczoną na nie koszulę z krótkimi rękawami.

Koszula była oczywiście rozpięta, a pistolet tkwił w kaburze przy pasie na

plecach. Do windy eskortowało go dwóch członków osobistej ochrony premiera, którzy później zaprowadzili go do biura. Z nikim nie rozmawiał, idąc przez zewnętrzne pomieszczenia do pozbawionego okien pokoju konferencyjnego. Usiadł na krześle i zaczął bębnić grubymi palcami po lśniącym blacie stołu.

Po chwili do pokoju wszedł śmiertelnie poważny były generał armii David Goldberg. Ten trudny we współpracy, uparty mężczyzna był przywódcą partii konserwatywnej Likud. Mimo uzyskania przez nią jedynie dziewiętnastu miejsc w studwudziestomandatowym Knesecie Goldberg w wyborach powszechnych został wybrany na premiera przez zdecydowaną większość obywateli Izraela. Ludzie byli już zmęczeni ciągłymi ustępstwami Partii Pracy w negocjacjach z Jasirem Arafatem. Goldberg zajął najwyższe stanowisko w państwie dzięki podkreślaniu narodowej jedności i gwarancji, że zapobiegnie krwiożerczym zapędom Palestyńczyków. To przynajmniej głosił w kampanii, ale był na tyle mądry, by wiedzieć, że nie wywiąże się ze swych obietnic bez pomocy Bena Freidmana.

Szerokie policzki Goldberga okalała grzywa siwych włosów. Wyglądem przypominał Winstona Churchilla. Miał masywną sylwetkę, ale nie był muskularny. Gdyby ktoś miał okazję zobaczyć go bez ubrania, odkryłby, że przypomina tłuście dziecko. Dla wielu świadczyłoby to o słabości Goldberga, ale ci, którzy go znali, wiedzieli, że tak nie jest. Ten mężczyzna obdarzony był dużym temperamentem i śmiałością. Wsławił się odwagą na polu walki w wojnie Jom Kipur i nigdy nie zapomniał, jak sąsiedzi Arabowie nikczemnie zaatakowali Izrael w jeden z najświętszych dni żydowskiego roku.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat w Izraelu rządy zmieniały się często i kolejno zawierały lub zrywały porozumienia pokojowe. Za każdym razem, gdy harmonijne współzycie Palestyńczyków z Żydami przestawało być możliwe i zaczynała się łać krew, cały kraj zwracał się do partii Goldberga o radę. Podobnie jak w wypadku Churchilla, kraj przypominał sobie o nim, gdy sytuacja stawała się tragicznie niebezpieczna.

Goldberg rozluźnił krawat i położył rękę na brzuchu. Usiadł na krześle i spytał:

- Powiesz mi wreszcie, jak ci poszło z Amerykanami?

Freidman nie chciał telefonować do Goldberga po spotkaniu z prezydentem. Zbyt dobrze znał możliwości Narodowej Agencji Bezpieczeństwa i wolał wiadomości przekazać osobiście.

- Z początku szło opornie, ale myślę, że osiągniemy cel.

Goldberg cenił determinację prezydenta Hayesa w walce z terroryzmem, ale był człowiekiem podejrzliwym. Przez rok zajmowania stanowiska zdążył wyraźnie dać do zrozumienia, że nie ulegnie lobby amerykańskich Żydów. Goldberg zaś pojmował lepiej niż inni, iż izraelskim asem w rękawie są właśnie amerykańscy Żydzi.

- Dlaczego z początku szło opornie?

- Nie sądzę, żeby prezydentowi Hayesowi spodobało się, że to ja telefonowałem do niego w sprawie tego spotkania, a nie ty.
- Z pewnością rozumiem, dlaczego tak się stało.
- Jak mówiłem, zmienił podejście, kiedy mu powiedziałem, co odkryliśmy.
- Jaka była jego odpowiedź?

Freidman uśmiechnął się na wspomnienie wyrazu twarzy Hayesa.

- Nie był uszczęśliwiony.

Goldberga zmęczyła już rozmowa z Freidmanem. Ten człowiek nigdy nie mówi wprost. Trzeba z niego wyduszać informacje po kawałku.

- Co powiedział?
- Nic. Nie musiał. Jego gniewna mina mówiła wszystko.
- Kto jeszcze brał udział w spotkaniu?
 - Doktor Kennedy, generał Flood, Michael Haik i Valerie Jones.
- Czy ktoś z nich coś powiedział?
- Nie.

Nalana twarz Goldberga skrzywiła się w wyrazie zaniepokojenia.

- Uważam, że to niezwykle. A ty?
 - Ja nie. Prezydent Hayes dał wyraźny sygnał, że interesy Stanów nie zawsze pokrywają się z naszymi.
- Zaniepokojony brakiem zgody Goldberg rzekł:
- Może i tak, ale to nie wyjaśnia, dlaczego milczeli.

Na litość boską, oni są naszymi jedynymi prawdziwymi sojusznikami w tym całym przeklętym regionie.

Freidman uśmiechnął się w duszy. Goldberg nie zaszedłby daleko w wywiadzie. Podchodzi do wszystkiego zbyt emocjonalnie.

- Prezydentowi wyraźnie nie spodobał się sposób, w jaki zgłosiłem chęć spotkania. Domyślam się, że wydał wszystkim polecenie, aby w mojej obecności siedzieli cicho. - Wzruszył ramionami i dodał: - To normalne, Davidzie. Jako szef Mosadu często spotykam się z oziębłym przyjęciem. Nawet tu, w moim kraju.

Goldberg przyznał mu rację skinieniem głowy. Członkowie jego

gabinetu milki, gdy do pokoju wchodził dyrektor generalny Mosadu.

- Jaki wynik?

- Później rozmawiałem z doktor Kennedy. Potraktowali to bardzo poważnie i będą z nami w kontakcie. Poprosiła mnie, żebyśmy byli cierpliwi i nic nie robili do chwili, aż znajdą rozwiązanie.

Goldberg pochylił się na krześle z wyrazem troski na twarzy.

- Nie powiedziałaś im dokładnie tego, co ci mówiłem?

Istnieje tylko jedno rozwiązanie problemu i nie są to ani polityczne, ani ekonomiczne sankcje! Jedynym rozwiązaniem jest akcja militarna!

Freidman machnął ręką, dając znak premierowi, żeby się uspokoił.

- Nie denerwuj się, Davidzie. Każde twoje słowo przekazałem tylko doktor Kennedy. Mówiłem ci już przed odlotem, że po ostatnim pokazie Saddama Hayes będzie szukał okazji, by go zbombardować... a to doskonała okazja.
- Ale pociski można przemieścić! - Goldberg nie mógł się uspokoić. - Jeżeli do Saddama dotrze choćby szept na ten temat, że my albo Amerykanie wiemy o nich, to w ciągu sekundy porzuci je po całym Iraku. - Goldberg trzasnął pięścią w stół. - To nasza jedyna szansa!
- Nie sądzisz, że Amerykanie też zdają sobie z tego sprawę?
- Nie zamierzam zaglądać do amerykańskich głów -warknął Goldberg. - Uważam, że często robią rzeczy, które dla mnie nie mają sensu.
- Ale nie ten prezydent. On nienawidzi Saddama z przyczyn, które dobrze znamy, i zrobi dokładnie to, co ci powiedziałem.

Goldberg kręcił głową, rozważając plan Freidmana.

- Nie wiem. Już widzę, jak pędzą do ONZ-etu albo ro

bią takie głupstwa jak występy w telewizji. - Wymierzył palec we Freidmana. - Nigdy nie lekceważ ego amerykańskich polityków. Oni kochają światła reflektorów i nie są dżę, żebym niepotrzebnie martwił się o to, czy prezydent Hayes nie stanie przed kamerami telewizyjnymi, aby oznajmić całemu światu, że Saddam jest bliski stworzenia broni atomowej. To mogłoby dać mu okazję zorganizowania nowej koalicji. Do diabła, ci cholerni Arabowie będą się ustawiać w kolejce, żeby tylko uderzyć na Saddama. Saudyjczycy i Irańczycy boją się go tak samo jak my albo nawet bardziej.

Freidman spokojnie pokręcił głową.

- Zyska ich poparcie, jeśli obróci ten szpital w pył. Nikt z nas nie chce, żeby Saddam znalazł się w klubie atomowym. Prezydent Hayes to bardzo zdecydowany człowiek. Może nie podoba mu się to, co ma zrobić, ale wie, że to słuszne.
- Co z tym szpitalem? - spytał Goldberg. - Amerykanie nie będą szczęśliwi, gdy ujrzą zdjęcia jego ruin.

Freidman przez moment zastanawiał się nad odpowiedzią, wiedząc, że Goldberg ma rację.

- Niewątpliwie ten aspekt jest kłopotliwy, ale oni wiedzą też, że jeżeli nic nie zrobią, może być jeszcze gorzej.
- Nie mówię, że nic nie zrobią, twierdzą tylko, że mogą zrobić za mało.
- Domyślam się, co chcesz przez to powiedzieć, Davi-dzie, ale nie zgadzam się z tobą. Znam prezydenta. Bomby muszą spaść w ciągu dwóch tygodni i Amerykanie rozwiążą ten problem za nas.

Premier pochylił głowę, obserwując Freidmana. Policzki opadły mu na kołnierz białej koszuli.

- Chciałbym dzielić z tobą tę wiarę, ale nie mogę. Dlatego kazałem naszym siłom powietrznym, aby przygotowały się do uderzenia. Nie będę siedział bezczynnie i czekał, aż Amerykanie zaczną coś robić. Jeżeli spróbują skontaktować się z ONZ-etem albo z mediami, natychmiast wysyłam nasze samoloty! Nie dam Saddamowi szansy przemieszczenia tej broni!

Słowa Goldberga wywołały na twarzy Freidmana uśmiech. Podziwiał ducha walki tego człowieka. Gdyby takich jak on było więcej, nigdy nie utknęliby w tym bagnie konfliktów z Palestyńczykami.

- Co w tym śmiesznego? - zapytał ze złością Goldberg.
 - Źle odebrałeś mój uśmiech, Davidzie. Podziwiam cię. Ale właśnie dlatego Amerykanie zaatakują pierwsi. Wiedzą, że jeśli sami nie zajmą się tym problemem, ty to zrobisz. A tego, przyjacielu, nie chcą. Prezydent Hayes wyda rozkaz do ataku i załatwi to za nas. Bądź więc cierpliwy i daj im czas do namysłu.
 - Mogę trochę zaczekać, ale nie będę cierpliwy w nieskończoność. W żadnym razie nie pozwolę Saddamowi przygotować broni do akcji. Nawet gdyby to oznaczało, że znajdziemy się w stanie wojny z Jordanią, Syrią i Irakiem. Nasze lotnictwo zrobi z ich samolotów miazgę, a armia zmiażdży wszystko, co rzucą przeciwko nam.
- A co z Egiptem? - spytał Freidman.
 - Oni nie mają jaj do walki. Wiedzą, co może ich czekać, jeżeli przekroczą Negew. Nastąpiłaby taka rzeź jak ostatnim razem. Poza tym nie znajdują się pod takim wpływem Saddama, jak Syria i

Jordania. - Goldberg pokręcił głową z przekonaniem. - Nie, oni tego nie zrobią. Jesteś takim weteranem jak ja, Benjaminie. Znasz dobrze Arabów i wiesz, że nie chcą z nami zadzierać. Już wiele razy im dołożyliśmy. Wolą trudne rozmowy i bezczynność.

Słowa premiera znowu wywołały uśmiech na twarzy Freidmana. Całkowicie zgadzał się z Goldbergiem. Czas na trochę pochlebstw.

- Jesteś twardym zawodnikiem, Davidzie. Ludzie w tym kraju nie mają pojęcia, jakie to szczęście, że jesteś z nimi w tych ciężkich czasach. - Freidman wstał, spojrzał na premiera i dodał: - Amerykanie zrobią to za nas. Przy rzekam.

10

WASZYNGTON, ŚRODA RANO

Jak na listopad w stolicy było niezwykle chłodno. Prezydent poprosił Irenę Kennedy, żeby przybyła wcześniej od innych. Chciał porozmawiać z nią na osobności. O siódmej rano w Białym Domu panował względny spokój. Za pół godziny zacznie się następny pracowity dzień. Agenci Secret Service i innych służb już co prawda zajmowali stanowiska, ale dziennikarze, tłumy urzędników i gości - wszyscy jeszcze spali albo przygotowywali się do spędzenia dnia w najsłynniejszej rezydencji w kraju.

Kennedy weszła na parter zachodniego skrzydła. Miała na sobie konserwatywny, choć bardzo stylowy ciemnoniebieski kostium. Pod pachą niosła zamkniętą na klucz torbę z prezydenckim dziennym biuletynem, PDB, jak go nazywali specjaliści od bezpieczeństwa narodowego.

Biuletyn można było porównać do gazety codziennej przygotowanej przez najwybitniejszych analityków CIA. Był to ściśle tajny dokument i docierał tylko do najważniejszych ludzi w administracji. Pod koniec dnia zbierano wszystkie kopie i niszczone. Zwykle biuletyn dostarczał któryś z niższych urzędników CIA, ale dziś Kennedy postanowiła przekazać go osobiście.

Weszła na piętro i udała się do prywatnej jadalni prezydenta przy Gabinetcie Ovalnym. Prezydent Hayes czekał na nią, otoczony stosem gazet, ze stojącą na środku stołu miską płatków z orzechami i gorącą kawą. Hayes był bardzo zorganizowanym i zdecydowanym człowiekiem. Kiedyś powiedział Kennedy, że nie pozwoli, aby praca zniszczyła mu zdrowie, jak jego poprzednikom. Cztery, pięć razy w tygodniu przez pół godziny ćwiczył na ruchomej bieżni i stacjonarnym rowerze. Przeważnie robił to po przeglądzie PDB. Tego jednak ranka miał wyznaczonych kilka spotkań. Był rozdrażniony sytuacją w Iraku. Po wypiciu kawy chciał przejść z Kennedy do Gabinetu Sytuacyjnego, aby wysłuchać sprawozdania generała Flooda.

Kennedy namówiła Hayesa, aby ograniczył do minimum liczbę osób wtajemniczonych w ten kryzys. Sekretarz obrony do soboty przebywał w Kolumbii. Jego poinformuje się po powrocie. Pentagon i rząd - z wyjątkiem Michaela Haika - również mieli pozostawać w nieświadomości. Kennedy przekonała prezydenta, że za wszelką cenę nie mogą uprzedzić Saddama, że wiedzą, co planuje.

Gdy Kennedy weszła do jadalni, prezydent nie oderwał wzroku od czytanego dokumentu.

- Dzień dobry, Irene. Siadaj. Chcesz coś zjeść?
- Nie, dziękuję, panie prezydencie. Napiję się kawy. Ze srebrnego

dzbanka stojącego na środku stołu naląła sobie do kubka. Te cotygodniowe poranne spotkania z prezydentem w małej jadalni stały się regułą. Kennedy ze zdziwieniem stwierdziła, że współpracując z nim, czuje się bardzo dobrze.

- Co nowego dzisiaj? - Hayes włożył do ust pełną łyżkę brązowych, przypominających kamyki płatków.
- No... - wyjęła klucz z kieszeni zakietu i otworzyła nim torbę - Pakistan znowu grozi ofensywą, żeby odebrać sporne tereny Indiom...

Prezydent machnął ręką i starł z wargi kroplę mleka.

- Odłóż ten biuletyn na bok - powiedział z serwetką w ręce. - Zajmę się nim później. Chyba że jest tam coś, co wymaga mojej natychmiastowej uwagi. Teraz chcę po rozmawiać o tym bałaganie, jaki zwalił nam na głowę twój przyjaciel z Izraela.

Kennedy przez moment zastanawiała się, czy słowo „przyjaciel”, było użyte nieprzypadkowo.

- Co pan chce wiedzieć?

Hayes odłożył serwetkę i odsunął płatki. Aby zyskać czas na zastanowienie się, zaczął porządkować papiery.

- Muszę coś ustalić i chcę, byś oceniła rzecz obiektywnie. - Spojrzał Kennedy prosto w oczy. - Chcę, żebyś udzieliła mi szczerzej odpowiedzi.

Kennedy w skupieniu patrzyła na prezydenta. Skinęła głową na znak, że może kontynuować.

- Czy w tej sprawie możemy im zaufać?

To pytanie od razu jej się nie spodobało. Dotyczyło skom-

plikowanych problemów i należało dobrze się zastanowić nad odpowiedzią.

- Może pan to bardziej uściślić?
- Czy możemy zaufać podanej przez nich informacji? Może się mylą... albo Irakijczycy nakarmili ich fałszywymi danymi?

Przez chwilę zastanawiała się nad taką możliwością.

- Dobrze pan wie - odparła - że wszystko jest możli

we, ale myślę, że ich informacja jest prawdziwa.

Hayes skrzywił się. Chciał usłyszeć konkretniejszą odpowiedź.

- Na jakiej podstawie tak twierdzisz? Ufasz pułkow

nikowi Freidmanowi?

W tym momencie Kennedy zorientowała się, co prezydentowi leży na sercu.

- Ufam Benowi Freidmanowi,, ale nie do końca. Lepiej od innych wiem, jaki jest lojalny. Zrobi wszystko, żeby pomóc Izraelowi.
- I właśnie to mnie martwi. Nie lubię być manipulowany przez żaden kraj, a już zwłaszcza przez taki, którego istnienie zależy od nas. Kilku moich poprzedników pozwoliło się wodzić za nos Izraelowi i nawet o tym nie wiedziało. - Hayes ze złością pokręcił głową. - Nie zamierzam na to pozwolić. Zanim zrzucimy bomby, chcę mieć cholerną pewność, że ta informacja jest prawdziwa. Mamy kogoś w Bagdadzie, kto mógłby potwierdzić to, co powiedział Freidman?
- To będzie trudne. - Kennedy się zawahała. - Mamy ograniczone źródła w Iraku. Jak pan wie, pracuje dla nas kilku ludzi, ale zlecenie im takiego zadania jest piekielnie ryzykowne.
- A czy nie należy to do ich obowiązków? - zapytał lekko zirytowany

prezydent. - Czy nie płacimy im za to?

- Tak - przyznała Kennedy. - Ale jeżeli wyjdą poza kontrolowany obszar i zaczną zadawać pytania... - Ściszyła głos i dodała w zamyśleniu: - Prawie pewne, że zwróci to uwagę tajnej policji Saddama.

Prezydent był niewzruszony.

- Cóż, zanim zaczniemy zrzucać bomby na szpital, chcę mieć absolutną pewność, że te ładunki naprawdę tam są.

- Mogę któregoś z nich poprosić, żeby się tym zajął, ale myślę, że się nie zgodzi. To zbyt ryzykowne. Poza tym nie mamy powodów wątpić w dane izraelskie.

Hayes przewrócił oczami.

- Mam wiele powodów, żeby w nie wątpić.

Kennedy zrezygnowała z komentarza i wyjęła z torby plik dokumentów.

- Sądzę, że to pana zainteresuje. - Przesunęła po blacie stos czarno-białych zdjęć satelitarnych. Przedstawiały śródmieście Bagdadu. Białym kółkiem zaznaczono budynek Szpitala Al Husajna. - Poleciałam moim ludziom, żeby dokładnie przyjrzeni się tym zdjęciom i ustalili, co się dzieje w tym szpitalu. Oto, co znaleźli.

Kennedy odłożyła na bok pierwsze zdjęcie i chwyciła drugie, na którym widać było szpital i okolicę w promieniu dwóch przecznic. Na uliczce przy wschodniej ścianie budynku zaznaczono kilka pojazdów, a obok napisano: „Wywrotka”.

- Wszystko zaczęło się przed dwoma laty. Wywrotki kursowały tam codziennie przez miesiąc. Moi eksperci twierdzą, że spod budynku

szpitala wywieziono tysiące ton ziemi. - Kennedy wzięła następne zdjęcie. Przedstawiało ten sam obszar, ale stojące w zaułku pojazdy opisano jako betoniarki. - Policzone te pojazdy i okazało się, że nie mogły dostarczać betonu jedynie do wykonania fundamentów. Irakijczycy zawsze używają takiej ilości betonu jedynie do budowy bunkrów.

- Dlaczego, u diabła, to przeoczyliśmy? - zapytał ze złością Hayes. - Chyba nie po to wydajemy miliardy dolarów na satelity szpiegowskie?
- Problem polega na tym, że monitorujemy dużą część kraju i od końca wojny w Zatoce krążyło po nim wiele wywrotek i betoniarek.

Prezydent w milczeniu przejrzał wszystkie zdjęcia. Skończył, złożył je starannie i zwrócił Kennedy.

- Sądzisz, że to potwierdza słowa Freidmana?
- Tak.

Wstał i podszedł do okna. Przez chwilę patrzył na Executive Office Building. Kennedy obserwowała go, zastanawiając się, czy coś jeszcze powie. Właśnie myślała o tym, czy Freidman wie coś, czego ona nie wie, gdy prezydent odwrócił się i zapytał:

- Ilu ludzi jest w tym szpitalu?
 - Nie wiem dokładnie - skłamała. Jeden z jej analityków podał liczbę, ale nie była pewna, czy powinna ją teraz zdradzać prezydentowi.
- Setki?
- Możliwe.

Prezydent znowu odwrócił się do okna. Kennedy wczuwała się w jego sytuację. Bomby zrzucą piloci, ale oni byli na to przygotowani i

wyszkoleni. Prezydent nie był, choć to on miał wydać rozkaz skazujący tych ludzi na śmierć. Kennedy bała się, że zacznie liczyć zabite dzieci, matki, ojców i dziadków. Tkwili w paskudnym bagnie.

Prezydent, ciągle odwrócony do okna, pokręcił głową i stwierdził:

- Dobrze wiesz, że nienawidzę, gdy Izrael stawia mnie w takiej sytuacji.

Kennedy skrzywiła się z niechęcią. Ona była przyzwyczajona do podejmowania trudnych decyzji.

- To nie tak, panie prezydencie - powiedziała. Gdy Hayes spojrział na nią, dodała: - To nie Izrael ulokował tę broń pod szpitalem. Zrobił to Saddam. To on postawił nas w tej sytuacji.

11

GABINET SYTUACYJNY, ŚRODA RANO

Generał Flood lubił poruszać się bez zbytniego obciążenia, żeby mieć spokojną głowę. Dlatego przyprowadził tylko czterech adiutantów: z lotnictwa, marynarki wojennej, piechoty morskiej i armii. Gdy prezydent wszedł z Kennedy do Gabinetu Sytuacyjnego, po drugiej stronie stołu stało pięciu mężczyzn. Wszyscy równocześnie zasalutowali.

- Witam panów. Proszę siadać. - Prezydent odsunął skórzany fotel u szczytu stołu i zajął miejsce.

Michael Haik, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, i Kennedy usiedli obok prezydenta. Nikt więcej nie został zaproszony, za co

generał Flood był bardzo wdzięczny. Nie chciał, żeby Valerie Jones rozpraszała uwagę prezydenta politycznymi komentarzami. Teraz najważniejszym zadaniem było poinformowanie Hayesa o opcjach militar-nych i podanie rzeczywistego czasu niezbędnego do przygotowania odpowiedniego sprzętu.

Generał Flood siedział u szczytu stołu, naprzeciwko prezydenta. Był potężnym mężczyzną o wzroście niemal dwóch metrów i wadze około stu trzydziestu kilogramów. Pochylił się teraz, położył ręce na stole i zaczął:

- Panie prezydencie, zgodnie z pańskim życzeniem przygotowałem z moim sztabem różne opcje. Pierwszą już pan zna. W ciągu kilku minut od uzyskania pańskiego upoważnienia możemy wystrzelić salwę rakiet Tomahawk. Ta opcja, według mnie, ma jedną zasadniczą zaletę: gwarantuje, że nie poniesiemy żadnych strat. - Flood przerwał na moment. - Ale równocześnie uważamy, że nie gwarantujemy zniszczenia głównego celu.

Prezydent nie był pewien, co generał chce przez to powiedzieć, więc zapytał:

- Może pan to uściślić?
 - Doktor Kennedy dostarczyła nam zdjęcia satelitarne sugerujące, że pod szpitalem zbudowano wzmocnioną konstrukcję o charakterze dowódczym i kontrolnym. Tomahawki nie zniszczą takiego bunkra. Zrównamy tylko szpital z ziemią, ze skutkami ubocznymi.
 - Generale - warknął prezydent, patrząc na niego z dezaprobatą.
 - Przepraszam. - Generał na chwilę zapomniał, że prezydent nie cierpi wojskowego żargonu. - Możemy całkowicie zniszczyć szpital i zabić

większość, jeśli nie wszystkie przebywające tam osoby. Istnieje też ryzyko, że jakiś tomahawk nie trafi w cel, ale to zależy od liczby użytych rakiet. Ryzyko to wynosi pięć do dziesięciu procent.

- Jaka jest następna opcja?
- Następna opcja to użycie niewykrywalnych myśliwców F-117A z 48. Skrzydła Myśliwskiego, stacjonującego w bazie sił powietrznych Holloman w Nowym Meksyku. Uzyskamy maksymalne zaskoczenie i będziemy mogli użyć bomb precyzyjnie naprowadzanych na cel. W tej opcji mamy znacznie większe szanse zniszczenia ukrytej broni atomowej, ale ciągle jeszcze nie jest to pewność stuprocentowa.
- Dlaczego? - zdziwił się prezydent.
 - Mając do czynienia z tak bardzo umocnionym celem, powinniśmy użyć bomb penetrujących. F-117 mają ograniczone możliwości i nie mogą przenosić tak dużych ładunków. Największe bomby penetrujące, jakie mogą zabrać, to GBU-27/B. To dobra broń i przeważnie skuteczna, ale w tym wypadku - w głosie Flooda pojawił się niepokój - obawiam się, że mamy tylko jedną szansę.

Prezydent skinął głową.

- Podzielam pański niepokój i zgadzam się, że będziemy mieli tylko jedną szansę. Czy taki nalot będzie skuteczny?

Flood spojrział w lewo, potem w prawo.

- W tej sprawie istnieją rozbieżne zdania. - Skinął głową w kierunku mężczyzny w ciemnogrnatowym mundurze sił powietrznych.
- Pułkownik Anderson, panie prezydencie. Według mnie wysłanie czterech niewykrywalnych F-117, uzbrojonych w dwie laserowo naprowadzane bomby penetrujące GBU-27/B o ciężarze niemal tony,

jak najbardziej wystarczy do zniszczenia celu.

- Czyli ma pan na myśli osiem bomb.
- Zgadza się, panie prezydencie.
- I jest pan przekonany, że atomowa broń zostanie zniszczona?
- Jestem pewien. W czasie wojny w Zatoce Perskiej wykorzystaliśmy je do zniszczenia wielu silnie wzmocnionych celów, takich jak schrony przeciwlotnicze, centra dowodzenia i kontroli.

- Jak bardzo jest pan pewien?

Pułkownik Anderson zastanawiał się przez chwilę.

- Na dziewięćdziesiąt procent - odpowiedział.

Prezydent nie był z tego zadowolony. Zauważył, że inny z obecnych oficerów zmarszczył, się w sposób wyraźnie świadczący o tym, że nie zgadza się z kolegą. Był z piechoty morskiej i miał dystynkcje pełnego pułkownika. Zwrócił się do niego:

- Pułkowniku, wydaje mi się, że pan się z tym nie zgadza. Pułkownik odparł bez wahania:
- Tak, nie zgadzam się, panie prezydencie.

- Jakie ma pan zastrzeżenia do planu pułkownika Andersona?

Pułkownik, patrząc przez stół na swego przyjaciela, stwierdził:

- Z całym szacunkiem dla pułkownika Andersona muszę zaznaczyć, że nie doszliśmy do porozumienia, który plan może być najskuteczniejszy; a nie sądzę, by w tym wypadku dziewięćdziesięcioprocentowa szansa sukcesu była wystarczająca. Jeżeli nalot myśliwców bombardujących się nie powiedzie i bomby nie zniszczą bunkra pod szpitalem, wtedy jedynie powstanie stos

gruzów, który uczyni cel jeszcze trudniejszym do spenetrowania. A wtedy będziemy zmuszeni uderzyć po raz drugi.

- Co pan w związku z tym sugeruje?
- Czy zna pan termin „Głębokie Gardło”?

Prezydent był trochę zakłopotany tym pytaniem. Pierwszą rzeczą, jaka przyszła mu do głowy, była afera Water-gate, ale szybko zastąpił ją film porno pod tym samym tytułem. Postanowił więc, że lepiej się nie odzywać, i tylko pokręcił głową.

- Głębokie Gardło to nazwa jednej z naszych superpenetrujących bomb, GBU-28/B. Pułkownik Anderson jest przekonany, że GBU-27/B są skuteczne w niszczeniu maszynowych schronów przeciwlotniczych i innych ukrytych głęboko pod ziemią centrów dowodzenia i kontroli, ale należy też powiedzieć, że ta broń była zupełnie nieskuteczna w niszczeniu naprawdę dużych centrów dowodzenia i kontroli Saddama. - Pułkownik rzucił szybkie spojrzenie generałowi Floodowi i kontynuował: - W swoim czasie CIA zlokalizowało obiekt, który -jak sądzono - był głównym bunkrem dowodzenia Saddama. Znajdował się w bazie powietrznej al-Tadzi, leżącej około trzydziestu kilometrów od Bagdadu. Na początku wojny powietrznej wysłaliśmy tam trzy razy F-117 z naprowadzanymi laserowo bombami penetrującymi GBU-27/B, ale tylko go nadgryzły. A trafiło weń ponad dwadzieścia bomb.

Użycie F-117 stawało się dla Hayesa coraz mniej atrakcyjne.

- Stwierdziliśmy, że jeżeli chcemy dopaść Saddama i jego generalicję, powinniśmy użyć silniejszej bomby, która przeniknie do jego

superbunkrów. Zwróciliśmy się do działu uzbrojenia lotniczego. W rekordowo krótkim czasie zaprezentowali nam Głębokie Gardło, ogromną bombę, dwa razy dłuższą i dwukrotnie cięższą od dotychczasowych bomb penetrujących, znajdujących się w naszym arsenale. Jest tak duża i ciężka, że niewykrywalny bombowiec nie może jej transportować. Oznaczono ją jako GBU-28/B. Ostatniej nocy wojny dwa F-111 zabrały je z Bazy Saudyjskich Królewskich Sił Powietrznych w Taif. Bomby zrzucono z dużej wysokości. Jedna chybiła, druga trafiła w cel.

- Jaki wynik?
 - Wszystkie pancerne drzwi zostały wyrwane z zawiasów od zewnątrz. - Pułkownik piechoty morskiej przerwał, pozwalając prezydentowi uzmysłwić sobie ogrom siły. - Cel został zniszczony.
 - Kto przebywał w bunkrach?
 - Na to pytanie lepiej odpowie doktor Kennedy, sir.
 - Irene?
 - Co najmniej dwunastu pełnych generałów, członkowie rodziny Saddama i wielu ważnych polityków.
- Prezydent natychmiast pomyślał, o ile łatwiejsze byłoby jego życie, gdyby tej nocy był tam Saddam.
- Jakie zniszczenia szpitala może spowodować bomba tej wielkości?
 - Zrówna go z ziemią - odparł pułkownik.
 - A sąsiednie budynki?
 - Szkody uboczne... - Pułkownik zorientował się w porę i skorygował: - Jeżeli trafimy w cel, liczba zabitych w sąsiednich budynkach będzie minimalna.

- A jeżeli chybimy?

- Bomba całkowicie zniszczy wszystko, w co trafi.

Hayes rozważał skutki.

- Jeśli wziąć pod uwagę wysoką możliwość chybienia celu — zapytał - jakie jest prawdopodobieństwo sukcesu przy użyciu Głębokiego Gardła?
- Stuprocentowe. Możemy wykonać kilka nalotów po dwie maszyny w ustalonych odstępach czasu. F-111 ma podwieszany zasobnik celowniczy przekazujący obraz w czasie rzeczywistym, więc będziemy wiedzieli, czy nalot się udał. Jeżeli nie, przeprowadzimy drugi i tak aż do skutku.

Prezydent podrapał się lewą ręką po brodzie, wyobrażając sobie, jak te superbomby spadną na niewinnych cywili. Oddalił od siebie ten obraz i zadał oczywiste pytanie:

- Dlaczego więc proponujecie użyć niewykrywalnych myśliwców, jeżeli według pana w najlepszym razie osiągniemy tylko dziewięćdziesięcioprocentową skuteczność?
- Jeżeli użyjemy myśliwców - włączył się generał Flood - i mniejszych bomb penetrujących, co jest relatywnie proste, zmniejszymy ryzyko operacji. Nadlecą myśliwce niewykrywalne, zrzucą bomby i uciekną, zanim zacznie się ostrzał przeciwlotniczy. Gdybyśmy użyli Głębokiego Gardła, wtedy sytuacja się zmieni. Samoloty typu F-111, zdolne przenosić Głębokie Gardło, są powolne i ciężkie i, jak pan wie, nie są niewykrywalne. Dlatego musielibyśmy zaatakować irackie stacje radarowe i stanowisko rakiet przeciwlotniczych, aby mieć pewność, że nie stracimy którejs z tych maszyn. Tego rodzaju atak

wymaga włączenia F-18 floty i korpusu, startujących z pływającego na wodach Zatoki Perskiej USS *Independence*, tomahawków wystrzeliwanych z okrętowych wyrzutni jednostek sił powietrznych stacjonujących w Arabii Saudyjskiej i Turcji, a także prawdopodobnie oddziałów podległych Połączonemu Dowództwu Operacji Specjalnych.

- Zatem będziemy musieli wtajemniczyć wielu ludzi?
- Niekoniecznie. Tam ciągle robimy rozmaite ćwiczenia. Możemy poczekać i wskazać cel pilotom F-111 niemal w ostatniej chwili.

- Ile czasu pan potrzebuje?

Generał nie wahał się długo.

- Jeśli zostaniemy przyparci do muru, możemy zaatakować w mniej niż dwadzieścia cztery godziny. Ale żeby mieć większą pewność powodzenia akcji, wolałbym dać moim ludziom tydzień. Chciałbym mieć **pewność danych** wywiadu i przekazać załogom samolotów **pełną listę celów**. Prezydent spojrział na Kennedy.

- Co o tym myślisz?

Kennedy po rozważeniu obu opcji odparła:

- Myślę, że powinniśmy zastosować Głębokie Gardło.
- Co będzie, jeżeli Saddam zwęszy, że chcemy go zaatakować?

Kennedy wzruszyła ramionami.

- On się spodziewa nalotu: raz w roku niszczymy mu wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych i kilka celów przemysłowych. Jeżeli dowie się, że przygotowujemy nalot, będzie sobie gratulował, że tak sprytnie ukrył główce pod szpi

talem. - Kennedy pokręciła głową. - Nie przeniesie ich.

Jest przekonany, że są tam zupełnie bezpieczne.

- Dobrze. - Prezydent spojrział na zegarek i wstał.

Czwórka adiutantów zerwała się z krzeseł i stanęła na baczność, ale zanim reszta zdążyła pójść w ich ślady, Hayes kazał wszystkim siadać.

- Mam następne spotkanie - oznajmił i zwrócił się do generała Flooda: - Chcę mieć na stole wszystkie dane dotyczące obu opcji i wszystko, co jeszcze wymyślicie. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, muszę mieć możliwości szybkiego reagowania i dysponować odpowiednim sprzętem w stanie gotowości. - Przeniósł wzrok na Kennedy. - Chcę, żeby twoi ludzie włączyli się do współpracy z generałem Floodem. Pokaż im wszystkie zdjęcia i spróbuj dać mi zdecydowaną odpowiedź, czy musimy użyć Głębokiego Gardła. - Hayes skierował się do wyjścia i zatrzymał w drzwiach. - Jeszcze jedno. Dopóki nie wyrażę na to zgody, nikt nie może wspomnieć, że celem jest szpital. Jeśli będą przecieki... polecać głowy.

12

TEL AWIW, ŚRODA PO POŁUDNIU

Co zrobić z Donatella? Dyrektor generalny Mosadu, zastanawiając się nad tą kwestią, siedział w swoim biurze, spowity chmurą dymu tytoniowego. Była wspaniałym nabytkiem, jednym z najlepszych. A Ben Freidman był wprawdzie niezwykle lojalny, ale jak wszyscy miał też

swoją cenę i pół miliona dolarów było dla niego majątkiem. Z radością przyjąłby taką sumę. Nie widział w tym nic zdrożnego, jeśli tylko otrzyma je za coś, co nie zaszkodzi interesom Izraela. Nie był znowu aż takim niewiniątkiem, aby nie skorzystać z możliwości, jakie daje władza.

Wracając z USA, zmagał się z dylematem dotyczącym zabicia Donatelli. Senator Clark chciał jej śmierci i zamierzał sownie za to zapłacić. Poza tym Freidman musiał przyznać, że cierpie mu skóra na myśl, że Mitch Rapp może wywęszyć jego związek z senatorem z Arizony. Świadomość, że może mieć na karku kogoś takiego, nie była miła. Freidman nie był zachwycony tym, co musi zrobić, ale nie wątpił, że jest to niezbędne do zatarcia śladów.

Donatella była wobec niego lojalna przez wiele lat i, co ważniejsze, była jedną z jego najlepszych agentek, zdolnych zabijać na każdy rozkaz. Ta ciemnowłosa piękność zwabiła kilkunastu mężczyzn i doprowadziła do ich nagłej śmierci - a wszyscy byli wrogami Izraela. Po bardzo owocnych latach współpracy Freidman zwolnił ją ze zobowiązań względem Mosadu. Zgromadzone w podziemiach akta zawierały informacje, że chciała odejść, ale to on ją namówił, żeby weszła z nim pewien układ. Konkretnie w organizowaną przez niego wolną od politycznego nadzoru siatkę. Ciemną stroną globalnej gospodarki jest to, że zawsze jakaś grupa miliarderów potrzebuje kogoś do brudnej roboty. Jakiś były pracownik idzie do konkurencji z ważną informacją albo, gorzej, idzie do władz lub prasy. Bogatemu ojcu nie podoba się sposób, w jaki zięć traktuje jego ukochaną małą księżniczkę. I oto nagle byłego pracownika czy zięcia spotyka wypadek i po sprawie. Współcześni moż-nowładcy nie różnią się niczym od swych poprzedników, a same pieniądze nie zawsze

rozwiązują problemy. Freidman zbił fortunę, sprzedając talenty Donatelli tej elitarnej grupie. I teraz wszystko miało się skończyć.

Zgniółł papierosa w popielniczce, która jeszcze przed dwiema godzinami była czysta, a teraz mieściła górę niedopałków. Zapalił następnego i zaciągnął się. Patrząc na fotografię Donatelli, ze smutkiem pokręcił głową. To naprawdę wspaniała kobieta. Jedna z najpiękniejszych, jakie spotkał. A obserwowanie jej w akcji było źródłem prawie niemożliwych do opisanego przeżyć. Emanowała niesamowitym seksem! Potrafiła uwieść nawet tego słynnego Mit-cha Rappa, chociaż Freidman często się zastanawiał, kto kogo tak naprawdę uwiódł. Tak, z pewnością byli kochankami. Nigdy nie przyznałby się do tego, ale był zazdrosny. Rapp osiągał sukcesy tam, gdzie on nie miał szans. Freidman wiele razy musiał się hamować. Rozpaczliwie pragnął doświadczyć wybuchów namiętności Donatelli, ale wiedział, że skończyłoby się to gigantyczną klapą. Zdawał sobie sprawę, że kiedyś będzie musiał ją zabić, i nie chciał, aby taką decyzję utrudniła mu miłość.

Podniósł fotografię. Podziwiał oszaleńczo bujne, czarne, kręcone włosy Donatelli, jej namiętne oczy i wyraźnie zarysowane policzki. Prawdziwa bogini. Bardziej niż kiedykolwiek żałował, że nie kierował się uczuciami i nie zdążył zaciągnąć jej do łóżka. Wstyd, że przepuścił taką okazję.

Na biurku odezwał się interkom i kobiecy głos zaanonsował:

- Czekają pan Rosenthal.

Nie odrywając wzroku od fotografii, Freidman nadusił przycisk.

- Wpuść go.

Szef Mosadu pokręcił głową. Strata była wielka, ale trzeba to zrobić.

Mitch Rapp nie może wiedzieć, że Freidman maczał w tym palce.

Marc Rosenthal należał do najbardziej zaufanych ludzi Freidmana. Mając trzydzieści dwa lata, cieszył się prawie piętnastoletnim stażem w Mosadzie. Zawsze był szczupły i niski, nawet teraz mógł uchodzić za osobę, która niedawno skończyła dwadzieścia lat. Wstępując na służbę do Mosadu, mógł śmiało udawać dwunastolatka. I udawał - Freidman wykorzystywał go do przekazywania szczególnie ważnych informacji na terytoria okupowane oraz do rekonesansu na obszarach, na które planowano wypady. Po skończeniu dwudziestu jeden lat Rosenthal zajął się likwidowaniem terrorystów w zaułkach Hebronu i Gazy przy użyciu garoty.

Rosenthal należał do garstki osób, którym Freidman mógł powierzyć wykonanie tego zadania. Myślał jeszcze o dwóch kandydatach, ale oni pracowali z Donatella i nie chciał, żeby wypróbowała na nich siłę swojej perswazji. Pozostawał tylko mały Marc Rosenthal. Był całkowicie oddany Mosadowi i, co ważniejsze, Freidman osobiście go zatrudnił i wyszkolił. Wykona zadanie bez wahania i nie będzie zadawał pytań. Nie puści też pary z ust, jeżeli coś pójdzie nie tak.

- Marc, chcę, żebyś się zajął ważną i bardzo delikatną sprawą. - Freidman zgniótł niedopałek i zamknął teczkę z dokumentami. Wręczając ją Rosenthalowi, wyjaśnił: - Nazywa się Donatella Rahn. Pracowała dla nas. - Zapalił następnego papierosa, zaciągnął się i wydmuchał chmurę dymu. - Jest dobra... bardzo dobra. Na nieszczęście zaczęła się zajmować sprawami, które mogą nam przyspo

rzyć wielu kłopotów.

Rosenthal skinął głową. Nie trzeba było nic więcej dodawać.

Mężczyzna o chłopięcym wyglądzie zaczął przeglądać dokumenty.

- Kiedy mam się tym zająć?
- Jak najszybciej.
- Mam to zrobić sam czy z moim zespołem?

Na myśl o tym, że Marcus miałby się zająć sam Donatella, Freidman pozwolił sobie na sarkastyczny uśmiech. To było możliwe, ale niemądre.

- Z zespołem, Marcus. Ta kobieta jest bardzo niebezpieczna. Zabiła więcej ludzi, niż my obaj razem wzięci.

Ten komentarz wywołał tylko uniesienie brwi.

- Co z ciałem?

- Kieruj się własnym rozumem. Zrób to we własnym zakresie. Jeżeli coś będzie nie tak, zostaw ciało i pryskaj.

Freidman, który przez wiele lat działał w terenie i nie tolerował wtrącania się kwatery, głównej, zawsze dawał swoim ludziom swobodę podejmowania decyzji.

Rosenthal, ciągle przeglądając dokumenty, oświadczył:

- Jutro rano będę na miejscu.
- Dobrze. - Freidman wymierzył żarzący się koniec papierosa w Rosenthala. - Weź tylko najlepszych ludzi i działaj jak najszybciej. - Pułkownik rozsiadł się w fotelu, zaciągnął się dymem i dodał: - I oczywiście... nie daj się złapać.

WZGÓRZE KAPITOLU, ŚRODA RANO

Senator Clark siedział za masywnym biurkiem w Hart Senate Office Building. W stolicy było zimno i wietrznie. Wyglądając przez okno i obserwując pogodę, przynajmniej na chwilę odkładał bardziej dręczący go problem. Po drugiej stronie ulicy wolno opadały na ziemię ostatnie, uparcie trzymające się krzepkich dębów liście. Na gałęziach pozostało ich jeszcze kilka. Do drzwi pukała napawająca lękiem zima. Clark nie czuł się dobrze w tym zimnym klimacie. Urodzony na południowym zachodzie, uważał, że zimy w Dystrykcie Kolumbii nie są łagodne. Było dla niego za zimno nawet wtedy, gdy śnieg padał tylko jeden dzień.

Patrząc przez okno na szare niebo, postanowił w naj-bliszy weekend wyjechać z miasta; albo na golfa do Phoe-nix, albo na wyspę, gdzie może łowić ryby. Żona numer trzy planowała coś w Nowym Jorku i nawet nie próbował jej zatrzymać. Jej wyjazd był mu teraz bardzo na rękę. Będzie miał swobodę i zrobi, co zechce. Numer trzy stawała się coraz bardziej wymagająca i nieustępliwa.

Czegoś w tym wszystkim nie mógł zrozumieć. Zawarł małżeństwo, dokładnie wiedząc, czego chce, i bardzo jasno wyraził swoje intencje. Na litość boską, w czasie gdy był jeszcze żonaty z numerem dwa, sypiał już z numerem trzy! Czego ta kobieta się spodziewała? Że po tych wszystkich latach zmieni się dla niej? Nie zmienił się i nie zmieni się. Wszystko zostało ustalone. Ale w tej krytycznej chwili następny rozwód był niemożliwy. To przekreśliłoby jego szansę w wyścigu do prezydentury. Będzie musiał się z nią jakoś dogadać. Podpisał, oczywiście, jej obwarowaną żelaznymi klauzulami umowę przedślubną. W razie rozwodu otrzyma od niego okrągły milion dolarów i dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie aż do poślubienia innego mężczyzny. Gdyby coś poszło

nie tak, Clark wyłoży na stół więcej pieniędzy i ona przez parę lat będzie grała kochającą żonę. To była ostateczność. Tym, co naprawdę mogło ją skusić, był Biały Dom i rola pierwszej damy.

W jego głowie ciągle odzywał się głos mówiący o innej opcji. Może ją zabić? Nie, stwierdził, nie jest taka zła, przynajmniej na razie. Ale w miarę pojawiania się nowych okoliczności ta stale powracająca myśl stawała się coraz bardziej kusząca. Rola bolejącego małżonka po nagłej utracie żony mogła mu naprawdę zyskać sympatię w szerokich kręgach społecznych. Im więcej o tym myślał, tym pomysł ten wydawał się coraz lepszy. Żona numer trzy była bardzo atrakcyjną i kulturalną kobietą. Razem dobrze się prezentowali. A przynajmniej wtedy, gdy była szczęśliwa. Ale miała też trudną do ukrycia cechę klasycznej sukki. Gdy była na niego wściekła, lubiła wszystkim o tym opowiadać, co w czasie kampanii wyborczej mogło się okazać naprawdę groźne. Prasa wcześniej czy później to wywęszy i rozdmucha. Clark wątpił, czy numer trzy ma na tyle dużo rozsądku, by przetrzymać taki atak. Nie, zanim do tego dojdzie, musi przyjąć jakiś tok postępowania.

Clark skupił się na papierach leżących na biurku i postanowił odłożyć na później problemy z żoną numer trzy. Teraz musi się zająć czymś ważniejszym, wymagającym całej jego uwagi. Nie można w nieskończoność ignorować Marka Ellisa i innych finansistów z Kalifornii. Spodziewają się zwrotu poniesionych nakładów i chcą poznać tajemnice przemysłowe ukryte w skarbcu CIA. Dla Clarka nie był to nowy problem. Musiał osiągnąć cel tak, aby nikt nie wiedział, że macza w tym palce. Na tej prostej zasadzie budował całą swoją karierę polityczną. Zyskał zaufanie prezydenta, popierając kandydaturę Kennedy, a teraz

musiał zatrudnić kogoś do wykonania brudnej roboty. Ktoś musi utracić Kennedy i tym kimś był właśnie kongresman Albert Rudin. Podczas ostatniego spotkania z nim Clark zasiał ziarno: partia go skrzywdziła, szefowie zapomnieli o latach jego lojalności. I za co? Za kwestię nominacji na stanowisko, które mogło zająć tysiąc osób?

Clark wyczuł, że Rudin jest gotów wziąć udział w jego politycznej grze. Był gotów działać przeciwko własnej partii w imię jej ocalenia. W końcu ma okazję wykorzystać swoje faryzeuszowskie zdolności. Ten kongresman z Connecticut potrzebował tylko porządnego kopa. A raczej dyskretnego wskazania odpowiedniej drogi. Opuścił wzrok na teczkę leżącą na biurku i uśmiechnął się. Tę drogę wskażą mu zawarte w niej informacje.

Zamknął teczkę i nacisnął guzik interkomu.

- Mary, proszę wpuścić umówionego gościa. - Senator wstał i zapiął marynarkę. Gdy drzwi się otwarły, Clark wyszedł przed biurko na spotkanie gościa. Wyciągając rękę, powiedział: - Miło mi cię widzieć, Jonathanie.

Zastępca dyrektora CIA uścisnął dłoń swego protektora.

- Mnie również, Hank. Świetnie wyglądasz i jesteś opalony.
- Ostatni weekend spędziłem na wyspie. - Na ułamek sekundy uwagę Clarka rozproszyła myśl o spotkaniu z El-lisem. - Chciałbym, żebyś tam kiedyś wpadł. Spodoba ci się to miejsce. Lubisz łowić ryby albo żeglować?
- I to, i to.
- Doskonale. Jeżeli wszystko się powiedzie, spędzimy na wyspie kilka weekendów i będziemy świętować zwycięstwo. - Clark wskazał fotel.

- Siadaj. Napijesz się?

- Nie, dziękuję.

Brown usiadł i przyglądał się, jak Clark obchodzi stoliczek do kawy i sadowi się na dużej, brązowej skórzanej kanapie. Rozpiął marynarkę, i niedbale położył ręce na oparciu.

- Teraz zaczyna się ryzykowna część.
- Myślałem, że już dawno ją zaczęliśmy - odparł Brown, śmiejąc się nerwowo.

Clark postanowił zignorować to, co uznał za przejaw słabości, i kontynuował:

- Rudin jest gotów do **skoku. Albo prawie** gotów. Teraz musimy go tylko lekko popchnąć i ostro **zahamuje** zatwierdzenie Kennedy.

Brown wiedział, że Clark nie wezwał go tylko po to, aby mu to oznajmić.

- Na czym ma polegać moja rola?
- Jutro z kimś się spotykam. To były agent FBI. Nazywa się Norb Steveken. - Clark mrugnął. - Bardzo oddany.

Były sędzia federalny nie był zachwycony, że ten człowiek pracował dla FBI. W czasach gdy zasiadał w sądzie, uważał, że FBI jest w każdym calu tak samo bezlitosne i skorumpowane jak ludzie, których ścigało.

- Co on teraz robi?
- Prowadzi śledztwa.
- Dla kogo?
- Dla każdego, kto płaci.

Brown zaakceptował odpowiedź **senatora. Już dawno** stwierdził, że

Clark ma znajomości **prawie** wszędzie.

- Kto mu teraz płaci?

Clark machnięciem ręki dał znać, że tym Brown nie powinien się przejmować.

- To nie twój problem. Najważniejsze, żebyś przynajmniej na początku stwarzał wrażenie, iż bardzo niechętnie dajesz mu to, czego chce.
- A czego on chce?
- On chce informacji, które kongresman Rudin będzie mógł wykorzystać w czasie przesłuchania.

Mimo że Brown wiedział, iż do tego dojdzie, dyskomfort, jaki odczuwał teraz, wcale nie był mniejszy. Wykorzystując nabytą w sądzie zdolność zachowania spokoju w każdej sytuacji, parł do przodu:

- Jakich informacji?

Clark niefrasobliwie skrzyżował nogi i odpowiedział:

- Udziel mu informacji dotyczących drużyny Orion.

Brown nie był pewny, czy dobrze słyszy:

- Chcesz, żebym powiedział byłemu agentowi FBI, co wiem o drużynie Orion?
- Nie przejmuj się - uspokoił go Clark. - Przekonałem kongresmana Rudina, żeby spotkał się z panem Steve-kenem. Powiedziałem Albertowi, że nie chcę być w to zamieszany, i nie zamierzam też ciebie w to wciągać.
- Więc dlaczego chcesz, żebym spotykał się ze Steve-kenem?
- Steveken zrobi to, co ja mu powiem, a ja mu powiem, że twoje informacje są nieoficjalne. Tak to musi potraktować.
- Może przekazać informacje Rudinowi anonimowo? -Brown

rozpaczliwie szukał lepszego rozwiązania.

Clark pokręcił głową.

- Odpada. Albert jest już poważnie skłócony ze swoją partią. Jeżeli chcemy, żeby przywołał tych kretynów do porządku, musi to usłyszeć z ust konkretnej osoby, która pozwoli mu oznajmić, że usłyszał to od kogoś z Langley.

Brown ściągnął usta z wyrazem obawy.

- No, nie wiem... Co innego przekazywać informacje tobie, Hank, a co innego gadać z byłym federalnym o Orionie. To chyba zły pomysł. - Otyły Brown kręcił się niespokojnie w fotelu. - Ludzie, którzy wtykają w to nos, mają skłonność do znikania.

- Peter Cameron był zbyt pewny siebie. Ty nie masz takiego problemu.

- Nie wiem - powtórzył Brown z wyraźną rezerwą.

Clark starał się opanować głos.

- Jonathanie, znasz plan. Przyrzekam, że to ostatni raz. Kiedy Albert zacznie to swoje śledztwo, nie będzie odwrotu. Zajmie się tym prasa i obaj wiemy, że Kennedy nie będzie miała szans i nie przetrzyma szczegółowego badania. - Clark wymierzył palec wskazujący w przyjaciela. - A potem zrobię cię dyrektorem CIA i dodam jeszcze, że będziesz bogaty.

Po wielu latach publicznej służby Brown szukał źródeł gotówki. Poza tym Stany to państwo prawa i Kennedy powinna się wytłumaczyć z pewnych posunięć.

- Dobrze. Jak mam to zrobić? Clark zapytał z uśmiechem:

- Co wieczór wychodzisz z psem na spacer?

- Tak.

- Doskonale. Spotkasz się ze Stevekenem w parku przy swoim domu. Prawdopodobnie jutro wieczorem.

- Co mam mu powiedzieć?

Clark zastanawiał się przez chwilę.

- Z początku zareagujesz nerwowo. Powiesz, że nie chcesz z nim rozmawiać. Spróbuj się oddalić. Nie przejmuj się, pójdzie za tobą. To uparty facet.

Brown powtórzył pytanie:

- Ale co mam mu powiedzieć?

- Nic. - Clark się uśmiechnął. - Przynajmniej nie jutro wieczorem.

- Powiedz, że musisz się zastanowić, wrócisz następnego wieczoru i wtedy podejmiesz decyzję.

13

MARYLAND, ŚRODA WIECZÓR

Rapp był gotów do drogi. Taksówka czekała na podjeździe. Wyszedł z domu, przywitał się z kierowcą i powiedział, że czeka jeszcze na swoją dziewczynę i będą mogli ruszać. Anna się spóźniała, czego mógł się spodziewać. Jeszcze raz prześledził w myślach plan działania. Już dawno doszedł do wniosku, że powinien się z nią umawiać z trzydziestominutowym zapasem. Jeśli mieli gdzieś być na ósmą, mówił Annie, że powinni tam być o siódmej trzydzieści. Zawsze spóźniała się trzydzieści minut, chyba że miała audycję na żywo.

W zeszłym miesiącu opóźniła start Air Force One o dobre piętnaście minut. Jack Warch, szef bezpośredniej ochrony prezydenta, był tak uprzejmy, że zadzwonił do niej na telefon komórkowy i zapytał ją, czy ma zamiar wziąć udział w locie. Anna utknęła w korku i potem błagała o wybaczenie. Agent Secret Service użył wszelkich sposobów, aby opóźnić start. Poza tym lecieli do Kalifornii i mogli nieco nadrobić opóźnienie. Annie Rielly pomógł fakt, że była ulubienicą prezydenta. Pomogło jej też to, iż Jack Warch i prezydent Hayes zawdzięczali życie przyjacielowi Anny.

Rapp, bardziej ze zdenerwowania niż z konieczności, znowu zerknął na zegarek. Startowali z międzynarodowego lotniska w Baltimore za niecałe dwie i pół godziny. Mieli jeszcze mnóstwo czasu, ale Rapp nie lubił się spieszyć, gdy musiał przemycać na pokład broń. Ze swojego bogatego arsenału wybrał pistolet Heckler & Koch HK4, wersję na krótkie dziewięćmilimetrowe naboje. Rapp rozmontował go na części i ukrył w różnych rzeczach w walizce.

Ludzie z działu nauki i techniki w Langley codziennie nabywali zwykłe przedmioty, takie jak suszarki do włosów, kremy do golenia, budziki, radia i walizki, a potem tak je przerabiali, aby służyły jako skrytki i nadal spełniały swoje funkcje. Gdyby urzędnik celny albo funkcjonariusz straży granicznej znaleźli nie działającą suszarkę, natychmiast w ich mózgach zapaliłoby się czerwone światelko. Ludzie z działu nauki i techniki byli w tym ekspertami. Testowali nawet swoje produkty urządzeniami do prześwietlania i wykrywaczami metali, stosowanymi we wszystkich głównych portach lotniczych na świecie. Nie tylko znali się na sprzęcie wykrywającym, ale także wiedzieli, jak spakować walizki, aby

zminimalizować ryzyko znalezienia nielegalnie przewożonych przedmiotów.

Gdyby Anna o tym wiedziała, pewnie dostałaby szału, ale takie było jego życie. Rapp nie chciał wędrować bez broni po włoskich ulicach. Zamierzał powiedzieć jej o tym dopiero w mediolańskim hotelu. Gdyby zdradził się przed podróżą, naraziłby ją na zbędny stres podczas odprawy celnej we Włoszech. Anna, podobnie jak wielu dziennikarzy, była dobrą aktorką, gdy jej na czymś bardzo zależało, ale pomoc w przemyśle broni, zwłaszcza gdy nie życzyła sobie, by ją miał, mogła się okazać zbyt trudna. Ponownie zdecydował, że najlepiej nic nie mówić. Poza tym teraz bardziej przejmował się innym przedmiotem, który też musiał przemyścić na pokład samolotu.

Liczył, że zapłaci za niego dwa razy mniej, ale gdy go ujrzał, wiedział, że jest przeznaczony dla Anny. Był to przedmiot prosty, lecz klasyczny. Idealnie oszlifowany jednoka-ratowy brylant, oprawiony w platynowy krążek wzoru Tif-fany'ego. Anna rozplynie się z zachwyty, co sprawi mu ogromną radość. Pierścionek został bezpiecznie ukryty w przegródce skórzanej kurtki. Odruchowo sięgnął w dół i przesunął palcem po podszewce, wyczuwając zgrubienie. Jeszcze tam jest.

Rapp znowu spojrzał na zegarek. Wolałby, żeby już przyjechała do domu. Ten nagły wyjazd do Włoch trochę go niepokoił. Myślał o tym całe przedpołudnie. To był początek nowego życia. Moment przełomowy, za którym skrycie tęsknił.

Usłyszał pisk opon i spojrzał na długi podjazd. Ten niespodziewany dźwięk wywołał na jego twarzy uśmiech. To Anna skręca na ich ulicę. I tak jak wiele razy przedtem, czekał na werandzie, mając nadzieję, że

wszystko z nią w porządku. Że nie nawiedzi ich jakiś demon z przeszłości i nie odbierze mu jej. Że jakiś zbokol, który zobaczył ją w telewizji, nie uzna, iż Anna ma być jego własnością.

Anna wyśmiewała go, kiedy mówił, że powinna do niego dzwonić, jeśli będzie wiedziała, iż może się spóźnić. Zawsze wtedy przeproszała, ale nie okazywała chęci poprawy. Tłumaczyła się, że jest bardzo zapracowana, że jej zajęcia mają taki charakter i prawie nigdy nie może być punktualna. Rappa kusiło, żeby jej powiedzieć, że to najgłupsze usprawiedliwienie, jakie słyszał, ale już się nauczył ostrożnie dobierać słowa, a nawet trzymać język za zębami. Nie zawsze warto mieć rację.

Pewnego dnia uzmysłowi jej potrzebę punktualności albo przynajmniej telefonowania do niego. Miało to związek z poczuciem bezpieczeństwa, ale też jego samopoczuciem. Niektórzy mają zbyt bujną wyobraźnię i kiedy połączy się ona z lekką paranoją, mogą z tego wyniknąć poważne problemy. Ale w wypadku Rappa nie chodziło o wyobraźnię, lecz rzeczywiste zagrożenie. Walczył i wiedział, do czego zdolny jest wróg. Widział, jak bez wahania morduje niewinne kobiety i dzieci. I zdawał sobie sprawę, jak bardzo się od niego różni. Mimo wielu lat dowodzenia operacjami specjalnymi miał czyste konto - nie zabił nikogo niewinnego. Zabijał z bliska, zwykle nożem lub za pomocą strzału z pistoletu, rzadko stosując materiały wybuchowe. Był z tego niezmiernie dumny i doszedł do wniosku, że pewnie tylko dzięki temu mógł spać spokojnie.

Opony znowu zapiszczały i Rapp ujrzał na zakręcie swoje czarne volvo S80. Widząc, jak jego przyszła żona ostro hamuje za taksówką, zdobył się tylko na uśmiech i pokręcił głową. Dzięki Bogu jest dobrym kierowcą, pomyślał. Nie mógł się gniewać za to, że się spóźniła.

Był zbyt podniecony wizją nowego życia.

Rielly wyskoczyła z auta z niewinną miną.

- Przepraszam za spóźnienie, kochanie. Zatrzymało mnie...

Rappa nie interesowały usprawiedliwienia. Już je znał. Pokręcił tylko głową i uśmiechnął się.

- Twoje bagaże są już w taksówce. Chcesz coś jeszcze zabrać z domu?

Z torebką na ramieniu szybko podeszła do drzwi.

- Muszę umyć zęby i twarz.

Ponieważ Rielly często była autorką dziennych relacji z Białego Domu, nakładała grubo makijaż, żeby starczył na długo. Po powrocie do domu pierwszym jej zajęciem było zmycie go.

Rapp spojrział na zegarek.

- Jesteśmy spóźnieni.

- Wiem. - Zatrzymała się, szybko go pocałowała i weszła do domu. - To zajmie tylko minutkę.

Rapp, patrząc, jak Anna bierze torebkę i wchodzi po schodach, mruknął do siebie:

- Więcej niż dziesięć.

Rielly, nie zatrzymując się, krzyknęła przez ramię:

- Słyszałam, słyszałam!

Rapp, trochę zbity z tropu, odparł:

- I dobrze, bo to prawda. Możesz się tego pozbyć w drodze na lotnisko.

Już to znał. Zwrot „to zajmie tylko minutkę” oznaczał od dziesięciu do

dwudziestu minut.

- Nie martw się, mamy mnóstwo czasu! - krzyknęła z łazienki na górze.
- Starty nigdy nie odbywają się punktualnie.
- Usłyszałaś to od prezydenta, gdy w zeszłym miesiącu wchodziłaś na pokład Air Force One?

Rielly nie miała pojęcia, że Rapp wie o tym incydencie. Pojawiła się na szczycie schodów ze szczoteczką do zębów w jednej ręce i pastą w drugiej.

- Skąd o tym wiesz?
 - Dziś rano przeczytałem w „Washington Timesie” -oznajmił bez zmruczenia oka, wiedząc, że Anna nigdy nie czyta „Timesa”, gdyż zalicza go do gazet stronicznych. Ile razy pojawiał się ten temat, przypominał, że „Post” też nie dysponuje obiektywnym zespołem.

Rielly pochyliła się i powiedziała:

- Przyznaj, proszę, że kpisz ze mnie. Rapp się uśmiechnął.
- W porządku, kpię.
- Więc skąd, u diabła, wiedziałeś o tym?
 - Nieważne. - Nakazał jej ręką, żeby wracała do łazienki. - Rusz się, jesteście spóźnieni.
 - Chcę wiedzieć, skąd o tym wiesz - powtórzyła stanowczo.
 - Nieważne. Mam swoje źródła. - Rapp się odwrócił. -Wprowadzę samochód do garażu. Pospiesz się!

Rielly przez chwilę patrzyła za nim i wróciła do łazienki. Nakładając pastę na szczoteczkę, spojrzała w lustro i powiedziała do swego odbicia:

- Masz przed sobą siedem godzin lotu, więc wydusisz

to z niego.

Zupełnie pewna powodzenia wetknęła szczoteczkę do ust i zabrała się do czyszczenia zębów.

Ogromny 747 American Airlines stał na asfalcie portu lotniczego w Baltimore. Pasażerowie cisnęli się przy wejściu do rękawa łączącego poczekalnię z samolotem. Rapp i Rielly nie spieszyli się, czekali, aż wszyscy pokażą bilety i kolejno wejdą na pokład. Z Rappem było tak zawsze i Anna oczywiście chciała wiedzieć dlaczego. Postanowiła to wyjaśnić, przyjmując do wiadomości pomysł, że chce z nią spędzić resztę życia. Lecieli pierwszą klasą i mogli skorzystać z przysługującego im przywileju wejścia na pokład przed innymi pasażerami. Tylko że wtedy znaleźliby się w centrum uwagi dwustu pięćdziesięciu pasażerów, jakby tańczyli walca na środku parkietu, czego Mitch chciał uniknąć. Czekali więc, aż ostatni pasażer wejdzie na pokład, by wśliznąć się na końcu.

Rielly akceptowała tę metodę bez komentarza. W czasie gdy inni pasażerowie tłoczyli się jak stado baranów przy wejściu do rękawa, oni pili przy barze piwo. Anna pomyślała o wrażliwości Mitcha na detale. Widoczna była we wszystkim, co robili we dwoje. Ujawniała się nawet podczas pobytu w restauracji, co bywało irytujące. Nigdy nie siadał na środku sali. Zawsze plecami do ściany i twarzą do wejścia. I zawsze na początku szedł do męskiej toalety. Początkowo Rielly nie zwracała na to uwagi, ale w końcu zapytała o to Mitcha pod wpływem jednego ze swoich przyjaciół, O'Rourke'a. Po kilku próbach uchylenia się od odpowiedzi w końcu ustąpił i wyjaśnił, że to standardowa procedura operacyjna. Sprawdzanie toalety i wyjścia awaryjnego to czynności podstawowe. Jeśli

zdarzy się coś złego, wie się wtedy, jakie się ma możliwości działania.

Istniał też problem broni. Z początku nie przejmowała się tym zbytnio. Ojciec i obaj bracia byli policjantami. Wychowywała się w domu naszpikowanym bronią palną i też miała własny rewolwer kaliber .38 z krótką lufą. Trzymała go pod kluczem, ale posiadała zezwolenie na noszenie go w razie konieczności. Zwykle korzystała z tego wtedy, gdy otrzymywała dziwne listy albo telefony od widzów. Mitch jednak nigdy nie opuszczał domu bez broni. Jeżeli nie miał jej przy sobie, to zawsze znajdowała się w zasięgu ręki. Nawet kosząc trawnik, miał ją zatknietą za pasek szortów. Na łodzi trzymał ją w schowku, a w domu co najmniej w trzech miejscach.

Kiedyś zwróciła mu uwagę, że to trochę za duża ostrożność, ale odpowiedział, iż właśnie dzięki temu jeszcze żyje. Stwierdził też, że jeżeli któryś z tych ludzi, na jakich się niedawno natknął, znowu się pojawi, to Anna będzie mu wdzięczna za to, że jest uzbrojony. Zrewanżowała mu się inną uwagą: A co będzie, jeżeli ożeni się z nią i będą mieli dzieci? Zamyślił się i odparł, że wtedy pewne rzeczy się zmieniają. Chwilowo taka odpowiedź ją zadowoliła.

Rielly pociągnęła łyk piwa i spojrzała na Mitcha. Pochyliła się i zapytała szeptem:

- Masz przy sobie broń? Rapp odstawił piwo i odrzekł:
- Nie. Tylko tę broń, którą dała mi Matka Natura.
- Eielly z uśmiechem zamruczała jak kotka.

Udzielając takiej odpowiedzi, Rapp poczuł ukłucie wyrzutów sumienia. Ale przecież nie zapytała, czy zabrał broń, tylko czy ją ma przy sobie. A nie miał przy sobie. Rozebrał ją na sześć części, staranie zapakował i teraz

tkwiła gdzieś we wnętrzu jumbo jęta.

Sączyli piwo jeszcze przez dwie minuty i gdy kolejka wchodzących na pokład samolotu skurczyła się do kilku osób, chwycili podręczny bagaż i ręka w rękę przeszli przez poczekalnię. Rapp podał bilety pierwszej klasy i z kartami pokładowymi wkroczyli do rękawa prowadzącego do samolotu. Skręciwszy w lewo, zatrzymali się na końcu kolejki pasażerów. Rapp trzymał Rielly blisko siebie, wpatrując się w jej piękne zielone oczy. Po błyszczących się w nich iskierkach i uśmiechu mógł wywnioskować, że jest trochę wstawiona. Za nimi stanął jeszcze jakiś mężczyzna.

Rielly spojrzała na niego i z dwuznacznym uśmiechem zauważyła trochę za głośno:

- To pewnie jakiś szpieg.

Gdy zaczęła głośniejsz chichotać, Rapp uśmiechnął się i przytulił jej głowę do swojej piersi.

- Opanuj się, bo nie wpuszczą nas na pokład - ostrzegł.
- O czym ty mówisz? - zapytała niewyraźnie, trochę przesadnie okazując upojenie alkoholowe.
- Pijanych pasażerów nie wpuszczają do samolotów. To wbrew przepisom FAA.
- A jeżeli jestem pijana miłością? - Zamknęła oczy i podała mu usta do pocałunku.

Mitch roześmiał się i spełnił jej życzenie.

Kolejka szybko się przesunęła i po chwili siedzieli w fotelach. Anna zajęła miejsce przy oknie, Mitch od przejścia. Gdy samolot uwolnił się od rękawa, wyjęli materiały do czytania. Rapp wyjrzał przez okno, oceniając pogodę. Jeszcze dobra godzina do zachodu słońca, temperatura około

dziesięciu stopni i ani śladu deszczu. Start pójdzie gładko.

Anna zaczęła przewracać strony magazynu, ale zaraz przerwała i spojrzała na Mitcha.

- Nie powiedziałeś właściwie, co dokładnie będziemy robić w Mediolane.
- Muszę załatwić pewną drobną sprawę. To nie zabierze dużo czasu. — Rapp otworzył książkę, mając nadzieję, że Anna wróci do czytania magazynu, ale wiedział, że to płonna nadzieja.

- Co to za sprawa?

- Służbowa.

Anna ściszyła głos i stwierdziła kpiąco:

- Ściśle tajna.
- Masz rację, dziecinko - mrugnął Rapp. - A teraz oprzyj się wygodnie, odpręż, postaraj się ładnie wyglądać i czytaj swój magazyn. Ja się zajmę resztą.

Rielly dźgnęła go łokciem w zębra.

- Nie rzucaj mi takich ochłapów. Na pewno możesz powiedzieć coś więcej o tej „służbowej” sprawie.
- Nie, nie mogę - odparł stanowczo Mitch. Już na ten temat rozmawiali i był tym znudzony. Przysunął usta do jej ucha i wyjaśnił: - O pewnych sprawach dotyczących mojej pracy nigdy nie będę mógł z tobą rozmawiać. Od samego początku to powtarzam, a ty mówiłaś, że to rozumiesz. Podtrzymujesz to, co mi wtedy powiedziałaś, czy zamierzasz zmienić reguły gry?

Miał rację, wiedziała o tym, ale ciągle to ją denerwowało.

- Nie, nie chcę zmieniać reguł, ale myślę, że nie zaw

szesz musisz się tak wykręcać. Pewnie się wściekałeś o ten kwadrans spóźnienia i teraz się spodziewasz, że w obcym mieście będę tkwiła sama w pokoju hotelowym, podczas gdy ty będziesz się zajmował tą swoją służbową sprawą. - Rielly pochyliła się i nosem dotknęła jego policzka. - Na podstawie tego, co wiem o tej cholernej CIA, mogę się spodziewać, że wysłano cię tam, żebyś kogoś zabił. - Rielly odsunęła się i w geście zacięcia skrzyżowała ręce na pierśsiach.

Rapp, badając ją ostrożnie wzrokiem, zastanawiał się nad tym, co właśnie powiedziała, i musiał przyznać, że trafiła w sedno. Był jej winien bliższe wyjaśnienie.

- Przykro mi. Masz rację. Mam się z kimś spotkać... Często z tą osobą pracowałem.
- To niebezpieczne?
- Nie. - Pokręcił głową i zamyślił się. Musi być ostrożny, ale prawdę mówiąc, nie spodziewał się kłopotów.
- Czy ta osoba wie, że się tam zjawisz?
- Nie.

Rielly zmarszczyła brwi, niepewna, czy taka odpowiedź ją zadowala.

- Możesz jej ufać?
- Tak. Bardzo. - Zabrzmiało to szczerze. - Nie martw się, kochanie.

Wszystko będzie dobrze. Stracę na to tylko pierwszy dzień naszego pobytu we Włoszech. Resztę czasu możemy poświęcić na wycieczki.

Samolot zatrzymał się na chwilę i silniki zaczęły pracować pełną mocą. Po kilku sekundach odrzutowiec toczył się już po asfalcie. Rapp chwycił

Annę za rękę. Pocałował ją i rzekł:

- Kocham cię.

Rielly pocałowała go w usta i też powiedziała, że go kocha. Gdy samolot zaczął się unosić, myśli Rappa zwróciły się ku osobie, z którą miał się spotkać w Mediolanie. Donatella Rahn była dla niego kimś więcej niż współpracowniczką. Dzielił też z nią łóżko. Chociaż nie miało to nic wspólnego z bezpieczeństwem, narodowym, postanowił jednak nie wtajemniczać w to Anny. To stara historia i nie ma związku z obecną sytuacją. Rapp nie chciał mówić o swoich miłościach, tym bardziej że sam nie wypytywał Anny o jej dawne sympatie. I nawet nie czuł się z tym źle do chwili, gdy uświadomił sobie, że przecież to nie ona leci pięć tysięcy kilometrów, żeby spotkać się potajemnie z jakimś byłym kochankiem.

Rapp nie chciał rozwijać tematu, więc postanowił przestać o tym myśleć. Przecież to nic wielkiego, stwierdził. Pójdę z nią na kolację, zapytam, kto ją wynajął do zabicia Petera Camerona, i po sprawie. Skrzywił się i wyjrzał przez okno. Miał pod sobą najpiękniejszą w świecie powierzchnię wody. Lecieli nad zatoką Chesapeake - ogromne kontenerowce płynęły na północ, do portu Baltimore. Rapp wiedział, że nie będzie to łatwe. W głębi serca miał nadzieję, że to tylko chorobliwa obsesja. Pragnął, żeby choć raz coś poszło gładko. Chciał tylko poznać nazwisko. Nazwisko człowieka, który kazał go zabić w Niemczech. Potem uporządkuje swoje sprawy i zacznie nowe życie.

Anna przytuliła się i położyła mu głowę na ramieniu.

Rapp pocałował jej jasnoorzechowe włosy, chłonąc ich delikatny zapach. Warta była doprowadzenia wszystkiego do końca. Wydobędzie od Donatelli nazwisko i zakończy całą sprawę. Potem będzie mógł założyć

rodzinę, wiedząc, że ten, kto próbował go zabić w Niemczech, nie żyje i nikt nie skrzywdzi jego rodziny.

14

MEDIOLAN, CZWARTEK RANO

Lot przez Atlantyk był spokojny, tylko Anna i Mitch nie mogli zasnąć. Rapp właściwie tego nie planował, ale miał nadzieję, że dwa kieliszki szampana wystarczą do uśpienia Anny. Nie wystarczyły, tylko bardziej podnieciły perspektywę najbliższych dwóch tygodni. Już myślała o zakupach w największych mediolańskich domach mody, o wieczorze w La Scali i o późniejszej podróży pociągiem na południe, do cieplejszego klimatu romantycznej Sycylii. Podnieceni, rozmawiali o tej wyprawie, ale strach przed jej zepsuciem nie pozwolił im mówić wprost o uczuciach, obrączkach ślubnych, małżeństwie i dzieciach. Na to będzie jeszcze mnóstwo czasu później.

Podniecenie Rappa miało jeszcze drugie źródło. Zanim zacznie nowe życie, musi się zmierzyć z przeszłością. Pobyt w Mediolanie wywołał falę uczuć, w większości miłych, ale były też i niemiłe. Włochy to jego ulubione miejsce na ziemi. Historia, architektura, zapachy, ludzie, nawet brud -tu wszystko było takie prawdziwe.

Przejście przez cło w porcie lotniczym Malpensa odbyło się względnie gładko. Naładowani testosteronem włoscy celnicy bardziej zajmowali się bielizną Anny niż ukrytymi w bagażach Rappa częściami broni. Po siedmiogodzinnym locie pojawili się w Mediolanie akurat w porze

porannego szczytu komunikacyjnego. W drodze do miasta Anna wielkimi ciekawymi oczami chłonęła przesuające się za oknem auta widoki stolicy włoskiego regionu zwanego Lombardią. W czasie studiów na Uniwersytecie Michigan jeden semestr spędziła w Paryżu. Jeden tydzień poświęciła wtedy na zwiedzanie Rzymu i wycieczki po Włoszech. Dyskutowali o zaletach obu państw. Anna wołała Francję, Mitch chwalił Włochy. Rapp zamierzał sprawić, aby zmieniła swoją opinię do końca tygodnia. Był skłonny przyznać, że Francja ma wiele zalet, ale na nieszczęście jej piękno często przesłaniała arogancja mieszkańców.

Włosi zaś dodają splendoru historii swojego starożytnego kraju. Tu jest obecna autentyczna chęć bratania się i pomagania cudzoziemcom, a szczególnie Amerykanom. Najlepszym przykładem był ich taksówkarz. Manewrował w porannym ruchu, równocześnie pokazując im interesujące obiekty. Na początku Anna była trochę rozczarowana uprzemysłowieniem i nowoczesnością Mediolanu. Mitch zapewnił ją jednak, że będzie zachwycona, gdy dotrą do centrum.

Nie mylił się. Gdy wjechali w Via G. Mengoni, musiał powstrzymać Annę, żeby nie wysiadła z pędzącego auta. Kiedy pojawiła się ogromna katedra, wychyliła się przez okno, aby ogarnąć wzrokiem cudowne smukłe iglice, i zawołała:

- O, mój Boże! To chyba najpiękniejszy kościół, jaki widziałam!

Taksówkarz skinął głową z dumą i dodał:

- I jeden z największych.

Anna nie spuszczała wzroku z tego architektonicznego cudu, gdy taksówka wolno jechała brukowaną ulicą.

- Jak się nazywa?
- Duomo!
- Chcę go obejrzeć - zwróciła się do Mitcha. - Możemy teraz zwiedzić Duomo?

Rappa rozśmieszyła jej ekscytacja.

- Nasz hotel stoi blisko katedry. Tylko cztery przecznice. Utniemy sobie krótką drzemkę i potem pierwsze kroki skierujemy do Duomo.
- Drzemkę? - zapytała z niedowierzaniem. - Nie mam zamiaru spać. Jestem zbyt podniecona.

- Rapp uśmiechnął się i pokręcił głową. Dobrze, że jest w takim nastroju. To może mu pomóc. Jeżeli będzie taka podekscytowana przez cały dzień, pewnie wieczorem padnie ze zmęczenia, a wtedy będzie mógł się wymknąć na spotkanie z Donatella. Potem, jeżeli wszystko się powie-
dzie, pozna potrzebną informację i skończy z całym tym bagnem. Gdy mijali Galerię Vittorio Emanuele II, Rapp pomyślał jednak, że sam siebie oszukuje. Brutalna prawda była taka, że informacje od Donatelli prawdopodobnie wciągną go jeszcze głębiej w to bagno. Donatella była tylko ogniwem w łańcuchu, który mógł być bardzo długi. Rapp po raz pierwszy w swoim życiu musiał zdecydować, czy chce coś zmienić i odejść. Anna pocałowała go w policzek, gdy taksówka podskakiwała na starym bruku. Mitch oddalił dręczące myśli i zmusił się do uśmiechu. Może to będzie proste. Może Donatella odpowie na jego pytania i wyjaśni, dlaczego chciano go zabić w Niemczech. Może? Mitch obrócił się, a uśmiech zniknął z jego twarzy. Podobne rzeczy nigdy nie są proste i między innymi dlatego musiał się z tego wszystkiego wycofać.

Samolot Alitalia kołował do bramki portu lotniczego Lina-te. Właśnie kończył się jeden z ponad dwunastu codziennych lotów Alitalii z Rzymu. Mediolan miał dwa główne porty lotnicze, Linate obsługiwał linie krajowe. Znajdował się tylko trzy kilometry od centrum miasta, podczas gdy Malpensa 2000 - ponad pięćdziesiąt kilometrów. Samolot wystartował z Rzymu krótko po dziewiątej i lot na północ trwał niecałą godzinę i trzydzieści minut. Kiedy otworzyły się drzwi, z samolotu wypłynął zwarty strumień ludzi biznesu. Razem z nimi szedł nie rzucający się w oczy mężczyzna, dyskretnie obserwujący twarze czekających na przylot. Ubrany był w oliwkowe spodnie, jasnoniebieską koszulę i błękitną sportową kurtkę. Ciemne okulary kryły przenikliwe oczy.

Niemal od razu rozpoznał w tłumie człowieka, z którym miał się spotkać, ale nie zbliżył się do niego, tylko razem z innymi poszedł dalej, kierując się do głównego terminalu. To był drugi lot Marca Rosenthala tego dnia. Wystartował z Tel Awiwu długo przed wschodem słońca. Po spotkaniu z dyrektorem generalnym Mosadu nie tracił czasu i wezwał swoich ludzi na wyznaczone pozycje. Po kilku godzinach dwóch leciało do Mediolanu, każdy innym samolotem i każdy miał międzylądowanie w innym kraju. Zadaniem pierwszego było zajęcie się bronią i transportem, drugi był wyznaczony do obserwowania celu. Mimo że Mosad oficjalnie nie miał nic wspólnego z tą operacją, Freidman dał im zielone światło i prawo wykorzystania jednego z bezpiecznych mieszkań w Mediolanie. Rosenthal powiedział Freidmanowi, że w razie czego skorzysta z hotelu, chociaż nie było to najlepsze rozwiązanie, włoskie władze bowiem zapewne rozpoczną śledztwo w sprawie zniknięcia Donatelli i jej prawdopodobnej

śmierci. Jeśli operacja przebiegnie bez problemów, załatwią to bez świadków, ale musiał się liczyć z komplikacjami. Zawsze istniało ryzyko, że jakiś sąsiad, przechodzień lub współpracownik zauważy kilku obcych mężczyzn. Podane opisy zostaną skonfrontowane z nagraniami ochrony z miejscowych hoteli. Jeżeli ustalą jakieś podobieństwo, porównają je z taśmami z kamer w porcie lotniczym i tak dalej.

Rosenthal po dotarciu do głównego terminalu minął rejon odbioru bagaży i nie zatrzymując się przy nim, wyszedł na chodnik. Razem z innymi pasażerami ustawił się w kolejce do taksówek. Policzył stojących przed sobą, próbując ustalić, kto podróżuje sam, a kto w towarzystwie, i porównał ich liczbę z czekającymi taksówkami. Wybrał jedną i nie spuszczał z niej oczu. Gdy nadeszła jego kolej, szybko się rozejrzał i wskoczył do środka. Po włosku polecił kierowcy, aby zawiózł go do Grand Hotelu. Nie zamierzał się w nim zatrzymać, ale to nie interes taksówkarza.

Dzień był słoneczny i Rosenthal żałował, że nie było już letnich turystów. Zbliżała się jedenasta. Skrzywił się z dezaprobatą, widząc, że chodniki nie są zatłoczone. Doświadczenia z początków pracy w Mosadzie pozostawiły w nim niezatarte ślady. Nie było bowiem niebezpieczniejszego zadania niż przenikanie do obozów Palestyńczyków. Wysyłano go tam, by zidentyfikował przywódców organizacji terrorystycznych. Musiał się bratać z wieloma nienawidzonymi ludźmi. Lata takiej działalności pozostawiły blizny. Nie miały o tym pojęcia te mumie z Mosadu, nikt nie miał pojęcia. To były prywatne demony Rosenthala i dlatego nienawidził pracować w pojedynkę. Zmienił się z samotnego wilka w drapieżcę działającego w stadzie. Wiedział, że nigdy nie wróci do obozów i nigdy nie będzie

pełnych strachu bezsennych nocy. Ten etap miał już za sobą - teraz działał tak, by okoliczności pracowały na jego korzyść.

Nie podobał mu się ten brak osłony na ulicach. Rosen-thal zdążył już przejrzeć akta dostarczone przez Freidma-na. Najwyraźniej starannie je oceniono. Wiele miejsc zaczerniono i pominięto opisy całych operacji. Rosenthal nie miał wątpliwości, że stary osobiście usunął pewne informacje. Częściowo z powodu ich utajnienia, ale Rosenthal wiedział, że Freidman zrobił to celowo. Nie chciał, aby stłumiły w nim chęć zabijania. Rosenthal nie był nowicjuszem. Wiedział więc, że Donatella Rahn dużo zrobiła dla Izraela - i to właśnie było paskudną stroną jego pracy. Jednego dnia jesteś cennym nabytkiem, innego - niewygodnym świadkiem.

Gdy taksówka zbliżyła się do Galerii Vittorio Emanuele II, Rosenthal oznajmił kierowcy, że są już niedaleko, i kazał się zatrzymać. Zapłacił i wysiadł. Rozejrzał się i wszedł do wspaniałego dziewiętnastowiecznego pasażu. Galeria zbudowana była na planie krzyża. Sekcja północ-południe łączyła Piazza del Duomo z Piazza della Scala. Przeznaczone wyłącznie dla pieszych pasażę pokrywała oszklona konstrukcja. Posadzkę stanowiła zawiła kolorowa mozaika, a po obu stronach alei mieściły się sklepy.

Rosenthal zatrzymał się przy kiosku i kupił londyńskiego „Timesa”. Przez chwilę stał, upewniając się, że nie jest śledzony, a potem skierował się na północ, ku Piazza della Scala. Po drugiej stronie placu oparł się o latarnię, udając, że czyta gazetę. Po kilku minutach przy krawężniku zatrzymał się brązowy fiat i Rosenthal wsiadł do niego.

Kierował mężczyzna, którego zauważył w porcie lotniczym. Włączyli się do ruchu i mężczyzna rzekł:

- Jesteś czysty.

- Dobrze. Co z kobietą?
 - Jest w biurze. Yanta śledził ją dziś rano w drodze do pracy. Dotarła tam o dziewiątej i nie wychodziła.
- Co z jej mieszkaniem?
 - Postanowiliśmy poczekać na ciebie, zanim tam się zjawimy.

Rosenthal skinął głową. Mężczyzna za kierownicą nazywał się Jordan Sunberg. Chociaż sprawiał wrażenie starszego o dziesięć lat od Rosenthala, w rzeczywistości był od niego dwa lata młodszy. Miał gęstą czarną brodę i niesforne, kręcone włosy. Ostatnio często razem pracowali. Byli ulubionymi agentami Freidmana.

- Masz to, o co prosiłem?

- Tak. Wszystko jest w mieszkaniu. Rosenthal spojrzął na zegarek.
- Dobrze. Załatwimy to dziś wieczorem.

15

Rapp obserwował, jak Anna - z rozpostartymi ramionami i brodą uniesioną ku ręcznie malowanemu sklepieniu - krąży na środku piętnastowiecznej klasztornej celi, zamienionej w piękny pokój hotelowy. Nie mogła uwierzyć, że to ich pokój, a nie jakieś muzeum. Rapp był uszczęśliwiony jej reakcją. Obserwując to wirowanie, myślał, że teraz przypomina małą dziewczynkę. Poczł cień smutku, że tak wiele stracił z jej życia, chociaż wiedział, że to nie ma sensu, bo przecież wcześniej nie mogli się spotkać. Ona wychowywała się w Chicago, on dorastał w

Wirginii. Poza tym gdyby się nawet wcześniej spotkali, nie było żadnej gwarancji, że teraz byliby razem.

Anna wyszła z pokoju na mały balkon, znajdujący się od strony wewnętrznego dziedzińca. Mitch stanął za nią i objął ją w pasie. Przytuleni do siebie, patrzyli na wypielęgnowany dziedziniec. Każde drzewo, każdy krzew, stoliki i parasole - wszystko tu było doskonałe.

Anna lewą ręką dotknęła twarzy Mitcha. Przechylając głowę, znalazła jego usta i obdarzyła go długim pocałunkiem. Gdy ich usta rozdzieliły się, powiedziała:

- Tak bardzo cię kocham.
- Ja też ciebie kocham. - Objął ją silniej i zaczął całować w szyję.

Minutę później prowadził ją w kierunku szerokiego łóża.

- Co robisz? - zapytała żartobliwie.
- Próbuję cię uwieść. - Przyłgął do niej i cały czas całując, zrobił ostatni krok w kierunku łóżka.

Anna chwyciła go za ręce, uwolniła się, wykręciła i pchnęła na posłanie. Mitch poddał się i wylądował wygodnie na jego środku. Wyciągnął rękę, zapraszając ją, żeby się do niego przyłączyła. Ku jego rozczarowaniu pokręciła głową, podparła się pod boki i stanęła w buntowniczej pozie.

- Chodź, kochanie.
- Nic z tego. W Mediolanie będziemy tylko półtora dnia i nie zamierzam tego czasu spędzić w łóżku.
- Dlaczego?
- Nie zadawaj głupich pytań.
- Chodź - powtórzył, wabiąc ją. - To nie **potrwa długo**.

- Może dla ciebie. Rapp się roześmiał.

- No chodź... bądź miła.

- To nie ma nic wspólnego z byciem miłą... Jestem realistką. Jeżeli teraz położę się przy tobie, zaczniemy się kochać i potem zaśnieś. Ja teraz nie chcę spać. Chcę wyjść i zwiedzać miasto. - Skierowała się do łazienki. - Poza tym zawsze jesteś lepszy, kiedy każę ci czekać.

Rapp patrzył na fresk na suficie.

- Muszę nad tym popracować.

Demonstracyjnie jęknął i wstał z łóżka. Rozebrał się i wszedł do łazienki.

Anna, nakładając makijaż, odwróciła się od lustra. Spojrzała na swego nagiego przyjaciela i zapytała z niedowierzaniem:

- Czyżbyś chciał tego aż tak bardzo?

- Jak widzisz. - Uśmiechnął się, klepnął ją w pupę, wyminął i wszedł pod prysznic.

Po kąpieli poszedł do sypialni i włożył świeże ubranie.

Stojąc nad walizką, zastanawiał się nad następnym ruchem. Kusiło go, by złożyć pistolet i ulokować go w specjalnej wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki, ale wiedział, że to zaproszenie dla katastrofy. Anna obejmie go, gdy wyjdą z hotelu, i zaraz wyczuje kształt broni. Zawsze tak robiła. Przynajmniej w Stanach. Wychowywała się w domu pełnym broni. Jej ojciec i obaj bracia byli policjantami. Rapp odwiedził jej rodzinę. Tak jak wszyscy dobrzy policjanci w Chicago, po służbie nadal nosili broń.

Najlepiej byłoby pokazać Annie broń tu, w pokoju, ale nie chciał tego robić, nie wiedząc, czy nie założono tu podsłuchu. Postanowił więc

powiedzieć jej o tym, gdy wyjdą z hotelu. Chwycił aktówkę i zaniósł do salonu. Położył na otomanie i szybko wyjął suszarkę do włosów, tubę kremu do golenia i radio. Rozebrał je, po dwóch minutach złożył broń, a przedmiotom przywrócił właściwe im funkcje. Skórzana kurtka wisiała na oparciu krzesła. Wsunął pistolet do wewnętrznej kieszeni.

Kiedy Anna była gotowa, zeszli do La Veranda, aby coś zjeść. Mieli całą restaurację dla siebie. Pora śniadaniowa minęła, a na lunch było jeszcze za wcześnie. Anna zamówiła zupę, natomiast Mitch kanapkę z pieczoną wołowiną. Spojrzała na niego zatroskana.

- Nie boisz się trochę szalonych krów? Rapp spojrzał za siebie.
- Gdzie? Jest tu jakaś puszczone samopas? Zaśmiała się i pokręciła głową.
- Wiesz, o czym mówię.

- Tak, wiem, i doceniam twoją troskę, ale mam większą szansę na trafienie piorunem niż zarażenie się chorobą szalonych krów.

Nie chciała rozwijać tego tematu, napiła się wody i zapytała:

- Kiedy zajmiesz się tą swoją sprawą?
 - Próbowałem na górze, ale sprowadziłaś mnie do parteru - odparł poważnie.
 - Och - uśmiechnęła się - widzę, że jesteś dziś w prawdziwie młodzieńczym nastroju.
- Tylko w miłosnym. To wszystko.
- Możesz być przez chwilę poważny?
- Mogę. - Rapp ugryzł kawałek chleba.
- Kiedy chcesz się spotkać z tą osobą? Ugryzł następny kawałek

i odparł:

- Dziś po południu spróbuję nawiązać kontakt.
- Czy to koliduje z naszymi planami na wieczór? Zastanawiał się przez chwilę.
- Nie powinno.

Anna spojrzała na niego rozczarowana.

- Kochanie, przecież mówiłem ci, że muszę się tym zająć. Wybraliśmy się na długą wycieczkę, ale tym muszę się zająć na samym początku. - Skupił uwagę na kanapce, czekając, aż da mu znać, że rozczarowanie minęło. Kiedy się uśmiechnęła, wyciągnął rękę przez stół i powiedział: - Poza tym mam niejasne przeczucie, że po spacerze po mieście wieczorem będziesz bardzo zmęczona.

Podano zamówiony posiłek i szybko zjedli. Przed wyjściem Rapp wypił jeszcze podwójne cappuccino w celu pobudzenia energii i zasugerował Annie, żeby zrobiła to samo. Nie interesowało go piękno Duomo, zwiedzanie bardziej go męczyło niż przepłynięcie trzech kilometrów. Anna zamówiła zwykłe cappuccino. Rapp podpisał rachunek i opuścili hotel.

Był słoneczny dzień. Temperatura sięgała piętnastu stopni. Wspaniała pogoda na spacer. Anna była nieco bardziej elegancko ubrana od Mitcha. Fakt, że Mediolan był światową stolicą mody, wywarł wpływ na korespondentkę NBC w Białym Domu. Zamiast skierować się prosto do wielkiej katedry, Rapp poprowadził Annę na północ, na Via della Spiga, i wkrótce znaleźli się na Via SanfAndrea. Katedra musiała poczekać. Pierwszym domem mody był Hermes, potem zastąpi go Fendi.

Rapp dobrze znał tę ulicę i wiedział, jakie zrobi wrażenie na Annie. Był przekonany, że dojście do następnej przecznicy zajmie im wiele godzin. Tu mogli natknąć się na domy mody Prądy, Moschino, Chanel, Gianfranca Ferre i Giorgia Armaniego. Sam sklep Prądy może im zająć dwie godziny.

Anna stała, gapiąc się na wystawę Hermesa. Rapp widział, jak walczy z sobą. W końcu spojrzała na niego i oznajmiła:

- Chcę tu wejść na minutkę.

Roześmiał się.

- Zwycięstwo komercji nad katolicyzmem. Twoja matka byłaby bardzo zawiedziona.

Anna spojrzała groźnie.

- Tylko minutkę.

- Nie martw się, kochanie. Mamy przed sobą cały dzień. Duomo możemy zwiedzić jutro.

Rapp otworzył drzwi i zaprosił Annę do środka. Zanim ruszył za nią, rzucił jeszcze badawcze spojrzenie na ulicę, w stronę domu Armaniego. Gdzieś w tym budynku znajdowała się Donatella. Przynajmniej taką miał nadzieję. Zlecił Marcusowi Dumondowi, żeby przed jego przylotem do Włoch trochę pomyszkował. Geniusz komputerowy Du-mond był rezydentem Centrum Antyterrorystycznego. Włamał się do sieci Armaniego i wykorzystując zdolności lingwistyczne Rappa, ustalili tygodniowy rozkład zajęć Donatelli w Mediolanie. Rapp szczególnie zapamiętał plan na dwa dni jego pobytu w Mediolanie. Spojrzał na zegarek - zbliża się odpowiednia pora. Jeszcze pół godziny buszowania po sklepach i znika.

Rosenthal i Sunberg zaparkowali auto kilka przecznic dalej i pieszo ruszyli do kawiarni. Gdy skręcili w SantfAndrea, Rosenthal z zadowoleniem zobaczył Davida Yantę siedzącego przy małym stoliku i rozmawiającego z ożywieniem z dwoma rzucającymi się w oczy kobietami, które najwyraźniej przyczepiły się do niego. Z pewnością jakieś modelki. W mieście było ich pełno. Rosenthal był zadowolony, że Yanta nawiązał kontakt z kobietami, miał bowiem nadzieję na mały seks w czasie tej misji. Był też zadowolony dlatego, że nikt tak nie rzuca się w oczy jak samotny mężczyzna siedzący w kawiarni.

Gdy zbliżyli się do stolika, Yanta wstał i z entuzjazmem przedstawił kolegom obie piękne panie. Teraz nadszedł czas na zaprezentowanie przygotowanej wcześniej bajeczki z pewnymi wariacjami. Otóż panowie pracują w międzynarodowym towarzystwie telekomunikacyjnym z siedzibą w Paryżu. Przyjechali do Mediolanu, aby nawiązać kontakt z korporacją oponiarską Pirelli-Armstrong w celu zbadania jej i zawarcia kontraktu na jeden z ich nowych produktów.

Yanta zamówił dla wszystkich kawę i wyjął świeżą paczkę papierosów. Zapalili, ale nikt nie zdjął przeciwsłonecznych okularów. To był Mediolan. Należało sprawiać wrażenie modnych. Yanta nadal zabawiał modelki fantastycznymi opowieściami o podróżach. Rosenthal obserwował ich z lekkim rozbawieniem. Yanta to największy łgarz, jakiego znał. Ten człowiek mógł dyskutować z każdym. Trochę dureń, ale przydatny ze względu na umiejętność posługiwania się humorem pełnym delikatnej autoironii. Kobiety łatwo temu ulegały. Yanta często powtarzał, że gra na ich instynktach, podobnie jak uzdrowiciel leczący środkami naturalnymi. Rosenthal sądził, że najbardziej służy to usypianiu ich czujności i

wprowadzaniu w dobry nastrój. Cokolwiek to było, zawsze skutkowało.

Rosenthal udawał zainteresowanie rozwijającą się przy stoliku dyskusją i od czasu do czasu spoglądał na ulicę, w kierunku domu mody Armaniego. Sala pokazów mieściła się na parterze, a biura na wyższych piętrach. Gdzieś na drugim piętrze było biuro Donatelli Rahn. Dokumentacja Freidmana zawierała wszystkie szczegóły na temat trybu jej życia. Mieszkała tylko o osiem przecznic stąd, w eleganckiej dzielnicy Mediolanu, usytuowanej po wschodniej stronie Giardini Pubblici. Codziennie pieszo szła do pracy. Letnie urlopy spędzała w małej willi nad jeziorem Como, zimą jeździła na narty w Alpy szwajcarskie, a gdy było ciepło, odbywała wycieczki do Grecji. Jej praca wiązała się z podróżami i prawie co miesiąc wyjeżdżała do Paryża i Nowego Jorku.

Była doskonałym wabikiem. Taka cudowna kobieta mogła na różne sposoby kusić wrogów i osłabiać ich czujność. Rosenthal zgadywał też, że całymi latami wykorzystywano ją do uwodzenia i szantażowania wpływowych ludzi. Dokumenty, jakie Rosenthal otrzymał od Freidmana, nic nie wspominały o jej misjach operacyjnych, ale Rosenthal doskonale wiedział, jaki mogły mieć charakter. Widział, jak to robiono. Była przynętą wciągającą wrogów w zasadzkę.

Ale coś go niepokoiło. Jeszcze w gabinecie Freidmana dowiedział się od starego, że ta kobieta zabiła więcej osób niż oni obaj razem. Rosenthal ostrożnie założył, że mogło ich być dwadzieścia, liczba ta zaś przekraczała wszelkie wyobrażenia co do możliwości jednej kobiety. Podczas lotu z Rzymu doszedł do wniosku, że stary pewnie pominął słowo „pomogła”. Pomogła zabić więcej osób, niż ty i ja zabiliśmy w naszej karierze, tak zapewne chciał powiedzieć.

Poza tym gdy Freidman ją rekrutował, była modelką mającą bardziej niż częsty kontakt z heroiną. Z tego, co wyczytał w aktach, wynikało, że Donatella wywodziła się ze względnie normalnego środowiska włoskiego. Nic nie wskazywało na to, że ma do czynienia z wybitną zabój-czynią. Najprawdopodobniej była tylko bardzo drogą prostytutką, która trochę za dużo gada. Albo o jeden raz za dużo oszukała Freidmana na pieniądze. Rosenthal wzdrygnął się na tę myśl.

Postanowił stłumić ciekawość. Freidman rozkazał mu zabić tę kobietę i to wystarczy. Nie obchodzi go, co zrobiła. Wiele razy zabijał dla Freidmana i nigdy nie zadawał pytań. Jest szczerym patriotą i nie zawiedzie. Do północy rozkaz będzie wykonany. Izrael przestanie mieć problem, a nikt na świecie nie będzie miał pojęcia, że do zabicia pięknej włoskiej modelki przyczynili się agenci Mosadu.

16

Donatella Rahn stała przed ogromnym szklanym biurkiem i przeglądała serię zdjęć z polaroidu, które właśnie dostarczono jej do gabinetu prosto z sesji zdjęciowej na mieście. Po ponad dwudziestu latach pracy w tym biznesie - z czego pierwsze dziesięć spędziła przed obiektywami kamer, a następne na dbaniu o interesy domu mody Armaniego - potrafiła odróżnić, co jest dobre, a co złe. Z tych zdjęć wyraźnie wynikało, że sesja była nieudana. Zaklęła pod nosem, licząc, ile tysięcy dolarów poszło w kanał. Wyglądało na to, że musi wziąć taksówkę i zająć się tym osobiście. To jedyny sposób, który zawsze działał. W tej branży

potrzebna jest pasja tworzenia. Bez tego wszystko wychodzi miernie. Od projektantów do fotografów, stylistów i modelek, jeżeli ktoś nie wykazuje entuzjazmu do projektowania strojów i robienia zdjęć, w najlepszym razie osiąga się nijaki efekt. A to nie wystarczy w wypadku Armaniego.

Aby opisać Donatellę Rahn, można by użyć wielu słów, ale z pewnością nie należało do nich słowo „nijaka”. Po ojcu Austriaku była praktyczna i zdecydowana, natomiast pasję twórczą i namiętność odziedziczyła po matce Włoszce. Poświęciła dużą część życia, aby uporządkować te cechy charakteru i nauczyć się je kontrolować, a przynajmniej wykorzystywać we właściwych obszarach życia. Z łatwością udaje się to ludziom, którzy nie są tak oszałamiająco piękni jak Donatella, ale poza urodą miała też niezwykle złożoną osobowość. Wielu mężczyznom całymi latami nie udawało się tego dostrzec. Widzieli tylko jej piękną twarz i albo odchodzili ze złamanym sercem, albo porzucali ją, tracąc serce na zawsze.

Mając trzydzieści osiem lat, Donatella wyglądała i czuła się lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Tak, miała kilka zmarszczek w okolicy oczu i jej skóra nie była już tak błyszcząca i elastyczna jak w wieku osiemnastu lat, ale czuła, że teraz jest kobietą dojrzałą. We wszystkim, co robiła, była pewność siebie. Pracując jako modelka, często była niezdecydowana - przynajmniej na początku. Była posągowo piękną, wysoką kobietą o bujnych, jedwabście czarnych włosach. Miała jędrne piersi, nieco powiększone chirurgicznie w czasach, gdy pracowała jako modelka, ale twarz zachowała naturalną. Jej wygląd był wynikiem perfekcyjnej kombinacji elegancji ze sprawnością osoby uprawiającej sporty. Minał już czas anemicznej, tyczkowatej postury modelki. Jej ciało nabrało tężyzny. Krótko mówiąc, należała do typu kobiet pożądanych przez mężczyzn.

Doskonała prezencja Donatelli Rahn mogłaby niejednego wprowadzić w zdumienie, gdyby wiedział, jakie życie pędziła, gdy skończyła dwadzieścia lat. Była wtedy niezwykle wrażliwą, zbyt przejmującą się swoją wagą, uwagami fotografów i reżyserów, głupią, niezdecydowaną dziewczyną. Uległa ciemnej stronie zawodu modelki. Każda noc tygodnia była balangą. I to nie tylko w Mediolanie. Dla niej cały świat był miejscem zabawy. Dzikie orgie w egzotycznych zakątkach w towarzystwie bogatych mężczyzn. Prawie przez rok życie wymykało się jej spod kontroli, aż w końcu wszystko legło w gruzach.

Poleciała do Tel Awiwu na sesję zdjęciową i na cle pojawił się pewien problem. W jej bagażu znaleziono dwie uncje heroiny i dostała się do więzienia. Nie była dobrze traktowana. Nie pamiętała wszystkich szczegółów, wszystko było zamglone i przepełnione krzykiem. Kilka razy uderzyli ją, jednak najbardziej zapamiętała zimno. Było jej strasznie zimno, a potem pojawił się mężczyzna.

Pierwszym wyraźnym obrazem, jaki ujrzała, była postać współczującego Bena Freidmana. Przyniósł koc; przyniósł jej ciepło. Potem sprowadził lekarza, który dał jej zastrzyk pomagający na głód heroiny. Następnie złożył jej propozycję. Propozycję, której nie mogła odrzucić. Albo spędzi najlepsze lata życia w izraelskim więzieniu, albo będzie dla niego pracować. Wtedy nie była to trudna decyzja, nie miała bowiem pojęcia, co się za tym kryje. Wiedziała tylko, że nie chce gnić za kratami.

Freidman wszystko zorganizował. Donatellę przeniesiono do kliniki rehabilitacyjnej. Zatelefonowała do swojej agentki w Mediolanie i poinformowała ją, że sięgnęła dna i potrzebuje pomocy. Agentka nie była

tym zaskoczona. Widywała już ją w takim stanie, więc i teraz przyjęła to ze zrozumieniem, życząc Donatelli wszystkiego najlepszego. Powiedziała, żeby się trzymała, a kiedy będzie się lepiej czuła, znajdzie dla niej mnóstwo pracy. Następny był płaczliwy telefon do matki. Matka przyjęła z ulgą koniec samo-oszukiwania się córki, przez co także i Donatella odetchnęła z ulgą - teraz mogła zadbać o swoje zdrowie. Zgodnie z poleceniem Freidmana powiedziała matce, że mogą rozmawiać tylko raz w tygodniu, w niedzielę. Podała jej numer telefonu, którego mogła użyć tylko w nagłym wypadku, i pożegnała się. To nie był numer do kliniki, ale przekierowywał rozmowę prosto do kwatery głównej Mosadu, gdzie ktoś miał odebrać telefon i przekazać każdą wiadomość.

W rzeczywistości nie istniała żadna klinika. Donatellę zabrano do obozu wojskowego w pobliżu Abdy na południu Izraela. Lekarz i zespół pielęgniarek pilnie badali stan jej zdrowia. A jej czas wypełnił nie ustający strumień instruktorów. Ćwiczenia z bronią krótką, samoobrona, niezwykle wyczerpujące ćwiczenia fizyczne, ćwiczenia pamięci i wiele innych. Męczono ją cały tydzień, od świtu do zmroku. Często myślała, że dłużej nie wytrzyma. Przeżywała momenty takiej desperacji, że wydawało jej się, iż więzienie było lepszym wyjściem. Ale za każdym razem, gdy sięgała dna rozpacz, pojawiał się Ben Freidman. Działał zgodnie z ustalonym od lat zwyczajem.

Dopiero znacznie później poznała jego naturę: chciał być postrzegany jako zbawiciel. Osoba, na którą zawsze można liczyć. Pojawiał się zimnymi nocami w wyludnionym obozie z chlebem i butelką wina. Spędzał z nią wiele godzin, słuchając jej opowieści i próbując dowiedzieć

się o niej jak najwięcej. To znaczy tak wtedy myślała. W rzeczywistości Ben Freidman wiedział już o Donatelli Rahn bardzo dużo. Teraz testował, na ile była szczerą.

Czas płynął, a życie w obozie stawało się coraz trudniejsze. Donatella często wspominała wtedy wieczory spędzone z Freidmanem. Po raz pierwszy w życiu nawiązała z mężczyzną psychiczny kontakt. Biorąc pod uwagę jej wyjątkową urodę, nic dziwnego, że większość mężczyzn bardziej interesowała się jej ciałem niż umysłem. Ale nie Freidman, on chciał tylko rozmawiać. Na początku Donatella myślała, że jest żonaty, potem, że jest gejem, ale ostatecznie przekonała się, że się myli. Był po prostu niezwykle oddanym pracy profesjonalistą.

W końcu Freidman sam zaczął więcej mówić. Szczegółowo wyjaśnił jej niepewną sytuację Izraela. Pomógł dotrzeć do jej żydowskich korzeni i przedstawił przerażające niesprawiedliwości, jakie dotknęły Dom Dawidowy. Powoli Donatella stawała się coraz silniejsza i rosło w niej oddanie dla Bena Freidmana. Po dwóch miesiącach była już **tak lojalna, że gotowa była dla niego zabić - i to nie raz, lecz wiele razy.**

Rapp pocałował Annę w policzek i wyszedł ze sklepu Prądy. Anna po godzinie penetrowania wieszaków bez sprzeciwu uwolniła się spod jego kurateli. Mitch hamował jej zapędy. Nigdy w życiu nie widziała tak pięknych ubiorów i akcesoriów. Teraz zupełnie swobodnie mogła się poświęcić zakupom. Przed wyjściem opisał jej okolicę i powiedział, że mniej więcej za godzinę zaprowadzi ją do Chanel. Musi, wyjaśnił, znaleźć księgarnię i kawiarnię, gdzie serwują dobrą kawę.

Idąc ulicą, czuł napływ sprzecznych emocji. Dręczyło *go* ciągle

oszukiwanie Anny, ale jego praca wymagała pomijania pewnych szczegółów. Zastanawiał się, jak powiedzieć Annie o Donatelli, ale każde wyobrażenie sobie tej rozmowy kończyło się katastrofą. Może jednak nie doceniał Anny?

Teraz uznał, że powinien zataić przed Anną prawdę. Donatella była przeszłością. I co ważniejsze, nie była kobietą, z którą chciał się żenić. Skinął głową, zadowolony z takiego logicznego rozumowania. Doszedł do wniosku, że nie robi nic złego, więc szedł dalej w kierunku domu mody Armaniego. Ale to zadowolenie minęło już po kilku krokach, gdy przyszło mu na myśl, że potajemne spotkanie z dawną kochanką w czasie urlopu z kobietą, którą chce poprosić o rękę, może przynieść kłopoty. Jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, żeby Annie mogło się to spodobać. Skrzywił się na myśl o jej reakcji. Przestał jednak szukać innego rozwiązania, bo doszedł do wniosku, że nie ma żadnego. Nie mógł dochować tajemnicy i równocześnie być z Anną szczery. To było niemożliwe. Musiał tylko mieć pewność, że przeszłość nie zakłóci przyszłości.

Rapp instynktownie skupił się na badaniu okolicy. Czekają go potajemne spotkanie i czas się tym zająć. Obserwował samochody zaparkowane przy chodnikach. Między dwiema przecznicami stał tylko jeden van. Natychmiast zapamiętał markę i numer rejestracyjny. Van stał po drugiej stronie ulicy, więc przeszedł tam, żeby mu się bliżej przyjrzeć. Chciał się też przekonać, czy w innych samochodach ktoś siedzi. Mijając **vana, obejrzał dach, szukając** anten albo kierunkowych **mikrofonów. Wyglądało na to**, że jest czysty.

Miał przed sobą kwaciarnię, a dalej znajdowała się kawiarnia ze stolikami na chodniku. Minął kwaciarnię i wszedł do kawiarni. Po drodze

zanotował, że przy stolikach na chodniku siedzą klienci. Zamówił przy kontuarze kawę po włosku i zapłacił. Rapp mówił poprawnie po włosku, chociaż lepiej posługiwał się francuskim i arabskim. Z kubkiem parującej kawy w ręku cofnął się do kwiaciarni. Za ladą powitała go serdecznie kobieta w średnim wieku i zapytała, czym może służyć. Rapp podszedł do stoiska z różami i zaczął je oglądać. Kobieta poinformowała go, że modne są czerwone z długimi łodygami. Rapp zastanowił się przez chwilę i doszedł do wniosku, że kolor czerwony może dać zły sygnał. Zdecydował, że żółty jest bezpieczniejszy. Poprosił tuzin żółtych róż i czekał, aż kobieta ułoży je w bukiet i zawinie w bibułę. Zapłacił gotówką i z bukietem w jednej ręce, a kawą w drugiej przeszedł przez jezdnię. Obok oszklonej wystawy były drzwi z kamerą. Po lewej stronie znajdowała się skrzynka domofonu, a pod nią napis po włosku: „Tylko dla osób umówionych”. Rapp odruchowo odwrócił twarz od kamery i nacisnął guzik. Po sekundzie usłyszał kobiecy głos, pytający, w jakiej sprawie. Rapp odpowiedział, że ma dostarczyć kwiaty przeznaczone dla Donatelli Rahn. Rozległo się brzęczenie, zamek puścił i Rapp wszedł do małego foyer.

Wspiął się na schody i stanął przed kobietą, której głos słyszał w głośniku. Prawie cała składała się z nóg, których każdy cal widać było przez szklany blat biurka. Była bardzo ładna, ale, jak większość modelek, niestety niezwykle chuda. W wielu innych miastach z pewnością pracowałyby w zawodzie, w Mediolanie zaś została relegowana do roli recepcjonistki. Rapp rozbroił kobietę uroczym uśmiechem i powiedział:

- Jestem starym przyjacielem Donatelli i spodziewam się, że sprawię jej tym miłą niespodziankę. - Uniósł wyżej bukiet kwiatów.

Kobieta odwzajemniła miły uśmiech i próbując go ocenić, obrzuciła

wzrokiem od stóp do głów.

- Sprawia pan wrażenie **mężczyzny w typie Donny**. -

Ponownie uśmiechnęła się **zalotnie** i **chwyciła słuchawkę** wewnętrznego telefonu.

Rapp zbliżył się do biurka.

- Ja naprawdę chcę sprawić jej niespodziankę.

Kobieta zawahała się ze słuchawką na ramieniu. **W końcu** odłożyła ją na widełki i zapytała:

- Wie pan, gdzie mieści się jej gabinet?
- Nadal na końcu korytarza po lewej?
- Tak.
- Dziękuję. Jest pani bardzo miła.

Rapp mrugnął do niej i ruszył korytarzem. Zbliżając się do drzwi gabinetu Donatelli, zwolnił, notując fakt, że serce zaczyna mu bić szybciej. Wiedział, że nie ma to nic wspólnego z jakąś zasadzką albo perspektywą przemocy. To na myśl o spotkaniu z Donatella. Kiedyś często się widywali, ale przeważnie albo w akcji, albo w łóżku.

Drzwi były otwarte. Rapp nie zapukał, ale też nie wszedł. Stał jak skamieniały, wpatrując się w sylwetkę Donatelli. Siedziała plecami do drzwi i przeglądając coś, pochylała się nad biurkiem. Rapp widział, jak jedną rękę wsparła na biodrze, drugą zaś odgarnęła gęste, włosy i zaczęła masować mięśnie karku. Ta kobieta jak żadna inna emanowała seksem. Miała na sobie czarne skórzane spodnie, doskonale podkreślające smukłą sylwetkę, białą bluzkę i czarne buty z ostrymi czubkami. Na widok długich opalonych palców obejmujących opięte biodro załapała go powódź erotycznych wspomnień. Poczul cień winy za tego rodzaju myśli i zmusił

się do skupienia uwagi na stojącym przed nim zadaniu.

Chciał zaskoczyć Donatellę. Z wyrazu jej twarzy natychmiast wywnioskuję, czy maczała palce w intrydze mającej na celu zabicie go w Niemczech. Wierzył, a przynajmniej chciał wierzyć, że nie miała z tym nic wspólnego. Razem z Kennedy byli przekonani, że zwabienie go w zasadzkę nie było w interesie Izraela. Mosad znany był z brutalnego działania, ale trudno sobie wyobrazić, jaką korzyść miał odnieść z zabicia Rappa, upokorzenia CIA i Stanów Zjednoczonych. Rapp przez wiele lat wykonywał za nich brudną robotę. Nie, Rapp wierzył, że Donatella zrobiła to na własną rękę, i zamierzał wydobyć z niej całą prawdę.

Odchrząknął i czekał, aż Donatella się odwróci. Kiedy to zrobiła, ujrzał szeroko otwarte, ciemne, migdałowe oczy i pełne usta rozchylone w zapraszającym uśmiechu. Wyciągnęła ręce i ruszyła przez pokój na jego spotkanie. Rapp wbrew woli odwzajemnił uśmiech. Wszedł do gabinetu i znalazł się w jej objęciach. Jego dawna kochanka jak zwykle wsunęła ręce pod kurtkę, przesunęła je w górę, chwyciła za ramiona i mocno przywarła do niego pierściami. Zamknęła oczy i pocałowała go namiętnie. Po chwili złożyła głowę na jego piersi i przyciskając go z całej siły do siebie, powiedziała po włosku:

- Och, jak mi ciebie brakowało.

Rapp, trzymając niezręcznie kwiaty w jednej ręce i kubek z kawą w drugiej, pocałował ją w czubek głowy i powiedział też po włosku:

- Mnie też ciebie brakowało.

Przytuliła go jeszcze silniej, a potem uwolniła. Zamykając drzwi gabinetu, zapytała:

- Dlaczego nie zadzwoniłeś?

Rapp niewinnie wzruszył ramionami.

- Byłem w pobliżu, więc postanowiłem wpaść. Pewnie zrobiłabyś tak samo, będąc w Stanach.

Dobrze wiedział, że to ona była na Uniwersytecie Geor-ge'a Washingtona. Na moment odwróciła wzrok. To ona zabiła Petera Camerona.

- To dla mnie? - Odebrała kwiaty od Rappa. Podeszła do długiego bufetu przy oknie i wyjrzała na dziedziniec. - To bardzo miłe z twojej strony. Nigdy nie dawałeś mi kwiatów. - Rozwinęła bibułę i odwróciła się do Rappa z bukietem w wyciągniętych rękach. - Co to znaczy?

Spojrzał na kwiaty, potem na Donatellę. Nie był pewien, co miała na myśli.

- Żółte - wyjaśniła wyraźnie rozczarowana. - Żółte na dają się dla sekretarki, a nie kobiety, z którą dzieliłeś łóżko. - Rzuciła bukiet na bufet i założyła ręce na piersiach.

Rapp poczuł się niewyraźnie, ale zaraz pomyślał o Annie. Nie mógł planować z nią małżeństwa i równocześnie dawać czerwone róże byłej kochance.

- To piękne kwiaty.

- Tak, piękne, ale nie czerwone. - Donatella patrzyła

- na niego podejrzliwie. - Jest ktoś inny, prawda? Ktoś bardzo ważny?

- Tak - odparł z mieszaniną dumy i lęku. Donatella wiele dla niego znaczyła i nie chciał ranić jej uczuć.

Obserwowała go przez chwilę, wiedząc, że to bardzo dla niego trudne. Postanowiła ukryć przed nim prawdziwe uczucia, objęła go i mocno

uściskała. Równocześnie jednak miała wrażenie, że otworzyła się przed nią czarna otchłań. Jakaś jej część, zapewne ta głupsza, zawsze miała nadzieję, że pewnego dnia odejdą razem z Mitchem z agencji, dla których pracowali, pobiorą się i będą mieli dziecko. Pocałowała go w policzek i powiedziała:

- Gratuluję. Znam ją?

Rapp, jękając się, odpowiedział ostrożnie:

• Nie wiem... może.

• Jest tu, w Mediolanie? - Patrzyła na niego badawczo brązowymi oczami.

Chciał skłamać, ale postanowił powiedzieć prawdę:

• Tak. Jest tu.

• Nie chcesz, żeby się ze mną spotkała.

• Nie... Tego nie powiedziałem. Tylko mogłoby to być trochę kłopotliwe.

• Powiedz mi, proszę, czy ona wie, co robisz? A może powinnam powiedzieć: „co naprawdę robisz”?

• Wie - odparł Rapp. - Na nieszczęście wie więcej, niż powinna.

- Zatem na czym polega problem? Z chęcią ją poznam.

Rapp jednak nie planował takiego spotkania.

- Byliśmy kochankami, Donatello. Nie pałam chęcią poznania jej byłych facetów.

Donatella zwróciła szczególną uwagę na pierwsze zdanie.

- Tak, byliśmy kochankami. - Przechyliła głowę kokietyjnie i zapytała: - Co z seksem?

Rapp zmarszczył brwi.

- Donatello.
- Jest tak samo dobry jak nasz? - nalegała i w tym pytaniu zawarła całą swoją włoską namiętność.
- Donatello, myślę, że nie powinniśmy o tym rozmawiać.
- Z pewnością nie jest taki sam - oświadczyła.
- Doskonale **do siebie pasujemy**.
- Amerykanka?
- Tak.

Donatella roześmiała się szyderczo.

- Zatem to niemożliwe. W żaden sposób nie może być lepszy.

Z jakiegoś powodu poczuł potrzebę bronienia Anny.

- Hej, nasz seks jest cudowny.

- Lepszy od naszego? - zapytała z niedowierzaniem.

Rapp wiedział, że nie może odpowiedzieć na to pytanie, nie wzbudzając gniewu Donatelli albo nie będąc lojalnym wobec Anny.

- Jest inny, Donatello. Rozumiesz?

- Ha! - zaśmiała się z wyraźnym zadowoleniem. - Wi-dzę w twoich oczach, że nie jest lepszy. - Obeszła biurko.

Otworzyła szufladę i wyjęła paczkę papierosów. - Chcia-łabym się z nią spotkać. Może dziś wieczorem na kolacji? -

Zapaliła papierosa.

Rapp odrzucił nawet cień myśli, że go kusi, i skorzystał ze sposobności, aby podać prawdziwy powód przylotu z Ameryki.

- Muszę z tobą o czymś porozmawiać.
- Co ona robi?

- Zmieńmy temat - zaproponował stanowczo, stając przed biurkiem.

Donatella zaciągnęła się i patrząc podejrzliwie przez chmurę dymu na Rappa, powiedziała:

- Nie wierzę ci. Ona nie może wiedzieć, co robisz dla swojego rządu.
- Wie. Widziała mnie w akcji.
- Jak? Kiedy?
- Pamiętasz ten incydent w Białym Domu zeszłej wiosny?
- Oczywiście. Ben mówił, że byłeś w to zaangażowany.
- Była jedną z zakładniczek.
- Ach... syndrom sztokholmski.

Rapp zmarszczył brwi. Syndrom sztokholmski dotyczył zakładników sympatyzujących z terrorystami, którzy ich uwięzili.

- Donatello, ja nie byłem terrorystą. Ja ich zabiłem.
- No dobrze, zatem to syndrom Florence Nightingale.
- Nie. - Pokręcił głową z uśmiechem. - Nie byłem też pielęgniarką.
- Och... - Zniechęcona machnęła ręką. - Wiesz, co mam na myśli.

- Nie, nie chcę tego wiedzieć i nie ciągnijmy tego te matu. — Przerwał, obserwując, jak nerwowo pali papierosa. - Nie spodziewałem się, że będziesz zazdrosna - oznajmił z figlarnym uśmieszkiem.

- Jasne, że jestem, i ty też byś był, gdybym się w kimś zakochała.

Rapp chciał być szczery.

- Tak - odparł w zamyśleniu - byłbym zazdrosny. -

Okrzyknął biurko i objął ją.

Donatella zgasila papierosa.

- Prowadzimy takie pieprzone, samotne życie. A teraz ja jestem sama, a ty nie. - Ukryła twarz w jego ramionach. - Jesteś jedynym mężczyzną, którego naprawdę kocham. Jedyną osobą, która naprawdę mnie zna.

Rapp pogładził jej włosy.

- Czuję to samo, co ty, ale wiesz, że nasza znajomość na dłuższą metę się nie sprawdzi. Jesteśmy za bardzo do siebie podobni.

Donatella spojrzała na niego. W jej oczach nie było łez. Była zbyt twarda.

- Tak, pewnie masz rację. - Uwolniła się z jego objęć i cofnęła o krok. - Poprosiłeś ją o rękę?

- Jeszcze nie.

- Więc zamierzasz to zrobić?

Rapp skinął głową.

- Naprawdę chciałabym ją poznać. - Widząc reakcję Rappa, dodała: - Mówię poważnie. Nie martw się, nie zrobię nic głupiego. Jeżeli ją kochasz, musi być czarującą kobietą.

- Jest dziennikarką. - Rapp nie wiedział, dlaczego zdradził ten szczegół.

- Nie mówisz poważnie.

- Poważnie.

- Wie o mnie?

- Nie - odparł Rapp.

Donatella zastanawiała się przez chwilę.

- Oczywiście ufasz jej.

- Tak.
- Więc chcę ją poznać.
 - Dobrze. Zobaczą, co się da zrobić. - Rapp postawił kubek z kawą na biurku i ujął obie ręce Donatelli. - Chcę czegoś od ciebie i jest to coś bardzo ważnego. - Spojrzał w jej piękne oczy i czekał na reakcję. Donatella czuła, że to naprawdę ważne. Ostrożnie badała go wzrokiem.
- Jestem do twojej dyspozycji i zawsze będę.
- Dziękuję. Możesz się tego samego spodziewać po mnie.
- Jasne.
 - Byłaś przed dwoma tygodniami w Waszyngtonie? -Dostrzegł błysk zaskoczenia w jej oczach.

Donatella gorączkowo zastanawiała się, w jaki sposób Rapp mógł to odkryć. Była wtedy doskonale przebrana i wszystko odbyło się bez problemu. Z pewnością coś wie. Cokolwiek to było, nie mogła o tym mówić w swoim gabinecie. Tu nie było bezpiecznie. Przyłożyła palec wskazujący do ust, sygnalizując, że na ten temat powinni tu milczeć:

- Byłam w Nowym Jorku, nie w Waszyngtonie. Przepraszam, że nie zatelefonowałam, ale zatrzymałam się tam tylko na kilka dni.
 - To bardzo źle. - Rapp się cofnął. Wskazał stos papierów na biurku i kiwnął, żeby odpowiedziała na piśmie.
- Pokręciła energicznie głową i rzekła:
- O, mój Boże, zapomniałam o sesji zdjęciowej. - Wskazała fotografie leżące na biurku. - Muszę się tym zająć. To kompletna katastrofa. Może spotkamy się po pracy?
 - Dobrze. Wyznacz czas i miejsce.
 - Powiedzmy, o szóstej w Jamaica Cafe.

- Pasuje.

Rapp znowu wskazał arkusz papieru, ale Donatella ponownie pokręciła głową, tym razem bardziej stanowczo. Zrezygnowany, pocałował ją w policzek i szepnął:

- Muszę wiedzieć.

17

KAPITOL, CZWARTEK RANO

Norbert Steveken przybył na Kapitol wcześniej. Przekazał broń strażnikowi przy drzwiach i poszedł szukać swojego szefa. Steveken był typem faceta, którego można spotkać pięć, sześć razy, zanim się go zapamięta, co bardzo mu odpowiadało. To nieoceniona zaleta w jego pracy. Przeciętnego wzrostu, o orzechowych oczach i brązowych włosach, przekroczył czterdziestkę i mimo wydatnego brzuszka nadal był zdumiewająco szybki. Grał cztery razy w tygodniu w piłkę ręczną, dzięki czemu ciągle był zwinny. Norbert Steveken był też bardzo wytrwały. Ukończył Penn z wyróżnieniami i przez dwa lata pracował dla Pricewaterhouse. Zajęcie dyplomowanego buchaltera rewizora było tylko wstępem do uprawiania zawodu, który, jak sądził, był jego prawdziwym powołaniem. Już jako chłopiec marzył o tym, żeby zostać agentem FBI.

Determinacja i ciężka praca przyniosły owoce w 1986 roku, gdy został agentem specjalnym. Był to najważniejszy dzień w jego życiu. Dyrektor biura osobiście zaprzysiął go w obecności rodziców i rodzeństwa. Ale Steveken już na samym początku stwierdził, że ta praca go rozczarowuje i za bardzo angażuje. Tylko świadomość, że został członkiem najbardziej prestiżowej na świecie instytucji broniącej prawa, pozwalała mu wytrwać

na tym stanowisku przez kilka lat. Ale potem pojawiło się znużenie. Przede wszystkim rozczarowywało go to, że w ciągu trzech lat w biurze nie miał okazji ścigać prawdziwego przestępcy. Panowała tu przerażająca biurokracja; tonął w papierkowej robocie. Doszło do tego, że zaczął się nawet zastanawiać, czy warto nosić do pracy broń. W czwartym roku trochę się ożywił, gdy został przeniesiony do terenowego oddziału biura w Miami, żeby pomóc w walce z rabusiami banków. Ale trwało to tylko dwa lata, a potem znowu został przeniesiony do Waszyngtonu, gdzie czekała na niego góra papierów. Po dziesięciu latach pracy w biurze spotkał senatora Hanka Clarka.

Do standardowych procedur FBI należała pomoc Senatowi albo Izbie Reprezentantów w sprawdzaniu ludzi, których typowano na ważne stanowiska. Steveken został na rok oddelegowany do pracy z komisją Clarka. W tym czasie dobrze poznał senatora. Dla Stevekena był to rok przełomowy. Clark otworzył mu oczy na to, co się naprawdę dzieje w Waszyngtonie. Był to początek końca kariery agenta specjalnego FBI.

Mając finansowe wsparcie Clarka, opuścił biuro i zaczął działać na własną rękę jako konsultant do spraw bezpieczeństwa. Po czterech latach miał na swoim koncie trzy razy więcej pieniędzy niż dyrektor FBI. Był sam sobie szefem, jego usługi cieszyły się popytem i góra papieru zniknęła z horyzontu.

Senator Clark znał wielu wpływowych ludzi - ludzi, którzy skłonni byli dobrze płacić za informacje o przyszłych pracownikach. Płacili ojcowie, którzy chcieli, żeby przez kilka dni śledzić chłopaków swoich córek. Pięć tysięcy dolarów dziennie płacili właściciele firm za wprowadzanie ich pracowników w tajniki szpiegostwa przemysłowego i sposoby

zabezpieczania się przed nim. Tak, stwierdził, wykonał bardzo dobry ruch.

Steveken krążył w labiryncie bocznych korytarzy i klatek schodowych w poszukiwaniu kryjówki senatora Clarka. Było ich na Kapitolu tylko siedemdziesiąt, każda zarezerwowana dla najstarszych senatorów.

Niektóre wielkością przypominały skrytki na szczotki, ale większość stanowiły dość obszerne gabinety, często urządzone na podobieństwo dziewiętnastowiecznych klubów dla mężczyzn. Jeżeli jakiś senator senior przegrywał wybory albo przechodził na emeryturę lub umierał, zaczynał się szalony wyścig do przejęcia jego kryjówki. Te pokoje były prywatnymi sanktuariami elity. Chowano się w nich przed urzędnikami, lobbystami i od czasu do czasu robiono w nich nieoficjalne interesy.

Steveken znalazł kryjówkę Clarka na trzecim piętrze i zapukał w stare drewniane drzwi. Senator krzyknął, żeby wszedł.

Hank Clark poderwał się z fotela i wyszedł zza biurka.

- No i jak ci się powodzi, Norb?

- Dobrze, Hank. Dziękuję za zaproszenie. - Steveken schwycił szeroką dłoń senatora i mocno ją uściskał. Od jakiegoś czasu mówili sobie po imieniu. - Wybacz, że nie przyszedłem szybciej, ale zajmowałem się pewną sprawą w Kalifornii.

- W porządku. - Clark poklepał go po plecach. - Wiem, że nie jestem jedynym twoim klientem. - Clark szczerze lubił Stevekena. Miał duże poczucie humoru, cyniczny stosunek do życia i był lojalny. Krótko mówiąc, ufał mu. -Doceniam, że tak szybko wróciłeś.
- Nie ma sprawy. Co ci leży na sercu?
- Siadaj. - Clark wskazał kanapę i kilka foteli. - Napijesz się?

- Kawy, jeśli będziesz tak uprzejmy.

Steveken wyjrzał przez okno. Robił to zawsze, omawiając interesy z senatorem. Nie chciał, żeby ktoś ich widział razem. Poza tym lubił oglądać widok z tego okna. Było szeroko otwarte, by wpuszczać tyle chłodnego powietrza, aby stary grzejnik nieustannie pracował. Z trzeciego piętra rozciągała się wspaniała perspektywa na National Mail.

Clark nalał z termosu do dwóch kubków i zapytał:

- Jak interesy?

Usiedli, Clark na ciemnobrązowej skórzanej kanapie, Steveken na odpowiednio dobranym do kompletu fotelu. Steveken upił kawy i rzekł:

- Dobrze. Dziękuję. - Uniósł kubek w geście toastu.
 - No cóż, wykonujesz dobrą robotę, Norb. Moi przyjaciele cenią doskonałą obsługę. Jeżeli obniżysz standard, natychmiast dadzą mi o tym znać.
- Postawą jest spełnianie wymagań.
- Moi przyjaciele mają wysokie wymagania.
 - Tak, ale nigdy nie przyrzekam im tego, czego nie mogę dotrzymać, i - co ważniejsze - zawsze wszystko dokładnie notuję. - Pociągnął łyk kawy. - Ludzie mają bardzo wybiórczą pamięć, jeśli chodzi o kontakty werbalne.

Clark się zaśmiał.

- Tak, masz rację.
- A zatem co cię gnębi?

Clark skrzyżował nogi i rozparł się wygodnie.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

Steveken ochoczo skinął **głową**. **Clark zawsze dobrze płacił.**

- Mów, o co chodzi.
- To może być trochę przykre.
- Jak bardzo? - zapytał ironicznie Steveken.
- Dotyczy CIA.

Steveken postawił kubek na stole.

- Zamieniam się w słuch. - Oparł się wygodnie i również skrzyżował nogi z wystudiowanym brakiem jakiegokolwiek wyrazu twarzy.

Clark dużo wiedział o Stevekenie. Ten człowiek lubił wyzwania. Głównie dlatego nie odpowiadała mu praca w FBI. Nudził się tam, czuł, że nie jest odpowiednio wykorzystywany. Clark wiedział też, że Steveken zawsze wpadał w gniew, ilekroć sprawa dotyczyła jego byłych pracodawców i CIA. Teraz miał okazję sprawić im kłopot.

- Co myślisz o prezydenckiej nominacji na dyrektora CIA?
- Nie znam jej osobiście, ale mówią, że jest ostra.
- Jest ostra - odparł Clark i dodał: - Bardzo ostra, ale, niestety, są w tym mieście ludzie, którzy nie chcą, żeby przejęła nadzór nad CIA.
- Czy nie jest tak zawsze, kiedy ktoś z nich ma coś na sumieniu?
- Tak... Masz rację. Ale tym razem może to mieć pewne konsekwencje prawne.
- To znaczy?

Clark niespokojnie poruszył masywnym ciałem i odparł:

- To bardzo delikatna sprawa, Norb.
- Hank - rzekł Steveken ze śladem urazy na twarzy -jeśli się nie mylę, wszystko, o czym mówimy na takich spotkaniach, pozostaje między nami.

- Wiem, ale tym razem to może być trudne.

Wysiłki Clarka, żeby wyrażać się ostrożnie, pobudziły ciekawość Stevekena, ale nieco go też uraziły.

- Wiesz, że nie boję się ryzyka.

- Wiem. - Clark przerwał i pozwolił rosnać napięciu.

Patrzył w zamyśleniu przez okno, sprawiając wrażenie, że zмага się z myślami, czy wciągać w to Stevekena. W końcu spojrzał na gościa i powiedział: - To może się zmienić w medialny cyrk.

Steveken zamrugał. Nie ufał mediom. Wiedział doskonale, że to niewybredne w niszczeniu, nienasycone bestie. Pracując w jego zawodzie, należało się trzymać w cieniu i za wszelką cenę unikać prasy. Zapytał, próbując myśleć wyprzedzająco:

- Czy w zależności od tego, co znajdę, istnieje możliwość, że zostanę wezwany przed twoją komisją w celu złożenia zeznań?
- Nie. - Clark pokręcił głową. - Ale możesz zostać wezwany przed komisję do spraw wywiadu Izby Reprezentantów.
- Dlaczego? - Steveken był wyraźnie zdumiony.
- To skomplikowana sprawa, ale ja twardo muszę się trzymać z boku. - Clark westchnął i kontynuował: - Dałem prezydentowi słowo, że będę popierał nominację doktor Kennedy na dyrektora CIA, i nie zamierzam go cofać. Mam jednak pewne zastrzeżenia co do jej osoby.
- Po chwili dodał bardzo poważnie: - To nie może opuścić tego pokoju.

Steveken poczuł się dotknięty.

- To chyba jasne.

- Ale większość z tego, o czym tu mówimy, zostanie zakomunikowana przewodniczącemu komisji do spraw wywiadu Izby Reprezentantów kongresmanowi Rudinowi. -Clark zauważył, że Steveken zmarszczył brwi na dźwięk nazwiska Rudin, i szybko dodał: - Wiem... Wiem, że ten człowiek to wrzód na dupie, ale chce dobrze... - Clark pochylił się ku Stevekenowi. - Rudin przysięga, że Kennedy jest tak skorumpowana, jak przypuszczają. Ta myśl go niezwykle podnieca.
- Więc dlaczego jej nie przesłucha? Przecież ma takie możliwości.
- Tak, ma. Kilka miesięcy temu wezwał Kennedy przed swoją komisję i zadawał jej trudne pytania. - Clark pociągnął łyk kawy.
- I co?
 - I... został zawleczony do Białego Domu przez przewodniczącego Izby Reprezentantów, a tam prezydent osobiście kazał mu się uspokoić.
- O... prezydent nie chce kłopotów z tą nominacją.
 - Dokładnie. I jak już mówiłem, dałem Hayesowi słowo. Nie chciałem się wycofywać i podważać reputacji Kennedy w czasie przesłuchania zatwierdzającego nominację tylko dlatego, że Al Rudin trzęsie dupą ze strachu. Równocześnie chciałbym uniknąć popierania jej nominacji, gdyby Kennedy miała w swojej przeszłości coś niepokojącego.
 - Zatem chcesz, żebym bez rozgłosu zaczął penetrować i zobaczył, co się da wygrzebać.
- Tak. - Clark klepnął się w udo.
- Z tym nie powinno być problemu. Zacznę od zaraz.
- Doskonale. - Clark uśmiechnął się i dodał trochę niepewnie: - Chciałbym cię poprosić o jeszcze jedną przysługę.

- Mów.
- Technicznie nie pracujesz dla mnie.
- Więc dla kogo?

- Dla kongresmana Rudina.

Steveken zmarszczył brwi.

- Wybacz, że jestem taki tępy, Hank, ale ten facet ma opinię prawdziwego dupka.
- Wiem, ale ma też dobre chęci. Daję ci słowo, że powiem mu, aby zachowywał się poprawnie, bo inaczej się wycofasz.

Steveken nadal się marszczył.

- Czy zna moją stawkę? Wiem, że ten facet ma opinię najgorszego sknery na Kapitolu.
- Nie martw się o to. To mój problem.
- Nie. - Steveken był wyraźnie zakłopotany. - Nie chcę ciebie obciążać finansowo. Już dość zrobiłeś dla mnie.
- Nie, Norb, nalegam, i nie będę się z tobą o to sprzeczał. Jesteś wart każdego wydanego centa.
- Hank... Nie czuję się dobrze, biorąc...

Clark uciął, unosząc rękę:

- Ani słowa więcej. Nie chcę o tym słyszeć. Ja ci za płacę i kończymy z tym. W porządku? - Clark wierzył, że najlepszą gwarancją lojalności jest dobra zapłata.

Steveken skinął głową.

- W porządku. Ale jak Rudin zacznie pieprzyć, kończę z tym.
- Zgoda. - Clark się uśmiechnął. - Jest jeszcze kilka
- spraw. Mam dla ciebie kontakt w **Langley**. Piastuje wysokie

stanowisko i myślę, że chętnie ci pomoże.

- Kto to jest?
 - Jonathan Brown. Znasz go? Steveken zamruczał coś i rzekł:
 - Był sędzią federalnym?
 - Tak.
 - Miał wtedy opinię twardego kutasa.
 - Nie jestem tym zaskoczony. Uchodził za faceta bezwzględnie przestrzegającego prawa.
 - Zatem nie będzie skłonny do współpracy.
 - Nie byłbym tego taki pewien - stwierdził **Clark**. -On widzi w Langley wiele niepokojących rzeczy.
 - Mówił ci o tym?
 - Nie. Wie, że jak zacznie o tym mówić, nie będzie **miał** odwrotu. Wydawało się, że Steveken walczy z sobą.
 - Nie widzę powodu, dla którego miałby się przede mną otworzyć.
 - Otworzy się dlatego, że ma sumienie. Teraz potrzebuje kogoś, kto da mu szansę zrobienia czegoś dobrego. -Clark zamyślił się i dodał po chwili: - Podobno Kennedy zrobiła coś bardzo głupiego. Może zrobił to ktoś inny, może Stansfield, aleja chcę mieć pewność, zanim oddam na nią głos. Nie chcę się zbłąźnić.
- Stevekena zadowolila taka odpowiedź.
- Chyba rozumiem.
- To dobrze. - Senator wstał. Steveken poszedł w jego

ślady.

- Wiesz, gdzie znajduje się park Wolf Trap?
- Nie.
- Niedaleko Leesburg Pike.
- Znajdę.

- Dobrze. Brown po powrocie z pracy co wieczór wychodzi tam z psem na spacer, zwykle koło szóstej. Sugeruję, żebyś się tam z nim spotkał dziś wieczorem.

Steveken zastanawiał się, skąd Clark o tym wie, ale postanowił nie pytać.

- W jaki sposób mam nawiązać z nim kontakt?

Clark odparł po chwili namysłu:

- Powiesz, że pracujesz dla kongresmana Rudina. Poinformujesz go, że kongresman jest zmartwiony, iż niewłaściwa osoba zostanie dyrektorem CIA. Zapewnij go, że to, co ci dostarczy, będzie przekazane drogą nieoficjalną. Jego nazwisko nie będzie z tym związane. - Clark położył rękę na ramieniu Stevekena. - Kongresman właśnie rozgląda się za czymś, czego może użyć w czasie śledztwa i przesłuchania i co mogłoby posłużyć przeciwko zatwierdzeniu kandydatury Kennedy.
- Nie martw się, Hank. Zajmę się tym.
- Wiem, że to zrobisz, Norb. I nic się nie stanie, jeżeli ci się nie powiedzie. Osobiście lubię doktor Kennedy i myślę, że będzie dobrym dyrektorem. Chcę tylko mieć pewność, że nie sprawi mi kłopotów, jeśli w przyszłym tygodniu oddam na nią swój głos.
- Rozumiem.

- Doskonale. Powiem kongresmanowi Rudinowi, że wpadniesz do niego dziś rano. Możesz to zrobić?

- Tak. Choćby zaraz.

Clark klepnął go w plecy.

- Dzięki, Norb. - Gdy się żegnali, dodał: -1 coś jeszcze, moje nazwisko w żadnym wypadku nie może być związane z tą sprawą. Moja rola polega tylko na skontaktowaniu cię z Rudinem. Za to, co zrobisz, nigdy nie zapłaciłem ci ani centa. Jasne? - Clark mrugnął i uścisnęli sobie dłonie.

18

MEDIOLAN, CZWARTEK PO POŁUDNIU

Marc Rosenthal zabijał wrogów Izraela w rozmaity sposób: nożem, kulą, a nawet raz trucizną, ale gdy mógł, od lat wybierał materiały wybuchowe. Miał ku temu wiele powodów. Po pierwsze stwierdził, że to bardzo praktyczne.

Materiały wybuchowe maksymalizowały efekt, równocześnie gwarantując mu bezpieczeństwo. Broń maszynowa we wprawnych rękach była nader skuteczna, ale mogła sprowokować atakowanych do odpowiedzi zmasowanym ogniem. A to był tylko początek kłopotów. Takie działanie bardzo utrudniało ucieczkę i dlatego wolał bomby. Mógł poznać zwyczajnie celów i dostarczyć ładunek przed ich zjawieniem się w wyznaczonym miejscu.

Pracując w Mosadzie, kierował kilkoma śmiałymi operacjami. Wiedział, że w trudnych dla firmy czasach był jedną z jej kilku gwiazd. Głównie dzięki wybitnej przenikliwości Bena Freidmana. Freidman wysłał Rosenthala na terytoria okupowane w celu zbierania informacji. Żyd o twarzy dziecka udowodnił, że skutecznie może spenetrować środowisko palestyńskich terrorystów z Hamasu, i Freidman nie mógł zrezygnować z wykorzystania go do zadania ciosu. Pierwsza bomba, jaką podłożył, wyeliminowała kilku przywódców średniego szczebla, za to drugi zamach udowodnił Freidmanowi, że Rosenthal jest niezwykle odważny. Druga bomba eksplodowała w kawiarni w Hebronie. Rosenthal wcześniej rano umieścił ją na dnie kosza na śmieci, a następnie tego samego dnia po południu spotkał się w tym lokalu z kilkoma członkami Hamasu. W czasie posiłku wstał i wyszedł do toalety. W kieszeni miał pióro z przyciskiem uruchamiającym zapalnik bomby. Opuszczając toaletę, nacisnął przycisk i wrzucił pióro do kosza. Bomba miała wybuchnąć po dwudziestu sekundach. Rosenthal wrócił do stolika i usiadł, starannie wybrawszy miejsce. Między nim i bombą rosła palma w betonowym pojemniku. Spokojnie liczył sekundy i w osiemnastej schylił się, niby szukając czegoś na ziemi.

W wyniku eksplozji natychmiast zginęło trzech z czterech mężczyzn, z którymi jadł lunch, i dwóch klientów. Rosenthal wyszedł z tego z poważnym wstrząsem, kilkoma zadrapaniami od odłamków i chwilową utratą słuchu. Fakt, że omal nie zginął w tym zamachu, jeszcze bardziej wzmocnił jego pozycję w strukturach Hamasu.

Ten odważny czyn pozwolił mu zbliżyć się do lidera Hamasu Yehyi Ayyasha. Przeniknął do wewnętrznego kręgu organizacji i po pięciu

miesiącach, w piękny słoneczny dzień, odebrał telefon i wręczył Ayyashowi zmodyfikowaną przez techników Mosadu komórkę. I znowu miał w kieszeni pióro, ale tym razem detonacja miała nastąpić bez opóźnienia. Rosenthal nacisnął czubek pióra kciukiem, eksplozja nastąpiła natychmiast i ładunek plastiku rozerwał głowę Ayyasha. To był koniec tajnego zadania Rosenthala na terenach okupowanych. Stał się znieawidzonym wrogiem wszystkich Palestyńczyków.

Freidman był bardzo zainteresowany szlifowaniem umiejętności Rosenthala. Dyrektor generalny Mosadu miał w tym zakresie przykre doświadczenie. W 1972 roku, w czasie olimpiady monachijskiej, jedenastu izraelskich sportowców zostało porwanych jako zakładnicy przez palestyńską organizację zwaną Czarny Wrzesień. Dwóch sportowców zginęło zaraz po wtargnięciu terrorystów do ich kwater w wiosce olimpijskiej. Terrorysty zażądali uwolnienia dwustu trzydziestu czterech Palestyńczyków przebywających w izraelskich więzieniach. Ówczesna premier Izraela Golda Meir odmówiła, przekonana, że może to pociągnąć za sobą dalsze nieszczęścia. Po pięciu pełnych napięcia dniach niemiecka policja wkroczyła do akcji, gdy terrorysty przerzucali zakładników do samolotu. Operacja odbicia sportowców zakończyła się klęską. Zginęło dziewięciu zakładników i sześciu z ośmiu terrorystów. Jak na ironię, później zwolniono dwóch terrorystów, którzy przeżyli akcję.

Ben Freidman był tego przerażającego dnia na lotnisku. Stał obok jednego ze swoich idoli, Zviego Zamira. Za-mir był wtedy dyrektorem generalnym Mosadu i po masakrze w Monachium przekonał panią premier, że czas skończyć z działaniami w rękawiczkach. Golda Meir po-

leciała Zamirowi, by wytropił i zabił tych, którzy zorganizowali zamach. W ciągu dziewięciu miesięcy krwawych porachunków Ben Freidman udowodnił, że należy do najsprawniejszych zabójców Mosadu. Pierwszy cios zadał zaledwie miesiąc po masakrze olimpijczyków. Mosad chciał wysłać wszystkim czytelny sygnał. Dlatego pierwszym celem został Wael Zwaiter, rezydent Organizacji Wyzwolenia Palestyny w Rzymie.

Szesnastego października Freidman znalazł się za plecami Zwaitera, wpakował mu dwie kule w tył głowy i zostawił umierającego na ulicy.

Niecałe

dwa miesiące później Freidman wszedł w skład grupy, która zabiła Mahmouda Hamshariego, umieszczając bombę w telefonie w jego paryskim mieszkaniu. Bombę zdetonowano zdalnie i przedstawicielowi OWP urwało głowę.

Krew ciągle płynęła i 13 kwietnia 1973 roku Freidman doczekał się swego koronnego sukcesu. Wchodził wtedy w skład sił złożonych z najlepszych agentów Mosadu i komandosów wojskowych, które dokonały wypadu do centrum Bejrutu. Tej nocy mieli zlikwidować trzy cele, trzech najważniejszych przywódców OWP - Muhammada Najjara, Kamala Adwana i Kamala Nassera zastrzelono w ich domach. Ta akcja miała jednak daleko większe skutki. Uzyskane informacje doprowadziły do zabicia następnych trzech terrorystów związanych z Czarnym Wrześniem. Ale radość z sukcesu trwała bardzo krótko.

Dwa miesiące później Mosad był bliski osiągnięcia jednego z największych sukcesów w swojej historii, co jednak zakończyło się koszmarem. Katastrofa wydarzyła się w sennej norweskiej wiosce narciarskiej Lillehammer. Grupa agentów Mosadu została wysłana na

zwiad, aby ustalić możliwości ujęcia terrorysty Alego Hassana Salameha. Niefortunnie błędnie zidentyfikowano cel i zabito Ahmeda Bouchiki, marokańskiego kelnera. Nie dość tego, w czasie ucieczki policja ujęła sześciu członków grupy. Stanęli przed sądem i pięć osób zamknięto w więzieniu. Wrzask światowej opinii publicznej był taki, że oficjalnie zakazano Mosadowi akcji zbrojnych.

Nieoficjalnie oczywiście działał on nadal, a Ben Freidman ciągle był jeden z najlepszych. Wykorzystał te lata na szkolenie Rosenthala. Omawiali operacje zakończone sukcesem i klęską. Fiasko akcji w Lillehammer poddano drobiazgowej analizie. Zabito niewłaściwego człowieka -wszystko więc zaczęło się od złej identyfikacji celu, czego można było uniknąć, przeprowadzając dokładne rozpoznanie. Poza tym popełniono rażący błąd - w akcji brało udział zbyt wielu agentów. Był to skutek zbyt ścisłego i drobiazgowego kierowania operacją w Tel Awiwie. Freidman wiedział, że tego rodzaju akcje udają się tylko wtedy, gdy agent, naciskając spust, ma maksymalną swobodę działania i równocześnie pamięta o tym, aby nie zaszkodzić Izraelowi.

Właśnie dlatego tym razem nie mogli zastosować materiałów wybuchowych. Mogli ich użyć w Gazie lub w Jerozolimie, ale bomba w Mediolanie wszystkich by zaniepokoiła. Władze i prasa zaczęliby drążyć i w końcu ktoś wskazałby palcem Izrael. Były lepsze i dyskretniejsze sposoby. Donatellę Rahn należało zabić z bliska. Strzałem w tył głowy z broni z tłumikiem.

Przed opuszczeniem Tel Awiwu Rosenthal dokładnie przestudiował jej akta. Zatrzymał się na jej skłonnościach do brania heroiny. Można by upozorować przedawkowanie. Początkowo ten plan wydawał się dobry,

ale Rosenthal był realistą. Donatella nie była upadłą modelką. Skoro brała udział w zabójstwach, mogła zacząć się bronić, a walka oznacza hałas i kłopoty ze świadkami. W dodatku każda walka pozostawia na ciele ślady, których nie można wytłumaczyć przedawkowaniem. Nie.

Przedawkowanie to zbyt skomplikowane. Trzeba wymyślić coś prostszego.

Rosenthal przez całe popołudnie próbował wybrać odpowiednie miejsce. Zawsze można to zrobić na zatłoczonej ulicy podczas jej powrotu z pracy do domu. Był mistrzem wtapiania się w tłum. Przeciętny wzrost ułatwiał mu prawie niezauważalne poruszanie się. Dlatego mógł względnie łatwo znaleźć się blisko niej, wpakować kulę w serce i zniknąć. Ryzykował tylko, że jakiś przechodzień stanie mu na drodze albo spróbuje ścigać po naciśnięciu spustu. Było to ryzykowne, ale podejmie się tego, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Gdy wyglądał przez okno wynajętego auta, przyszło mu coś na myśl. Przed nim wznosił się budynek, w którym mieszkała Donatella. Stał już przed nim pół godziny i właśnie zauważył, jak pracownik UPS dostarcza paczkę. Podesunęło to Rosenthalowi pewien pomysł. Najlepszym miejscem było jej mieszkanie. Jeżeli na dole znajduje się ochroniarz, to mają dość czasu, żeby go zlikwidować i oczyścić teren. Tak, mieszkanie to dobre miejsce. Zaczął układać listę niezbędnych rzeczy. Po następnych pięciu minutach obserwacji polecił Sunbergowi, aby zawiózł go do ich bezpiecznego lokum.

BIAŁY DOM, CZWARTEK RANO

Prezydent Hayes obserwował swojego sekretarza do spraw handlu, niezręcznie pertraktującego z grupą lobbystów reprezentujących Kongres

Organizacji Przemysłowych i Amerykańską Federację Pracy, przewoźników i Amnesty International. Dyskutowano o tym, czy Stany Zjednoczone mają utrzymywać status najwyższego uprzywilejowania nadany Chinom, czy też w ciągu kilku miesięcy poddać go rewizji. Taka debata według Hayesa nie miała sensu. Stany Zjednoczone tylko w jeden sposób mogły się z tego wycofać i nie miało to związku z opiniami tych wysoko cenionych lobbystów, siedzących wokół wielkiego lśniącego stołu konferencyjnego. Chiny zawsze znajdą powód do wywołania międzynarodowego incydentu i żeby temu zapobiec, nie wystarczy złapanie ich na czymś tak bezczelnym jak kradzież tajemnic amerykańskiego biznesu. Mogły rozpocząć akcję zbrojną przeciwko Tajwanowi, a tego nie chciał nikt. Chińczycy upajają się swoimi osiągnięciami gospodarczymi. Podczas gdy były Związek Radziecki ledwo dyszy, próbując przekształcić nadzorowaną przez państwo gospodarkę socjalistyczną w wolny rynek, Chiny cieszą się szybkim rozwojem. Mogą ofiarować Rosjanom coś, czego Rosja nie ma - stabilizację.

Hayes miał mieszane uczucia. Patrzył ze zrozumieniem i niechęcią, jak reprezentanci związków i lobbyści próbują przedstawić swoje stanowiska. Rozumiał ich - to byli prawdziwi pasjonaci. Ale czuł też odrazę - byli to pasjonaci przegranej sprawy. Od trzydziestu lat Stany miały niski wskaźnik bezrobocia. Nie sprawdziły się pesymistyczne prognozy związków zawodowych, że NAFTA może kosztować miliony miejsc pracy. Płace rosły. Kontynuowanie swobodnego handlu z Chinami było korzystne dla amerykańskiej gospodarki, a więc i dla obywateli Stanów Zjednoczonych. Zwolennicy praw człowieka mieli co prawda sporo racji, ale izolacjonizm nie był skutecznym sposobem wymuszenia na chińskich

władzach lepszego traktowania swych obywateli. Należało kontynuować wymianę handlową. Wpierw niech się otworzą gospodarczo, a potem umysłami i sercami.

Hayes wiedział, że trwoni czas, ale w Waszyngtonie zawsze należy pamiętać o kolejnych wyborach, a ci ludzie reprezentowali dużą część jego elektoratu. Musiał zyskać ich poparcie, żeby nie zaczęli szukać innego kandydata z grona demokratów. Prezydent siedział z założonymi rękami i kiwał głową, gdy kobieta z Amnesty International cytowała dane statystyczne o liczbie ludzi niesprawiedliwie więzionych w największym państwie świata.

Gdy otwarły się drzwi, Hayes odetchnął z ulgą na widok wchodzącego Michaela Haika. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego podszedł do stołu i przeprosił gości prezydenta. Potem pochylił się nad Hayesem i szepnął mu coś do ucha. Prezydent kilka razy skinął głową i spojrzał na zebranych.

- Przepraszam, ale coś mi wypadło - rzekł i wstał. -

Dziękuję za przybycie. - Obszedł stół dookoła i wszystkim uścisnął dłoń. - Poruszyliście bardzo ważne sprawy. Zajmę się nimi.

Gdy prezydent opuszczał gabinet, wstał reprezentant Kongresu Organizacji Przemysłowych i Amerykańskiej Federacji Pracy i oświadczył:

- Nie zrezygnujemy, panie prezydencie. Tym razem jesteśmy przygotowani, by zniszczyć wszystkie przeszkody.

Hayes zatrzymał się i spojrzał na niego.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Harry?

- Chcę powiedzieć, że w czasie następnych wyborów będziemy pamiętać, kto jest z nami.

Hayes zbliżył się do niego.

- Co zamierzasz, Harry? Powiesz swoim ludziom, żeby głosowali na republikanina?

Czerpiąc odwagę z faktu, że prezydent ma mniej niż pięćdziesiąt procent poparcia, mężczyzna odpowiedział:

- Z całym szacunkiem, ale nie jest pan jedyną osobą starającą się o nominację partii.

Hayes, nie tracąc równowagi, uśmiechnął się. Klepnął go w plecy i rzekł:

- Życzę powodzenia w próbie doprowadzenia kogoś do popełnienia politycznego samobójstwa.

Z tymi słowami Hayes opuścił gabinet, notując w pamięci, że musi bardzo uważać w czasie głosowania w sprawie wolnego handlu z Chinami. W partii może się znaleźć trzech, czterech ludzi, którzy będą głosować przeciwko. Będzie to wyraźny sygnał, że chcą rzucić mu wyzwanie.

Po zejściu na parter zachodniego skrzydła prezydent zapytał Haika, co to za nie zaplanowana wizyta. Haik poinformował go, że generał Flood nie chce rozmawiać przez telefon. Obaj mężczyźni poszli do Gabinetu Sytuacyjnego, gdzie czekali już generał Flood, Irenę Kennedy i dwóch oficerów armii. Prezydent przypominał sobie jednego z nich - generała Campbella, szefa Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych - ale drugiego nie znał.

- Panie prezydencie, to pułkownik Gray. Jest dowódcą Delta Force.

Myślę, że już go pan spotkał.

- Tak, oczywiście. - Teraz prezydent przypomniał go sobie. Wyciągnął rękę przez stół i uścisnął mu dłoń. - Cieszę się, że mogę pana tu widzieć, pułkowniku.

Jak można się było tego spodziewać, Gray darzył go respektem jako swego zwierzchnika.

- Przepraszam, że zakłóciłem panu spotkanie - kontynuował Flood.

- Nic nie szkodzi. - Hayes przewrócił oczami. - Pravidę mówiąc, wyzwoliłeś mnie od trzydziestu minut śmiertelnej nudy. - Prezydent usiadł u szczytu stołu.

Pozostali również zajęli miejsca. Generał Flood ulokował masywne ciało na krześle stojącym u szczytu długiego stołu konferencyjnego i zaczął:

- Na ostatnim spotkaniu prosił mnie pan, żebym przeanalizował wszystkie opcje umożliwiające osiągnięcie celu. Skonsultowałem się z generałem Campbellem i wezwałem pułkownika Graya. Delta Force specjalizuje się w akcjach w niezwykle trudnych i delikatnych sytuacjach. Mam zaufanie do pułkownika Graya i jego ludzi, doceniam też ich umiejętności kreatywnego rozwiązywania skomplikowanych problemów. Nasze zadanie polega na tym - Flood spojrział na prezydenta - żeby ustalić, w jaki sposób i kiedy ich wykorzystać. - Generał przeniósł wzrok na pułkownika Graya i kiwnął mu głową, dając znak, że może zacząć.
- Panie prezydencie, może pamięta pan, że w czasie wojny w Zatoce Perskiej zapytano Delta Force, czy istnieje możliwość ścigania

Saddama i schwytania go żywym lub martwym. Pojawiły się wtedy dwie szkoły. Pierwsza twier-

- dziła, że jest wojna i nie wolno łamać zakazu zabijania przywódców obcych państw. Ale wielu z nas, wojskowych, uważało, że można to zrobić, Saddam bowiem jest żołnierzem. Częściej nosi mundur niż ubrania cywilne i jest dyktatorem wojskowym. Tak więc druga dowodziła, że nie musimy uwzględniać rozkazu podpisanego przez prezydenta Reagana. Choć debata zakończyła się stwierdzeniem, że być może i tak nigdy nie uda się nam ustalić miejsca pobytu Saddama, dowiedzieliśmy się kilku interesujących rzeczy. Saddam bardzo poważnie traktował własne bezpieczeństwo. Na tyle poważnie, że często wprawiał w konsternację własnych ludzi. Dysponuje całą flotą białych opancerzonych limuzyn i samochodów, których używał dosłownie do gry w kulki. Kolumny, w których skład wchodziły te wozy, poruszają się po kraju w zupełnie bezsensowny sposób. W czasie wojny otrzymaliśmy raport, że Saddam był w jednej części Bagdadu zaledwie dwie minuty po przejeździe takiej kolumny w innej części miasta, a pięć minut potem dowiedzieliśmy się, iż wziął udział w południowym spotkaniu z dowódcami Gwardii Republikańskiej. Ten człowiek ma dwadzieścia pałaców i przez całą noc przybywały do nich i wyjeżdżały z nich karawany samochodów. W tej sytuacji niemożliwością było wytropienie go. Dopiero po wojnie zwróciłem na coś uwagę. Prowadząc akcje zbrojne, nauczyliśmy się wyszukiwać słabe punkty wroga i jeżeli nie znajdowaliśmy żadnych, musieliśmy szukać sposobu wykorzystania przeciwko niemu jego własnej siły. - Pułkownik Gray się uśmiechnął. - W efekcie znalazłem sposób na Saddama.

Prezydent był zaintrygowany. Wyprostował się i rzekł:

- Słucham.
- Jego podwładni, poza najbliższymi, nie wiedzą, gdzie on w danej chwili się znajduje. Są przyzwyczajeni do widoku kolumn białych pojazdów sunących po kraju o wszelkich możliwych porach dnia. Nikt nie odważy się ich zatrzymać, ponieważ w ten sposób może podróżować tylko jeden człowiek, Saddam, razem z wybranymi członkami rodziny.

Prezydent nadal nie bardzo wiedział, do czego zmierza pułkownik Gray.

- Ale w jaki sposób chce pan to wykorzystać przeciwko niemu?
- Jeżeli w jednej z nich będą jechać moi ludzie, nikt ich nie spróbuje zatrzymać i będą mogli swobodnie przemieszczać się po całym kraju.

Twarz prezydenta powoli rozjaśnił uśmiech.

- To intrygujące, pułkowniku, chcę poznać w tej sprawie więcej szczegółów.

19

MEDIOLAN, CZWARTEK WIECZÓR

Rapp zaczął się niecierpliwić. Przyszedł do Jamaica Cafe przed szóstą, żeby dobrze obejrzeć to miejsce. Anna spała w hotelu. Po męczącej nocnej podróży i popołudniowym krążeniu po sklepach w końcu się poddała. Rapp zapakował ją do łóżka i oznajmił, że po powrocie obudzi ją na późną kolację. Ziewając, zauważył, że i on też powinien się trochę przespać.

Zajął miejsce w narożnej łoży baru zapełniającego się gośćmi i dymem

papierosów. Lewą rękę, z pistoletem zakończonym krótkim tłumikiem, schował pod stołem nakrytym obrusem. Z każdą minutą jego niepokój rósł i nie chciał ryzykować. Było już piętnaście po szóstej i ani śladu Donatelli. Zaczął w myślach analizować listę możliwości. Zgadzał się z Kennedy, że akcja, jaką Donatella przeprowadziła w Stanach przed dwoma tygodniami, nie była sankcjonowana przez rząd Izraela. Mosad wprawdzie często robił głupstwa, ale to do nich nie pasowało. Nie było powodu, aby osławiona izraelska służba wywiadowcza chciała go wrobić i zostawić umierającego w Niemczech. Mitch Rapp i drużyna Oriona byli niemal od dziesięciu lat najlepszymi sojusznikami Mosadu.

Mogli wiedzieć o operacji -jeśli ktokolwiek mógł, to właśnie Mosad. Ale ciągle nie widział motywu. Jeżeli Stansfield miał rację, to jedynym powodem było zablokowanie nominacji Kennedy na stanowisko dyrektora CIA. I znowu, to też nie pasowało Rappowi. Jako dyrektor Centrum Antyterrorystycznego CIA była oddanym sprzymierzeńcem najstarszej demokracji na Bliskim Wschodzie. Donatella działała sama. Teraz należało znaleźć odpowiedź na ważne pytanie: dla kogo?

Minuty płynęły i zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek ją pozna. Istniała możliwość, że Donatellę zatrzymano w pracy, ale nikt nie przeżyje długo w tym zawodzie, jeśli będzie akceptował tak proste wyjaśnienia. Przetrwają natomiast ten, kto przemyśli wszystkie możliwości i przewidzi wszelkie ewentualności. Zostawiając na moment logikę, zaczął się zastanawiać, co powinna teraz zrobić, jeżeli zabijając Petera Camerona, naprawdę pracowała dla Mo-sadu. Powinna uciekać. Nie miała innego wyjścia. Nie mogła tak po prostu wrócić do Izraela i powiedzieć, że się z nią skontaktował. Bo wtedy ją zabiją, zamiast chronić. Ale Rapp odsunął

tę myśl - niemożliwe, żeby rząd Izraela maczał w tym palce.

Jak zwykle istniała lista podejrzanych: Rosjanie, Chińczycy, Irakijczycy, Irańczycy, Syryjczycy, Palestyńczycy i Francuzi. Z tej grupy najprawdopodobniej tylko Rosjanie odnieśliby korzyść z takiej operacji, ale znowu - nie dostrzegali motywu. Wszystkie drogi prowadziły z powrotem do Ameryki. Ktoś pragnął jego śmierci i jeżeli Thomas Stansfield się nie mylił, ta osoba - albo osoby - chciała też zniszczyć karierę Irene Kennedy.

Rapp nie miał najmniejszego pojęcia, kim oni byli. Chciał, żeby Donatella wskazała mu właściwy kierunek i wreszcie się pojawiła. Rozglądając się po raz setny po barze, miał nadzieję, że Donatella była na tyle ostrożna, by utrzymać ich wcześniejsze spotkanie w tajemnicy. Musiała po raz ostatni mu zaufać i był pewien, że zrobi to tak, aby sobie nie zaszkodzić.

Wreszcie dwadzieścia siedem po szóstej Donatella weszła do hałaśliwego, zatłoczonego baru. Była w czarnych spodniach, a marynarkę zarzuciła sobie na ramię. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Uczono ich tego samego -

kłopoty pojawiają się zawsze wtedy, gdy się ich najmniej spodziewasz. Należy się skupić na jednej rzeczy, ale równocześnie zwracać uwagę na otoczenie. Oboje sprawdzili flanki, aby się upewnić, że nie są śledzeni. Rapp obserwował, jak głowy mężczyzn odwracają się w ślad za idącą przez bar Donatella. Dokładnie zlustrował zatłoczony lokal, szukając jakichś znajomych twarzy i oczu, które patrzyłyby na niego, nie na oszałamiająco piękną brunetkę. Donatella uśmiechnęła się szatańsko i weszła do loży. Pocałowała go w policzek, potem szturchnęła w bok krąg-

łym biodrem i usiadła praktycznie na jego kolanach. Miała ku temu dwa powody: pierwszy - nie chciała siedzieć tyłem do drzwi, drugi - nie chciała rozmawiać przez stół. Lepiej szeptać sobie do uszu.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała po włosku. Przechyliła głowę, usiłując przerzucić bujne włosy na bok.
- Co cię zatrzymało? - zapytał w jej ojczystym języku.
- To był okropny dzień. Mieliśmy sesję zdjęciową, która kosztowała majątek i skończyła się klapą, a potem w moim gabinecie zjawił się jedyny mężczyzna, jakiego naprawdę kocham, i powiedział mi, że się żeni. - Donatella zawołała przechodzącego kelnera i zamówiła podwójne korzenne martini z plasterkiem cytryny. Gdy kelner odszedł, odwróciła się do Rappa i dodała: - W sumie to był naprawdę zakichany dzień. - Z wymuszonym uśmiechem zapytała: -A jak tobie minął, kochanie?

Rapp czuł się trochę winny.

- Przepraszam, Donny, nie chciałem ci sprawiać bólu. - Ujął jej rękę. - Zawsze byłaś i będziesz dla mnie kimś szczególnym.
- Ale nie tak bardzo szczególnym. - Patrzyła na Rappa migdałowymi oczami. Ściągnęła pełne usta, udając, że jest bliska płaczu.

Rapp objął ją, przytulił i pocałował w czoło.

- Zawsze wierzyłaś, że wszystko się ułoży.

Donatella odsunęła się, miała wilgotne oczy.

- Łatwo ci mówić. Ty masz już kogoś. Znalazłeś kobietę, z którą chcesz się ożenić, a ja co? Nic.
- Zawsze wierzyłaś, że i ciebie to spotka.
- Wierzyłam w ciebie. Głupio wierzyłam, że pewnego

- dnia wydostaniemy się z tego bagna i będziemy żyć szczęśliwie.

Rapp otarł łzy z jej policzka i rzekł:

- Przez rok mało się spotykaliśmy...

- Wiem, że to głupie, ale, do diabła, ja cię kocham. Ciągle cię kocham.

Rapp chrząknął, zakłopotany. Wiedział, że Donatella jest bardzo uczuciowa, ale nie spodziewał się, że okaże to tak wyraźnie.

- Donny, bardzo cię kocham. Wiesz o tym. Zawsze byliśmy razem w trudnych czasach.

Kiwnęła głową, ale ciągle trzymała ją spuszczoną, kryjąc twarz w jego piersi. Po chwili trochę się opanowała i uniosła głowę.

- Życzę ci szczęścia... - mówiła. - Naprawdę... Tylko... - Nie dokończyła.

- Tylko co?

- To ta pieprzona robota w całkowitej samotności...

Rapp dobrze wiedział, co ma na myśli. Uściskał ją.

- Nie martw się, Donny. Byłbym szczęśliwy, gdybyś naprawdę była gotowa to wszystko rzucić. - Rapp zdecydował, że to dobry moment do sprowadzenia jej na właściwy temat. Musiał się postarać, aby nabrała pewności, że jest bezpieczna.

Donatella usiadła prosto i wyjęła z torebki chusteczkę. Osuszyła oczy i powiedziała:

- Jeszcze nie jestem gotowa. Za kilka lat przejdę na emeryturę.

Rapp przypomniał sobie los Petera Camerona i pomyślał, że Donatella może nie mieć tych kilku lat. W tym momencie podszedł kelner i postawił

przed nią zamówionego drinka.

- Poproszę szklankę tego waszego domowego czerwonego wina. - Donatella odprawiła kelnera i zwróciła się do Rappa: - Jeżeli zacznę płakać i pić wódkę, nie pozwolę ci wymigać się kawą.

Rapp nie spierał się, chciał wykorzystać ten moment, żeby poruszyć zasadniczy temat:

- Donny - zaczął, patrząc jej prosto w oczy. Musiał mieć pewność, że wie, jak bardzo jest poważny. - Chcę ci coś powiedzieć i jak zawsze powiem to z pełnym zaufaniem. W zamian również od ciebie oczekuję szczerości. Postawiła na stole drinka i oparła się. Cały dzień myślała o tym, jak to rozegrać, i nie znalazła rozwiązania.

- Postaram się.
- To znaczy?
- To znaczy, że zrobię, co będę mogła.
- Będziesz ze mną szczerą?
 - Będę szczerą, ale wiesz, że na pewne pytania nie mogę odpowiadać bez względu na to, co nas łączyło.

Rapp z niechęcią musiał jej przyznać rację.

- Jesteś skłonna odpowiedzieć mi na pytanie, które zadałem ci w twoim gabinecie?

Trochę już nad tym myślała po jego wyjściu, ale myślała też o fakcie, że mężczyzna jej marzeń ma zamiar żenić się z inną kobietą. W pierwszym odruchu chciała skłamać. To była standardowa operacja i nie miała nic wspólnego z Mitchem. Każdy musi znać zasady, a jeżeli ich nie zna, nie powinien zadawać pytań. Zatem nie może się obrazić, gdy się przekona,

że to, co usłyszał, jest kłamstwem. Mitch jednak należał do innej kategorii. Wiele wspólnie przeżyli, i to nie tylko w łóżku. Obowiązywały ich niepisane reguły. Jeżeli nie możesz odpowiedzieć na pytanie, to nie odpowiadaj. Mitch coś wiedział. Nie miała pojęcia skąd, ale jedno było pewne - wiedział, że kilka tygodni temu była w Waszyngtonie.

Rapp pochylił się i powtórzył pytanie:

- Byłaś przed kilkoma tygodniami w Waszyngtonie? Donatella wzięła łyk zimnej wódki.
- Tak.

- Spędziłaś jakiś czas na Uniwersytecie George'a Washingtona?
- Kto chce wiedzieć?
- Ja.
- Nikt więcej? - zapytała sceptycznie.
 - Och, są też i inni, ale nikt nie chce tak bardzo wiedzieć jak ja.
- Dlaczego?

Rapp patrzył na nią przez chwilę w milczeniu. Taka rozmowa mogła się ciągnąć godzinami. Nie miał ochoty ani czasu na zabawę w odbijanie piłeczki. Podejmując skalkulowane ryzyko, powiedział:

- Na Uniwersytecie George'a Washingtona wykładał pewien profesor, z którym chciałem porozmawiać. Na nie szczęście, zanim się z nim spotkałem, ktoś wbił mu w ucho kolec do lodu i dostał się do jego mózgu przede mną. Do myślasz się, kto mógł coś takiego zrobić?

Donatella niespokojnie spojrzała na tłum gości. Wiedział, że to była

ona. Widział już, jak zabijała. Uchyliła się od odpowiedzi, zadając pytanie:

- Dlaczego chciałeś z nim rozmawiać?

Oczy Rappa zapłonęły gniewem. Pochylił się, aż jego nos znalazł się kilka centymetrów od jej nosa, i odpowiedział przez zaciśnięte zęby:

- Dlatego, że próbował mnie zabić.

GABINET SYTUACYJNY, CZWARTEK RANO

Pułkownik Gray potrafił skupić na sobie uwagę. Nawet rzadko dająca się zaskoczyć Irene Kennedy pokręciła teraz głową, przyjmując z niedowierzaniem odważny plan dowódcy Delta Force. Był piękny w swym zuchwalstwie.

Prezydent Hayes spojrział na pułkownika z powątpiewaniem i zapytał:

- Praktykował pan już coś takiego?
- Tak.
- Jak?
- Wzięliśmy trzy ciężkie helikoptery transportowe MH-47E ze 160. Pułku Powietrznych Operacji Specjalnych i do każdego załadowaliśmy osobowego mercedesa i czterech członków Delta Force. Przewieźliśmy je z Bazy Sił Lotniczych Pope w Karolinie Północnej do Hulbert Field na Florydzie. Po przylocie przez osiem dni prowadziliśmy osiem operacji rozładunkowych i załadunkowych. Staraliśmy się, by ćwiczenia były jak najbliższe rzeczywistym działaniom. Każdej nocy wysyłaliśmy dwa MH-53J Pave Lows z obsadą z Delty. Ich zadanie polegało na zabezpieczeniu lądowiska dla MH-47E. Pierwsze dwie noce były rozgrzewką - na lądowisku

wybraliśmy utwardzone

- drogi w oddalonych częściach bazy. MH-53J wylądowały, desant zabezpieczył i oznaczył lądowisko. Potem nadleciały MH-47E i wylądowały bez przeszkód. Samochody wyjechały i Delta zaczęła symulowaną misję. Po jej zakończeniu samochody załadowano i wszystkie helikoptery odleciały. W ciągu dwóch następnych nocy założenie zmieniono: lądowiska zostały zajęte przez wrogie siły i trzeba było użyć zapasowych. Wprowadziliśmy dodatkowe utrudnienia: a to strącenie jednego z helikopterów, a to atak w trakcie wylądowywania samochodów.

- I? - zapytał prezydent.
- I wszystko poszło bardzo dobrze. Wiemy więc, co należy robić, aby mimo trudności misja zakończyła się powodzeniem. A poza tym jeśli zajdzie taka potrzeba, w każdej chwili możemy wprowadzić nasz plan w życie.

Prezydent zamrugnął i rzekł:

- Chce mi pan powiedzieć, że może przerzucić helikoptery do Iraku, wylądować tam, wylądować samochody, pojechać nimi do Bagdadu, dotrzeć do celu i wszyscy bezpiecznie stamtąd wrócą? - Prezydent pokręcił głową. - Proszę mi wybaczyć sceptycyzm, ale wydaje mi się to trochę nierealne.
- Na tym polega moja praca. Ja tkwię w takim nierealnym biznesie, a pan mi za to płaci, panie prezydencie.

Prezydent Hayes zaśmiał się i pochylił ku niemu, pytając:

- Pułkowniku, czy naprawdę pan wierzy, że można coś takiego zrobić?
- To zależy od osłony, jaką zechce nam pan dać, panie prezydencie.
- Co pan ma na myśli?

- Jeśli cała operacja sprowadzi się do tego, co opisałem... - Gray urwał, aby przez chwilę się zastanowić -...to moi ludzie mają pięćdziesiąt do sześćdziesięciu procent szans na dotarcie do celu i wycofanie się bez ofiar.

Prezydent się skrzywił.

- Mnie się takie szanse nie podobają.
- Zwiększą się do dziewięćdziesięciu procent, jeżeli zechce pan poszerzyć zakres operacji.
- Jak?
 - Gray spojrział na obu generałów. Flood i Campbell dali znak, żeby mówił dalej.
 - Helikopterom trudno będzie niepostrzeżenie dolecieć daleko w głąb Iraku. Żeby odwrócić od nich uwagę, należy zaaranżować wydarzenie wywołujące chaos. Generał Flood poinformował mnie, że bierze pan pod uwagę możliwość zmasowanego ataku z powietrza.
 - Tak, zgadza się.
 - To dobrze. Jeżeli nasi chłopcy nadlecą i zrobią spustoszenie w irackiej obronie przeciwlotniczej i łączności, to moi ludzie będą mieli drogę otwartą. Bardzo nam pomogą ciągle naloty aż do kompletnego wycofania się Delt.
 - Zamierza pan - zapytał z niedowierzaniem prezydent - wysłać swoich ludzi do Bagdadu, gdy będą tam spadać nasze bomby?
 - Tak. - Gray przysunął się do stołu i położył na nim wyprostowane ramiona. - Możemy utworzyć bezpieczny korytarz, przez który nasz zespół bezpiecznie przyleci do miasta i odleci z niego. Bomby nie mogą spadać w tej strefie, powiedzmy, w promieniu sześciu przecznic

od szpitala.

- Pułkownik, nie mam w tym zakresie wielkiego doświadczenia, ale wiem, że nasi lotnicy nie zawsze trafiają w cel. Nie sądzi pan, że to trochę ryzykowne wysyłać ludzi do bombardowanego miasta?

Pułkownik Gray spojrział prezydentowi w oczy i oświadczył:

- Panie prezydencie, przynależność do Delta Force jest niebezpieczna. Nie ma tam miejsca dla tych, którzy nie chcą walczyć. Jeżeli ktoś chce mieć bezpieczną pracę, powinien sprzedawać auta.
- Dobrze powiedziane, ale... - prezydent pozostał sceptyczny - ..to wydaje się bardzo skomplikowane i... - Hayes rozejrzał się po twarzach zebranych i zatrzymał wzrok na generale Floodzie - ...i zawsze mówiłeś, że im coś jest bardziej skomplikowane, tym mniej szans na powodzenie.
- To się przeważnie sprawdza - odparł Flood.

Pułkownik Gray się nie zrażał:

- Panie prezydencie, wiem, że to skomplikowane, ale gwarantuję panu dwie rzeczy, których nie da panu lotnictwo - kontynuował z zapalem. - Proszę nie zapomnieć o najważniejszym celu tej akcji. Musimy mieć pewność, że broń atomowa została zniszczona. Poza tym mogę obiecać, że dowiemy się, czy ta broń znajduje się jeszcze w podziemiach szpitala. Lotnictwo nie da panu tej gwarancji, a moi ludzie tak. Dostaniemy się do tego obiektu i dostarczymy panu niezbitych dowodów. Jeżeli broń znajduje się w tym bunkrze, zniszczymy ją. Jestem przekonany, że uda się nam przeprowadzić tę akcję tak, iż nie zginą niewinni ludzie ze szpitala. - Gray przerwał, dając prezydentowi czas na przetrwanie tego, co powiedział, i po chwili dodał: -

Jeżeli posłuży się pan lotnictwem, międzynarodowa społeczność potępi pana za zbombardowanie lecznicy. Nie ma pan dowodów, że ta broń jeszcze się tam znajduje. Saddam zawiezie dziennikarzy na miejsce, gdzie stał szpital, aby sfotografowali zwłoki i gruzy. Zrobią zdjęcia pokrytych pyłem martwych dzieci w objęciach matek i cały świat arabski jeszcze bardziej nas zniechęci. Saddam zaś znowu podsyci antyamerykańskie nastroje i ONZ będzie głosować za cofnięciem sankcji ekonomicznych...

Generał Campbell przerwał podwładnemu:

- Pułkowniku, trzymajmy się naszego zakresu obowiązków, resztę zostawmy prezydentowi i jego administracji.

Prezydent Hayes uniósł rękę i rzekł:

- Dobrze, dobrze... Myślę, że pułkownik wyraził to, co wszyscy boimy się powiedzieć głośno. - Hayes przez chwilę milczał, rozmyślając o skutkach ataku z powietrza. Pułkownik miał rację. Obecna koalicja przeciwko Irakowi była tak wątła, że w każdej chwili mogła się rozpaść. Zbombardowanie szpitala z pewnością oznaczałoby koniec sankcji ekonomicznych. Izrael zrzuci ten cholerny problem na jego barki. Hayes, sfrustrowany, zwrócił się do Irenej Kennedy: - Chciałbym usłyszeć, co o tym myślisz.

20

MEDIOLAN, CZWARTEK WIECZÓR

Donatella siedziała oniemiała. Dwoma łykami opróżniła kieliszek i zaczęła szukać kelnera. Pochwyciła jego spojrzenie, gdy manewrował w tłumie z tacą drinków. Uniosła pustą szklankę, dając znać, że chce

następną. Jej głowa lekko się chwiała, ale nie z powodu alkoholu, przynajmniej jeszcze nie. Próbowwała to wszystko poskładać. Kto zawarł umowę z Benem Freidmanem na zabicie Petera Camerona? To nie było oficjalne zlecenie Mosadu, ale sprawa czysto prywatna. Wiedziała o tym, ponieważ jej wynagrodzenie za zabicie Camerona zostało już przelane na konto w szwajcarskim banku, a Mosad nigdy nie płacił jej tak dobrze.

- Donny, czekam na odpowiedź. - Rapp ciągle był zły.

Donatella nie wiedziała, co robić. Zabicie Petera Camerona miało być prostym zadaniem, ale powinna wiedzieć, że to niemożliwe.

Wynagrodzenie było zbyt wysokie, nawet jak za ekspresowe zlecenie.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Dlaczego próbował cię zabić?

Rapp się odsunął.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Kto ciebie zatrudnił, żebyś go zabiła?

Potrząsnęła energicznie głową.

- Nie wiem więcej niż ty, musisz mi uwierzyć.
- Ale wiesz, kto ciebie zatrudnił.
 - Mitchell, powiedz mi, proszę, dlaczego ten człowiek chciał cię zabić?
 - Dobrze, Donny, powiem ci, ale potem ty mi powiesz, kto ciebie wynajął i dlaczego.

Donatella odwróciła się, znowu szukając kelnera, i Rapp chwycił jej brodę. Odwrócił delikatnie jej twarz ku sobie, spojrzał jej w oczy i rzucił:

- Daj mi słowo. Próbowала się uwolnić.
- Nie rozkazuj mi.
 - Rapp trzymał mocno.

- Donny, jestem twoim przyjacielem. Niektórych ludzi w Waszyngtonie naprawdę bardzo to zdenerwowało. Połowa z nich chce wyznaczyć cenę za twoją głowę, a druga połowa chce rozmawiać z twoim starym pracodawcą z Izraela.

Donatella z zamkniętymi oczami zaczęła do siebie mrużyć. Otworzyła oczy i powiedziała spokojnie:

- Powiedz mi, dlaczego chciał cię zabić.

Rapp uwolnił brodę Donatelli, gdy kelner stawiał przed nią drugiego drinka. Po jego odejściu oznajmił:

- To nie może wyjść poza ten stół.

Donatella skinęła głową.

- Wydarzyło się to w czasie mojej ostatniej operacji.

Asystowało mi dwoje agentów. Ja byłem wykonawcą, oni stanowili wsparcie. Kiedy zająłem się celem, strzelili do mnie i zostawili umierającego.

Donatella z niepokojem na twarzy dotknęła go i zapytała:

- Gdzie?
- Dwie kule trafiły tu. - Rapp wskazał pierś. Obserwując jej minę, dodał: - Wiem, to bardzo nieprofesjonalne. - Stuknął się palcem w czoło. - Powinni tu strzelić, ale nie wiedzieli, że mam na sobie kamizelkę kuloodporną. Zapłacił im za to Cameron. Nie wiem, dla kogo pracował, i nie wiem, dlaczego chcieli mnie zabić, ale mogę ci tylko powiedzieć, że... ta dwójka zdrajców już nie żyje.
- Zabiłeś ich?

- Nie. Zrobił to Cameron. Donatella chwyciła szklankę.

- Skąd wiesz?

- Śledził go ktoś, komu bardzo ufam, i widział, jak Cameron nacisnął spust. Zwerbował ludzi, którzy pomogli mu ich zabić, a potem jeszcze raz próbował mnie zabić w Waszyngtonie. - Rapp usiadł wygodniej. - I już miałem go dopaść, gdy wkroczyłaś do akcji. - Napił się wina. - Widziałem cię tego dnia, Donny. Miałaś blond perukę. Wyszedłem z windy, gdy skręcałaś na klatkę schodową na końcu korytarza. Dostrzegłem w tej kobiecie coś znajomego, ale wtedy myślałem o czymś innym, o tym, jak najszybciej wydusić z tego sukinsyna, kto go wynajął. Gdy sforsowaliśmy zamek i weszliśmy do jego gabinetu, zobaczyłem, że nie żyje... Gdy ustaliłem, w jaki sposób został zamordowany, wiedziałem, że to byłaś ty.

Donatella poczuła, że musi się napić zimnej wódki. Sprawa nie przedstawiała się dobrze. Zaczęła się układać w pewien logiczny wzór. Okazuje się, że ten, kto został wynajęty do zrealizowania kontraktu, został następną ofiarą. Uzmysłowiła sobie, że rozwiewają się marzenia o porzuceniu tego biznesu. Z zamkniętymi oczami skinęła głową i przyznała:

- Tak, to byłam ja.

- Dziękuję za szczerość. Teraz powiedz mi, kto cię zatrudnił.

Donatella spojrzała w przeszywające ją oczy Rappa. Musiała się namyślić, nawet gdyby miało to trwać kilka minut. Najwyraźniej wdepnęła w niezłe bagno. Ktokolwiek ją zatrudnił, ujawnił skłonność do

zabijania wszystkich wykonawców, a to oznaczało, że jest następna na liście.

- Donny, powiedz mi dla własnego dobra, kto cię za trudnił.

Donatella opanowała się. Kochała Mitcha i wiedziała, że powinna być wobec niego lojalna, ale przede wszystkim musiała być lojalna wobec Bena Freidmana, szefa Mosa-du. Nie może zdradzić Bena, a przynajmniej musi to dobrze przemyśleć. Musi zyskać na czasie. Otworzyła torebkę i wyjęła pieniądze. Położyła na stole tyle, żeby pokryć rachunek, i oznajmiła:

- Idziemy. Musimy się przejść.

GABINET SYTUACYJNY, CZWARTEK RANO

W Gabinetecie Sytuacyjnym panowała napięta atmosfera. Pułkownik Gray zwrócił uwagę na komplikacje związane ze zniszczeniem broni atomowej za pomocą ataku z powietrza. Prezydent poprosił Kennedy o opinię i nominowana przez niego na stanowisko dyrektora CIA kobieta zastanawiała się nad odpowiedzią. Gdy oczy wszystkich spoczęły na niej, Kennedy oznajmiła:

- Myślę, że plan pułkownika Graya jest genialny. Daje nam nawet większe szanse na powodzenie, niż się pułkownik spodziewa.

Prezydent był trochę zaskoczony tą entuzjastyczną opinią.

- Skąd to przekonanie?
- Znam Irakijczyków. Boją się Saddama do tego stopnia, że nawet im

przez myśl nie przyjdzie, by stawić mu czoło.

- Ale jego tam nie będzie - wtrącił Michael Haik. - To będą tylko białe auta. - Z tonu jego głosu jasno wynikało, że jemu plan pułkownika Graya nie spodobał się tak, jak Ireneę Kennedy.

Kennedy postanowiła wytoczyć ciężkie działa.

- Dla nich te białe auta są Saddamem i nikt nie będzie w to wątpił. Saddam zamordował członków własnej rodziny, zabił dziesiątki generałów. Nikt nie zaryzykuje w obawie o życie. - Kennedy spojrzała na pułkownika Graya. - Muszę pana naprawdę pochwalić. Żałuję tylko, że to CIA nie wpadło na ten pomysł.
- Nie odstrasza was wysokie ryzyko tego przedsięwzięcia? - zapytał prezydent.
- Tak, istnieje ryzyko, ale nie sądzę, żeby było większe niż reperkusje po zbombardowaniu szpitala.
- Ale to przecież Saddam ulokował tę cholerną broń pod szpitalem, narażając niewinnych ludzi na niebezpieczeństwo.
- Zgadzam się z panem - odparła Kennedy. - Wątpię jednak, czy prasa światowa będzie o tym pamiętać.

Prezydent w rozterce pochylił głowę i potarł skronie. Nie podnosząc wzroku, zapytał:

- Generale Flood, jakie jest pańskie zdanie?
- Panie prezydencie, myślę, że teraz najważniejsze jest zachowanie otwartego umysłu do dyskusji nad opcjami. Powinniśmy udzielić zezwolenia pułkownikowi Grayowi na przerzucenie ludzi w pobliżu miejsca akcji. W ten sposób, jeżeli podejmiemy taką decyzję, będziemy mogli szybko ich wykorzystać.

- A jeżeli podejmiemy taką decyzję, to co pan myśli o wspierającej akcji powietrznej?
 - Przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów wahał się przez moment.
- Nie wierzę w rozwiązanie połowiczne, panie prezydencie - oświadczył. - Dyskutowaliśmy już o tym i uważam, że nie powinniśmy byli - tak jak to zrobiliśmy - przerywać wojny w Zatoce. Zafascynowała nas technika i zapomnieliśmy, że wojnę wygrywają żołnierze walczący w polu. Powinniśmy wszystkimi siłami uderzyć na Bagdad i upewnić się, że Saddam został wyeliminowany. - Flood przerwał, aby dać ujście frustracji, i po chwili kontynuował: - Ale nie zrobiliśmy tego i od dziesięciu lat ten człowiek przeszkadza nam jak wrzód na tyłku. Jeżeli naprawdę maczał palce w produkcji broni atomowej, to jest już bliski jej posiadania, a więc może jej użyć. Myślę, że musimy mu przyłożyć solidnie. Rekomenduję, bez względu na to, czy przyjmiemy plan pułkownika Graya czy nie, zmasowane bombardowanie, skupione na niszczeniu obrony przeciwlotniczej, struktur dowodzenia i łączności. Myślę, że tym razem powinniśmy też trafić go w najczulsze miejsca i zniszczyć rafinerie.
- Generale - odezwał się prezydent. - Pan przecież wie, że nie mogę tego zrobić. Ci od ochrony środowiska dostaną szału... zaatakuję mnie moja partia.
- Może, ale niech pan zapyta tych swoich specjalistów od ekologii, co według nich spowodowałoby większe zniszczenia na naszej planecie: kilka tysięcy baryłek rozlanej ropy czy eksplozja nuklearna nad Tel Awiwem albo, broń Boże, Waszyngtonem. - Flood pochylił się i

położył muskularne ręce na stole. - Panie prezydencie, on może kupić tę broń tylko za pieniądze z ropy naftowej. Musimy trzepnąć go po portfelu i jeżeli martwi się pan o Turcję albo Jordanię, to rzucimy im jeszcze w ramach pomocy kilkaset milionów dolarów.

Prezydent spojrział na Kennedy, oczekując jej opinii.

- Generał Flood przedstawił nam bardzo sugestywną wizję i w zasadzie zgadzam się ze wszystkim. Ale na nie szczęście musimy brać pod uwagę względy polityczne. Teraz losy pańskiej administracji wiszą na włosku i jeżeli straci pan oparcie we własnej partii, nie będzie pan mógł efektywnie działać w kraju i za granicą.

Michael Haik podchwycił skwapliwie:

- Zgadzam się z Irene w stu procentach. Według mnie nie możemy ruszyć rafinerii. Podniósłby się straszny wrzask.
- No to lećmy i zbombardujmy szpital pełen niewinnych ludzi - odparł z niesmakiem prezydent - ale nie róbmy niczego, co mogłoby zranić Matkę Ziemię. Nigdy nie słyszałem czegoś głupszego.
- Nie powiedziałem, że się z tym zgadzam — sprzeciwił się Haik. - Zwracam tylko uwagę na realia polityczne.
- Chciałabym coś powiedzieć, panie prezydencie - wtrąciła Kennedy i zwracając się do pułkownika Graya, zapytała: - Czy pańskim ludziom udałoby się zabrać stamtąd któryś z tych ładunków?
- To zależy od jego wielkości.
- Do wieczora moi ludzie dadzą panu dokładną odpowiedź, ale można założyć, że uda się nam zabrać przynajmniej najbardziej nas interesującą część.

- Ma pani oczywiście na myśli głowicę.

- Dokładnie.

Gray się zamyślił.

- Jeżeli broń nie będzie złożona, sądzę, że jeden człowiek może unieść głowicę, ale jeżeli będzie złożona... wtedy będzie to skomplikowane.

Rozmontowanie może zabrać dużo czasu. Na takiej misji wchodzimy, zakładamy ładunki i w ciągu minuty lub jeszcze szybciej znikamy.

- Rozumiem, ale można sobie wyobrazić, że uda wam się coś zabrać?

Pułkownik znowu się zamyślił i odpowiedział:

- Tak. Może się uda.

Kennedy zwróciła się do prezydenta:

- Jeżeli wpadnie w nasze ręce choć jeden tego typu ładunek, wtedy nasi uczeni będą mogli ustalić z jakiego reaktora pochodzi pluton. Istnieje też duża szansa, że do wiemy się, skąd pochodzą inne części.

Haik brał pod uwagę lepsze wykorzystanie zdobytej broni.

- Możemy też zorganizować jedną z tych piekielnych konferencji prasowych. Saddam złapany na gorącym uczynku nie wyłga się. W tej sytuacji ONZ będzie musiało się czuć urażone. - Haik spojrział na generała Flooda. - Będzie pan mógł bombardować rafinerie, dopóki będziemy mieli dowód, że powstrzymaliśmy Saddama przed posiadaniem działającej broni atomowej. - Haik zwrócił się do prezydenta: - W tym mieście nie znajdzie się polityka, który by pana nie poparł, panie prezydencie.

MEDIOLAN, CZWARTEK WIECZÓR

Po wyjściu z baru Rapp siedł po lewej stronie Dona-telli. Stary nawyk. Oboje mogli strzelać każdą ręką, zadawać ciosy nożem albo bić się wręcz, ale Rapp preferował lewą, a Donatella prawą rękę. Skierowali się na południe, na Via Brera. Dochodziła dwudziesta. Na ulicach płonęły latarnie. Krótka burza zmoczyła jezdnie i w mokrej nawierzchni odbijały się światła niezliczonych restauracji i mijających ich samochodów. Nie było wielu przechodniów, wydawało się, że deszcz wypłoszył prawie wszystkich.

Donatella była wyraźnie zaskoczona przebiegiem rozmowy w barze. Rapp się obejrzał - jej zachowanie i jego instynkt podpowiadały mu, że nie wszystko jest w porządku. Pistolet z tłumikiem tkwił tam, gdzie powinien, i Rapp mógł go szybko wyciągnąć.

- Jeżeli nie chcesz mi powiedzieć, dokąd idziemy, to powiedz, kto cię zatrudnił.

Donatella nie zwolniła kroku. Podniosła kołnierz stylowej czarnej kurtki i szła z opuszczoną głową, jak piłkarz z uporem przebijający się przez atakujących przeciwników.

- Nie sądzę, żebym mogła to¹ zdradzić. Rappowi nie spodobała się taka odpowiedź.
- Nie możesz czy nie chcesz?
- Co za różnica?

- Wiesz, że to różnica - odpowiedział Rapp wyraźnie zagniewany. - Wiesz czy nie wiesz, kto cię zatrudnił?

Zaśmiała się gorzko.

- Och, wiem, kto mnie zatrudnił, ale nie wiem, kto zatrudnił jego.

Rapp przez chwilę milczał, po czym zapytał:

- Kto dał ci namiar na cel? Pokręciła głową.
- Nie mogę powiedzieć.
- Dlaczego? Czy ta osoba związana jest z Mosadem?
- Przez chwilę nie zadawaj pytań, muszę się zastanowić. Rapp wytrzymał tylko kilka kroków.
- Dokąd idziemy?

- Do twojego hotelu. Chcę poznać twoją dziewczynę.

Rapp, nie widząc w tym nic zabawnego, oświadczył stanowczo:

- Nic z tego. Myślę, że powinnaś to potraktować poważniej, Donny. Nie można tego problemu lekceważyć. Cameron, facet, którego zabiłaś, pracował dwadzieścia lat w CIA. Pewni ważni ludzie chcą wiedzieć, dlaczego zajął się tego rodzaju operacją i dla kogo pracował.
- Myślałam, że troszczysz się o mnie.
- Nie mogę cię chronić, jeżeli mi nie powiesz, kto cię zatrudnił.
- Zatem mamy problem, ponieważ chyba nie mogę ci tego powiedzieć.

Rapp chwycił ją za ramię i zatrzymał.

- Donny, nie mogę się tak kręcić w kółko. Kennedy wie, że zabiłaś Camerona. Ma dowód, że byłaś w Stanach. Ma na taśmie wideo, jak wychodzisz z gabinetu Camerona, i wie przynajmniej o trzech osobach, które zabiłaś w ten sam sposób. Jeżeli zajdzie potrzeba, jest gotowa na wszyst

ko. Przyjechałem tu z własnej inicjatywy, aby przekonać się, czy możemy utrzymać to w tajemnicy.

Donatella uwolniła ramię i ruszyła dalej.

- Dziękuję, ale to niepotrzebne. Jeżeli naprawdę chcesz mi zrobić przysługę, to wracaj do Waszyngtonu i powiedz Irene, że nie miałam z tym nic wspólnego.

Rapp szedł za nią, ale zaczynał tracić cierpliwość.

- Donny, spójrz na to realnie i zacznij w końcu okazywać mi jakąś pieprzoną wdzięczność. Gdyby nie ja, zgarnęliby cię z ulicy i siedziałabyś w ciemnej piwnicy ze środkami psychotropowymi krążącymi w żyłach i czarnym workiem na głowie.

Donatella odwróciła się i wymierzyła palcem w jego twarz.

- Nie groź mi.

Rapp odsunął jej rękę i zbliżył się do niej.

- Co się, u diabła, z tobą dzieje? Znasz reguły. Jesteś wolnym strzelcem.

Wzięłaś ekspresowe zlecenie i zabiłaś kogoś, kto wtrącił się w interesy CIA, a teraz CIA chce znać odpowiedzi na pewne pytania.

- No to niech szukają gdzie indziej, bo ja nic nie powiem. - Donatella zawróciła i poszła Via Senato.

Rapp stał z zaciśniętymi dłońmi i patrzył, jak wchodzi do parku Giardini Pubblici. Po krótkim wahaniu poszedł za nią. Oddalała się od hotelu, idąc w kierunku swojego mieszkania. Rapp przebiegł przez ulicę i krzyknął, żeby zaczekała. Nie posłuchała. Szła szybko z pochyloną głową. Rapp podbiegł do niej i chwycił, próbując zatrzymać.

- Donny, przykro mi, że przyniosłem złe wiadomości, ale jestem tu, aby cię chronić. Mogę ci pomóc bez względu

na to, kogo się boisz.

Rzuciła mu niedowierzające spojrzenie i zwolniła.

- Nie wierzysz mi. Nie wierzysz, że mogę cię chronić? Donny, podaj mi nazwisko tego, kto cię w to wciągnął, a przysięgam, że nic ci się nie stanie.
- Przez pięć minut nic nie mów. Tylko o to cię proszę. Ani słowa, dopóki nie znajdziemy się na drugim końcu parku.

Rapp już chciał przytoczyć następny argument, ale zrezygnował.

Donatella była bardzo uparta. Sama musiała podjąć decyzję, czy powinna - we własnym interesie - powiedzieć, kto ją zatrudnił. Rapp westchnął, ujął jej rękę i ścisnął. Nie zazdrościł jej sytuacji. Ten, kto ją zatrudnił, nie raczył jej poinformować, kto szuka Petera Camerona.

Trzymając się za ręce, szli przez park w milczeniu. Rapp cały czas myślał, jak przekonać Donatellę, żeby zdradziła mu potrzebną informację. Gdy wreszcie dotarli do skraju parku, powiedział:

- Donny, zrobię wszystko, żeby cię chronić. Mogę cię jutro rano wsadzić do samolotu agencji lecącego do Stanów. Dam ci gwarancję, że nic ci się nie stanie.

Spojrzała na niego, ale nie zatrzymała się.

- Sama mogę się doskonale obronić.
- Nie powiedziałem, że nie możesz, tylko proponuję ci moje wsparcie.
- Gdybym je przyjęła, musiałabym wszystko tu rzucić. Kocham to miasto, kocham Włochy. Nie chcę ukrywać się w Ameryce.

Rapp postanowił złożyć jej radykalną propozycję:

- Donny, powiesz mi, kogo się boisz, a ja złożę im wizytę. Tak czy inaczej, muszę mieć pewność, że nigdy ci

nie zaszkodzą.

Zaśmiała się, wyobrażając sobie, jak Rapp leci do Tel Awiwu i grozi Benowi Freidmanowi. Z drugiej jednak strony wiedziała, że jest do tego zdolny.

- Myślisz, że to śmieszne?
 - Nie, nie myślę, że to śmieszne, ale powinieneś przystopować. Nie powiedziałam, że nie dam ci tego, czego chcesz, powiedziałam tylko, że muszę mieć trochę czasu, by się zastanowić, jak to zrobić.

Gdy tak szli dalej w milczeniu, Donatella myślała, jak przekazać Rappowi interesującą go informację, nie wspominając, że jej zleceniodawcą był Ben Freidman. Powinna być lojalna wobec Rappa i powiedziała mu, gdyby chodziło o kogoś innego niż Ben Freidman. Ale chodziło właśnie o dyrektora generalnego Mosadu i gdyby CIA dowiedziało się, że szef tej organizacji panoszy się na ich podwórku, dostałoby napadu szału. Musiała znaleźć inny sposób zaspokojenia ciekawości Rappa. Nie mogła wymienić wprost nazwiska Bena. Wyciągnął ją z narkotykowego nałogu i przywrócił poczucie własnej wartości, z czym sama nigdy by sobie nie poradziła.

Donatella dobrze wiedziała, że Mitch nie spocznie, póki nie dowie się, kto wynajął Camerona. Poza tym była przekonana, że Freidman zdradzi jej, kto podpisał kontrakt na śmierć Camerona. Tylko on mógł jej to powiedzieć. Po powrocie do mieszkania wyśle mu zaszyfrowany e-mail i przy odrobinie szczęścia rano będzie miała odpowiedź.

Już chciała się odezwać, gdy nagle Rapp trzykrotnie uścisnął jej rękę. Natychmiast się rozejrzała, szukając przyczyny sygnału. Mitch dał jej znak, że ktoś ich obserwuje.

Za rogiem znajdował się dom Donatelli. Była zła, że pierwsza nie dostrzegła tego, co zauważył Rapp.

Rapp trzeci raz widział ten samochód. Pierwszy raz tego samego dnia w pobliżu biura Donatelli, drugi - gdy wyszli z baru, i teraz znowu.

Natychmiast podjął zdawkową rozmowę. Nie chciał się zdradzić, gdyby ktoś podsłuchiwał ich przez mikrofon kierunkowy.

- Masz jutro czas w porze lunchu?
- Chyba tak.
- Możemy się spotkać o jedenastej trzydzieści? Ścisnął jej rękę.
 - Z przyjemnością. - Donatella spojrzała na ulicę.

Dwunasta oznaczała „prosto przed siebie”, jedenasta trzydzieści - „patrz w lewo”. Z trudem zauważyła sylwetkę mężczyzny siedzącego za kierownicą. Samochód był tak zaparkowany, żeby można było z niego obserwować jej ulicę i ulicę, którą teraz szli.

- Wcześniej mówiłaś coś o tych zdjęciach?
- Tak.
- Byłem w tym tygodniu trzy razy u fotografa.
 - Doprawdy? - zdziwiła się. Mitch nie miał pojęcia, kim jest ten fotograf, ale ona wiedziała, że mówi jej, iż widzi ten samochód po raz trzeci.

Szli prosto do domu Donatelli. Rapp pocałował ją w policzek i szybko szepnął do ucha:

- Masz co trzeba? Donatella uśmiechnęła się.
- Zawsze, kochanie. A ty?
- Oczywiście.

Gdy doszli do wejścia budynku, w którym znajdowało się mieszkanie

Donatelli, Rapp położył ręce na jej ramionach i niemo wypowiedział trzy słowa: „Kto cię zatrudnił?”

- Jutro ci powiem. Muszę się najpierw czymś zająć.

- Wolałbym wiedzieć teraz.

- Z pewnością - odparła ze swawolnym uśmiechem. -

Może wejdiesz na górę i tam to ze mnie wydusisz?

Podparła się pod boki z tak prowokującym uśmiechem, że poczuł dreszcz pożądania. Gdy po chwili osiągnął etap ignorowania jej kokieterii i usiłował sobie wyobrazić, kto ich może śledzić, Donatella złożyła na jego ustach namiętny pocałunek. W pierwszym odruchu chciał ją odepchnąć, ale zwyciężyła rutyna i świadomość, że są obserwowani. Buszujący w ustach Rappa język Donatelli spowodował nawrót fali pożądania, a wraz z nią wywołał cień erotycznych wspomnień. Ale nagle wszystko przesłonił żywy wizerunek Anny Rielly. Wyobrażenie jego przyszłej żony miało zbawienny skutek i Rapp ostrożnie usunął z ust język byłej kochanki.

- Och, chciałbym wejść na górę - musiał brać pod uwagę ewentualny podsłuch - ale mam jeszcze coś do załatwienia. — Dyskretnie kiwnął głową w stronę parkującego samochodu.

- Rozumiem. Może jutro wieczorem będę mogła z tobą rozmawiać. - Wiedząc, że mają widownię, przywarła silniej do Rappa i jeszcze raz pocałowała go namiętnie w usta.

Przez chwilę nie reagował, ale gdy zaczął ją odpychać, ugryzła go boleśnie w wargę.

Rapp nie widział w tym nic zabawnego. Cały czas zastanawiał się, kto ich obserwuje i czy śledzi jego, czy Do-natellę, czy może to tylko zbieg

okoliczności? Czy wysłała ich ta sama osoba, która wynajęła Petera Camerona, czy może to Kennedy kazała komuś z rzymskiej placówki mieć go na oku? Jeżeli tak, to po powrocie do Waszyngtonu rozpęta piekło. Nie lubił, gdy ktoś zagląda mu przez ramię w czasie pracy. W typowym dla siebie stylu postanowił jak najszybciej poznać odpowiedź. Rozpiął kurtkę, wyjął telefon i pokazał go Donatelli. „Zadzwoń do ciebie w ciągu dziesięciu sekund. Nie wchodź do mieszkania” - powiedział bezgłośnie.

Tym razem Rapp ją pocałował. Był to krótki pocałunek, a jego język nigdzie nie zawędrował.

- Było cudownie. Śpij dobrze, rano zadzwonię.

Odwrócił się i ruszył w kierunku, z którego przyszli.

Dyskretnie przekonał się, czy samochód ciągle tam stoi. Na rogu skręcił w lewo. Przyspieszył kroku i wyjął czarny telefon. Po dojściu do kolejnej przecznicy skręcił w prawo i przeszedł na drugą stronę ulicy. Gdy znalazł się poza zasięgiem wzroku osoby obserwującej dom Donatelli, zaczął biec. Nie przystając, wybrał numer telefonu Donatelli i liczył sygnały. Gdy Donatella wreszcie się zgłosiła, był prawie przy następnej przecznicy.

- Nie wchodź do mieszkania.

- Dlaczego?

Z tonu jej głosu wywnioskował, że świadomie go prowokuje.

- Nie dyskutuj. Muszę najpierw coś sprawdzić. - Rapp

zwolnił i skręcił w prawo.

- Potrafię o siebie zadbać. Nie martw się. Rapp zaczął ciężiej oddychać.

- Daj mi minutę.

- Jeżeli ktoś jest na tyle głupi, żeby czekać na mnie w mieszkaniu, to żal mi go.
- Dobrze. - Rapp minął następną przecznicę. Był w połowie drogi. Jeszcze dwie przecznice i zajdzie obserwatora od tyłu. - Zawrzyjmy układ. Powiesz mi, kto cię zatrudnił, a potem możesz otworzyć drzwi do mieszkania.

Donatella zaśmiała się.

- Nie masz prawa wchodzić ze mną w układy.

Mieszkała na trzecim piętrze. Rapp wiedział, że rzadko używała windy i z pewnością nie użyje jej dziś wieczór, skoro ktoś może na nią czekać w mieszkaniu.

- Jestem już prawie na miejscu. Daj mi pół minuty.
- Za późno. Stoję już przed drzwiami.
- Donny, powiedz, kto cię zatrudnił. Nie rób mi tego. Cisza, połączenie zostało przerwane.
- Cholera!

Rapp zmusił się do szybkiego biegu. Skręcając za następny róg, czuł ogień w płucach. Teraz porzucił już wszelką ostrożność.

KAPITOL, CZWARTEK RANO

Norbert Steveken zdecydował się zostawić samochód w pobliżu Hart Senate Office Building i nie ryzykować szukania miejsca do zaparkowania przy Rayburn House Office Building. Biura Senatu mieściły się w trzech budynkach znajdujących się na północ od Kapitolu, a Izby Reprezentantów - w czterech budynkach na południe od Kapitolu.

Gdy zimny listopadowy wiatr zaczął smagać jego brunatny trencz, zdał sobie sprawę, że krótki spacerek przez teren otaczający Kapitol jest tak naprawdę niemal kilometrową uciążliwą wędrówką.

Po dotarciu do Rayburn House uszy i policzki miał czerwone. Były agent specjalny FBI zdeponował w holu broń u funkcjonariusza policji Kapitolu, przeszedł przez bramkę wykrywającą metal i wspinał się po schodach do biura kongresmana Rudina.

Steveken nie miał ochoty na to spotkanie. Gdyby nie prosił go o to Hank Clark, z pewnością by odmówił. Ale jemu nie mógł tego zrobić. Ten człowiek dużo dla niego zrobił - dwie trzecie swoich klientów zawdzięczał Clarkowi. Zajmie się tym odpowiednio, skróci spotkanie, a następnie zabierze się do Browna.

Drzwi biura były otwarte i Steveken wszedł do małej poczekalni. Pulchna kobieta z gigantycznym kokiem siwych włosów spojrzała znad okularów i warknęła:

- Tak?

Steveken uśmiechnął się i rzucił wesoło:

- Halo!

Stara hetera obrzuciła go badawczym spojrzeniem i zapytała:

- Mogę panu w czymś pomóc?
- Chcę się widzieć z kongresmanem.
- Był pan umówiony?
- Nie. - Steveken czekał na reakcję.
 - Kongresman nie przyjmuje nie umówionych osób. -Kobieta spuściła wzrok i zajęła się pracą w nadziei, że mężczyzna wyjdzie.
- Myślę, że mnie będzie chciał przyjąć.

- To pan tak twierdzi - oświadczyła, ledwo panując nad tonem głosu.
- Tak. Mamy wspólnego przyjaciela, który prosił mnie, żebym tu wdepnął i porozmawiał z kongresmanem.
- A kim jest ten wspólny przyjaciel? - zapytała ciągle tym samym tonem.

Steveken pochylił się i oparł się na blacie biurka. Miał już do czynienia z wieloma biurokratami i wiedział, jak postąpić z tą kobietą.

- Nie pani interes. Jestem bardzo zajęty, więc niech pani ruszy tyłek i powie kongresmanowi, że chce się z nim widzieć Norbert Steveken.

Stał pochylony, z twarzą w odległości trzydziestu centymetrów od zirytowanej recepcjonistki.

Kobieta odsunęła krzesło i wstała. Dysząc ze złości, obeszła biurko, otworzyła drzwi gabinetu Rudina i po wejściu zatrzasnęła je za sobą.

Steveken czekał z założonymi rękami. Rozglądał się po pokoju, słuchając stłumionych okrzyków dochodzących z gabinetu. Podła dziura w porównaniu z biurem senatora Clarka. Aranżacja wnętrza, czystość, albo raczej jej brak, podkreślały dzielącą je przepaść.

Po chwili z gabinetu wynurzył się kongresman Rudin z heterą depczącą mu po piętach. Jej twarz ciągle płonęła gniewem. Zdjął płaszcz z wieszaka i krzyknął przez ramię:

- Wychodzę na chwilę!
- Kiedy pan wróci? - zapytała.
- Nie wiem. - Rudin spojrział na Stevekena i dał znak ptasią głową, żeby szedł za nim.

Steveken puścił oko asystentce i ruszył za jej szefem do drzwi. W

korytarzu musiał przyspieszyć kroku, aby nie zostać w tyle za zwałistym starym kongresmanem.

- Nie chcę rozmawiać w gabinecie - szepnął Rudin przez ramię.

Jak większość urzędników zatrudnionych w instytucjach odpowiedzialnych za przestrzeganie prawa, czynnych czy na emeryturze, Steveken znał się na ludziach. Rozwijał w sobie, na dobre czy na złe, zwyczaj szufladkowania ich. Ale od czasu do czasu spotykał kogoś, kto naprawdę budził jego ciekawość. Idąc po schodach, uznał, że kongresman należy do tego typu ludzi.

Odebrał broń z depozytu i zaczął iść szybko, żeby dogonić kongresmana. Rudin był już w połowie drogi między dwiema przecznicami i zatrzymał się, kiwając niecierpliwie ręką, aby Steveken się pospieszył. Gdy ten zaczął biec, ze złością zobaczył, że kongresman znowu szybko rusza dalej. Przyspieszył, po minięciu dwóch przecznic w końcu dogonił kongresmana z Connecticut i zapytał:

- Dokąd idziemy?
- Na kawę. Tu niedaleko jest mała kawiarnia. Pół minuty później Rudin wyjaśnił:

- Nie lubię rozmawiać w gabinecie.

- Tak, już pan mówił. - Steveken z chęcią założyłby Rudinowi obrozę.

- Nie ufam tym sukinsynom z Langley.

Steveken nie wierzył własnym uszom. Wiedział, że CIA było zdolne do dziwnych rzeczy, ale nie wierzył, żeby robiło coś tak idiotycznego jak zakładanie pluskiew w biurze kongresmana. Steveken się obejrzał.

- Dziwne, że pan tak otwarcie o tym mówi. Teraz rozejrzał się Rudin.
- Dlaczego?

- Mikrofony kierunkowe. Mogą złapać każde nasze słowo. Nawet wypowiedziane szeptem.

Rudin zaczął coś mrużyć, w końcu wskazał przed siebie i rzekł:

- Kawiarnia jest tu zaraz, na Drugiej Ulicy.

Resztę drogi pokonali w milczeniu.

Rudin wszedł pierwszy i stanął przy kontuarze. Młoda biała kobieta z głową całą w dziwnych loczkach i z kolczykiem w nosie nie zwróciła szczególnej uwagi na kongresmana, gdy zamawiał dużą kawę po francusku. Biorąc pod uwagę pojemność pęcherza, Steveken zamówił małą kawę. Kawę Rudina podano pierwszą. Chwycił kubek i usiadł przy stoliku w głębi lokalu. Steveken zauważył, że nie wysilił się, aby zapłacić, wręczył więc kobiecie trzy dolary i powiedział, żeby zatrzymała resztę. Dołączył do kongresmana i zdjął płaszcz.

Dał Rudinowi szansę podziękowania, ale gdy ten tego nie zrobił, rzekł:

- Już zapłaciłem.
- Co?
- Za pańską kawę.

- Ach, tak... dziękuję. - Rudin objął kościstymi palcami kubek i pociągnął łyk kawy. - Hank mówił, że jest pan dobry w tym, co robi.

Steveken milczał, patrząc na Rudina.

- Nie mamy dużo czasu - ciągnął kongresman. - Jutro zaczyna się przesłuchanie w sprawie zatwierdzenia nominacji Kennedy.

- Czego pan ode mnie oczekuje?

- Wie pan coś o nadzorze Kongresu nad wywiadem?
- Co nieco.
 - Dobrze. Ten bękart Thomas Stansfield, dzięki Bogu już nie żyje, nie wierzył w kontrolę Kongresu. Próbował trzymać nas w nieświadomości, szczególnie w sprawach dotyczących tajnych operacji.
- Co wspólnego ma z tym Kennedy?
- Ona robi to samo. To babska wersja Stansfielda.
 - Słyszałem, że jest bardzo bystra. - Steveken dmuchnął na kawę.
 - Boże - skrzywił się Rudin. - Tylko proszę mi nie mówić, że pan w to wierzy.
- Co pan chce przez to powiedzieć? Że jest głupia?
- Nie, nie jest głupia. Daleko jej do tego.
- A zatem jest bystra.
 - Zapewne, ale to nie ma z tym nic wspólnego. Zasadniczy problem polega na tym, że CIA należy trzymać w cuglach i teraz mamy doskonałą okazję zapanować nad agencją, zanim Kennedy zdąży się okopać.
- Ma pan dowód, że złamała prawo?
 - Rudin sprawiał wrażenie, jakby zamierzał wyskoczyć ze skóry.
 - Nie mam, do cholery. Dlatego rozmawiam z panem.

Musi mi pan dostarczyć dowód.

Jedną z zalet pracy Stevekena było to, że mógł wybierać zleceniodawców. Zachowywał obojętność, gdy klient płacił dużo, ale im mniejsze było jego honorarium, tym mniej był skłonny tolerować takie wybryki. Rudin nie płacił ani centa i Steveken wątpił, by kiedykolwiek

podesłał mu jakiegoś klienta.

- Jak to się stało, u diabła, że został pan wybrany?
 - Co? - warknął Rudin, wyraźnie zmieszany.
 - Pan i ta Brunhilda, pańska recepcjonistka, jesteście najbardziej opóźnionymi społecznie ludźmi, jakich spotkałem.
 - Co? - Rudin nie wierzył własnym uszom.
 - Robię przysługę senatorowi Clarkowi. - Steveken wymierzył palec wskazujący w Rudina. - Nie pan mi płaci
- za robotę. Do diabła, nawet nie zapłacił pan za kawę. Spotykam się z panem z grzeczności. I powinien pan zapłacić za moją kawę. — Steveken włączył wyższy bieg. — Ale nie będę płakał nad kilkoma dolarami, więc zacznijmy gadać na temat. Jeżeli chce pan skorzystać z mojej pomocy, musi pan odpowiedzieć na moje pytania. I robiąc to, nie powinien pan mnie obrażać. - Steveken uśmiechnął się protekcyjnie do Kudina i dodał: - Więc... proszę mi powiedzieć, w jaki sposób, według pana, Kennedy mogła złamać prawo?

22

MEDIOLAN, CZWARTEK WIECZÓR

Mieszkanie było bardzo ładne. Pięknie urządzone, ze smakiem łączyło styl antyczny z nowoczesną wygodą. Na ścianach wisiały oryginalne obrazy malowane przez artystów, których Rosenthal nie znał ani też nie chciał znać. To wszystko były śmieci. Już od dwóch godzin z coraz więk-

szym zniecierpliwieniem siedział w ciemności, czekając na powrót kobiety. Sunberg siedział na kanapie po drugiej stronie salonu. Yanta tkwił w wynajętym samochodzie, śledząc cel.

Dokumenty, jakie Rosenthal otrzymał od Freidmana, nic nie mówiły o systemie alarmowym zainstalowanym w domu i mieszkaniu, ale wiedział z doświadczenia, że takie dane rzadko są uaktualniane. Nie włamał się, ryzykując ujęcie w korytarzu, ale udał się do sutereny w poszukiwaniu lokalu dozorca. Zapytał tego siedemdziesięciosze-ścioletniego mężczyznę, czy w tym budynku jest jakieś wolne mieszkanie do wynajęcia. Stary odparł, że obecnie nie, ale po Nowym Roku może coś się znaleźć.

Rosenthal wyznał dozorca, że przyjechał z Rzymu i chce się przeprowadzić do Mediolanu w lutym. Potem wyjął plik banknotów i oznajmił, że dzisiaj wpłaci zadatek, jeżeli znajdzie coś odpowiedniego. Dozorca, chcąc skorzystać z okazji, postanowił pokazać mu jeden z lokali i obaj mężczyźni wspięli się na najwyższe piętro budynku.

Gdy byli na górze, Jordan Sunberg wszedł do mieszkania dozorca i sprawdził, co trzeba. Mieszkanie Donatelli Rahn nie miało żadnego systemu alarmowego, za to znalazł trzy komplety kluczy do jej drzwi. Sunberg obejrzał inne haczyki. Niektóre mieszkania miały cztery komplety kluczy, inne tylko dwa. W jednej z szuflad znalazł wiele rozmaitych kluczy. Wziął jeden z nich i zastąpił nim zapasowy klucz do mieszkania Donatelli. Następnie sprawdził, czy nie pozostawił śladów, opuścił mieszkanie dozorca i czekał na ulicy na Rosenthala.

Tymczasem Rosenthal wręczył dozorca zadatek i powiedział, żeby zaczekał do jutra z papierkową robotą. Naturalnie nie miał zamiaru

wracać. Natomiast miał nadzieję, że gdy policja zacznie śledztwo i zadawanie pytań, stary nie wspomni o jego wizycie z obawy, że zabiorą mu zadatek na poczet dowodów rzeczowych. Tak czy siak, nie martwił się o to, co będzie później. Razem ze swoim zespołem do południa znajdzie się za granicą i wątpił, czy podany przez dozorcę opis byłby na tyle szczegółowy, aby stwarzał problemy. Według Rosenthala warto było zaryzykować.

Izrael, kraj otoczony wrogami, nie okazywał skruchy, jeśli dochodziło do zabójstw w imię bezpieczeństwa państwa. W swojej krótkiej historii odniósł wiele fantastycznych sukcesów, ale ponosił też przerażające klęski. Sukcesy jednak nie zawsze ujawniano. Rosenthal wiedział o tym najlepiej. Niektórych jego najważniejszych osiągnięć nikt nigdy nie pozna; wiedzieli o nich tylko najstarsi rangą urzędnicy Mosadu. I Rosenthal chciał, żeby tak zostało.

Cierpliwości - mówił do siebie, chociaż Yanta dał znać przez radio, że cel razem z towarzyszem opuścił bar i zmierza w ich kierunku. Wszystko zdawało się toczyć zgodnie z planem. Yanta stracił ich z oczu, gdy weszli do parku. Okrążył park i czekał na nich po drugiej stronie.

W panujących ciemnościach Rosenthal miał czas i sposobność do zastanowienia się nad różnymi możliwościami. Jeżeli zaprosi chłopaka na drinka albo żeby się przekonał, jak wygląda jej sypialnia, czyli na coś więcej niż drinka, to tej nieszczęsnej nocy facet będzie miał pecha. Rosenthal bez skruchy zabijał niewinnych świadków. Wśród osób uprawiających ten zawód byli tacy, którzy nie pochwalali tego, ale wielu innych robiło to samo. Gdyby nie wróciła do siebie dziś wieczór, gdyby ten mężczyzna mieszkał gdzie bli-

sko i poszliby do niego, Rosenthal musiałby rozważyć załatwienie jej na ulicy rano. Zabicie jej w miejscu publicznym wiązało się z pewnym ryzykiem, ale nie było trudne. Robił to już nieraz. Idziesz za nią, mijasz z lewej strony, przytykasz tłumik do pleców i strzelasz trzy razy. Potem idziesz dalej i nigdy nie oglądasz się za siebie. Broń byłaby widoczna najwyżej dwie sekundy. Od uderzenia pocisków ofiara traci oddech, nie może krzyknąć, a jej serce przestaje bić, zanim padnie na chodnik.

Rosenthal spojrział na zegarek. Freidman bardzo nalegał, żeby działać szybko. Kusiło go, by zostawić mieszkanie w spokoju, wyjść, poszukać ich, załatwić sprawę od ręki i pryskać z tego kraju. Było ciemno; kilku świadków, może nawet żadnego. Gdy rozmyślał o tym, usłyszał w słuchawce trzaski i głos Yanty.

- Wyszli z parku i idą w twoim kierunku.
- Jasne - szepnął Rosenthal. - Możesz mieć ich na oku i obserwować wejście do domu?
- Tak, ale za chwilę stracę ich z oczu.

Rosenthal zastanawiał się nad ryzykiem, doszedł jednak do wniosku, że prawie na pewno idą do jej mieszkania.

- Jedź i przerywamy kontakt. Zajmij pozycję, z której będziesz mógł obserwować front domu.
- Jasne, wykonuję.

Rosenthal spojrział przez pokój na Sunberga i skinął głową. Obaj mężczyźni wstali i przeciągnęli się.

- Gotów?
- Tak - odparł Sunberg.

Rosenthal trzy razy omówił z nim plan działania. Nie był

skomplikowany. Zajęli pozycje po przeciwległych stronach salonu, ogień skierują po przekątnych, jak cel wejdzie do pokoju. Światła były zgaszone tak jak wtedy, gdy pojawili się w mieszkaniu.

- Pamiętaj, musisz czekać, aż wejdzie do pokoju.

Rapp miał rację. Donatella nie skorzystała z windy, wybrała schody. I - zgodnie ze swoją profesją - nigdy nie wychodziła z domu bez broni. Wybierała pistolety tak, jak kobiety wybierają torebki - odpowiedni na każdą okazję. Najbardziej lubiła berettę 92F kaliber .9 mm. Była to jednak broń za duża i za ciężka, żeby ją wszędzie ze sobą nosić. Na co dzień używała walthera PPK z tłumikiem. Był lekki - ważył tylko pół kilograma - i mały. Ale miał jedną wadę - mniejszą skuteczność. Strzelał pociskami kaliber .22, które nie powaliłyby nikogo na ziemię, jeśli trafiły w korpus. Ale przy trafieniu w głowę kaliber nie ma większego znaczenia. A Donatella rzadko chybiała.

Idąc po schodach, ukryła pistolet w fałdach kurtki. Był odbezpieczony i przeładowany. Nie musiała tego sprawdzać, nigdy nie nosiła broni bez naboju w komorze. Pokonując kolejne stopnie, rozmawiała przez telefon z Rappem. Zatrzymywała się na każdym podeście, nasłuchując i sprawdzając następną serię schodów. Po dwóch martini czuła lekki szum w głowie, ale wieczorny spacer w chłodnym powietrzu sprawił, że odzyskała sprawność wszystkich zmysłów. A już zupełnie otrzeźwił ją widok mężczyzny w samochodzie. Rapp jej tego nie wyjaśnił, ale ktoś nie chciał, żeby sprawa wyszła na jaw, i będzie zabijał do momentu, aż znikną wszyscy mogący do niego doprowadzić. Istniała jednak jeszcze inna możliwość i dlatego nie powiedziała Rappowi tego, co chciał wiedzieć. Stany Zjednoczone były sojusznikiem Izraela, ale nie absolutnym.

CIA mogło kłamać, aby osiągnąć zamierzony cel, a nie ulega wątpliwości, że chciało wiedzieć, kto kierował Donatella. Człowiek w samochodzie mógł być nasłany po to, żeby ją zabić, ale mógł też być agentem CIA, mającym ją albo załatwić, albo tak nastraszyć, aby odpowiedziała na pytania Rappa. Może dlatego Rapp pierwszy go zauważył. Wiedział, że powinien tam być. Witamy w paranoicznym świecie szpiegostwa.

Tymczasem dotarła do trzeciego piętra. Przerwała rozmowę z Rappem i skupiła się na tym, co może ją czekać. Ci, którzy ewentualnie zaczaili się na nią w mieszkaniu, nie spodziewali się, że wie o ich obecności, więc atak był w tym wypadku najlepszą możliwą obroną. Przez chwilę stała cicho w mroku klatki schodowej, cierpliwie nadśluchując sygnału świadczącego o tym, że ktoś na nią czeka. Schowała telefon komórkowy i przez moment zastanawiała się, czy zdjąć buty i cicho przemknąć przez korytarz. Zaraz jednak uzmysłowiła sobie, że jeśli ktoś znajduje się w mieszkaniu, to i tak już został ostrzeżony przez mężczyznę w samochodzie o jej wejściu do budynku.

Zdjęła kurtkę i wyjęła z torebki nóż i klucze. Zarzuciła kurtkę na ramiona i ruszyła korytarzem do drzwi mieszkania. Zatrzymała się, stanęła z boku i wsunęła klucz w zamek. Obróciła go i pchnęła drzwi. Czteropanelowe drzwi otwarły się, a ona została na zewnątrz, za masywną futryną. Zerknęła jednym okiem do małego przedpokoju i spojrzała na stolik po prawej stronie, żeby sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Trzy fotografie i kwiaty stały na nim tak, jak je zostawiła przed wyjściem.

Zanim weszła do wąskiego przedpokoju, wyciągnęła rękę, zapaliła

światło i zajrzała do środka przez szparę między drzwiami i futryną, aby się przekonać, czy ktoś nie stoi w środku. Nikogo. Zrobiła krok i stuknąwszy obcasami, dała wyraźny sygnał, że idzie kobieta. Zatrzymała się na chwilę, wyjęła drugi klucz i zamknęła szafę stojącą po lewej stronie. Sprawdzenie szaf było zajęciem dla dwóch osób, ale i tak mogło skończyć się dla którejś z nich śmiercią. Położyła klucze na stoliku obok torebki, zaczerpnęła tchu i tak naturalnie, jak tylko pozwalały jej na to nerwy, skierowała się do drzwi salonu.

Pistolet trzymała w prawej ręce, nóż w lewej, z ostrzem ukrytym przez przedramię. Teraz, kilka kroków od końca przedpokoju, widziała tylko połowę prostokątnego pokoju. Wszystkie kąty leżały poza zasięgiem wzroku. Gdyby czekała na kogoś w swoim mieszkaniu, dokładnie wiedziałaby, jaką zająć pozycję. Lewą ręką zapaliła światło i pokój rozjaśnił się od blasku dwóch lamp na suficie.

Donatella zatrzymała się, nadśluchując i mierząc pistoletem w kierunku, z jakiego mógł paść strzał. Nic. Cisza. Żadnego ruchu. Zrzuciła kurtkę z ramion i cisnęła ją do pokoju, gdzie wylądowała na oparciu stojącej po lewej stronie kanapy. Niczym dobrze wysportowana gimnastyczka Donatella skoczyła śladem kurtki do środka. Jeszcze w locie usłyszała cichy strzał z broni z tłumikiem. Doszedł z przewidywanego przez nią kierunku. Ledwie dotknęła podłogi, przetoczyła się między kanapę i fotel i płynnym ruchem przyklęła, celując równocześnie w ustalone miejsce.

Znalazła strzelca i nacisnęła spust, nim zdążyła zarejestrować cokolwiek ponad to, że jest to mężczyzna o czarnych włosach, gorączkowo próbujący wziąć ją na cel. Kątem oka zauważyła ruch i

obróciła się na kolanie w prawo, ale nie zdążyła wystrzelić, gdy poczuła tępe uderzenie w prawym ramieniu. Siła pocisku pozbawiła ją równowagi - padając, widziała niczym na zwolnionych obrotach, jak broń wysuwa się z jej palców. A potem poczuła, jak coś rozwiewa jej włosy.

23

Rapp skręcił za ostatni róg i zamiast skierować się w prawo, bezpośrednio za zaparkowany samochód, przebiegł na drugą stronę ulicy. Dyszał ciężko, ale ignorował to. Był zbyt bliski uzyskania upragnionej odpowiedzi. Widząc przed sobą z prawej podejrzany samochód, przygarbił się i w biegu uważnie obserwował chodnik i parkujące wozy. Teraz nie miał już odwrotu.

Po kilku sekundach zwolnił, nie spuszczając wzroku z auta, i wypadł na ulicę pomiędzy dwóch parkujących aut w miejscu, gdzie nie mógł być widziany z samochodu. Wyciągnął lewą ręką pistolet i wycelował, nie zwalniając. Gdy od wozu dzieliło go mniej niż dziesięć kroków, nacisnął spust.

Pocisk niemal bezgłośnie opuścił gruby czarny tłumik, a trzask rozpryskującej się szyby po stronie kierowcy nie był dużo głośniejszy. Przynajmniej na zewnątrz. W środku auta z pewnością zabrzmiał donośniej. Mężczyzna za kierownicą podskoczył na siedzeniu i odruchowo uniósł ręce, próbując osłonić twarz przed uderzeniem tysięcy odłamków szkła.

Rapp dopadł samochodu, nim kierowca zdołał zrobić cokolwiek: nadal

zasłaniał rękoma twarz, a odłamki szkła ciągle spadały na jego kolana i podłogę samochodu. Rapp prawą ręką chwycił go za przegub. Ciągle trzymając pistolet w lewej ręce, uderzył go kolbą w skroń. Tuż przed zetknięciem się metalu z czaszką mężczyzna wrzasnął, po czym osunął się bezwładnie pod wpływem ciosu.

Rapp szybko odblokował i otworzył drzwi. Natychmiast wyrwał z kabury na biodrze pistolet mężczyzny, rzucił na tylne siedzenie i zaczął przeszukiwać ubranie, szukając zapasowej broni. Dopiero w tym momencie przez pulsowanie krwi i ciężki oddech dotarło doń, że przeciwnik nie tyle krzyknął, ile głośno zaklął po hebrajsku.

Rosenthal wolno podszedł do siedzącej na podłodze i bezwładnie wspartej o fotel kobiety, nie przestając jednak do niej celować. Pistolet zaś leżał na środku drewnianej podłogi, w odległości ponad dwóch metrów. Trafił ją w ramię, a potem w głowę, i był przekonany, że zabił, ale żeby mieć absolutną pewność, musiał oddać jeszcze jeden strzał.

Ciągle w nią celując, zawołał cicho przez zaciśnięte zęby:

- Jordan!

Nie było odpowiedzi.

- Jordan, słyszysz mnie? Wszystko w porządku?

Rosenthal próbował zrozumieć, co się stało. Jakim cudem Donatella wiedziała, że na nią czekają? Nim wymyślił, jak wytłumaczy pułkownikowi, że stracił Jordana Sun-berga, usłyszał w słuchawce hałas, a potem klnącego po hebrajsku Davida Yantę, i zamarł. Yanta był profesjonalistą i wiedział, że w żadnym wypadku nie wolno w czasie akcji mówić w ojczystym języku. Skoro popełnił taki błąd, ktoś musiał go

zaskoczyć, a to oznaczało, że najprawdopodobniej Rosenthal właśnie stracił drugiego człowieka. Zaklął w duchu, rozumiejąc, że w ciągu kilku sekund stał się z myśliwego zwierzyną. Nie przestając celować w Do-natellę, zaczął wywoływać Yantę.<

Donatella siedziała na podwiniętej pod tyłek nodze, oparta o fotel. Ramię jeszcze nie zaczęło pulsować bólem. Było na to za wcześnie. Ale czuła pieczenie w tyle głowy. Drugi pocisk musiał ją drasnąć. Zwisła ku podłodze, z głową przechyloną na bok i brodą przyciśniętą do piersi. Sprawiała wrażenie martwej albo co najmniej zemdłonej. Nie odważyła się poruszyć, nie mając pistoletu. Aby mogła coś zrobić, przeciwnik musiał znaleźć się znacznie bliżej.

Ponieważ włosy częściowo zasłoniły jej twarz, mogła trochę uchylić powieki. Zaczęła szukać wzrokiem walthera, ale nigdzie nie mogła go dojrzeć. Słyszała już kroki napastnika, i próbowała dojrzeć, czy jest ich więcej. Mężczyzna wymówił czyjeś imię, ale nie było odpowiedzi. Tego drugiego chyba zabiła.

Nie była w najlepszym położeniu - prawa ręka była bezużyteczna, ale nogi i lewa ręka, w której ciągle trzymała nóż, mogły działać. Mężczyzna nie mógł zauważyć noża, dopóki ostrze przyciskała płasko do przedramienia.

Zrobił ku niej następny krok.

- David, odezwij się. Słyszysz mnie?

Łączył się z partnerem na ulicy. To dobrze, bo miał rozproszoną uwagę. Jeszcze jeden krok i stanął dokładnie przed nią. Chociaż włosy zasłaniały

jej widok, widziała, że mierzy w jej głowę. Pozostało więc tylko jedno - równocześnie szarpnęła głową, aby odsunąć ją z linii strzału, i zadała cios w górę lewą rękę. Ostry jak brzytwa nóż przeciął prawy nadgarstek napastnika. Pistolet łupnął o podłogę, zanim napastnik zdążył nacisnąć spust.

Donatella na oślep kopnęła mężczyznę, ledwie trafiając w okolice genitaliów, ale i tak zmuszając go do cofnięcia się. Wykorzystała to, upuściła nóż i skoczyła ku leżącemu na podłodze pistoletowi. Mężczyzna zrozumiał swój błąd i przestał się cofać. Wiedząc, że jego życie zawisło na włosku, także rzucił się, by ją ubiec i pierwszemu dopaść broni. Donatella była szybsza o ułamek sekundy. W chwili gdy upadł na nią, chwyciła broń lewą ręką. Walcząc, zaczęli się ślizgać po podłodze; jego sprawna ręka przeciwko jej sprawnej ręce.

Donatella próbowała uwolnić się z jego uścisku, Rosen-thal zaś próbował utrzymać ją na dole. Leżała na plecach, a on przyciskał ją do podłogi. Był silniejszy i miał lepszą pozycję. Gdy lufa pistoletu zaczęła się zbliżać do jej głowy, Donatella ze wszystkich sił spróbowała poruszyć prawą ręką, ale ta ledwie drgnęła. Czując, że jej chwyt na pistolecie słabnie, zdecydowała się na atak.

Głowa mężczyzny znajdowała się tuż nad jej twarzą. Otworzyła szeroko usta, uniosła głowę i ugryzła go jak najmocniej w prawe ucho. Po sekundzie poczuła w ustach gorącą, słoną krew. Jęknął z bólu, ale nie zwolnił uchwytu. Donatella, z zaciśniętymi na uchu zębami, zaczęła dziko rzucać głową. Czowała, jak ucho odrywa się od głowy. Jęk zmienił się w krzyk, ale napastnik nie puszczał.

Donatella uzmysłowiła sobie, że może zginąć, bo przeciwnik był zbyt wytrzymały. W skrajnej rozpaczycy poruszyła prawą ręką i nagle namacała znajomy kształt pistoletu. Wydawało jej się, że minęło nieskończenie dużo czasu, gdy w końcu chwyciła go, zaciskając palce na kolbie. Czując olbrzymi ból, uniosła go i wypuściła ucho spomiędzy zębów.

Napastnik natychmiast odwrócił głowę. Prawie odgryziona małżowina dyndała mu przy szyi, a w oczach widać było czystą wściekłość. Wyrwał jej broń ze spoconej lewej dłoni. Ale zadowolenie z osiągnięcia celu trwało krótko. Donatella wetknęła tłumik walthera .22 w miejsce ucha i nacisnęła spust. Głowa Rosenthala odskoczyła, oczy rozszerzyły się ze zgrozy, a w następnej sekundzie opadł na nią bezwładnie. Nie miała sił, by się ruszyć, i tylko leżała pod ciałem mężczyzny, którego właśnie zabiła.

24

HOTEL FOUR SEASONS, MEDIOLAN, CZWARTEK WIECZÓR

Anna czuła się trochę lepiej. Obudziła się pięć po dziewiątej, trochę zaskoczona, że Mitch jeszcze nie wrócił. Nie przejmując się tym zbyt, poszła do łazienki i wzięła prysznic. Mitch mówił, że musi coś załatwić, ale potem, około dziewiątej, zabierze ją na kolację. Anna stała w kabinie wyłożonej marmurem i puszczała przywracającą chęć do życia gorącą wodę. Próbowwała ustalić, która teraz może być godzina w Waszyngtonie i czy właśnie ucinałaby sobie długą drzemkę, czy też zapadała w krótki nocny sen. Ponieważ jednak jeszcze się na tyle nie rozbudziła, aby móc to sobie dobrze wyobrazić, po kilku próbach postanowiła się poddać. Przyjechała do Włoch, żeby cieszyć się życiem, z nadzieją, że tu

rozpocznie się jego nowy etap. Przez najbliższe sześć dni czas nie będzie miał znaczenia. Mogła spać, kiedy chciała, jeść, kiedy zapragnęła, i często uprawiać seks.

Wyszła spod prysznic i wróciła do pierwszego zasadniczego tematu. Wytarła się ręcznikiem i zerknęła na zegar stojący na nocnym stoliku. Była dwudziesta pierwsza dwadzieścia i mimo tego, co sobie przed chwilą powiedziała, czas jednak miał znaczenie. Jej praca była serią terminów, terminów, których nie można było przekroczyć. A w połowie wieczornych wiadomości, gdy występowała na żywo przed milionami ludzi, Tom Brokaw wciskał jej jeszcze coś do przedstawienia. Ostateczny termin to ostateczny termin. Pamiętała o tym od pierwszego dnia wykładów na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Michigan.

W życiu zawodowym zdołała opanować tę sztukę, ale w osobistym udawało jej się to z trudem. I stanowiło to powód wielu sprzeczek z Mitchem. On rzadko się spóźniał, a kiedy już mu się to zdarzało, zawsze ją o tym uprzedzał telefonicznie. Ona zaś ciągle się spóźniała, co doprowadziło Mitcha do szaleństwa. Teraz mogła sobie dokładnie wyobrazić, co on czuje w takich momentach. Nie byłoby powodu do niepokoju, gdyby Mitch był turystą, ale przecież nie był.

Stojąc przed lustrem, wcierała w skórę balsam. Zaczęła od ramion i w miarę zbliżania się do stóp jej ruchy stawały się coraz bardziej energiczne. Gdy kremowała nogi, była już wściekła. Wściekała się na Mitcha, że się spóźnia, i na siebie, że nie potrafi się opanować. Musi się odprężyć, zrelaksować, ale nic nie skutkowało. Aby zabić czas, zaczęła się ubierać. Nie miała pojęcia, dokąd Mitch zabierze ją na kolację, więc włożyła spodnie, biały stanik i przewiewną szarą bluzkę. Wskazówka zegara

zbliżała się do dziesiątej.

Z braku innych możliwości otworzyła barek i nalała sobie wódkę z tonikiem. Postanowiła wypić drinka na balkonie. Hotel Four Seasons miał piękny dziedziniec. Z balkonu mogła obserwować ludzi jedzących kolację na tarasie hotelowej restauracji. Siedzieli pod białymi parasolami, a na stolikach płonęły świece. Młoda para, mniej więcej w jej wieku, zaczęła tańczyć przy dźwiękach kwartetu smyczkowego. Romantyczne, a zarazem przygnębiające. Wróciła do pokoju i nalała sobie następnego drinka, mocniejszego.

Usiadła przed telewizorem i włączyła go. Patrzyła na ekran, ale nie wiedziała, co ogląda. Myślami była gdzie indziej, próbując rozwiązać ważne problemy, próbując ustalić, czy przypadkiem nie podjęła błędnej decyzji. Czy jakakolwiek kobieta chciałaby spędzić resztę życia w takim stresie?

Zaczynała mieć wątpliwości i zadała sobie pytanie, co, u diabła, myślała, gdy pozwoliła sobie zakochać się w Mit-chu Rappie? Oczywiście miał wiele zalet. Był niewiarygodnie szlachetny i wrażliwy, zwłaszcza gdy brało się pod uwagę, co przez całe życie robił. Był też, nie przesadzając, najseksowniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała. Swoim wyglądem budził zaufanie i sprawiał wrażenie, że niczego się nie boi. Był doskonałym kochankiem. Gdy szli do łóżka, czuła, że ich ciała są dla siebie stworzone. A w dodatku ocalił jej życie i życie wielu innych ludzi. I to dla niej było najważniejsze. Był wspaniałym człowiekiem, ale jak każdy miał też wady albo, mówiąc dokładniej, miał jedną zasadniczą wadę.

Rielly dorastała w domu, gdzie martwiono się, że kochana osoba może

nie wrócić z pracy albo do drzwi zapuka najlepszy przyjaciel ojca, aby oznajmić rodzime, że ten zginął na służbie. Ojciec Rielly właśnie przeszedł na emeryturę po trzydziestu latach służby w chicagowskiej policji. Dobrze pamiętała, jak jako dziecko nocą z niepokojem wsłuchiwała się w dźwięk syren policyjnych, bojąc się, czy ojciec wróci do domu, i płacząc na myśl, że może go już nigdy nie zobaczyć żywego. Rodzice robili wszystko, aby chronić ją i braci przed tym strachem, ale to było nieuniknione. Chicago to wielkie miasto, gdzie popełniano wiele groźnych przestępstw i gdzie ginęło wielu policjantów. Oglądała to w telewizji, czytała o tym w gazetach, a w katolickiej szkole Świętej Anny zakonnice modliły się za zmarłych funkcjonariuszy i ich rodziny. Nie była to najpiękniejsza strona jej dzieciństwa.

Anna bardzo kochała ojca, a rodzice bardzo się starali dobrze wychować dzieci. Dwaj bracia poszli w ślady ojca i teraz patrolowali chicagowskie ulice. Trzeci brat, czarna owca, został adwokatem.

Anna przysięgła sobie, że nigdy nie poślubi policjanta. Wprawdzie jej rodzicom się udało, ale знаła przyjaciół ojca, którzy przeżywali w pracy taki stres, że nie odważyli się na zawarcie małżeństwa. A zajęcie Mitcha, jeżeli tak można nazwać to, co robił, było dziesięć razy gorsze. Policjanci utrzymują spokój i dbają o porządek prawny. Rzadko sięgają po broń, a jeszcze rzadziej do kogoś strzelają. A już zupełnie wyjątkowo są celem czyichś strzałów. Mitch Rapp zaś był zabójcą. Przystępował do działania zawsze z zamiarem zabijania. Nie czekał, aż ktoś zacznie strzelać pierwszy; szedł z bronią gotową do strzału i strzelał.

Spojrzała na drzwi. Chciała, żeby teraz wszedł, żeby ubiegł jej myśli. Chciała, żeby ją mocno objął i przyrzekł, że to ostatnia sprawa, jaką się

zajął. Pragnęła, żeby zobowiązał się porzucić to całe zabijanie i pracę w terenie i gotów był zasiąść za biurkiem w Langley. Tak mocno ścisnęła w dłoni zroszoną potem szklanę, że omal jej nie zgmiotła. Odchyliła głowę i jednym haustem dopiła drugiego drinka. Wstała, aby nalać sobie następnego, i zbliżając się do minibaru, modliła się, by Mitch jej nie opuścił. Nie chciała nocy pełnych niepokoju, czy jest w drodze do niej, czy też może leży już gdzieś martwy.

Mężczyzna jęknął i poruszył się. Rapp zerwał mu z głowy słuchawki i rzucił na fotel. Przyciskając lufę pistoletu do jego głowy, wyciągnął rękę i rozpiął mu pasek i spodnie. Następnie chwycił za kołnierz kurtki, wywłókł go z auta i przycisnął do tylnych drzwi sedana. Sprawdził kieszenie na piersi w poszukiwaniu jakiegoś dokumentu tożsamości, ale niczego takiego nie znalazł. Przyjął, że facet nie jest policjantem.

- Dla kogo pracujesz? - zapytał po włosku.

Mężczyzna, patrząc na Rappa półprzytomnie, odparł, żeby się odpieprzył. Rapp kopnął go kolaniem w krocze. Trafiony próbował zgiąć się wpół, ale Rapp przyszpilił go do auta.

Powtórzył pytanie, ale mężczyzna tylko splunął mu w twarz. Rapp chwycił go za potylicę, szarpnął głowę ku sobie i trafiając czołem w nos, natychmiast zmiażdżył mu kość, wywołując zalewający twarz krwotok. Znow chwycił go za kołnierz, odwrócił i ściągnął marynarkę z ramion tak, aby unieruchomiła ręce. Potem pchnął go w kierunku domu Donatelli. Mężczyzna, jęcząc z bólu i plując krwią, usiłował podciągać opadające spodnie.

- Idź.

Rapp wbił mu lufę pistoletu w kręgosłup. Jeden fałszywy ruch i facet straci władzę w nogach do końca życia. Wolną ręką wcisnął guzik zgłoszenia w telefonie i w słuchawce odezwał się sygnał. Po nieskończeniu długim czasie usłyszał oddech Donatelli.

- Wszystko w porządku? - zapytał stężonym z napięcia głosem.
- Nie. - Usłyszał ból w jej głosie.
- Trzymaj się. Już idę. Możesz otworzyć drzwi frontowe?
- Tak.

Pchnął mężczyznę.

- Ruszaj.

Gdy znaleźli się przed drzwiami, zameldował się Dona-telli w domofonie. Winda już czekała, ale Rapp nie skorzystał z niej. Popychając mężczyznę na schody, powiedział:

- No, kretynie, teraz szybko na górę. Jeżeli zwolnisz albo spróbujesz czegoś głupiego, będziesz trupem.

Ruszyli po schodach, a Rapp co chwila popychał mężczyznę.

Drzwi do mieszkania Donatelli zastali uchylone. Rapp wepchnął mężczyznę do środka i zamknął drzwi na klucz. Po wejściu do salonu ujrzał ciało na podłodze i Donatellę siedzącą na kanapie. Na twarzy i szyi miała krew.

- Co tu się, u diabła, stało?
 - Czekają na mnie dwóch. Jeden tam, w rogu, drugi za kanapą.
- Rapp nie spytał, czy żyją.
- Oberwałaś? Donatella skinęła głową.
 - Gdzie?

- W ramię.

Po jej postawie mógł ocenić, że rana nie była groźna. Zastanawiał się, co teraz zrobić. Strzelanina to poważna sprawa. Należy wezwać lekarza - i to nie jakiegoś pierwszego lepszego, ale jednego z tych, których mają na liście płac. Takiego, który nie złoży doniesienia. Ale najpierw musi unieszkodliwić tego, którego wywlókł z auta. Trzymając go jedną ręką za kołnierz koszuli, drugą podrzucił pistolet, chwycił za lufę, następnie zamachnął się i uderzył mężczyznę w skroń. Kolana pojmanego ugięły się i Rapp położył bezwładne ciało na podłodze. Przekroczył je i ukląkł przed Donatella.

- Jesteś jeszcze gdzieś ranna? - zapytał, oglądając z niedowierzaniem krew na brodzie i szyi.
- Nie. To jego krew. - Kiwnęła głową w stronę ciała Rosenthala. - Ugryzłam go w ucho.

Rapp zaczął zdejmować z niej kurtkę, aby obejrzeć ranę. Donatella skrzywiła się z bólu.

- Domyślasz się, kim byli ci faceci?
- Nie.

- Gdy odsłonił ramiona, znalazł otwór kuli, rozerwał bluzkę i obejrzał ranę. Po jej wielkości szybko doszedł do wniosku, że to wylot pocisku. Drugą ręką wymacał otwór, przez który kula weszła. Wodząc wokół niego palcem wskazującym, stwierdził, że rana bardzo słabo krwawi.

- Co byś pomyślała, gdybym ci powiedział, że to Żydzi?
- Pomyślałabym, że zwariowałeś.
- No, ten, którego tu przywlokłem... gdy go zaskoczyłem, zaklął po hebrajsku. A po wyciągnięciu z auta mówił po włosku.

- Czego to dowodzi?
- Nie wiem. Może ty mi powiesz?

Podczas gdy Donatella się zastanawiała, Rapp kontynuował badanie ramienia, próbując ustalić drogę pocisku.

- Kula przeszła czysto - stwierdził - ale i tak myślę, że poczyniła dużo szkód.
- Też tak sędzę - mruknęła Donatella, czując przyływ przenikliwego bólu.
- Gdzie masz apteczkę?
- W łazience. W szafce, górna półka po prawej stronie.

Rapp przed wyjściem z pokoju wyrwał kabel z najbliższej lampy i skrępował nim ręce leżącego mężczyzny.

- Zaraz wracam.

Donatella patrzyła za nim, gdy szedł korytarzem do łazienki. Po jego wyjściu kilka razy szeptem zaklęła i spojrzała na związane ciało. Bardzo źle, że Rapp usłyszał go klnącego po hebrajsku. Nie rozpoznała żadnego z nich, ale byli z Mosadu. Rekrutował ich osobiście Ben Freidman. Miała już do czynienia z tego typu agentami. Gdy zaczęła wszystko razem składać, zorientowała się, że zapędzono ją w kozi róg. To koniec pobytu we Włoszech i zapewne zbliżał się też koniec jej życia. Musi znaleźć wyjście z tej sytuacji, co bynajmniej nie oznacza, że chce spędzić resztę życia, nieustannie uciekając. Znała tych, którzy tego próbowali. Niewielu się udało. Zwykle gdzieś znikali albo musieli wieść tak nędzny żywot, że lepiej było umrzeć. Nie, zbyt ciężko na wszystko pracowała. Teraz nie mogła tego stracić. Potrzebowała wsparcia, musiała znaleźć sposób na ukrócenie ogromnej władzy Bena Freidmana. Myślała o tym, co wcześniej

powiedział jej Rapp. Tylko on mógł ją wesprzeć i chronić. Tylko dzięki niemu mogła się wydostać z tego ślepego zaułka. Tylko on miał odpowiednie dojsście i możliwości.

Mężczyzna na podłodze zaczął się ruszać. Donatella zastanawiała się, jakie informacje może zdradzić, gdy Mitch zabierze się do niego. W tym momencie podjęła trudną decyzję. Tylko ona powinna znać wszystkie tajemnice i jeżeli Rapp chce je poznać, zdradzi mu je w zamian za umożliwienie prowadzenia normalnego życia.

W lewej ręce ciągle trzymała walthera z tłumikiem. Usłyszała, że Rapp wraca z łazienki. Uniosła broń, wymierzyła i strzeliła w głowę mężczyzny.

25

- Co ty, u diabła, zrobiłaś?! - warknął Rapp, stojąc w korytarzu i patrząc na dym unoszący się z wylotu tłumika pistoletu Donatelli. Jego pistolet teraz mierzył w jej głowę, w drugiej ręce trzymał apteczkę, a pod pachą ścisnął ręcznik. - Natychmiast rzuć pistolet, Donatello!

Niechętnie rzuciła broń na podłogę i oparła się. Rapp podszedł i kopnął broń na drugą stronę pokoju. Położył apteczkę i ręcznik na stoliku do kawy, spojrzął na świeży otwór po kuli w głowie mężczyzny i odwrócił się do Donatelli.

- Dlaczego to zrobiłaś?
- Prędzej czy później musielibyśmy go zabić. - Odwróciła wzrok i

zamknęła oczy. - Nie chciałam, żebyś ty to zrobił.

- Akurat.
- Oddałam ci przysługę.
 - Do cholery z taką przysługą. - Rapp wskazał lufą pistoletu związanego mężczyznę. - Znałaś go, prawda?

Skrzywiła się z zamkniętymi oczami i pokręciła głową.

- Kłamiesz, Donny.
 - Skończ z tymi głupimi sprzeczkami i daj mi zastrzyk z morfiny.
- Sprawną ręką sięgnęła po apteczkę. Na wypadek czegoś podobnego znajdowały się w niej materiały opatrunkowe, nici do szycia ran, klamry chirurgiczne, kleszcze, penicylina, morfina i wiele innych artykułów medycznych.

Rapp odsunął na bok apteczkę i rzekł:

- Przyjechałem tu, aby ci pomóc, a ty pakujesz mnie w takie gówno.
Lepiej zacznij wreszcie odpowiadać na moje pytania.
- Nie przyjechałeś tu, aby mi pomóc. Chcesz pomóc sobie.
 - O, a to niedobrze, prawda? Ty mała niewdzięcznico. Gdybym się tym nie zajął, agencja zgarnęłaby cię z ulicy i Bóg tylko wie, co by z tobą zrobili.
- Wiem tylko tyle, że tych facetów przysłała agencja.
 - A tak, Donny, tych facetów przysłała agencja - rzucił kpiąco Rapp. - I dlatego zabiłaś tego śmiecia.
- Nie znam ich.
 - Bzdura, Donny. Znam cię dobrze i wiem, że nie zabiłabyś tego faceta, gdybyś się nie bała, że coś wyśpiewa.
 - Nie znam żadnego z nich. - Skrzywiła się, czując nową falę bólu. -

Podaj mi tę cholerną morfinę.

- Może nie znasz ich osobiście, ale na pewno wiesz, kto ich przysłał.
- Może.
- Może nie będziesz kpiła ze mnie, Donny? Nie kręć i powiedz wprost, kto wynajął cię do zabicia Petera Camerona, inaczej wyjdę stąd i zniknę z twojego życia.
- Myślę, że już i tak z niego zniknąłeś.
- Dobrze. - Rapp chwycił telefon.
- Do kogo dzwonisz?
 - Do agencji. Z tobą już skończyłem. Zaopiekuję się tobą tylko do chwili, gdy zjawią się tu i zgarną cię.
- Zaraz... zaraz... Odłóż telefon.
- Dlaczego? Podaj mi dobry powód.
 - Dlatego że jesteś mi potrzebny. Dlatego że kiedyś ocaliłam ci życie.
 - A ja tobie ocaliłem życie dwa razy i dziś jest trzeci. Myślę, że w tej sytuacji to ty jesteś mi coś winna.
- Donatella przyłożyła pięść do czoła i zamknęła oczy, gdy nadeszła następna fala bólu.
- Daj mi tylko apteczkę, żebym mogła sobie zrobić ten cholerny zastrzyk.
- Donny, co się z tobą, u diabła, dzieje? Jestem tu po to, żeby ci pomóc. Dlaczego mi nie zaufasz i nie chcesz powiedzieć, kto cię zatrudnił?
- Daj mi zastrzyk, a powiem.
- Nic z tego. - Rapp pokręcił głową.

- Dobrze. - Donatella spróbowała wstać z kanapy, ale Rapp jej na to nie pozwolił.
- Dokąd się wybierasz?
- Mitch, daj mi zastrzyk i idź do diabła.
 - Nie teraz, Donny. Albo mnie powiesz, kto cię zatrudnił, albo któremuś z lekarzy agencji.

Jęknęła i odpowiedziała:

- W porządku... niech będzie. Daj mi zastrzyk i po
wiem ci.

Rapp patrzył na nią, próbując ocenić, na ile jest szczerą.

- Wiesz, kto cię wynajął?
- Do diabła, tak! A teraz rób ten cholerny zastrzyk!

Rapp w końcu zmiękł i położył torbę na podłodze. Otworzył ją, wyjął ampulkę morfiny i przytrzymał ją przed twarzą Donatelli.

- To twoja ostatnia szansa. Podam ci morfinę, a potem lepiej powiedz mi, kto cię zatrudnił do zabicia Petera Camerona. Jeżeli nie powiesz, będziesz tego żałować.

Zrobił zastrzyk w udo i narkotyk rozplynał się w żyłach Donatelli.

Wkrótce poczuła się lepiej.

- Dziękuję.
 - Bardzo proszę. - Rapp chwycił nożyczki i zaczął odcinać rękaw bluzki. Teraz najbardziej bał się, że Donatella straci przytomność od utraty krwi. - Od czego chcesz zacząć?
- Co masz na myśli? - Jej oczy zachodziły mgłą.
- Kto cię zatrudnił?
- Och... znowu do tego wracamy.

- Tak. - Chwycił ręcznik i zaczął wycierać krew. - Kto cię zatrudnił, Donny?
- Och... Mitch, jestem w wielkim kłopotcie.
- Pomogę ci. Przyrzekam, że będę cię chronił. - Rozłożył ręcznik na kanapie. - Połóż się. - Łagodnie ułożył ją na ręczniku i zaczął oczyszczać ranę. - Nieważne, jaki masz problem, przyrzekam, że pomogę ci z niego wybrnąć. - Zdezynfekował ranę jodyną. Dzięki morfinie Donatella nie poczuła pieczenia.
- Przyrzeknij, Mitch. Przyrzeknij, że bez względu na wszystko zawsze mi pomożesz.

Rapp rozerwał opakowanie z proszkiem koagulującym i obficie posypał ranę.

- Donny, ufasz mi? - Patrzył w jej piękne brązowe oczy.

Donatella zamrugwała.

- Tak, ale... ostrzegam cię... to może się okazać bardzo niebezpieczne.

Wzruszył ramionami i nałożył na ranę gazę.

- Nie będzie gorsze od tego, co już razem przeszliśmy.
- O tak, może być gorsze. Przyrzeknij, że nie zostawisz mnie, póki nie będę bezpieczna. Zabierz mnie do Ameryki.
- Z tym nie powinno być problemu - odpowiedział Rapp po chwili namysłu.

Skończył czyścić ranę i założył opatrunek polowy na wylot kuli.

Delikatnie obrócił Donatellę na bok i zajął się raną wlotową.

- Czekam, Donny.

Była zmęczona. Zbyt zmęczona, by kontynuować walkę. Dużo

zawdzięczała Benowi Freidmanowi, ale jeśli nasłał tych bandziorów, żeby ją zabili, nie była mu już nic winna. Nie miała już ani siły, ani możliwości, aby z nim walczyć, i byłoby dziecinadą żywić jakąś nadzieję, że może pójść do, niego i dowieść swojej lojalności. Ben Freidman był człowiekiem bezwzględny i zrobi wszystko, aby chronić własną dupę.

Donatella westchnęła i rzekła:

- To był Ben Freidman.

Rapp odwrócił ją na plecy, chciał spojrzeć jej w oczy.

- Twierdzisz, że Ben Freidman, szef Mosadu, rozkazał ci zabić Petera Camerona?

- Tak.

- Jasna cholera! - wymamrotał Rapp z uczuciem.

Pozwolił, żeby Donatella znowu obróciła się na bok, i kontynuował opatrywanie drugiej rany. Razem z Kennedy wykluczili Izrael. Nie mogli znaleźć motywu, dla którego miałby próbować zabić Rappa. Coś przeoczyli. Wszyscy w Waszyngtonie wiedzieli, że nikt tak jak Izraelczycy nie spenetrował wywiadu USA. Często okazywali się niewdzięcznymi sojusznikami, ale prawie zawsze oba państwa dążyły do tego samego celu, jeśli chodziło o antyterroryzm.

- Czy Cameron był agentem Mosadu?

- Nie mam pojęcia.

- Więc dlaczego Freidman chciał jego śmierci?

- Nie wiem. Zapytaj osobę, która nas zatrudniła.

- Co masz na myśli, mówiąc: „zatrudniła”? Powiedziałaś, że otrzymałaś rozkaz od Freidmana.

- Teraz jestem wolnym strzelcem, ale Freidman nadal jest moim

głównym zleceniodawcą. On wszystko organizuje, zajmuje się stroną finansową i bierze jedną trzecią.

- Tani sukinsyn. Zatem technicznie Mosad nie miał z tym nic wspólnego?
- Tak. Jesteśmy całkiem niezależni.
- Donny, nie sądzę, żebyś mogła być niezależna. Byłaś przez nich szkolona, pracowałaś dla nich i Freidman jest obecnie dyrektorem generalnym.
- Mitchell, powiedziałam już, że Mosad nie miał z tym nic wspólnego. Ktoś zwrócił się do Bena z pilnym zleceniem i zaoferował mu grubą forszę za szybkie załatwienie Camerona.

- Ile?

- Pół miliona.

Rapp na chwilę przerwał swoje czynności. Pół miliona dolarów to mnóstwo pieniędzy za kontrakt na byłego urzędnika służby cywilnej.

- Dostałaś swoją dolę?

- Tak.

Rapp założył opatrunek na plecy i zrobił zastrzyk z penicyliny.

- Jak się czujesz?

- Dobrze. - Uśmiechnęła się krzywo. - Nie czuję **bólu**. Rapp pomógł jej usiąść i zapytał:

- Możesz chodzić?

- Z twoją pomocą.

- Dobrze. Przyniosę z twojego pokoju jakąś bluzkę, potem musimy stąd wyjść. - Wstał. - Masz spakowaną torbę?

- Oczywiście. Sypialnia, szafa, na dnie po prawej stronie.

- Masz teraz okazję, gdybyś chciała jeszcze coś załatwić. Może minąć dużo czasu, zanim będziesz mogła tu wrócić.

Rapp pobiegł do sypialni i po niecałej minucie wrócił z torbą na ramieniu, bluzką i czarnym swetrem w ręce. Donatella spojrzała na ciała leżące na podłodze.

- Co z nimi zrobimy?
- Powiadomię, kogo należy, i, zabiorą ich.

Pomógł Donatelli włożyć bluzkę i sweter, a potem płaszcz. Wrzucił do torby trochę lekarstw i opatrunków i podniósł z podłogi pistolet Donatelli. Po znalezieniu torebki zmienił magazynek na nowy i podał jej broń. Pomógł Donatelli wstać i zarzucił torbę na ramię. Po opuszczeniu mieszkania zamknął drzwi na klucz. Wsiedli do windy i zjechali na parter. Rapp rozejrzał się, wychodząc na ciemną, chłodną ulicę. Idąc w kierunku hotelu, zastanawiał się, jak wytłumaczyć Annie obecność Donatelli. Próbował siebie przekonać, że zrozumie, ale coś mu podpowiadało, że to tylko pobożne życzenie.

26

Donatella mówiła mało. Rapp mocno podtrzymywał ją za zdrowe ramię. Chciał iść trochę szybciej, ale nie zamierzał jej nieść. Nie był pewien, jak długo utrzyma się na nogach. Straciła dużo krwi i teraz nie było szansy na szybką transfuzję. Należało się martwić o ranę i groźbę infekcji, ale teraz skupił się na tym, by mogła iść. Na szczęście ulice nie były zatłoczone. Jeśli pojawią się następne kłopoty, miał dużą szansę zauważyć je

wystarczająco wcześniej.

Obawa, że kolejni agenci Mosadu mogą się wyłonić z mroku, kazała mu powstrzymać się od użycia telefonu. Jedną ręką podtrzymywał Donatellę, w drugiej trzymał pistolet. Chciał jednak ostrzec Kennedy, poinformować ją, co tu odkrył, i natychmiast powiedzieć, czego się dowiedział. Gdyby razem z Donatella zginął pod gradem kul, Kennedy nigdy nie dowiedziałyby się prawdy.

Rapp doszedł do wniosku, że warto zaryzykować. Za następnym rogiem zatrzymał się i oparł Donatellę o ścianę.

- Stój przez chwilę sama.

Schował broń i sięgnął po telefon. W świecie doskonałym wybrałby teraz bezpieczny system komunikacji, ale musiał mu wystarczyć telefon satelitarny. Mówiono mu, że to bezpieczne łącze, ale on wiedział lepiej. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego mogła podsłuchiwać prawie wszystko. To, co miał do powiedzenia, przeznaczone było tylko dla uszu Kennedy. Teoretycznie NSA była sprzymierzeńcem, ale sytuacja w niej wyglądała podobnie jak w CIA, a na nieszczęście Ben Freidman był bardzo dobry w werbowaniu agentów z różnych agencji wywiadowczych Waszyngtonu.

Do diabła z bezpieczeństwen, musi zadzwonić. Postanowił skorzystać z podtekstów i posłużyć się informacją natury osobistej. Rapp wystukał numer specjalny, którego w ostatnich dziesięciu latach używał bardzo rzadko. Po usłyszeniu sygnału chwycił Donatellę **pod** ramię i ruszyli w dalszą drogę.

Zgłosił się poważny męski głos:

- Podaj temat sprawy.

- Rozmowa o priorytecie alfa. Muszę natychmiast rozmawiać z dyrektorem Centrum Antyterrorystycznego.
- Jesteś na bezpiecznej linii?
- Nie.
- Mam twój numer. Rozłącz się i czekaj.

Rapp rozłączył się i sprawdził ulicę za sobą. Pojawiło się dwóch mężczyzn i teraz szli szybko. Rapp ścisnął ramię Donatelli i szepnął:

- Bądź czujna. Możemy mieć towarzystwo.

GABINET SYTUACYJNY, CZWARTEK PO POŁUDNIU

Prezydentowi spodobał się plan pułkownika Graya. A jeszcze bardziej się spodobał, gdy Kennedy wystąpiła z pomysłem zabrania stamtąd jednej z głowic nuklearnych. Łączyło się to jednak z poważnym ryzykiem. Oczywiście można było użyć tomahawków. Ale taki rozkaz może wydać każdy, bez względu na to, czy ma odwagę lub jej nie ma, czy jest uczciwy albo nie. W żadnym razie nie jest to test zdolności przywódczych. Wysłanie samolotów to następna możliwość, wiążąca się jednak z pewnym ryzykiem, które musiałyby ponieść Stany Zjednoczone. Nikt nie chciałby oglądać amerykańskich lotników w irackiej telewizji. Ale nad wysłaniem oddziału naziemnego należało się poważnie zastanowić. Szczególnie jeśli celem miał być Bagdad.

Prezydent spojrział na pułkownika Graya.

- Gdzie miałyby lądować helikoptery?

Gray wyjął mapę i podszedł do prezydenta.

- Dokładnie tu - powiedział znad jego lewego ramienia - osiemdziesiąt

kilometrów na południowy zachód od Bagdadu. Wiem, że ten teren jest opuszczony.

- Dlaczego?
- Widzi pan ten budynek? - Gray wskazał palcem fotografię.
- Tak.
- To była fabryka broni chemicznej. Zbombardowaliśmy ją i teraz teren objęty jest kwarantanną.
- I chce pan wysłać swoich ludzi na teren objęty kwarantanną? - zapytał zaskoczony Hayes.
- Fabrykę zbombardowaliśmy osiem lat temu. Wysłaliśmy tam ludzi, aby zbadali glebę i powietrze. Jest bezpiecznie.

Prezydenta kusilo, żeby zapytać, kiedy to ustalono, ale zadowolili się odpowiedzią pułkownika.

- Czy na tym terenie jest jeszcze coś, czego powinniśmy się obawiać?
- Tylko główna szosa łącząca Al Musaiyih z Bagdadem. - Gray wskazał ją palcem. - Jest tu jeszcze boczna droga, prowadząca do opuszczonej fabryki.
- Zatem to tutaj wyląduje pan samochody. - Prezydent studiował fotografię. - A jeżeli ten teren będzie zajęty?
- Wtedy użyjemy zapasowego lądowiska. - Gray wskazał je.
- To dość skomplikowane, pułkowniku.
- Nie to mnie martwi, panie prezydencie.
- A co?
- Bagdad, panie prezydencie. Nie mam nikogo, kto był w tym mieście. Muszę znaleźć kogoś, kto je zna, kto mógłby dostać się tam i

przeprowadzić zwiad przed operacją. Ten ktoś spotkałby się z oddziałem na miejscu i doprowadził do celu, a potem pomógł w opuszczeniu miasta.

- Ma pan kogoś konkretnego na myśli?
- Tak. - Gray spojrział na Kennedy. - Jest pewna osoba, z którą współpracowałem i która bardzo dobrze wie, jak poruszać się w tej części świata. Moglibyśmy skorzystać z jej pomocy.

Prezydent spojrział na Kennedy.

- O kim on mówi?
- O Żelaznym.
- To może być problem - stwierdził prezydent.
- Dlaczego? - zapytał pułkownik Gray, a w jego głosie słychać było rozczarowanie.
- Bo on teraz... jak to ująć? - Prezydent ponownie przeniósł wzrok na Kennedy, która wyjaśniła:
- Obecnie został odsunięty od działań operacyjnych w terenie.

Na twarzy dowódcy Delta Force rozczarowanie zastąpił chytry uśmiezek.

- Takich facetów jak on nie wysyła się na emeryturę.

Dajcie mi pięć minut na rozmowę z nim i będzie mnie błagał, żebym go wysłał na tę operację.

Prezydent założył ręce na piersiach i odparł:

- Mam nadzieję, że się pan nie myli, pułkowniku.

Gdy generał Flood znowu zaczął wracać do pomysłu uderzenia z powietrza, odezwał się telefon Kennedy. Odwróciła się od zebranych i odebrała. Słuchała kilka sekund, zakończyła rozmowę i szybko wstała. W

Gabinecie Sytu-

acyjnym była bezpieczna linia, ale nie chciała rozmawiać w obecności innych.

- Przepraszam, panie prezydencie, ale muszę coś załatwić.

Prezydent skinął głową i Kennedy szybko wyszła z pokoju w poszukiwaniu spokojnego miejsca do rozmowy.

Na następnym rogu Rapp skręcił w prawo i pchnął Do-natellę we wnękę wejścia do najbliższego sklepu. Wyciągnął broń i czekał, aż zza rogu wyłonią się dwaj mężczyźni. Ukazali się po kilku sekundach, ale nie skręcili, tylko poszli prosto i Rapp śledził ich wzrokiem, aż znikli w oddali. Fałszywy alarm.

Drgnął na dźwięk telefonu. Wdusił klawisz odbioru i rzucił:

- Słucham.
- To ja. Co się dzieje?
 - Mamy tu niezły bigos. Pamiętasz przeczucia co do naszego starego przyjaciela?
- Tak.
- Nie myliliśmy się.
- Dla kogo pracowała?

- Dla swojego dawnego pracodawcy. Po chwili milczenia Kennedy odparła:
 - Powtórz.
 - Przypominasz sobie, kto ją pierwszy zatrudnił?

- Tak.

Rapp rozejrzał się po ulicy.

- To były prywatne zlecenia. On organizował kontrakty, ona była ich wykonawczynią.

- Mówimy o moim odpowiedniku na tamtejszym terenie?

Rapp chętnie powiedziałby Kennedy, że z trudem sam w to uwierzył.

- Tak, zgadza się.

- Jesteś pewien?

- Tak. I jest coś jeszcze, ale o tym musimy porozmawiać osobiście. - Spojrzał na Donatellę. Zamknęła oczy i oparła się o szklane drzwi. Tracił ją. - Trzeba wyczyścić to miejsce. Zrozumiałaś?

- Myślę, że tak.

- I muszę mieć lekarza.

- Dla siebie? - zaniepokoiła się.

- Nie, dla kogoś.

- Anna? — dodała z rosnącym niepokojem.

- Nie, dla kogoś innego. Mówiliśmy o tej osobie.

- Coś poważnego?

- Z nią jest w porządku, ale za godzinę albo szybciej będzie potrzebowała pomocy.

- Zajmę się tym. Rapp się zawahał.

- Muszę tu zostać i potrzebuję pomocy. Nie przywykł prosić o

pomoc w ten sposób.

- Zatelefonuję do tamtejszego biura i natychmiast się tym zajmą.
- Ostrożnie wybierz odpowiednią osobę. Nie chcę się tam pokazywać.

Zrozumiałaś?

- Tak.

W ten sposób dał jej znać, że nie chce pojawić się w ambasadzie.

- Gdzie jesteś? - zapytała.
- Pamiętasz, gdzie miałem się zatrzymać?
- Tak.
- Właśnie tam jestem.
- Dobrze. A przy okazji, tu coś się właśnie wydarzyło. Chcemy, żebyś natychmiast wracał.
- Tak byłoby chyba najlepiej, ale podróż musi być absolutnie prywatna. Mam towarzystwo.
- Rozumiem. Wpierw załatwię to pierwsze i zadzwoń za piętnaście minut.
- W porządku.

Rapp klepnął Donatellę w policzek, sprawdzając, czy otworzy oczy.

Otworzyła. Chwyił ją pod pachę i ruszyli w kierunku hotelu.

27

Rielly już nie wiedziała, co myśleć. Wypiła trzecią wódkę z tonikiem i przerzuciła się na wodę. Przeszła już fazę niepokoju i gniewu, a potem znów niepokoju i jeszcze raz gniewu. A teraz wyobraźnia podsuwała jej

różne przyczyny spóźnienia Mitcha. I żaden scenariusz nie był dobry. W tej chwili rozpaczy podjęła decyzję: za bardzo go kocha, żeby tak po prostu odejść, ale jeżeli ma za niego wyjść, musi się coś zmienić.

Już przestała sądzić, że podjęcie pracy w Centrum Antyterrorystycznym to dobry pomysł. Musiał zerwać wszystkie więzi z tym zapomnianym przez Boga miejscem. Jeżeli mają się pobrać i mieć dzieci, musi się zająć normalną pracą, taką jak inni ludzie. Rielly postanowiła: nie lubi stawiać ultimatum, ale musi to zrobić. Warto. Nie chce przez resztę życia trząść się ze strachu za każdym razem, gdy mąż się spóźni.

Chwilę podejmowania decyzji przerwał hałas przy drzwiach. Nie zerwała się na równe nogi, pozostała zimna, opanowana, gotowa stoczyć walkę. Ale gdy drzwi się otwarły, ze zdumieniem ujrzała Mitcha wprowadzającego niezwykle atrakcyjną kobietę. Z wyrazu jego twarzy domyśliła się, że stało się coś złego.

Rapp zamknął drzwi, zasunął rygiel i założył łańcuch. Minął Rielly i skierował się do sypialni.

- Anno, potrzebuję twojej pomocy.

Ułożył Donatellę na łóżku, szybko podszedł do francuskich drzwi i wyjrzał na dziedziniec. Zamknął balkon i zaciągnął zasłony. Odwrócił się i zobaczył, że Rielly stoi na progu pokoju w pozie buntowniczej, z rękoma założonymi na piersiach.

Rapp cofnął się do łóżka, mówiąc:

- Kochanie, przepraszam za spóźnienie, ale coś mnie zatrzymało.

Pochylił się nad Donatella i uniósł jej powieki. Żrenice były rozszerzone, skóra wilgotna i chłodna. Zapytał po włosku, jak się czuje.

Donatella odparła, że jest zmęczona.

- Co się, u diabła, dzieje? Kim ona jest? - Dla Anny wyglądało to tak, jakby Mitch przywłókł do hotelu pijaną prostytutkę.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Donatella rzuciła po angielsku odpowiedź na drugie pytanie Rielly:

- Jestem jego kochanką.
- Co? - wykrztusiła Anna

Rapp skrzywił się i kręcąc głową, zwrócił się do Anny:

- To nie takie proste...

Anna stwierdziła, że ani nie potwierdził tej informacji, ani jej nie zaprzeczył.

- Znasz dobrze tę kobietę?

Uniósł ręce, starając się uspokoić Annę.

- Bardzo dobrze, ale to nie to, co myślisz.
- Bardzo dobrze - powtórzyła Rielly. - Co, u diabła, znaczy to „bardzo dobrze”?
- Przez wiele lat uprawialiśmy - wybełkotała Donatella - dziki, namiętny seks.

Rapp wzdrygnął się i zamachał rękami.

- Nie słuchaj jej.

Anna zaczerwieniła się z gniewu.

- Wybacz! - krzyknęła. - Ale miałam wrażenie, że idziesz zająć się jakąś sprawą, a teraz, po dwugodzinnym spóźnieniu, wracasz z tą pijaną lafiryndą! Chyba powinnaś mi coś wyjaśnić!

Rapp chwycił Annę za ramiona.

- Mów ciszej.
- Puść mnie. - Próbowała się uwolnić, ale bez skutku. Rapp zacisnął uchwyt.
- Anno, ona nie jest pijana. Została postrzelona, a potem zrobiłem jej zastrzyk z morfiny i myślę, że jest w szoku, więc pozwól, że porozmawiamy o tym później.

Rapp nie czekał na odpowiedź. Puścił Annę i wyszedł do salonu.

Otworzył minibarek, wyjął torbę z ciastkami i butelkę wody. Wrócił do łóżka, uniósł nieco Donatellę i oparł ją o wezglowie.

- Pij. - Przysunął jej butelkę do ust. - Nie wiem, kiedy zjawi się lekarz.

Donatella wypila pół butelki i Rapp podał jej ciastko. Zjadła i wypila resztę wody. Ułożył ją wygodnie i wsunął poduszkę pod nogi, aby unieść stopy. Przykrył kocem i znowu sprawdził źrenice. Pochylił się nad jej twarzą i szepnął:

- Wszystko będzie dobrze. Leż i odpoczywaj. Nic nie rób. Tylko leż spokojnie.

Rapp odwrócił się i zauważył, że Anna ponownie przyjęła buntowniczą pozę, ale teraz wyraz jej twarzy powiedział mu, że ma poważny problem. Chwycił ją za rękę i wciągnął do salonu. Zamknął drzwi sypialni i rzekł:

- Wiem, że jesteś wściekła, ale wszystko ci wyjaśnię.
- Zrób to - powiedziała jadownicie.
- Pracowałem z tą kobietą. Byliśmy... Przerwała mu:
- Spałeś z nią?

Rapp patrzył jej w oczy. W pierwszej chwili chciał skłamać, ale stwierdził, że byłoby źle coś takiego trzymać w tajemnicy.

- To nie ma żadnego znaczenia.

- Odpowiedz na moje pytanie. - Anna zbliżyła się do niego i wbiła mu palec w pierś. - Spałeś z nią?
- Tak, ale to było... - Zirytowany Rapp szukał sposobu wyjaśnienia Annie sytuacji.

Uniosła szybko rękę i uderzyła go w twarz.

- Ty sukinsynu.

Rapp natychmiast zmienił postępowanie. Chwycił Rielly za rękę, zbliżył twarz do jej twarzy i powiedział bardzo wolno, wyraźnie i stanowczo:

- Nigdy więcej tego nie rób! Ja ciebie nie uderzę, więc i ty nie będziesz mnie biła!

Rielly wyrwała rękę.

- Nie zmieniaj tematu. Przyjechaliśmy do Włoch się zaręczyć, a ty poszedłeś na „ pewne spotkanie” - cytowała jego słowa, zaznaczając palcami cudzysłów. - „Zajmę się pewną ostatnią sprawą”. Co to za ostatnia sprawa? Jeszcze raz przelecieć dawną kochankę?

Rapp zamknął oczy.

- To nie tak... Pracowaliśmy razem.
- I pieprzyłeś ją,
- Tak, ale przed poznaniem ciebie.
- No tak, jasne. Pieprzę każdą, z którą pracuję.
- Przestań.

- Nie. Spodziewasz się, że uwierzę w te bzdury? Taileś to wszystko przede mną, mówiąc, że sprawa wiąże się z bezpieczeństwem narodowym. - Rielly podniosła głos. - A po prostu poszedłeś upić się z tą lafiryndą, z kobietą, która była twoją współpracowniczką. Nie jestem szpiegiem, ale jestem cholernie pewna, że pieprzenie tej dziwki nie jest tajemnicą państwową. - Założyła ręce na piersiach i patrzyła z nienawiścią na Rappa.

- Anno, proszę cię, nie mów tak. Kocham cię. Nigdy cię nie oszukiwałem i nie oszukam.

- Dlaczego więc nie powiedziałeś mi o niej?

- Ona była przed tobą. Nie interesowałem się twoimi dawnymi przyjaciółmi.

- Wybacz, ale ja nie latam za granicę na potajemne randki z moimi byłymi chłopakami. Nie wlokę do naszego hotelowego pokoju facetów, których właśnie ktoś postrzelił!

Rapp cofnął się, próbując znaleźć sposób wybrnięcia z tej sytuacji.

- Anno, kochanie, musisz mi zaufać. Nie oszukuję cię.

Nigdy cię nie oszukiwałem. To była służbowa sprawa.

Rielly nie uwierzyła.

- Co masz mi o niej do powiedzenia?

- Nie mogę o tym mówić - odpowiedział Rapp po chwili wahania.

- Jak została postrzelona?

- Pewni mężczyźni czekali na nią w jej mieszkaniu.

- Ach, zatem poszedłeś do jej mieszkania. Pieprzyliście się?

- Nie.

- No tak, nie mogliście, bo jacyś faceci czekali na nią. Ale pieprzyłybyś,

prawda?

- Nie, nie zrobiłbym tego... - odparł cierpliwie Rapp.
- Bzdura. Kim byli ci ludzie? Dlaczego na nią czekali?
- Nie mogę o tym mówić, Anno.
 - Do diabła z tym „nie mogę o tym mówić”. Rzygać mi się chce od tych twoich tajemnic. Mdli mnie od tego podwójnego życia i strachu, że za każdym razem, gdy wyjdiesz, ktoś może cię zabić.

- Rapp zbliżył się do niej

- To już ostatni raz - chciał ją objąć — potem wszystko będzie dobrze.

Rielly przeszkodziła mu i cofnęła się.

- Nie. - Pokręciła głową. - To się nigdy nie skończy. Nie mogę tak żyć. - Podeszła do drzwi ze łzami w oczach. -

Nie mogę tego zrobić.

Rapp wyciągnął do niej dłoń.

- Kocham cię i przyrzekam, że wszystko będzie dobrze.

Zatrzymała się przy drzwiach i otarła łzy. Odwróciła się i rzekła:

- Ja ciebie też kocham, ale teraz już wiem, że nie mogę tak żyć. - Chwyciła torebkę i kurtkę. Rapp podszedł do niej, ale podniosła rękę. - Nie! - Zatrzymał się. - Do dziś miałam wątpliwości. To... to, co się stało, tylko potwierdziło to, czego zawsze się obawiałam. Nie mogę wyjść za ciebie. - Otworzyła drzwi i nie patrząc na Rappa, dodała: - Nie idź za mną. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli skończymy tę rozmowę i przestaniemy się spotykać. - Wyszła na ko

rytarz i zamknęła za sobą drzwi.

Rapp stał na środku pokoju jak skamieniały. Nigdy nie czuł tak ogromnego bólu. Kobieta, którą kochał nad życie, właśnie oświadczyła mu, że nie wyjdzie za niego, że nie chce z nim rozmawiać ani więcej go widzieć. To wszystko nie miało sensu. Przypuszczał, że spędzi tu najszcześniejsze chwile w życiu, ale zamieniły się one w koszmar. Nie chciał do tego dopuścić. Gdy ruszył do drzwi, zadzwonił telefon. Zatrzymał się, wolał teraz nie odbierać, ale w końcu zmienił zdanie. To była Kennedy.

28

PARK WOLF TRAP, WIRGINIA, CZWARTEK WIECZÓR

Dzień zamierał za horyzontem, ale ciągle odczuwało się porywy wiatru. Po uschniętych liściach, pokrywających każdy metr kwadratowy parku, ścieżką biegł beagle. Znalazł młode drzewko przewiązane żółtą wstążką i podniósł nogę. Jego pan czekał, pykając fajkę. Wydawało się, że mają cały park tylko dla siebie. Jonathan Brown, chociaż tego nie okazywał, był zdenerwowany. Do tego stopnia, że przetrząsnął wszystkie pudła w piwnicy w poszukiwaniu starej fajki. Miał nadzieję, że chłopcy z Biura Bezpieczeństwa w Langley nie będą go dziś śledzić. Albo, co gorsze, agenci kontrwywiadu FBI. Od czasu do czasu inwigilowali każdego bez względu na to, jak wysokie zajmował stanowisko.

Beagle skończył podlewać drzewko i podreptał z powrotem na ścieżkę. Pan i pies znowu zaczęli krążyć po parku. Browna cały dzień dręczyły myśli o ryzyku związanym z tym spotkaniem. Zastanawiał się, czy to

dobry pomysł umawiać się w parku tak blisko własnego domu. Tu, gdzie ujęto zdrajcę, Roberta Hanssena. Brown dokładnie nie pamiętał, ale wydawało mu się, że wtedy też spacerował tutaj, z psem. Przez chwilę patrzył na Sparky'ego, jakby ten pies był złą wróżbą. Pokręcił głową i mruknął, że wpada w paranoję. Hanssen szpiegował dla Rosjan. Brown nie szpiegował dla nikogo. On po prostu próbuje zrobić coś dobrego.

Spotykając się ze Stevekenem, nie łamie prawa. Przynajmniej żadnego z tych, jakie znał. Emerytowany sędzia wzdrygnął się na tak słaby argument. Nieznajomość prawa nie jest usprawiedliwieniem - to pierwsza rzecz, jakiej nauczył się na studiach.

Przyjmując pracę w CIA, podpisał zobowiązanie nieujawniania tajemnic dotyczących bezpieczeństwa narodowego. Ten paskudny kontrakt był długi i miał tak rozległy zakres, że Brown był pewny, iż CIA zawsze mogło się do czegoś przyczepić. Ale, bez względu na to, co robił, zawsze mógł podjąć dyskusję. Jako dobry prawnik miał dużą szansę uchodzić za człowieka uczciwego, próbującego naprawić zło.

Ostatnio jednak praca stała się przygnębiająca i stresująca. Kennedy zajęła należne mu stanowisko. Wiedział, że ona i inni zastępcy coś przed nim ukrywają. Nie ufali byłemu sędziemu federalnemu bez praktycznego doświadczenia w szpiegowskim rzemiośle - i dobrze. Wiedział, że szybko zmienia zdanie, gdy zostanie dyrektorem. Mógłby wtedy zrobić porządek i ściągnąć lojalnych wobec siebie ludzi, którzy będą postępowali zgodnie z przepisami. A potem, gdy nadejdzie odpowiednia chwila, przeniesie się do administracji Clarka na jedno z głównych stanowisk.

Wiatr ucichł na moment i wtedy usłyszał na ścieżce za sobą kroki. Nerwowo obejrzał się przez ramię i zobaczył zbliżającego się mężczyznę.

Sparky zbiegł ze ścieżki. Brown zatrzymał się i odwrócił, aby lepiej przyjrzeć się mężczyźnie. W jego zachowaniu było coś, co wskazywało, że go rozpoznał. Brown nie miał pojęcia, jak Steveken wygląda, dlatego zaświtała mu w głowie upiorna myśl: pułapka? Puls Browna przyspieszył. Kilka tygodni temu zniknął Peter Cameron. Może teraz kolej na niego? Zastępca dyrektora obserwował, jak mężczyzna uśmiecha się do niego i zaczyna coś wyciągać z prawej kieszeni płaszcza. Brown zadrzał i podniósł rękę.

Steveken nie był zdenerwowany. Przemyślał wszystko i doszedł do wniosku, że nie robi nic nielegalnego. Były agent specjalny FBI pomaga kongresmanowi sprawdzić, czy w CIA dzieje się coś niezgodnego z prawem.

Wyciągając prawą rękę z kieszeni, Steveken zauważył, że Brown kuli się ze strachu. Zatrzymał się kilka kroków przed nim i zapytał:

- Sędzia Brown to pan? Brown opuścił rękę i odparł:
- Ach... tak.
- Nazywam się Norb Steveken.

Brown pochwycił wyciągniętą rękę i rzekł:

- Witam.
- Pańskie nazwisko podał mi ktoś, kto bardzo pana szanuje.

- Och, doprawdy - powiedział Brown niepewnie. - Kto?

Steveken nie wymienił nazwiska.

- On nie chce być w to zamieszany, ale zarzekał się, że jest pan człowiekiem wielkiej uczciwości i honoru.
- Wydaje się, panie Steveken, że ma pan nade mną przewagę. A co

takiego pożytecznego robi pan dla tego kraju?

- Prowadzę tu, w Waszyngtonie, firmę konsultacyjną do spraw bezpieczeństwa. Przedtem, przez jedenaście lat, pracowałem w FBI.
- Och... - powiedział Brown z autentycznym niepokojem.
- Jeżeli dysponuje pan kilkoma minutami, to chciałbym panu zadać pewne pytanie.

Brown nie odpowiedział, tylko odwrócił się i ruszył ścieżką. Steveken podążył za nim.

- Sędzio Brown, chcę być z panem szczery. Śledziłem kilka pańskich spraw, gdy zasiadał pan w sądzie, i wiem, że ściśle trzymał się pan litery prawa. Miał pan w biurze opinię człowieka nieustępliwego.
- Niektórzy pańscy byli pracodawcy wyobrażają sobie, że nie muszą przestrzegać reguł obowiązujących innych.
- O tym nie musi mnie pan przekonywać. - Po kilku krokach Steveken zapytał: - A pańscy nowi pracodawcy? Grają uczciwie?
- To interesujące pytanie. - Brown znowu zauważył, że Sparky'ego nie ma na ścieżce. - Kto chciał, żeby pan się ze mną spotkał?

Steveken przez chwilę milczał. Zastanawiał się, czy zignorować pytanie, ale doszedł do wniosku, że jeżeli Brown ma mu zaufać, to musi podjąć pewną grę.

- Kongresman Rudin.
- Ach tak... Albert. Nie jest lubiany przez mojego obecnego pracodawcę.
- Przez rząd federalny czy przez CIA?'
- Nie, on jest człowiekiem rządu federalnego, nie zgadza się z CIA.
- Kongresman Rudin zdaje się uważać, że Kennedy to zły wybór na

następnego dyrektora.

- Doktor Kennedy jest osobą bardzo kompetentną.
 - Tak, słyszałem. Gra według reguł czy czasem je nagina?
 - Brown spojrział uważnie na Stevekena. Nie był pewien, co ten chce przez to powiedzieć.
- O co chodzi, panie Steveken?
 - Był pan okropnie cięty na FBI. Zastanawiam się, czy teraz przyjął pan nowy zestaw standardów, czy też nadal stosuje te, których przestrzegał w sądzie?
- Kwestionuje pan moją uczciwość, panie Steveken?
 - Bynajmniej. Wiem, w jakiej jest pan sytuacji, ale przyszedłem tu, żeby powiedzieć panu, że teraz może być już tylko gorzej. Jeżeli w przyszłym tygodniu Kennedy zostanie zatwierdzona, znajdzie się pan w bardzo trudnym położeniu.
- Zaprasza mnie pan do niebezpiecznej gry.
 - Niekoniecznie. Kongresman nie chce pana w nią wciągać. On w istocie myśli, że to pan powinien teraz przejść procedurę zatwierdzającą. Nie Kennedy.
 - To niczego nie zmienia. Mówiąc hipotetycznie: gdybym stanął przed komisją kongresmana, nigdy nie dostałbym pracy w tym mieście.
 - Kongresman o tym wie. Nie chce zrujnować panu reputacji i nie chce pańskiej kompromitacji. Teraz chce tylko tyle informacji, ile jest potrzebnych do spowolnienia zatwierdzenia Kennedy. - Steveken przerwał i chwycił Browna za ramię. - Coś wiarygodnego, co mógłby przekazać prasie. Coś z anonimowego źródła w Langley.
 - Chce spowolnić zatwierdzenie Kennedy czy zapobiec mu?

Steveken się uśmiechnął.

- Jestem pewny, że chciałby zapobiec. Mówiłem już, że widzi pana u steru.

Brown ruszył dalej.

- Muszę mieć czas do namysłu.
- Przykro mi, ale nie mamy dużo czasu. Senacka Komisja do spraw Wywiadu planuje głosowanie w poniedziałek po południu.

Brown nagle stanął i rozłożył ręce.

- To było bardzo interesujące spotkanie, panie Steveken. - Chwycił rękę Stevekena, potrząsnął nią dwukrotnie, pochylił się ku niemu i szepnął: - Jutro wieczorem pomówimy o tym szerzej.

Stevekem uwolnił rękę i odszedł. W mroku nadciągającej nocy pojawił się na jego ustach uśmiech. Realny świat spisków i handlu tajemnicami był o wiele bardziej fascynujący, niż sobie wyobrażał.

BAZA SIŁ POWIETRZNYCH ANDREW, MARYLAND, PIĄTEK RANO

Służbowy odrzutowiec podchodził do lądowania. Opuścił Bazę Sił Powietrznych Aviano we Włoszech przed wschodem słońca. Na pokładzie było tylko dwoje pasażerów; jeden spał, drugi chciał się uspokoić i starał się zasnąć. Udało mu się przespać pierwszą część lotu, ale po przebudzeniu stan relaksu gdzieś zniknął i trudno było do niego wrócić. Nie pozwalał na to stan umysłu - do głowy cisnęło się zbyt wiele myśli.

Mitch Rapp wyjrzał przez okno. Poniżej rozciągał się ciemny krajobraz.

Światła domów, światła latarni i światła samochodów znaczyły leżący pod nim Maryland. Rapp musiał przyznać, że potęga Stanów Zjednoczonych może budzić grozę. Pięć minut po wybiegnięciu Anny przed drzwiami hotelu czekała na Donatellę furgonetka. Nie miał czasu napisać wiadomości dla Anny, nie miał czasu nawet spróbować ją przekonać. Musiał jak najszybciej wywieźć Donatellę z Włoch.

Mężczyzna czekający na nich na dole przedstawił się jako Chuck. Wysłała go agencja. W ciągu dwudziestu minut opuścili hotel. Rapp wniósł z Chuckiem Donatellę tylnymi drzwiami do kliniki leżącej na przedmieściach Mediolanu, gdzie przyjął ich lekarz opłacany przez CIA. Oczyszczył ranę, założył opatrunek i zabandażował. Oznaczył grupę krwi i przetoczył Donatelli dwa litry. Podał antybiotyki i zrobił zastrzyk z morfiny. Po dwóch godzinach wręczył Rappowi dodatkowy litr plazmy i poinstruował, jak sprawdzać ciśnienie krwi. Powiedział, że rana nie jest groźna i jeżeli przez następne cztery dni Donatella będzie zażywała antybiotyki i nie będzie się męczyć, wszystko dobrze się skończy.

Klinikę opuścili krótko przed pierwszą w nocy i rozpoczęli podróż przez północne Włochy. Minąwszy Weronę i Wenecję, skierowali się na Udine. Przez trzy czwarte drogi Donatella spała. Rapp nie mógł sobie na to pozwolić. Nigdy przedtem nie spotkał Chucka i nie mógł powierzyć życia obcemu człowiekowi. Po dotarciu do bazy przeszli kontrolę i eskortowano ich do czekającego samolotu. Po kilku minutach maszyna wzbijała się w powietrze, kierując się na Stany Zjednoczone - nie było żadnej kontroli celnej, żadnej policji ani kamer wideo.

Po starcie Rappowi udało się zdrzemnąć. W obszernej kabinie byli sami, załoga otrzymała polecenie, żeby im nie przeszkadzać. Mniej więcej po

czterech godzinach lotu Rapp się zbudził. Był wzburzony i zaniepokojony. Miał koszmary sen. Śniła mu się Anna. Była w ich domu z innym mężczyzną, którego nigdy przedtem nie widział. Byli szczęśliwi, śmiali się, trzymali za ręce i całowali. Rapp stał na zewnątrz i patrzył na nich. Anna zauważyła go w oknie i pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć: „Miałeś szansę i zaprzepaściłeś ją”. To boli. Kochał ją z całego serca, ale jej zachowanie w hotelu było dla niego zaskakujące.

Wyglądając przez małe okno samolotu, starał się opanować emocje, aby uniknąć ostatecznej katastrofy. Był wściekły na Donatellę i na tę jej szaloną włoską namiętność. Nie musiała mówić Annie, że byli kochankami. Nie była to dobra chwila do zwierzeń. Rapp chciałby wierzyć, że to efekt działania morfiny, ale znał Donatellę na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że i na trzeźwo zdolna była do tego rodzaju konfrontacji. Mógł wściekać się na nią za brak taktu, ale tylko tyle. Ze względu na ujawnienie ważnej informacji musiał jej darować, a poza tym od lat była wobec niego lojalna.

Kiedy podwozie samolotu się otworzyło, Rapp uświadomił sobie, że oburza go zachowanie Anny, jej brak zrozumienia i zbyt surowa ocena. Do diabła, nawet nie pozwoliła mu się wytłumaczyć. Zginęli ludzie. Donatella została postrzelona, a on uzyskał część informacji, które miały ogromne znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego. Tak ogromne, że aż trudno to było sobie wyobrazić. Wiadomość, że to szef Mosadu osobiście odpowiadał za zabicie byłego pracownika CIA, miała poważne następstwa, ale było jeszcze mnóstwo pytań wymagających odpowiedzi. Czy Peter Cameron był szpiegiem Mosadu, podwójnym agentem? Czy wydając rozkaz zabicia go, Ben Freidman

działał na własną rękę? Może ktoś mu to nakazał? Jedno było pewne: zanim będzie lepiej, może być tylko gorzej. Rapp udał się do Włoch po odpowiedź. Chciał usłyszeć od Donatelli nazwisko, ale był głupcem, sądząc, że poznanie go wszystko wyjaśni.

Zamiast tego wywołał coś, co można nazwać kryzysem międzynarodowym. To jasne, że Donatella potrzebuje ochrony i że musi porozmawiać z Kennedy. Nie miał wyboru, trzeba było jak najszybciej wywieźć ją z Włoch do Stanów. To, co się wydarzyło w jej mieszkaniu, świadczyło o tym, że Freidman chciał jej śmierci, i Rapp wiedział, że Freidman poty nie zrezygnuje, póki nie dopnie swego.

Na takich rozważaniach upłynęło mu dziesięć godzin. Miotał się między kryzysem z Freidmanem a zerwaniem z Anną. Przeszłość ciągnęła go w jednym kierunku, przyszłość ginęła gdzieś za horyzontem.

Znając Rielly, nie miał za dużych nadziei. Nie mógł jej powiedzieć, o co chodzi. Nie mógł nawet zdradzić szczegółów dawnej znajomości z Donatella. Tak, byli kochankami, ale to już minęło. Nie obchodziło go, z kim sypiała Anna przed ich spotkaniem. Ufał jej i bolało go, że ona nie wierzy jemu. Bolało, że nie rozumiała złożoności jego trybu życia. Po dziesięciu latach czynnej służby nie mógł tak po prostu rzucić ważnego zajęcia, wręczyć pisma, w ciągu dwóch tygodni wycofać się i reszty życia spędzić w ciasnym pokoju, myśląc tylko o przerwie na dobry lunch. W jego świecie nie było przerw na kawę, nie było dobrych lunchów, do diabła, nawet nie miał biurka do posprzątania. To było brudne, niewdzięczne zajęcie i Rapp wiedział, że to brzmi banalnie, ale ktoś je przecież, do cholery, musiał wykonywać. Ze wszystkich sił próbował odejść, a wszystko to dla przyszłości z Anną.

Był wściekły na to, że nie potrafiła docenić jego poświęcenia. Zabijał dla ojczyzny, przelewał krew za swój kraj, a gdy po drodze nastąpił mały wypadek, Anna go opuszcza. Kiedyś przecież nawet zabił dla niej, ale jakoś o tym

zapomniała. Nikt go tak nie poniżył. Kocha go albo nie kocha. Rapp nie wiedział wiele o miłości, jednak dostatecznie znał się na zobowiązaniach i lojalności. Według niego najgorsze, co można zrobić, to porzucić partnera. Ludzie, którzy naprawdę się kochają, trzymają się razem. Nie uciekają. A ona nawet nie dała mu szansy wytłumaczenia.

Nie chciał osądzać jej, dopóki się nie uspokoi, ale nic na to nie mógł poradzić. Im dłużej myślał o jej nagłym wyjściu z hotelu, tym bardziej był wściekły. Zadawał sobie pytanie, czy na pewno chce się z nią ożenić, i z przerażeniem stwierdził, iż nie zna odpowiedzi na to pytanie. Kochał ją do bólu. I bolało go też to, że byli tak blisko połączenia swych losów, a teraz ten sen prysnął przez jedną noc w Mediolanie.

Rapp nie lubił szarości. Wszystko musiało być czarne lub białe. Szarość oznaczała wahanie, a brak zdecydowania w jego życiu oznaczał śmierć. Samolot podchodził do lądowania. Był już prawie w domu, na amerykańskiej ziemi. Koła łagodnie dotknęły betonu i Rapp ułożył plan działania. Anna może poczekać. Chciał odejść, ale teraz nie może zostawić Kennedy. Była jego przyjaciółką i nie mógł jej porzucić tak, jak Anna porzuciła jego. Wpierw zrobi to, co musi, potem wszystko wyjaśni Annie. Jeżeli naprawdę go kocha, przyjmie jego przeprosiny i sama też się pokaja. Jeżeli tego nie zrobi, rozejdą się - i tak będzie najlepiej, nawet jeśli będzie to bardzo bolało.

BAZA SIŁ POWIETRZNYCH ANDREWS, PIĄTEK RANO

Irenę Kennedy spojrziała na zegarek. Stała w drzwiach dużego metalowego hangaru w szarej barwie. Jej opancerzona limuzyna parkowała w odległości dziesięciu metrów. Członkowie ochrony osobistej odprężali się, oparci o czarny wóz: Kennedy sączyła gorącą kawę z dużego kubka podróżnego i spoglądała na płytę lotniska. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale mimo nadchodzącej zimy było zaskakująco ciepło i parno. W stojącym powietrzu nisko zalegała mgła, tworząc trzy warstwy na końcu pasa startowego. W Bazie Sił Powietrznych Andrews panował duży ruch, jednak nie w tym miejscu, gdzie stała Kennedy. Hangar wynajęty przez CIA znajdował się w odległej części bazy.

O siódmej odbyło się spotkanie w Pentagonie i Kennedy musiała osobiście przygotować Rappa, zanim zajmą się nim ludzie z Sił Specjalnych. Chodziło nie tylko o sprawy związane z Irakiem. Chciała też usłyszeć więcej informacji o Donatelli i Benie Freidmanie. Rapp podał jej bardzo mało szczegółów. Przypuszczała, że uzupełni je w czasie lotu przez Atlantyk, ale myliła się. Cokolwiek miał do powiedzenia o jej izraelskim odpowiedniku, nie chciał nic przekazywać nawet za pośrednictwem bezpiecznego systemu komunikacyjnego sił powietrznych, i nie winiła go za to. Tego typu informacje nie tylko nie mogły trafić do uszu osób ze służb zagranicznych, ale nie mogły ich też poznać pewne kręgi Amerykanów. Kiedy Kennedy zaczęła nalegać na podanie szczegółów, Rapp rzucił tylko jedno słowo: Pollard. Wyraźna aluzja. Jonathan Pollard był Amerykaninem, którego w latach osiemdziesiątych złapano na szpiegowaniu dla Izraela. Zdrada Pollarda prawie na dziesięć lat osłabiła system komunikacji wykorzystywany przez Marynarkę Wojenną Stanów

Zjednoczonych. Izrael po mistrzowsku werbował agentów w USA i Kennedy doskonale

zdawała sobie sprawę, że było tu więcej takich Jonathanów Pollardów.

Przekonanie, że to nie my, ale inni mają problemy, jest typowe dla człowieka. Wielu rodziców nie wierzy, aby ich mała pociecha mogła sprawiać kłopoty w szkole. Inne dzieci tak, ale ich nie. Pracownicy wywiadu zachowują się identycznie. Gdy marynarka wojenna odkryła szpiega w swoich szeregach, siły powietrzne, armia, CIA, FBI i wiele innych instytucji kręciło głowami, mówiąc: „Mają kłopot”. No cóż, Kennedy była realistką. To zupełnie jasne, że ci, co szpiegują, są też szpiegowani. Pamiętała ponure dni w Langley, gdy Aldrich Ames został nakryty przez FBI. Kennedy pilnie słuchała wtedy, co mówił jej szef. Thomas Stansfield był w tym czasie zastępcą dyrektora do spraw operacyjnych. Przez następne pięćdziesiąt kilka lat jego praca polegała na rekrutowaniu szpiegów za granicą. W czasie analizy przypadku Amesa podkreślił w sali konferencyjnej, wypełnionej smętnie wzdychającą kadrą kierowniczą CIA, że ich praca wymaga poświęceń. Wychodząc na ring bokserski, nie można zakładać, że nie otrzyma się ciosu. Podobnie szpieg zawsze musi być przygotowany na to, że będzie szpiegowany.

Stansfield był wybitnym człowiekiem. Wiedział, jak odciąć się od zwykłych waszyngtońskich rozgrywek. Zawsze powtarzał, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent rozmów odbywających się w Waszyngtonie to zupełnie bezwartościowe głędzenie. Jego zasada brzmiała następująco: nie traktować niczego osobiście i pamiętać stary aksjomat: „Co ma być, to będzie”. Istotnie, nikt nie był lepszym pro-rokiem, czego dowiodła sprawa Amesa. To nie tajemnica, że FBI i CIA nie

zawsze dobrze żyją. W latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych agencje toczyły z sobą regularne batalie, co wyraźnie ujawniła historia Amesa. FBI promieniało, upajając się własnymi zdolnościami. Sprawa Amesa dowodziła, jak bardzo utalentowani agenci pracują w biurze i jak bardzo CIA jest nieudolne. Stansfield powiedział wtedy Kennedy i swoim ludziom: „Nie martwcie się. W FBI też jest kilku takich Aldrichów Amesów, tylko że jeszcze ich nie wykryli”.

Miał rację i niemal siedem lat po przyłapaniu Amesa CIA oddało przysługę FBI, gdy agent z Moskwy doniósł swojemu kontrolerowi w CIA o agencie specjalnym FBI Robercie Hanssenie. No i tak ujawniono wewnętrzną zdradę w FBI.

To wszystko przypomniało Kennedy, że musi być czujna. Napila się kawy i pochwaliła w myślach paranoję Rap-pa. Kontaktowali się na dużych odległościach. Nie mogli tego uniknąć. Poza tym pracowali w firmie zajmującej się wymianą informacji. I dlatego musieli uważać, z kim je wymieniają. Rapp miał rację, czekając na osobistą rozmowę. Ben Freidman miał oczy i uszy wszędzie w Waszyngtonie i była pewna, że również w Langley. Tej nocy spała niespokojnie. Nikomu nie wspomniała o sprawie Freidmana, nawet prezydentowi. Zanim to zrobi, sama musi wszystko uporządkować. Przede wszystkim wyznaczy zaufanych ludzi do przeanalizowania szkód, jakie Peter Cameron mógł wyrządzić jako podwójny agent pracujący dla Izraela. Należałoby się też upewnić, czy Cameron miał jakieś wtyczki w Langley. Potem zacznie się najciekawsze. Kennedy zaczęła już snuć plan, który dałby Benowi Freidmanowi możliwość posmakowania jego własnych metod. Prawdziwe wyzwanie nie

polega na zwykłym ujawnieniu kogoś. Jest jeszcze inna opcja, ale wymaga autentycznego talentu.

Kennedy najpierw usłyszała samochód, potem spojrzała w lewo. Do hangaru agencji zbliżała się biała furgonetka. Spodziewała się jej. Gdy pojazd przystanął, wskazała wewnątrz hangaru i czekała, aż nie oznakowane auto ją minie. W furgonetce siedziało trzech mężczyzn i wiedziała, że Rapp ich zaaprobuje. Wszyscy niegdyś należeli do Navy SEAL. Dowodził nimi Scott Coleman, były dowódca 6. Zespołu SEAL. Przywiózł z sobą dwóch najbardziej zaufanych ludzi, Kevina Hacketta i Dana Stroble'a. Rapp pracował już z nimi. Gdyby prezydent i ludzie z Sił Specjalnych postawili na swoim, Rapp bardzo szybko opuści Stany, a to oznaczało, że ktoś będzie musiał zaopiekować się Donatella. I musi to być ktoś, komu Rapp bezgranicznie ufa, co z kolei oznaczało, że ludzie z Biura Bezpieczeństwa CIA nie wchodzi w rachubę.

Coleman podszedł do Kennedy i wyciągnął rękę. Miał prawie czterdziestkę i ciągle był szczupły, ale każdy mógł zauważyć, że lepiej mu nie wchodzić w drogę. Były oficer marynarki wojennej miał bardzo interesującą przeszłość — zabijał i na terenie USA, i za granicą, i to nie zawsze za wiedzą czy zgodą amerykańskiego rządu. Kennedy uścisnęła podaną dłoń.

- Dziękuję za szybkie przybycie.

Coleman patrzył na nią błękitnymi oczami.

- Bez obrazy, Irene, ale nie wyglądasz najlepiej. Dobrze sypiasz?
- Raczej nie bardzo. Ale postaram się poprawić.
- O co chodzi?
- Mitch ściąga kogoś z Włoch.

- Kogo?

- Kobieta, która zabiła Petera Camerona.

Coleman był szczerze zaskoczony. Był razem z Rappem, gdy ten odkrył ciało Camerona w jego gabinecie na Uniwersytecie George'a Washingtona.

- Kobieta?

- Tak.

- Przylatuje z własnej woli czy wręcz przeciwnie?

Kennedy nie odpowiedziała od razu. Musiała się zastanowić, ile może zdradzić Colemanowi. Ufała mu, ale wypadki ostatnich tygodni wzmocniły w niej przekonanie, że im mniej się mówiło, tym lepiej.

- Tak, z własnej woli - odpowiedziała. - W efekcie pewnych wydarzeń dosłownie musiał ją nieść na rękach.

- A dokładniej?

- Na razie nie chcę o tym mówić. Będziemy wiedzieć więcej, gdy tu wyląduje.

Za samolotem zamknięto ogromne wrota. Ucichły silniki maszyny. Kennedy wydała polecenie ochronie, aby została na zewnątrz. Nie chciała, żeby zobaczyli Donatellę i żeby ktoś się zorientował, że przyleciała do Stanów. Donatella była cenną kartą przetargową i Kennedy miała świadomość, że będzie tym skuteczniejsza, im mniej ludzi będzie wiedziało, iż trzyma ją w ręku.

Drzwi samolotu otwarły się i ukazała się w nich głowa Rappa. Pokiwał Kennedy i Colemanowi, potem zniknął w środku. Po chwili pojawił się w towarzystwie bladej i chwiejącej się

na nogach Donatelli. Pomógł jej zejść po schodach. Ramię Donatelli podtrzymał biały temblak.

- Wygląda tak, jakby nie przyleciała z własnej woli - szepnął Coleman do Kennedy.

Rapp szedł po gładkiej cementowej posadzce. Rozglądał się po hangarze: sprawdzał wyjścia oraz osoby znajdujące się w środku. Ciągłe działał w trybie operacyjnym, notując każdy szczegół.

Zatrzymali się metr przed Kennedy i Colemanem.

- To jest Donny - przedstawił ją Rapp.
- Jak z jej raną? - zapytała Kennedy.
- Na razie w porządku, ale trzeba ją znowu obejrzeć.

- Wszystko przygotowałam - oznajmiła Kennedy. Wskazując swoją szefową, Rapp zwrócił się do Donatelli:
- To Irene Kennedy.

Donatella, nie podnosząc wzroku, odpowiedziała ochrypłym głosem:

- Wiem.
- A to Scott.

Tym razem Donatella uniosła na sekundę wzrok, ale milczała.

- Też miło mi cię widzieć - rzekł Coleman.

Rapp się uśmiechnął.

- Donny zwykle bywa bardzo miła, ale ostatni dzień był dla niej raczej męczący.
- Wezwałam Scotta i jego chłopców do ochrony Donatelli, zanim ustalimy, co dalej robić. Tymczasem my musimy się zająć pewną sprawą.

Donatella ożywiła się i powiedziała do Rappa po włosku:

- Nie puszczę ciebie.
 - To niemożliwe. - Rapp położył rękę na jej zdrowym ramieniu. - Scottowi zawierzałem życie. On i jego ludzie są w porządku.
 - Ale o n ma swoich ludzi w agencji - powiedziała Donatella, mając na myśli Freidmana.
- Scott i jego ludzie nie pracują w agencji. Kennedy nie podobało się, że nie rozumie, o czym mówią.
- Proszę przetłumaczyć.
 - Rapp przekazał jej zastrzeżenia Donatelli. Kennedy wzdrygnęła się, usłyszawszy, że Donatella powiedziała: „On miał swoich ludzi w agencji”.

Nie dała jednak tego po sobie poznać i odpowiedziała:

- Założyłam, że ma, i dlatego ludzie z mojej ochrony są teraz poza hangarem. Wezwałam Scotta, bo mu ufam i, co ważniejsze, ufa mu też Mitch.

Rapp wiedział, że Donatella ciągle nie jest zadowolona.

- Donny, powinnaś mi ufać. Żeby ci pomóc, muszę jeszcze coś zrobić. Spotkam się z pewnymi ludźmi, a ciebie nikt nie może widzieć. Będziemy trzymać cię w ukryciu, aż nadejdzie właściwy moment.

Ustąpiła niechętnie i poszli do furgonetki. Coleman przedstawił Donatellę swoim ludziom, którzy krótko ją powitali. Gdy wsiedli do środka, Rapp poprosił o chwilę sam na sam z Donatella i wszyscy się oddalili.

Odsunął z jej twarzy czarny kosmyk.

- Donny, nie zrób nic głupiego. - Zauważył jej ponurą minę i dodał: - Mówię poważnie. Ci faceci zapewnią ci bezpieczeństwo. Są dobrzy.

Wyglądając przez okno, określiła ich jednym słowem:

- Wojskowi.

- Tak. Kiedyś służyli w Navy SEAL.

Ponownie zmierzyła ich wzrokiem.

- Wiem, o czym myślisz, i chcę, żebyś zaraz przestała.

To moi przyjaciele. Wybij sobie z głowy ucieczkę. Jeżeli ich zabijesz, ja zabiję ciebie. - Donatella nie patrzyła mu w oczy, więc Rapp ujął ją pod brodę i zmusił do spojrzenia mu w twarz. - Mówię poważnie. Chcę, żebyś dała mi słowo, że nie będziesz niczego próbować: ani ich zabić ani uciec. Pomogę ci tylko wtedy, jeżeli mi zaufasz. - Patrzył w jej zmęczone oczy. - Ufasz mi?

Przez chwilę milczała, ale jej odpowiedź była szczerą:

- Tak, daję słowo.
- Dobrze. Teraz przyrzeknij, że nie zrobisz im krzywdy.
- Przyrzekam. - Donatella spuściła oczy.
- Spójrz na mnie i powtórz.
- Przyrzekam.
- Dobrze. - Wyjął z kieszeni pistolet Donatelli z tłumikiem i wręczył jej.
 - Dałaś słowo.
- Dotrzymam go. - Nie **miała sił otworzyć komory, więc** zapytała: -
Załadowany?
- Oczywiście.

Patrząc na broń, powiedziała:

- Dziękuję.
- Nie ma sprawy. Zrobiłabyś to samo.
 - Tak, wiesz o tym - odparła trochę defensywnie.

Rapp dotknął jej policzka.

- Wiem i rozchmurz się, Donny. Wszystko wróci do normy, choć nie nastąpi to szybko. - Pocałował ją w czoło. - Zobaczymy się później. Bądź miła dla Scotta i jego chłopaków. - Rapp wysiadł z auta i podszedł do czekających mężczyzn. - Muszę wam, chłopcy, powiedzieć coś na temat Donny. Po pierwsze i najważniejsze, jest uzbrojona, i po drugie, ona jest naprawdę dobra.

Byli członkowie SEAL milczeli, odezwała się natomiast Kennedy:

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.
 - Zdziwiłbym się, gdybyś go pochwalała, ale ja uważam inaczej. Gdybyś znalazła się w jej sytuacji, przede wszystkim chciałabyś zadbać o własne bezpieczeństwo. Poza tym, gdyby coś nawaliło, to wierz mi, chciałabyś, żeby miała broń.
- To mi się nie podoba - powtórzyła stanowczo Kennedy.
 - No cóż, musisz z tym żyć, bo nie sądzę, żeby się teraz dała rozbroić.

Rapp i Kennedy byli bardzo bliskimi współpracownikami. Czasem, jak w tej chwili, gdy Rapp zwracał się do niej, jakby byli rodzeństwem, Kennedy wydawało się, że zbyt się spoufala. Ale przez te wszystkie lata nauczyła się nie brać takich uwag zbyt osobiście. Mitch działał samotnie i gdy sprawy się komplikowały, cechy nabyte w polu występowały z całą wyrazistością. Miał wtedy mało cierpliwości, odruchowo przejmował

kontrolę i przestawał okazywać jakikolwiek szacunek czy uprzejmość przełożonym, jeśli ci na to naprawdę nie zasługiwali.

Rapp uściśnął dłoń Colemana i rzekł:

- Dziękuję za pomoc. Uważaj na nią. Jest teraz na prawdę przestraszona, a wiesz, do czego jest zdolne prze-
rażone zwierzę.

Colemain skinął głową.

- Czy imuszę się martwić o to, że ucieknie?
 - Nie - odparł Rapp po chwili namysłu. - Nie zrobi tego, póki będzie się czuła bezpiecznie.
- Zatem zapewnimy jej bezpieczeństwo.
- Dokąd ją zabierasz?
 - Na wschodni brzeg zatoki. Irenę jest poinformowana.

Normalne było, że wybrał miejsce nad Chesapeake. Rapp wyjął telefon.

- Masz mój numer?
- Tak.
- W porządku. Dzwon, gdybyś czegoś potrzebował.
 - Nie martw się, Mitch. Nie pozwolę, żeby coś jej się stało.

Rapp klepnął Colemana w ramię i powiedział:

- Wiem, że nie pozwolisz.

Coleman podszedł z Kennedy i Rappem do małych drzwi i nacisnął zielony guzik otwierający wrota hangaru. Wszedł do środka i wsiadł do furgonetki. Kennedy i Rapp wyszli na zewnątrz i udali się do limuzyny. Rapp, siedząc sam na tylnym siedzeniu, wykrztusił dręczące go od

dłuższego czasu pytanie:

- Co z nią?

- Czuję się dobrze. Ostatnią noc spędziła w Four Sea-sons.

Przed opuszczeniem Włoch Rapp poprosił Kennedy, żeby wysłała kogoś, kto miałby Annę na oku.

- Co robiła?

- Odwiedziła katedrę. - Kennedy odwróciła się, żeby lepiej widzieć Rappa. - Mój człowiek doniósł, że była bardzo zdenerwowana. Trzy razy zauważył, że płacze.

Rapp ukrył twarz w dłoniach. Z przykrością usłyszał, że cierpiała, ale ostatecznie sama była temu winna i miała do tego powód.

- Chcesz o tym porozmawiać? Wolno pokręcił głową.

- Myślę, że powinienes.

- Dlaczego?

- Muszę wiedzieć, co ona wie.

- Irene, Anna nic nie powie.

- - Nie zgadzam się. Mnie naprawdę niepokoi to, co Ben Freidman może zrobić, gdy odkryje, że jego ludzie zniknęli.

Rapp pomyślał o trzech ciałach w mieszkaniu Dona-telli.

- Chyba już się tym zajęłaś?

- Powiedziałam, że to już nie jest problemem. - Kennedy obserwowała przez chwilę Rappa. - Czułabym się lepiej, gdyby Anna wróciła do Stanów.

Rapp pomyślał, że on też, ale nie chciał wywierać żadnej presji. To, co mu powiedziała, bolało i chociaż oboje znajdowali się pod wpływem

stresu, w ich słowach było wiele prawdy.

- Nie mogę jej prosić, żeby wróciła - oświadczył poważnie.
- Dlaczego?
- Nie chcę się wdawać w szczegóły.

- Powinnam o czymś wiedzieć? Rapp potrząsnął głową.
- Co między wami zaszło?
- Nie chcę o tym mówić.

Kennedy nie chciała zdradzić, o czym myśli, ale poczuła, że nie może milczeć.

- Dlaczego właściwie zabrałeś ją ze sobą?

Bo chciał prosić Annę, żeby za niego wyszła. Chciał rzucić tę niewdzięczną robotę, zanim wyszł z niego resztki normalności. I jeszcze kilka rzeczy chciał przy okazji, ale nie mógł tego powiedzieć Kennedy. Był zbyt dumny. Teraz musi być twardy. Anna obnażyła przed nim prawdziwe uczucia. Był głupcem, sądząc, że wyjdzie za niego. Piękna, mądra Anna Rielly. W Ameryce pełno było facetów, którzy skorzystają z szansy poślubienia jej, facetów z normalną pracą, dobrą pracą, którzy zagwarantują jej stabilizację. Ci faceci w każdej chwili z ochotą przeniosą się do Nowego Jorku. Był głupcem, marząc o tym, że zostanie jego żoną. Był skończonym idiotą, wyobrażając sobie, że może mieć to, co mają inni. Miłość przesłoniła mu chłodny osąd sytuacji i Rapp zignorował prosty fakt. Był zabójcą, a zabójcy nie żenią się z takimi kobietami jak Anna Rielly.

Zakłopotany, że jego życie prywatne splątało się z zawodowym, Rapp postanowił zakończyć ten wątek rozmowy i wrócić do

spraw służbowych.

- Nie chcę mówić o Annie.
- Chciałabym tylko wiedzieć... Rapp jej przerwał:

— Powiedziałem, że nie chcę o tym mówić, Irene. Podjąłem niewłaściwe decyzje. To już minęło. Mówmy o czymś innym.

Słowa Rappa bardzo poruszyły Kennedy.

- Co minęło? Czy chcesz powiedzieć, że dotyczy to ciebie i Anny?
- Tak, dokładnie to chcę powiedzieć - rzucił Rapp z taką mocą, że Kennedy uznała, iż dalsze drażnienie tematu byłoby niemądre. To jasne, że w Mediolanie wydarzyło się coś, o czym nie miała pojęcia.

Postanowiła, że jeżeli Rapp nie odezwie się do Rielly, ona to zrobi za niego. Uważała, że ze względu na Bena Freidmana i obecny stan jego umysłu nie byłoby rozsądnie pozwolić Annie swobodnie krążyć po Włoszech. Zorganizuje jej powrót, a potem z nią porozmawia.

30

PENTAGON, PIĄTEK RANO

Gabinet generała Flooda znajdował się na pierwszym piętrze w kręgu Egmachu Pentagonu. Generał zjawił się w pracy długo przed wschodem słońca. Zwykle nie przychodził tak wcześnie, ale tym razem dręczył go problem Iraku. Prezydent dał mu jasno do zrozumienia, że chce utrzymać w całkowitej tajemnicy wypadki toczące się w tym kraju. Gdyby do

Saddama dotarł nawet strzép informacji, że odkryto miejsce przechowywania jego broni, natychmiast by ją przeniósł i szanse jej znalezienia spadłyby do zera. I teraz generał i jego ludzie mieli z tym ogromny problem. Jak przygotować się do wojny bez informowania o tym podkomednych? W tym względzie Saddam oddał armii USA ogromną przysługę - zapewnił jej najlepszy, jaki kiedykolwiek miała w czasie pokoju, teren i okazję do ćwiczeń z ostrą amunicją.

Od zakończenia wojny w Zatoce dowództwo amerykańskiej armii wykazywało w tym rejonie dużą aktywność. Najbardziej godne uwagi było wprowadzenie północnej i południowej strefy zakazu lotów. Na mniejszą skalę armia i marines regularnie ćwiczyli na pustyniach Kuwejtu i Arabii Saudyjskiej.

Potajemnie siły powietrzne i marynarka wojenna prowadziły prawie nieustanny nadzór fotograficzny i elektroniczny królestwa Saddama. Uzupełniając dane uzyskane przez wywiad wojskowy, NSA i NRO penetrowały cały Irak za pośrednictwem krążących wokół Ziemi satelitów wartości miliarda dolarów. Ta bliskowschodnia dyktatura stała się wrogiem numer jeden Stanów Zjednoczonych, a z tym wyróżnieniem wiązała się specjalna uwaga.

Do stacjonującego w tym rejonie kontyngentu dołączyły Delta Force i Zielone Berety. Regularnie ćwiczyli ze Special Air Service - elitarną i legendarną brytyjską jednostką specjalną. Formacje te regularnie ignorowały istnienie irackiej granicy i prowadziły działania setki kilometrów w głąb Iraku. Nie szukały irackich oddziałów, ale wiedziano, że od czasu do czasu staczały z nimi potyczki.

Te wszystkie działania były elementem strategii utrzymywania amerykańskich oddziałów w gotowości bojowej. Irakijczycy kierujący obroną powietrzną niechętnie włączali radary celownicze, bojąc się, że amerykańskie myśliwce patrolujące poślą prosto w nie rakiety samonaprowadzające. Natomiast żołnierze zaangażowani w operacje prowadzone na południu na pustyni i na północy w górach słyszeli wiele opowieści o towarzyszach, którzy nie wrócili z patrolu. Ci, którym udało się przeżyć takie wyprawy, donosili o nocnych zasadzkach organizowanych przez ludzi widma. Morale w irackiej armii nie było za wysokie.

Według Flooda zaś morale armii amerykańskiej prezentowało się wręcz przeciwnie. Jego ludzie byli dobrze wyszkoleni, doskonale wyposażeni i chętni do walki. Irak był dla nich jednym ogromnym obozem ćwiczebnym. Bogactwo zbieranych przez siły powietrzne, marines i ekspertów wojskowych informacji umożliwiało nieustanne aktualizowanie danych na temat celów. Dzięki temu zaledwie w ciągu najwyżej dwunastu godzin można było przygotować efektywny i spójny plan działań wojennych.

W istocie Flood nie musiał ujawniać tajemnicy półmilionowej armii Stanów Zjednoczonych. Wystarczyło tylko poinformować Połączony Komitet Szefów Sztabów, że prezydent chce poznać opcje. Saddam znowu wkurzył prezydenta Hayesa. To nic nowego. Od wojny w Zatoce każdego roku podejmowano jakąś akcję militarną przeciwko Złemu Człowiekowi z Bagdadu. Flood mógł więc oznajmić centralnemu dowództwu, że w ciągu godziny musi mieć na biurku wstępny kompleksowy plan bombardowania. Wiedział, że wszystkie siły będą gotowe do akcji w ciągu maksimum jednego dnia. A miał do dyspozycji naprawdę pokaźne siły.

Świadomość, że pierwszoliniowe oddziały były w tak krótkim czasie zdolne do operacji na tak wielką skalę, zapewniała mu spokój psychiczny niezbędny do zajęcia się bardziej skomplikowanym problemem, jakim było sprzątnięcie Saddamowi trzech głowic nuklearnych.

Odezwał się brzęczyk interkomu. Jeden z czterech adiutantów oznajmił przybycie gości. Flood polecił ich wpuścić. Wstał i zapinając zieloną kurtkę mundurową, zerknął na rzędy kolorowych baretek na szerokiej piersi. Dobrze pamiętał, za co otrzymał te odznaczenia. Wiele z nich przyznano mu za czyny mające mało wspólnego z wojowaniem, ale z kilku był bardzo dumny.

Wpadła mu do głowy dziwna myśl. Ile takich baretek i medali mógłby otrzymać Mitch Rapp, gdyby służył w armii, a nie w CIA? W ciągu swojej długiej służby Flood widział w akcji wielu dzielnych żołnierzy i nie wątpił, że Mitch Rapp byłby jednym z nich. Może nawet najlepszym.

Flood rozpaczliwie chciał wierzyć w zdolności Rappa. Miewał bowiem ostatnio przerażające sny. W jednym z nich widział szerniałe pole bitwy. Miękki złoty piasek był spalony i czarny. Wszędzie leżały ciała żołnierzy, tysiący żołnierzy - zwęglone od wysokiej temperatury w wyniku eksplozji nuklearnej.

Generał Flood nigdy nie spotkał się osobiście z Saddamem. Nawet z nim nie rozmawiał. Ale analizował jego psychikę i czuł, że zna go dobrze. Albo przynajmniej zna ten typ człowieka. Strony książek historycznych zaludniały przecież dziesiątki takich megalomanów. Wydaje się, że każdy kraj musiał znosić rządy kilku z nich.

Generał Flood gotów był zaryzykować swoją karierę, aby się upewnić,

że Saddam nigdy nie będzie miał okazji użyć tej broni. To może być najważniejsza gra w jego życiu. Wysłanie w czasie nalotu dwunastu członków Delta Force do centrum Bagdadu w celu przechwycenia trzech głowic nuklearnych wiązało się z ogromnym ryzykiem. Jeśli misja zakończy się klęską, krytycy nie zostawią na nim suchej nitki i pójdą prosto do prezydenta. Aby zapewnić sobie minimum szans na sukces, należy włączyć do działań Rappa. To człowiek o dotknięciu Midasa. Odnosił sukcesy tam, gdzie inni zawodzili.

Pierwsza do gabinetu weszła Irene Kennedy. Jej niski wzrost doskonale pasował do sprawowanej funkcji. Nie wyróżniała się z tłumu. Co innego Mitch Rapp. W czarnej skórzanej kurtce, z dwudniowym zarostem, wydawał się tu bardzo nie na miejscu. Na szczęście sztabowcy generała Flooda zachowywali się dyskretnie, a szczególnie wobec gości, którzy zjawiali się przed siódmą rano i to w towarzystwie osoby desygnowanej na dyrektora CIA.

Flood wyszedł im na spotkanie na środek dużego pokoju.

- Dzień dobry, Irene.
- Dzień dobry, panie generale. Flood wyciągnął rękę do Rappa.
- Dziękuję, że przyszedłeś, Mitch.
- Drobiazg, panie generale. -> Rapp lubił Flooda, dlatego skłamał. Wolałby zająć się innymi sprawami, ale musiał wysłuchać, co generał ma do powiedzenia.
- Proszę siadać. - Flood wskazał dwie kanapy i kilka krzeseł. Na środku stał mały stolik, a na nim koszyk z bułeczkami, dzbanek z kawą,

śmietanka, kubki i talerzyki. -Sądzę, że jesteś głodny, Mitch. Poczęstuj się. - Flood pochylił się i nalał do kubka kawy. - Irenę?
- - Poproszę. - Kennedy przyjęła kawę, ale zrezygnowała z bułek. - Dziękuję.

Rapp nalał sobie kawy i wziął bułkę.

- Irenę mówiła mi, że ma pan jakiś drobny problem.
- Tak. Jak często bywałeś w Bagdadzie?
 - Przed wojną spędziłem tam dużo czasu, ale po wojnie byłem tam tylko trzy razy.

Generał spojrzał na Kennedy.

- Co on wie?
 - Niestety, nie miałam czasu przedstawić mu sytuacji. Musieliśmy przedyskutować inne sprawy.

Flood nie spytał, czego dotyczyły, ale był trochę zaskoczony, że nie poświęcili ani chwili na bieżący problem.

- Mitch, zostałeś członkiem starannie dobranego zespołu. O tym, co teraz ci powiem, nie wiedzą nawet członkowie Połączonego Komitetu Szefów Sztabów. Prezydent polecił trzymać to w ścisłej tajemnicy.
- Rozumiem.
 - Tydzień temu nasi sojusznicy donieśli nam, że Saddam ma przygotowane trzy głowice nuklearne. - Flood przerwał, żeby Rapp zdał sobie sprawę z powagi problemu. Ku jego zaskoczeniu Rapp się uśmiechnął.
- Wiem.
 - Co wiesz? - zapytał Flood. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że wiedziałeś o tym wcześniej?

- Nie, ale wiedziałem, że prędzej czy później do tego dojdzie. Dlatego nie zgadzałem się z decyzją przerwania działań wojennych w 1991 roku. Powinniśmy wejść do Bagdadu i skończyć z tym gniazdem szaleńców.
- Nie musisz mi tego mówić. Byłem tam z moimi rangersami gotowymi do nocnego ataku na wszystkie mosty, gdy ogłoszono rozejm. W ciągu dwóch dni weszlibyśmy do Bagdadu, ale człowiek, który wtedy zajmował ten gabinet, w swej nieskończonej mądrości przekonał prezydenta Busha do przerwania wojny. Przez niego właśnie teraz muszę się uporać z nieco większym problemem niż inwazja i okupacja Kuwejtu.
- Ile mamy czasu? - zapytał Rapp.

Flood spojrział na Kennedy. Ta zwróciła się do Rappa:

- Informację dostarczył nam Izrael. Mamy nieco więcej niż tydzień na to, aby zabrać stamtąd te głowice, albo oni to zrobią.

Ostatnia wyprawa do Włoch sprawiła, że Izrael wypadł z listy jego ulubionych państw. Rapp już chciał powiedzieć: „Niech sobie zabierają”, ale się powstrzymał- Gdy zostanie sam na sam z Kennedy, podejmie próbę głębszej analizy rzetelności informacji dostarczonych przez izraelski wywiad.

- Zakładam, że wiemy, gdzie znajdują się te głowice?
- Tak. - Generał Flood wstał i podszedł do biurka. Wrócił z teczką zawierającą zdjęcia celu. - Nie mamy tam nikogo, ale zostaliśmy poinformowani, że są ulokowane tutaj. - Wskazał budynek w czerwonym kółku. - To Szpital Al Husajn.

- Mniej więcej przed rokiem - dodała Kennedy - zbudowano pod nim masywny bunkier.

Rapp podniósł wzrok.

- Saddam sądzi, że nigdy tego nie znajdziemy, ale nawet gdybyśmy znaleźli, to i tak nie będziemy mieć dość odwagi, żeby zbombardować szpital.

- Zgadza się - potwierdziła Kennedy.

- Wiesz, gdzie znajduje się ten szpital? - ^ zapytał Flood.

- Tak. - Rapp rzucił zdjęcia na stół. - Byłem tam kiedyś. - Nie lubiąc niczego owijać w bawełnę, dodał: - Co ja mam z tym wspólnego?

Flood usiadł i westchnął.

- Przedstawiliśmy prezydentowi plan zniszczenia bun

kra nowym rodzajem bomb penetrujących.

Rappowi nie podobał się pomysł zniszczenia szpitala. Lubił Irakijczyków. Znaleźli się w pułapce - z jednej strony nieuczciwy dyktator, z drugiej supermocarstwo pałające chęcią zniszczenia go.

- Są jakieś zastrzeżenia co do powodzenia takiej akcji?

- Moi piloci powiedzieli, że mogą prawie gwarantować zniszczenie tej konstrukcji.

- Zatem po co tu jestem?

Rapp znał część odpowiedzi na to pytanie, chciał jednak usłyszeć ją od Flooda. Miał już do czynienia z tego

typu sprawami. Wśliznąć się do kraju, usiąść na dachu i wskazywać cel laserowym sygnalizatorem. Ci chłopcy z lotnictwa nie zawsze są tacy dobrzy, jak się reklamują. Gdy naprawdę chcą w coś trafić, zwykle najpierw umieszczają kogoś, by wskazał im cel.

- Z wielu powodów. Najważniejszy jest ten, że prosił o to twój stary przyjaciel, pułkownik Gray. Najwyraźniej uważa, że doskonale wykonujesz swoją pracę. - Flood się uśmiechnął. - Gdy prezydent usłyszał twoje nazwisko, zaczął nalegać, żebyś wziął udział w tej akcji.
- W jakiej akcji?
 - Zbombardowanie tego celu miałyby pewne negatywne skutki.
- Jak zabicie niewinnych ludzi?
- Mitch, to nie my wepchnęliśmy tę broń pod szpital.
 - Wiem. Tylko podkreślam, że jesteśmy w gównianej sytuacji.
 - Zawsze doceniałem twoją szczerłość i zgadzam się z tobą. Inni też się zgadzają i dlatego opracowaliśmy drugi plan.

Rapp uniósł brwi.

- Łączy się z wciągnięciem do akcji pułkownika Graya?
- Tak. Pułkownik przedstawił śmiały, ale genialny plan.

Flood przystąpił do streszczenia projektu użycia białych limuzyn jako środka transportu oddziału Delta do Bagdadu pod osłoną zmasowanego ostrzału z powietrza. Powiedział też, że prezydent ma nadzieję, iż przynajmniej jedna z głowic zostanie stamtąd zabrana jako dowód, że Saddam pracuje nad bronią masowej zagłady. Cały wywód zakończył słowami:

- Plan jest bardziej ryzykowny od bombardowania, ale ma dwie silne strony.
- Nie zabijemy niewinnych ludzi.
 - Dokładnie. I będziemy mieć pewność, że broń zostanie unieszkodliwiona. Ograniczając się do bombardowania, nie

mielibyśmy nawet pewności, czy naprawdę tam się znajduje.

Rapp usiadł wygodniej i zaczął analizować plan, próbując ocenić szanse jego powodzenia oraz ustalić słabe punkty. Niewątpliwie pułkownik Gray obmyślił świetne roz-

wiązanie. Po dłuższym milczeniu Rapp spojrział na Kennedy i rzekł:

- Zatem nie marnujemy czasu. Na czym ma polegać moja rola?

31

MEDIOLAN, PIĄTEK WIECZÓR

Wróciła do hotelu po północy. Odetchnęła z ulgą, widząc, że Mitch i ta dziwka z piekła rodem wyszli. Rielly nie miała nastroju do konfrontacji. Ale ulga szybko minęła, gdy rozejrzała się po pokoju. Znikły bagaże Mitcha i nigdzie nie było żadnej wiadomości od niego. Żadnego listu przeproszającego. Żadnego wyjaśnienia ani zapewnienia, że ją kocha, że zrobi wszystko, aby się do niej zbliżyć i wszystko naprawić.

Rielly padła zalana łzami na łóżko. Nie rozumiała, co się stało. Jak dwoje tak bardzo w sobie zakochanych ludzi mogło się tak szybko rozstać? Wkrótce łzy zmieniły się w gniew na siebie, że całą winę zwała na Rappa. Ale siebie też za coś winiła - dopuściła do tego, że zakochała się w mężczyźnie, który właśnie od niej odszedł. To było najgłupsze jej posunięcie.

Rielly oczywiście zdawała sobie sprawę, że to ona kazała mu się wynieść z jej życia, ale jeżeli naprawdę ją kochał, powinien to zignorować i udowodnić swą miłość. Nie zrobił tego. Rzucił ją dla tej włoskiej dziwki

i nawet nie zadał sobie trudu, by zostawić notatkę. A wystarczyły zwykłe przeprosiny.

Rielly rano obudziła się w ubraniu. Dręczył ją kac -wynik trzech wódek z tonikiem i trzech kieliszków wina, które połknęła w barze po wybiegnięciu z hotelu. Miała zapuchnięte od płaczu oczy i czuła się rozbita zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Jeszcze przed wzięciem prysznicą wpadła jej do głowy myśl o powrocie do domu: spakować rzeczy i wynieść się z Włoch.

Po kąpieli postanowiła jednak zostać. Nie może tak po prostu wrócić do domu. Przecież to wszystko nie jej wina. Pozostało jeszcze sześć dni wakacji i chce się nimi cieszyć. Ubrała się z silnym postanowieniem zrobienia sobie wspaniałej wycieczki. Spędzi miły dzień w Mediolanie, a potem pojedzie na południe, gdzie jest cieplej, i przez kilka dni będzie się wygrzewać na słońcu.

Optymizm zmienił się jednak w huśtawkę nastrojów. Były łzy i determinacja, tęsknota i gniew, domysły i słuszne oburzenie, krótko mówiąc, Anna Rielly była nieszczęśliwa. Zwiedziła wspaniałą katedrę mediolańską, którą budowano ponad czterysta lat. Budzący podziw kościół mógł poruszyć nawet najbardziej nieczułą duszę. Będąca w zdecydowanie słabszej kondycji Rielly często popłakiwała w jego zakamarkach, pytając Boga, dlaczego tak się stało. Dlaczego dopuściła do tego, że zakochała się w Mitchu Rappie? Na świecie jest przecież tylu mężczyzn! Dlaczego właśnie w nim?

Bóg nie odpowiedział. Po spędzeniu całego ranka w katedrze poszła więc na zakupy. Na jakiś czas pomogło, ale często łapała się na tym, że

oglądając suknie, zastanawia się, czy spodobałyby się Mitchowi. Gdy dzień chylił się ku końcowi, coś sobie wreszcie uświadomiła. Kocha Mitcha Rappa bardziej, niż mogła to sobie nawet wyobrazić.

W ostatecznym akcie odwagi poszła na kolację. Anna Rielly musiała się wyrzec uporu i nie mogła ciągle tkwić z kwaśną miną w pokoju hotelowym. Portier zarezerwował jej stolik w Leo, miłej restauracji położonej blisko hotelu, słynącej ze świeżych ryb i swobodnej atmosfery. Rielly włożyła prosty strój wieczorowy. Nie chciała wprawdzie samotnie siedzieć w pokoju, ale nie chciała też zwracać na siebie uwagi mężczyzn.

Zajęła stolik przy oknie dla dwóch osób. Zamówiła kieliszek foradori pinot noir i zaczęła przeglądać menu. Po pięciu minutach do jej stolika podszedł mężczyzna. Zapytał, czy może się dosiąść, ale odmówiła. Zamówiła penne z krewetkami, grillowane małże i drugi kieliszek wina. Jedzenie było wyśmienite. W połowie posiłku do stolika podszedł drugi, mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna, w eleganckim czarnym garniturze z krawatem. Rielly była już zła i chciała powiedzieć, żeby spływał, ale wtedy wydarzyło się coś niezwykłego.

- Dobry wieczór, panno Rielly. Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale ktoś, kogo oboje znamy, prosił mnie o przekazanie wiadomości.

Anna poczuła żywsze bicie serca.

- Mitch?
- Nie. - Mężczyzna ostrożnie rozejrzał się po sali. - Doktor Kennedy. - Wyciągnął rękę i przedstawił się. - Tino Nanne. Pracuję w tutejszym konsulacie.
- Konsulacie Stanów Zjednoczonych.

- Właśnie.

Rielly ściszyła głos.

- Czy z Mitchem wszystko w porządku?

- Nie wiem, panno Rielly. Proszono mnie tylko o przekazanie wiadomości.

- Jakiej? - zapytała zaciekawiona Anna.

- Doktor Kennedy sądzi, że powinna pani wrócić do Stanów.

To momentalnie wytrąciło Annę z równowagi.

- O czym pan mówi?

- Nic więcej nie wiem. Miałem tylko przekazać wiadomość. Doktor Kennedy z nie znanych mi powodów uważa, że powinna pani natychmiast wracać do Stanów.

- Pracuje pan dla CIA?

Mężczyzna skrzywił się i rozejrzał.

- Pracuję dla Departamentu Stanu i proszę uważać na

to, co pani mówi:

Rielly, reporterka z krwi i kości, przywykła do zadawania kłopotliwych pytań, kiedy miała na to ochotę.

- Myślę, że wie pan więcej, niż mi pan powiedział.

- Wiem dużo, to fakt - mężczyzna wstał - ale jeśli chodzi o panią, to nie znam przyczyn, dla których powinna pani wrócić do Stanów. - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął wizytówkę. - Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę do mnie zatelefonować. - Położył wizytówkę na stoliku i wyszedł z restauracji.

- TEL AWIW, PIĄTEK WIECZÓR

Ben Freidman pracowicie stukał w klawiaturę komputera. Młodzi pracownicy Mosadu nazywali to surfowaniem po sieci, on - poszukiwaniem. Freidman nie wyglądał normalnie nad klawiaturą. Jego łysa głowa, szerokie ramiona i grube ręce bardziej pasowały do ciężkiej pracy fizycznej. Tłuste paluchy uderzały w klawisze. Wolno, ale skutecznie. W ustach tkwił papieros z krzywym słupkiem popiołu gotowego spaść lada moment. Freidman w ostatniej chwili wyjął papierosa z ust i położył go na obrzeżu popielniczki. Mięsiłą łapą chwycił filiżankę i wypił resztki gęstej kawy.

- Adriana! - krzyknął imię asystentki, nie odrywając oczu od ekranu. - Proszę jeszcze kawy!

Freidman był zaniepokojony. Minął cały dzień od akcji Rosenthala. Miał wysłać e-mail o wynikach operacji i na razie cisza. Teraz sprawdzał elektroniczne wydania mediolańskich gazet, szukając tego, co niewątpliwie byłoby sensacją. Ale niczego jeszcze nie znalazł.

Może Rosenthal już ją zabił i bez niczyjej pomocy pozbył się ciała. Freidman wydał mu takie polecenie. Ale może miał jakieś kłopoty i powrót, do Izraela zajął mu więcej czasu, niż się obaj spodziewali. Wszystko było możliwe. Z każdą godziną jednak malały szanse, że sprawy potoczyły się zgodnie z planem. Teraz pozostało Freidmanowi tylko zachować spokój, choć miał przeczucie, że Donatella nie poddała się bez walki.

Szkolił ją i powinien o tym wiedzieć. Wszystko przez tę cholerną forszę, którą senator Clark machał mu przed nosem. Powinien stanowczo powiedzieć mu, żeby się nie martwił. Doskonale wiedział przecież, że Donatella nie puści pary z ust. Ale Freidman nie mógł się okłamywać. Tu

nie szło tylko o pieniądze. Donatella była nieobliczalna i wiadomo było, że prędzej czy później będzie musiał się jej pozbyć. Znała zbyt wiele tajemnic, a z jej temperamentem nie wiadomo było, kiedy eksploduje, pociągając go za sobą.

Nie, Freidman podjął decyzję. Nie mylił się, nasyłając na nią swoich ludzi. Natomiast pomylił się, wysyłając ich tylko tyłu. Zaczął rozmyślać nad wyjaśnieniem. Rosenthal nie mógł zniknąć na wiele dni bez wiedzy pewnych osób.

Dlaczego wysłał go do Włoch? To pierwsze i zasadnicze pytanie, na które musi odpowiedzieć. Był przekonany, że wymyśli odpowiednio wiarygodne' kłamstwo, ale jeżeli Donatella ciągle żyje i zacznie sprawiać kłopoty, to i on znajdzie się w tarapatach. Freidman chwycił telefon i wybrał numer wewnętrzny.

W chwilę później odebrała kobieta.

- Przyjdź zaraz do mojego gabinetu - polecił.

Odłożył słuchawkę i zastanawiał się, co jej powiedzieć. Nie powie za dużo, zdecydował. Powinna polecieć do Mediolanu i trochę się tam rozejrzeć. Miał nadzieję, że zanim tam wyląduje, Rosenthal skontaktuje się z nim i doniesie o zakończeniu misji. Freidman wiedział, że szanse jej powodzenia wahają się między nikłymi i żadnymi.

Kolumna złożona z dwóch rządowych sedanów i limuzyny podjechała pod rampę dostawczą Hart Senate Office Building. Zwykle używano wejścia głównego, ale dziś roilo się tam od przedstawicieli mediów. Gdy doktor Irene Kennedy wysiadła z limuzyny, jej ochrona natychmiast wprowadziła ją do budynku i dalej na pierwsze piętro. Tu czekał na nich urzędnik Senackiej Komisji do spraw Wywiadu. Zaprowadził Kennedy do jednego z prywatnych pokoiów dla świadków na zapleczu sali dwieście szesnaście i zostawił samą. Osoby towarzyszące Kennedy pozostały na zewnątrz. Kennedy chciała przez kilka minut pobyć sama, zanim zacznie się ten zatwierdzający cyrk.

W przylegającej do pokoju łazience umyła ręce i poprawiła makijaż. Przygotowywała się na niezwykle ciężką chwilę, wiedząc, że będzie ona transmitowana w telewizji. Dotknęła warg, upudrowała nos i czoło. Patrząc w lustro, powiedziała do siebie:

- Bez względu na wszystko zachowaj spokój i nie bój się mówić „nie wiem”.

Wyszła z łazienki i usiadła przy małym stole konferencyjnym. Znała wszystkich członków komisji. Nieskończenie wiele razy siedziała przed nimi, odpowiadając na pytania. Dzisiejsze przesłuchanie będzie inne z jednego powodu - obecności mediów. W chwili gdy zajęła miejsce, rozległo się pukanie do drzwi.

Senator Clark wszedł z szerokim uśmiechem.

- Jak się miewasz, Irene? - Clark zamknął za sobą drzwi.

Wstała.

- Dobrze, panie przewodniczący.
- Irene, ile razy prosiłem cię, żebyś mówiła mi Hank, gdy jesteśmy sami? - Położył rękę na jej ramieniu. - Nigdy nie mogłem przekonać twojego szefa, niech Bóg ma w opiece jego duszę, żeby mówił mi po imieniu, ale odpuściłem mu, ponieważ był starszy o dwadzieścia lat.
- Clark mrugnął do Kennedy. - Tobie brak takiego argumentu, więc od teraz „Hank”, gdy będziemy sami, dobrze?

Kennedy skinęła głową.

- Dobrze, Hank.
 - Wspaniale. Jesteś zdenerwowana? Mogę ci w czymś pomóc, zanim tam wejdziemy?
 - Nie. Wszystko w porządku, dziękuję.
- Clark, patrząc z góry na drobną Kennedy, poczuł ukłucie żalu. Szczerze ją lubił. Bardzo źle, że będzie musiała przez to przejść.
- Nie sędzę, żeby sprawy przybrały zły obrót. Większość tych ludzi darzy cię sympatią i z poparciem prezydenta oraz moim masz pewne głosy za. Możesz usłyszeć kilka trudnych pytań od Schumana, ale nie przejmuj się. Lubi popisywać się przed kamerami.
 - Wiem. Spotkałam go wiele razy.
 - Będę trzymał go w ryzach razem z tymi, którzy zechcą się wychylić, ale ostatecznie to od ciebie zależy, jak sobie z nimi poradzisz.
 - Wiem. Robiłam to już przedtem, Hank.
 - - Ale nigdy przed kamerami i w obecności **reporterów**. -

Teraz już się nie uśmiechał. - Waż przed tym tłumem każ de słowo. Jedno potknięcie i leżysz.

Kennedy nie okazała strachu.

- Wiem.
 - No, masz tylko jeden występ tego popołudnia, więc jeżeli jesteś gotowa, wchodzimy. - Clark wskazał kciukiem drzwi.

- Jestem gotowa.

Posłał jej następny ciepły uśmiech i uściskał.

- Powodzenia. - Uwolnił ją i dodał: - Idź i twórz hi

storię.

Kennedy wyszła za nim z pokoju.

Korytarz zapchany był ludźmi. Gdy ukazał się Clark z Kennedy, zapadło milczenie. Senator wzrostem górował nad wszystkimi, nawet nad członkami ochrony Kennedy. Zbliżał się do następnych drzwi i Kennedy weszła za nim do środka. Ominęła podium zlokalizowane z przodu pokoju przesłuchań. Clark wskazał jej miejsce przy stole dla świadków, a sam usiadł w środku ustawionego w kształcie litery U rzędu krzeseł przeznaczonych dla senatorów.

Galerie wypełniali reporterzy i ekipy telewizyjne. Ten dzień niewątpliwie zapisze się w historii. Zaczynało się przesłuchanie zatwierdzające pierwszą kobietę na stanowisko szefa w CIA.

Przesłuchanie nie było nadawane na żywo przez żadną sieć lub główną stację kablową, poza C-SPAN, ale każda stacja była tu obecna, aby przygotować materiał mogący być hitem wieczornych wiadomości.

Gdy Kennedy zbliżyła się do stołu dla świadków, została niemal oślepiona błyskami fleszy. Swoich doradców zostawiła w Langley. Ludzie z biura prawnego i służb informacyjnych chcieli siedzieć obok niej przy stole albo przynajmniej znaleźć się w pierwszym rzędzie. Chcieli być tu obecni, aby w razie czego pomóc opanować sytuację. Kennedy nie

wyraziła na to zgody. Uważała, że powinna być sama. Nie chciała żadnych fotografii osób szepczących jej do ucha, jakby sama nie mogła odpowiadać na pytania. Od dawna już zastanawiała się, co się może wydarzyć w tym dniu. Ciągle nie była pewna, ale nie mogła się powstrzymać od fantazjowania. Ponieważ w ostatnich dwudziestu latach zmieniał się klimat polityczny w Waszyngtonie, zaczęła sobie zdawać sprawę, że za jej życia stało się możliwe, aby na czele CIA stanęła kobieta. Było to nawet nieuniknione. Nikt z kierujących agencją w pierwszych pięćdziesięciu latach jej działalności nawet przez chwilę o tym nie myślał. Z takimi wpływowymi osobami, jak Allen Dulles i William Casey, Kennedy mogłaby najwyżej wypić kawę, a może wymienić kilka listów. To byli ludzie z innej epoki.

Kennedy patrzyła na senatorów siedzących na obitych skórą krzesłach z wysokimi oparciami. Przypominali sędziów. Szesnastu mężczyzn, żadnej kobiety i wszyscy, poza jednym, milionerzy. Wcale się tym nie przejmowała. Prawie ze wszystkimi była w dobrych stosunkach, kilku znała nieco gorzej, ale nie należeli oni do tych, którzy mogli stwarzać problemy. Paru będzie chciało spróbować się popisać, ale poradzi sobie z nimi. Większość darzyła ją odwzajemnionym szacunkiem. Nic osobistego - przyrzekła sobie. To sprawa państwowa.

Fotoreporterzy siedzieli na podłodze, między stołem dla świadków i podium, ciągle robiąc zdjęcia. Gdy senator spojrział w dół, Kennedy odwzajemniła uśmiech i skinęła głową, dając znak, że jest gotowa. To, że ma sojuszników w komisji, dawało jej poczucie komfortu. Ale z jakiegoś powodu w pierwszej chwili poczuła strach. W końcu minęło dosłownie kilka dni od objęcia przez nią funkcji dyrektora najpotężniejszej na

świecie agencji szpiegowskiej, a ona nie może się pozbyć wrażenia, że szykuje się coś niedobrego. Obecnie prowadziła dwie poważne sprawy i nie powinna o nich rozmawiać z członkami komisji. Wkrótce dowiedzą się o problemie z Irakiem, ale prezydent stanowczo domagał się, żeby wszyscy na razie zachowali spokój. Może przesłuchanie nie zostanie odroczone i już dziś poradzi sobie z tymi problemami. A może będzie tu siedzieć cały dzień i odpowiadać na nie kończący się strumień pytań, w większości dotyczących spraw błahych lub służących partykularnym interesom.

Senator Clark stuknął młotkiem, wzywając zebranych do spokoju, i zbliżywszy usta do mikrofonu, powitał Kennedy. Po kilku uwagach formalnych wezwał względnie młoda panią dyrektor do podniesienia ręki i powtarzania za nim. Kennedy uniosła prawą rękę i znowu błysnęły flesze. Czas dla fotoreporterów. Kennedy wiedziała, że chcą mieć zdjęcia na wypadek, gdyby przyłapano ją na kłamstwie. Gdyby tak się stało, natychmiast zamieszczą je pod nagłówkiem: „Dyrektor CIA kłamie przed Kongresem”. Kennedy powtórzyła słowa przyrzeczenia, skupiając równocześnie uwagę - mogła zostać przyłapana na kłamstwie w tylu miejscach i tylu sprawach...

PARK WOLF TRAP, WIRGINIA, PIĄTEK WIECZÓR

Stevekenowi było zimno. Miał wrażenie, że zamarza mu tyłek. Gdyby był nieco rozsądniejszy, włożyłby długie kalesony; ale oczywiście nie był. To pierwsza naprawdę zimna noc i nie przewidział tego. Ręce bez rękawiczek wetknął głęboko w kieszenie płaszcza. Dobrze, że wczoraj przypiął do płaszcza ciepłą podpinkę. Temperatura spadła do zera i

wkrótce zapewne chwyci mróz. Było bardzo ciemno, ciemniej niż poprzedniej nocy. Steveken znajdował się w parku od blisko trzydziestu minut, niecierpliwie czekając na zjawienie się sędziego. Od wczorajszego spotkania z Brownem trochę pogrzebał, ale nie zajmował się karierą Kennedy, tylko sędziego.

Kilku jego starych przyjaciół z biura bardzo chętnie mówiło. Nie chcąc kłamać, powiedział im, że ktoś bierze pod uwagę zatrudnienie Browna i chce go tylko sprawdzić. Bardzo łatwo uzyskał pełen obraz i nie był on odległy od tego, jaki wyrobił sobie na podstawie plotek. Brown nie był lubiany w FBI. Uważano go za zbyt liberalnego sędziego, który lubił oddalać sprawy z powodu technicznych błacho-stek. Steveken zwrócił się nawet do byłego prokuratora federalnego, który powiedział, że Brown był najbardziej zadufanym w sobie i uwielbiającym perory sędzią, z jakim miał do czynienia. Nie były to pochlebne opinie, ale Steveken musiał przyznać, że sondując ludzi ze środowisk nieprzychylnych Brownowi, mógł się spodziewać takiej oceny liberalnego sędziego. Z dziewięciu osób, z jakimi rozma-

wiał, jedna go zaskoczyła - emerytowany sędzia pracujący z Brownem w sądzie apelacyjnym. Był on jeszcze bardziej liberalny od Browna i powiedział Stevekenowi, że dla kariery Brown zaprzedałby duszę diabłu.

Steveken jeszcze nie zdecydował, jaki użytek zrobić z uzyskanych informacji. Jeżeli senator Clark poprosi go, zapewne przekaże mu to, czego się dowiedział, ale jakoś nie miał ochoty mówić o tym Rudinowi. Kongresman z Connecticut nie budził w nim najmniejszej sympatii.

Dla odmiany obejrzał fragment wystąpienia Kennedy w C-SPAN, które zrobiło na nim wrażenie. Wydawała się osobą bardzo sympatyczną i

doskonale sobie radziła. Było też jasne, że nikt jej nie sprawdzał. Steveken wyobrażał sobie, że senator Clark popiera tylko ludzi kompetentnych. Dał słowo prezydentowi i bez niezbitych dowodów nie mogło paść żadne poważne oskarżenie pod adresem Kennedy.

Nie był całkiem pewien, jak wykorzystać to, co mu Rudin powiedział o Stansfieldzie i Kennedy. Ten głupi staruch nie miał cienia dowodu, ale Steveken wierzył, że CIA było zdolne do wszystkiego, o co ten je podejrzewał. Wchodziło przecież w układy z wieloma podejrzanymi typami, których w zwykłych okolicznościach nie każdy chciałby spotkać. Tyle że CIA nie miało i nie mogło działać w zwykłych sytuacjach. Musiało współpracować z dealerami narkotykowymi, handlarzami bronią, dyktatorami, despotami, terrorystami, bandytami i całą resztą rynsztoka. A kiedy robi się interesy z takimi ludźmi, czasem trzeba się ubabrać w gównie.

Z powodu irytującej osobowości Rudina Steveken znalazł się w niezręcznej sytuacji - zaczynał świetnie rozumieć położenie Kennedy i CIA. Chciał nawet, żeby Brown nie zjawił się dziś w parku. Miał nadzieję, że spotka się ze starym na lunchu i powie mu, że nic nie ma, a potem zmusi go do uregulowania rachunku. W mroźnych ciemnościach zaśmiał się pod nosem, wyobrażając sobie minę Rudina.

Steveken zauważył coś kątem oka. Spojrzał w tym kierunku i dostrzegł gorejący krążek. Mignął i znikł. Po chwili wrócił, jak świetlik torujący drogę w ciemnościach. Zbliżył się. Steveken usłyszał człapanie psa po asfalcie i równocześnie poczuł zapach tytoniu fajkowego. Wczoraj Brown też palił fajkę.

Brown zatrzymał się dwa metry od niego i Stevekenowi wydawało się,

że dostrzega cień zadowolenia na jego twarzy.

- Dobry wieczór, panie sędzio.
- Jak się pan miewa, panie Steveken?
- Zimno mi. Spóźnił się pan.
- Musiałem coś dla pana przygotować. Steveken oparł się pokusie wyciągnięcia ręki.
- Co pan ma?

Brown zawahał się i rzekł:

- Pozwoli pan, że udzielię panu pewnej rady. - Sięgnął do kieszeni i wyjął dużą kopertę. - Proszę nie otwierać, tylko wręczyć ją kongresmanowi Rudinowi i powiedzieć, że nie wie pan, co jest w środku. - Brown podał Stevekenowi kopertę i podkreślił: - W żadnym wypadku nie wolno mu zdradzić, skąd pan ją ma. - Brown patrzył Stevekenowi prosto w oczy. - Człowiek, który dostarczył mi tę informację, zniknął przed dwoma tygodniami. Sądzę, że nie żyje.

Brown nie czekał na odpowiedź. Ruszając dalej ścieżką, dodał:

- W pańskim interesie leży jak najszybsze dostarczenie koperty. Kongresman Rudin będzie wiedział, co z tym zrobić.

Steveken, zwykle bardzo wygadany, teraz milczał z rozchyłonymi ustami. Po prostu stał z kopertą w ręce i patrzył, jak Brown znika w ciemnościach. Gdy sędzia znalazł się poza zasięgiem głosu, Steveken wymamrotał:

- Dziękuję za nic.

Czuł, że nim manipulują, ale zbyt wiele był winien Clarkowi, aby mógł coś z tym zrobić.

33

BIAŁY DOM, PIĄTEK WIECZÓR

Gdy nad Waszyngtonem zapadła noc, do Białego Domu zbliżyła się limuzyna. Rapp nie lubił tu przyjeżdżać; zbyt wiele kamer, zbyt wielu reporterów i zbyt wielu ludzi chętnych do rozmowy. Poza tym obecnie bardziej przypominał kogoś, kto szykuje zamach na prezydenta, niż kogoś, kto chce go odwiedzić. Jeszcze nie postanowił, czy weźmie udział w misji, ale znał się na kamuflażu. Akcja mogła się zacząć lada moment, więc nie mógł się golić, przynajmniej do chwili, gdy będzie już wiedział, gdzie wypadnie mu się kryć. Gdyby znalazł się na pustyni i musiał wcielić w nomada, musiałby wyhodować bujną zmierzwioną brodę. Ta, którą obecnie nosił, była już dość gęsta. Ubrany był w czarną skórzaną kurtkę, ale wysilił się nieco, żeby choć trochę przypominać agenta Secret Service, i wcisnął na głowę niebieską baseballówkę.

Gdy limuzyna zbliżała się do południowo-zachodniej bramy Białego Domu, Kennedy pochyliła się do Rappa i rzekła:

- Zauważyłeś, że prezydent chodzi, gdy jest podenerwowany?

Rapp się zamyślił. Wydawało mu się, że prezydent w czasie spotkań zwykle stał i *mało* chodził.

- Zauważyłem, że przeważnie stoi.
- Tak, stoi z powodu bólu pleców - odparła niczym lekarz stawiający

diagnozę. - Ale wtedy nie jest zdenerwowany. Zdenerwowany jest wtedy, gdy zaczyna chodzić.

Kennedy często odwiedzała Biały Dom i limuzyna minęła ciężkie wrota bez sprawdzania pasażerów. Zanim auto się zatrzymało, Rapp zapytał:

- Myślisz, że zacznie chodzić?

Kennedy przewróciła oczami i odpowiedziała:

- Myślę, że to go wkurzy jak mało co.

Limuzyna zatrzymała się przed markizą na West Executive Drive.

- Dobrze, że spotykamy się w Gabinetce Sytuacyjnym.

Tam może sobie krzyczeć i nikt go nie usłyszy.

Rapp pozwolił Kennedy wysiąść pierwszej i ruszył zaraz za nią, nasuwając daszek czapki na czoło. W drzwiach z wyciągniętą ręką czekał na nich Jack Warch, agent specjalny Secret Service dowodzący ochroną prezydenta. Rapp wyjął pistolet z kabury pod pachą, sprawdził, czy jest zabezpieczony i oddał go Warchowi. Warch podziękował i cała trójka weszła do holu.

- Śliczna czapeczka - zauważył Warch z uśmiechem.
 - Zpracowałem na nią - Rapp dał agentowi kuksańca w brzuch - chroniąc twoją dupę.
- Warch się zaśmiał.
- Nie mówię, że to nieprawda.
 - Słuchaj no, kiedy nabierzesz do mnie dość zaufania, żeby pozwolić mi nosić tu broń? - spytał Rapp.
- Taka procedura, Mitch. Wiesz o tym.
 - Wiem, przypominam tylko, że wystrzeliłem tu więcej naboju niż cały twój personel razem wzięty.

Warch milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się nad tą niedawną historią z zakładnikami. Bez Rappa nie poszłoby tak łatwo.

- Pozwól, że pomówię o tym z prezydentem. Zobaczmy, czy zrobi wyjątek.

Skierowali się w rejon Gabinetu Sytuacyjnego i zatrzymali się przed masywnymi pancernymi drzwiami z zamontowaną nad nimi kamerą. Warch wybrał odpowiednie cyfry na zamku szyfrowym i dźwiękochłonne drzwi otworzyły się, wpuszczając ich do pokoju konferencyjnego.

- Czeka na was.

Kennedy i Rapp zostali sami z prezydentem siedzącym u szczytu stołu tyłem do drzwi. Natychmiast wstał i chwycił rękę Rappa.

- Mitch, dziękuję za przybycie. Doceniam to. Irene mówiła mi, że podróżowałaś.
- Tak.

Rapp nie miał ochoty mówić o Włoszech, a przynajmniej nie w kontekście prywatnej wycieczki. Zajął miejsce z dala od prezydenta, Kennedy usiadła między nimi. Ha-yes zapytał, czy chcą się czegoś napić. Oboje odmówili.

Prezydent opadł na obity skórą fotel. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Cienie pod oczami, włosy trochę wzburzone. Podwinął rękawy białej koszuli i rozpiął kołnierzyk. Wyglądało na to, że przechodzi kryzys. Chwycił okulary do czytania i zamachał nimi.

- Irene, słyszałem, że powiodło ci się dziś na Kapitolu.
- Mam wrażenie, że poszło gładko.
- To dobrze. - Prezydent zwrócił się do Rappa: — Generał Flood powiedział mi, że dziś rano rozmawiał z tobą.

- Zgadza się.
- Co o tym myślisz?
- Myślę, że mamy duży problem.
 - Z pewnością - odparł prezydent - i dlatego chcę włączyć ciebie. -
Głównodowodzący jedynym supermocarstwem na świecie wpatrywał się w jedną ze swoich najlepszych broni ofensywnych.

Rapp wiedział, co odpowie. Dzień minął mu na analizie trzech powtarzających się myśli: Anna, Donatella i Bagdad. Stale powracały. Przystawał się zajmować jedną, nadchodziła druga, i tak w kółko. Podświadomie zaczynał już budować mur wokół sprawy Anny. Tworzył mechanizm obronny. Podkopane zostało najsilniejsze do tej pory uczucie miłości. Zaczął się zastanawiać nad lojalnością Anny i jej odpowiedzialnością. Może nie była mu przeznaczona? Nawet nie dała mu szansy na usprawiedliwienie się. Im dłużej Rapp myślał o jej nagłym wyjściu z pokoju, tym bardziej stawała się mu obca. Jeżeli nie rozumie wagi tego, co on robi, to lepiej, żeby się rozstali.

Przynajmniej do takiej dość wątpliwej konkluzji doszedł, gdy myślał o tym po raz ostatni. Było to przed kilkoma godzinami. Wrócił do swojego domu nad zatoką, żeby zabrać trochę rzeczy, i natychmiast utonął we wspomnieniach o Annie. Każde miejsce mu ją przypominało. Było to zbyt bolesne, szybko więc zabrał rzeczy i wyszedł. Nie chciał przyjąć do wiadomości prawdy: uczyniłby wszystko, żeby tylko do niego wróciła. Był zbyt zajęty budowaniem wewnętrznej ochrony, by móc się uporać z pilniejszymi problemami.

— Naprawdę potrzebujemy twojej pomocy, Mitch - prosił prezydent.

Rapp prawie zdecydował. Z wielu powodów nie chciał bombardowania szpitala. Pacjentów i lekarzy należy za wszelką cenę ocalić i uniknąć skutków propagandowych bombardowania. Wszystkie grupy terrorystyczne z Bliskiego Wschodu po czymś takim zawsze odnotowują przyływ gotówki i rekrutów. Stany Zjednoczone uznawane są za źródło wszelkiego zła i nie miałyby znaczenia, że ulokowanie broni nuklearnej pod szpitalem było nikczemnością, bo winą za to Arabowie obarczyliby USA. Byliby wściekli na Stany za jego zniszczenie. Zrównanie lecznicy z ziemią wywołałoby nowe problemy w przyszłości. Widział już takie sytuacje.

Takie argumenty mógł przedstawić prezydentowi i Kennedy. Miał wprowadzić jeszcze jeden, ale o nim nie powinien wspominać. Zrozumie go tylko wojskowy. I pułkownik Gray bez wątpienia go znał. Wyzwanie, dreszcz emocji płynący z uczestniczenia w tego rodzaju misji, którego tak rzadko się doświadcza. Taka operacja mogła przejść do historii. Będą o niej pisać przez wiele lat jako o jednym z najbardziej spektakularnych sukcesów Sił Specjalnych albo jednej z największych kompromitacji. Byłoby to niczym zdobycie Mount Everestu tajnych operacji. Dla Rappa rezygnacja z takiej wyprawy była nie do pomyślenia.

Spojrzał na prezydenta Hayeśa i rzekł:

- Panie prezydencie, może pan na mnie liczyć.

Prezydent odetchnął z ulgą.

- Nie potrafię wyrazić, jak wielka to dla mnie pociecha, że weźmiesz w tym udział.
- Zrobię, co w mojej mocy.
- Jestem tego pewien. Masz jakiś pomysł?

- Kilka, ale najpierw chcę je przedyskutować z pułkownikiem Grayem.
- To jasne.
- Panie prezydencie - wtrąciła Kennedy. - Musimy z panem omówić coś jeszcze.

Hayes wywnioskował z jej tonu, że to coś poważnego. Rozsiadł się w fotelu i złożył dłonie.

- Słucham.
- Wiemy, kto zabił Petera Camerona.

Prezydent natychmiast pochylił się do przodu.

- Kto?
- Nazywa się Donatella Rahn. Pracowała dla Mosadu, ale od pewnego czasu działa jako niezależny kontrahent.

Prezydent przechylił głowę.

- Powiedziałaś, że pracowała dla Mosadu.
- Tak, panie prezydencie.
- Dlaczego, u diabła, była agentka Mosadu zabiła byłego agenta CIA i obywatela Stanów Zjednoczonych?
- Nie wiedziała, kim był - wtrącił Rapp. - Została wynajęta, przekazano jej pieniądze i podano podstawowe informacje o celu. Nie było wśród nich wiadomości, że Cameron pracował dla CIA.

- Kto ją wynajął?

Rapp nie czuł się kompetentny odpowiedzieć na to pytanie i spojrzał na swoją szefową. Kennedy potarła nos wierzchem dłoni i odpowiedziała:

- Tego nie wiemy, ale wiemy, kto nią kierował. - Szybko spuściła oczy, aby zebrać siły na przyjęcie wybuchu gniewu.
- Kto?

- Ben Freidman.

- Co?! - W głosie prezydenta słuchać było czyste obrzydzenie.

- Ktoś, nie wiemy kto, wynajął do tego Bena Freidmana i podał namiar na Petera Camerona. Szybka i dobrze płatna robota. Freidman z kolei zlecił ją Donatelli.

- I udało się jej! - Prezydent wstał i zaczął chodzić po pokoju. - Jak, u diabła, zdobyliście tę informację?

- Mitch już pracował z Donatella.

Prezydent zatrzymał się i odwrócił na pięcie. Patrząc na Rappa, zapytał:

- Pracowałeś z tą kobietą? Co to, u diabła, znaczy?

- Gdy była w Mosadzie, panie prezydencie, prowadziliśmy wiele operacji przeciwko Hesbollahowi. - Rapp nie ulegał szybko emocjom i nie dawał się tak łatwo sprowokować, nawet prezydentowi. -Ufam jej i szanuję ją, panie prezydencie.

Słowa Rappa trochę uspokoiły Hayesa.

- Dlaczego Ben Freidman dał się wciągnąć w coś takiego? - prezydent zwrócił się do Kennedy.

- Tego nie jestem pewna, panie prezydencie.

Zanim skończyła to zdanie, prezydent Hayes znowu podjął spacer po pokoju.

- Dlaczego mam nieodparte wrażenie, że Izrael wtrąca się w sprawy tego kraju?

- Nie jestem tego pewna, panie prezydencie - odparła Kennedy ostrożnie. - Rozmawialiśmy z Donatella i ona utrzymuje...

- Co to znaczy „rozmawialiśmy”? Mamy ją?

- Tak. Jest tu, w Stanach. Mitch zabrał ją z Włoch, gdzie mieszkała.

- Co? - Prezydent poczerwieniał ze złości.

Rapp doszedł do wniosku, że czas się włączyć:

- Panie prezydencie, podejrzewaliśmy, że Donatella miała coś wspólnego ze śmiercią Camerona, więc poleciałem do Włoch, by z nią porozmawiać. W czasie mojej wizyty ktoś usiłował ją zabić. Jak się okazało, przestała być użyteczna dla pułkownika Freidmana.

Hayes przystanął i wbił palec wskazujący w blat stołu.

- Irene, czy zamach na życie Mitcha w Niemczech i zamordowanie Petera Camerona mają coś wspólnego z tym gównem w Bagdadzie?
- Nie sądzę, ale sprawdzę - odparła Kennedy po chwili wahania.

Teraz twarz Hayesa była naprawdę czerwona.

- A co byś powiedziała, gdybym zatelefonował do premiera Goldberga?

Kennedy pokręciła głową.

- Myślę, że to nie jest dobry pomysł.
- A ja myślę, że dobry - warknął Hayes. - Nie podoba mi się, gdy nasi sojusznicy angażują się w zabijanie Amerykanów. - Przerwał i dodał po chwili: - Szczególnie gdy odbywa się to niecały kilometr od Białego Domu.

Kennedy uznała, że czas na większą stanowczość.

- Nie chciałabym, aby mnie pan źle zrozumiał. Ben Freidman zna odpowiedzi na wiele trudnych pytań, ale sądzę, że sprawa Bagdadu nie ma z nim nic wspólnego. Zdjęcia satelitarne pokazują, że pod szpitalem zbudowano bunkier. Informacje z Korei Północnej potwierdziły ist

nienie współpracy, a poza tym wiemy, że Saddam już od pewnego czasu pracował nad osiągnięciem tego celu. Jeżeli zaś chodzi o inne kwestie, to Donatella powiedziała nam, że Freidman dał jej ten kontrakt, gdy już opuściła Mosad. Freidman zgarnął trzecią część zapłaty i wszystko szło przez niego. Wynagrodzenie Donatelli wyniosło pół miliona dolarów. Twierdzi, że Izrael nigdy nie zapłaciłby jej takiej sumy.

- Zatem kto tyle zapłacił?
- Nie wiem, panie prezydencie. Sfrustrowany Hayes zamachał rękoma,
- Wspaniale. Masz jakiś pomysł, jak to rozwikłać?
 - Tak, mam. W odpowiednim czasie zapytamy o to Bena Freidmana.
- I spodziewasz się, że odpowie?
 - Tak. Sądzę, że tak, panie prezydencie. I spodziewam się, że powie nam dużo więcej.

Hayes patrzył *na* nią przez chwilę. W tym momencie bardzo przypominała mu Thomasa Stansfielda.

- Możesz wtajemniczyć mnie w swój plan?
 - Nie. - Kennedy pokręciła głową. - Ma pan dość kłopotów z sytuacją w Bagdadzie. We właściwym czasie odegra pan dużą rolę w procesie wydobywania prawdy z Bena Freidmana. Proszę mi zaufać.

Następnego dnia wcześnie rano Rapp wszedł na pokład learjeta CIA, aby odbyć względnie krótki lot z Dystryktu Kolumbii do Fayetteville w Karolinie Północnej. Zabrał z sobą dwa duże worki i torbę z rzeczami osobistymi. Worki zawierały broń i amunicję, których mógł potrzebować w akcji, oraz kilka niezbędnych przedmiotów. Nie planował powrotu do Waszyngtonu przed zakończeniem misji. W bagażu osobistym zaś znajdowała się niespodzianka, którą dopieszczał od wielu lat.

Gdy samolot wystartował, Rapp wyjrzał przez małe okno i po raz ostatni pomyślał o Annie. Postanowił, że tak będzie lepiej. Potem musi się całkowicie skupić na zadaniu i mieć klarowny umysł do chwili, gdy broń nuklearna zostanie zniszczona i zabrana z Iraku. Myślenie o Annie byłoby zbyt bolesne. Zastanawiał się, gdzie teraz jest. Wraca do Stanów? A może opala się na tarasie jakiejś wspaniałej willi w Amalfi? Wyobrażał sobie, że leży obok niej zjedną ręką pod jej głową, a drugą złożoną na jej biodrze. Ich nogi splatają się, jej cudowne zielone oczy wpatrują się w niego z czułością, jej wspaniałe usta rozchylają się w błogim uśmiechu. W tym marzeniu była tak szczęśliwa, jaką widział ją wiele razy przedtem. Dlaczego nie mogło tak pozostać na zawsze?

Jego nadzieje na normalne życie i tęsknota za nim legły w gruzach. Był głupcem, łudząc się, że marzenia te mogą się ziścić. Zabójcy nie żenią się z takimi kobietami jak Anna. Dzielili ich przepaść. Kiedy on próbował ustalić, kto wynajął Petera Camerona, żeby go zabił, ją tylko obchodziło, z kim sypiał, zanim się poznali. To byłoby nawet zabawne, gdyby nie było tak smutne. Doszedł do wniosku, że Anna jest egoistką, albo co najmniej egocentryczką. Nie rozumiała jego obowiązków i poświęcenia, a jeżeli

tego nie pojmowała, to mieli poważny problem. Z pewnością była mu wdzięczna za to, że uchronił ją od gwałtu i ocalił życie. Jego zajęcie jej nie przeszkadzało, dopóki wiązało się z jej ocaleniem, ale w innym kontekście było przerażające i nie do zaakceptowania. I w końcu to wszystko stało się tak sztubackie, jak zazdrość bywa żalosna. Może Anna nie była kobietą dla niego.

Rapp zmagał się z myślami. Anna zawsze mówiła mu, że to los sprawił, iż spotkali się tej strasznej nocy w Białym Domu. Może to i był los, może to on również sprawił, że rozstali się w Mediolanie przed oficjalnymi zaręczynami. Do pewnego stopnia Rapp naprawdę wierzył w przeznaczenie albo przynajmniej w to, że w życiu nic nie dzieje się **bez przyczyny**. Gdyby **naprawdę mieli być razem, czekałaby na jego powrót**.

Pułkownik Gray czekał już na Rappa, gdy samolot wylądował w należącej do Fortu Bragg Bazie Sił Lotniczych Pope. Miał na sobie zielony połowy mundur, берет i wypolerowane czarne spadochroniarskie buty. Mimo jesiennego chłodu podwinął rękawy do łokci i prezentował opalone, muskularne przedramiona. W odróżnieniu od większości swoich ludzi Gray nosił krótko obcięte włosy, ponieważ nie musiał mieć fryzury niezbędnej do działania w terenie po cywilnemu. Jeśli chodzi o fryzury, to członkowie Delta Force mogli liczyć na specjalne ulgi w regulaminie. W czasie akcji musieli przecież stapiać się z otoczeniem.

Gray skończył już czterdzieści pięć lat, ale ciągle był w wyśmienitej formie. Pięć razy w tygodniu biegał na dystansie ośmiu kilometrów i razem z rekrutami bez przerwy ćwiczył na torze z przeszkodami. Aby nie

wyjść z wprawy, codziennie oddawał dwieście strzałów na strzelnicach Delt. Gray wierzył w dowodzenie poprzez dawanie przykładu. Należy być otwartym, nie okazywać wyższości i wyzbyć się protekcjonalności.

Gdy Rapp opuścił pokład samolotu, Gray pospieszył mu z pomocą przy wynoszeniu bagażu. Wrzucili go na tył humvee pułkownika i wsiedli.

- Dziękuję za przybycie, Mitch. Naprawdę doceniam to. Trochę się zmartwiłem, gdy usłyszałem, że chcesz się wycofać.

Rapp nie podjął tematu i aby nie zagłębiać się w szczegóły dotyczące swego życia osobistego, po prostu oznajmił:

- Starzeję się, pułkowniku.
- Diabła tam. Będziesz stary w moim wieku. Ciągle jeszcze jesteś szczeniakiem.

Rapp przypuszczał, że Gray skończył czterdziestkę, czyli normalnie uchodziłby za względnie młodego, ale według standardów Sił Specjalnych był już wiekowy.

- Co mamy w rozkładzie na dziś rano?

Gray walczył z kierownicą, jakby prowadził miejski autobus. Skręcił za róg i wcisnął mocniej pedał gazu.

- Najpierw chcę ci coś pokazać, a potem zabiorę cię na odprawę.

Minutę później byli już w ogromnym hangarze, gdzie ładowano sprzęt do równie ogromnego C-141 Starliftera. Pułkownik zahamował i obaj wyskoczyli z samochodu. W pobliżu ogona samolotu stały przykryte szarymi plandekami trzy pojazdy. Gray podszedł do jednego z nich i ściągnął osłonę. Ukazał się biały mercedes klasy E.

- Co o tym myślisz?

Rapp się uśmiechnął.

- Bez obrazy, ale armia nie ma zwyczaju wyrzucać pie
niędzy. Jak pan je zdobył?

Gray otworzył drzwi od strony kierowcy.

- Oddaliśmy wiele przysług DEA. Ćwiczyliśmy ich chłopców ze SWAT i pomagaliśmy w szkoleniu taktycznym.
- I...?
- Powiedziałem, żeby dali mi znać, jeżeli znajdą jakieś osobowe mercedesy. Tanio sprzedali.
- Z konfiskaty narkotykowej?
- Tak. Ale to tylko połowa kosztów. Są opancerzone. Należały do jakiegoś szalonego kolumbijskiego dealera złapanego w Miami. Białe, czarne i srebrne. Wszystkie przemalowaliśmy na białe. - Gray wskazał na drzwi auta. - Wsiadaj. Chcę ci coś pokazać.

Rapp usiadł na przednim fotelu i spojrzał na deskę rozdzielczą.

Pułkownik Gray wskazał umieszczony pod radiem ekran komputera.

- Auto wyposażono w GPS. Wprowadziliśmy też pewne innowacje dostarczone przez NRO i zaprogramowaliśmy system na wszystkie ulice Bagdadu oraz główne i boczne drogi wiodące do miasta.

Rapp skinął głową.

- Mają to wszystkie auta?
- Tak.
- Doskonale. Nigdy więcej Mogadyszu.

Rapp nawiązał do operacji w Somalii z 1993 roku, która zakończyła się

tragicznie dla oddziału Sił Specjalnych Stanów Zjednoczonych. Po pojmaniu kilku ważnych pomocników głównego watażki żołnierze pod gradem kul zgubili się w piekielnym labiryncie uliczek Trzeciego Świata. Mimo pomocy helikopterów wskazujących kierunek i miejsca ulicznych blokad konwój nie zdołał do zmroku opuścić miasta. Operacja kosztowała życie osiemnastu żołnierzy, a dziesiątki ciężko raniono. Zabito wprawdzie ponad czterystu Somalijczyków, ale w Waszyngtonie uznano, że akcja zakończyła się klęską.

- Wszystkie szyby są kuloodporne, opony samouszczelniające i zadbaliśmy też o otwierane dachy, aby w czasie jazdy z tylnego siedzenia można było prowadzić ogień z cięższego sprzętu.

Rapp obejrzał pojazd z podziwem. Znał odpowiedź, ale mimo to zapytał:

- Dlaczego nie zdecydował się pan na limuzyny?
 - Myśleliśmy o tym i nawet zmarnowaliśmy trochę czasu, rozważając ten pomysł, ale to technicznie bardzo skomplikowałoby misję. Gdybyśmy użyli limuzyn, to albo musielibyśmy przekroczyć granicę drogą lądową, co stwarzałoby problemy, jakich wolelibyśmy uniknąć, albo przetransportować je C-130 i zrzucić na paletach ze spadochronami. Istniała też opcja wylądowania na terenie Iraku i wylądowania ich, co nie jest miłą perspektywą. Jeden z ludzi badający zdjęcia zwiadu lotniczego zauważył, że nie wszystkie konwoje składają się z limuzyn. Czasem tworzą je zwykłe auta osobowe. Przeważnie mercedesy klasy E.
- Najczęściej używa ich jego syn Udaj - dodał Rapp.

- Ten sadystyczny sukinsyn?
- Tak.

- Skąd wiesz? Rapp się uśmiechnął.
- Mam swoje źródła.
 - Z pewnością. - Gray przez chwile bacznie obserwował Rappa. - A to źle czy dobrze, że używa ich Udaj?
 - Och - odparł Rapp - myślę, że dobrze.
 - Wiesz coś, czego ja nie wiem?
 - Porozmawiamy po odprawie. Teraz chciałbym usłyszeć resztę.
 - Wybierając zwykłe osobówki, bardzo wszystko uprościliśmy. Zmieszczą się do chinooków, których używamy w takich głębokich rajdach. Możemy nimi latać poniżej zasięgu radarów i lądować praktycznie wszędzie.
 - Doskonale, **jestem pod** wrażeniem, pułkowniku.
 - No, **mam** nadzieję, że **po** odprawie jeszcze ciągle będziesz.

Kompleks wojskowy zwany SOT (Special Operations Training Facility) krył się wśród wysokich sosen Karoliny Północnej. Zbudowano go w celu przeprowadzania ćwiczeń i szkolenia oddziałów specjalnych. Kompleks o dwunastu kilometrach obwodu był otoczony podwójnym płotem zwieńczonym drutem kolczastym. Teren między płotami naszpikowano czujnikami mikrofalowymi i kamerami. Za nimi wysoki wał ziemny zasłaniał widok ćwiczących w tym ośrodku wzniesionym za sto milionów

dolarów. To ci żołnierze mieli w przyszłości prowadzić operacje w terenie. SOT jest domem Delta Force, elitarnych jednostki antyterrorystycznej Sił Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych.

SOT stanowi część Fortu Bragg, ogromnego poligonu wojskowego, będącego siedzibą Centrum Operacji Specjalnych im. Johna F. Kennedy'ego i Dowództwa Sił Specjalnych. Jest też siedzibą Zielonych Beretów. To właśnie od Zielonych Beretów Delta Force pozyskuje ludzi, tych najlepszych z najlepszych. W SOT ściśle przestrzegano zasad bezpieczeństwa. Rzadko pozwalano wejść do niego cywilowi, ale dla Mitcha Rappa pułkownik Gray, oficer dowodzący Delta Force, chętnie uczynił wyjątek.

Wartownicy przy bramie zsalutowali na widok Graya. Nie trudzili się sprawdzaniem dokumentów pasażera hum-vee. Po przejechaniu niecałego kilometra pojazd ostro zahamował przed budynkiem dowództwa Delta Force. Rapp zabrał swoje rzeczy, a po drodze Gray wyznał mu:

- Zazdroszczę wam, młodym. To będzie operacja ko-
ronująca wszystkie operacje.

Rapp uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Nie musiał. Gray miał rację. Zamiast tego zapytał:

- Co mamy w programie?
 - Zebranie całego zespołu. Chcę ci przedstawić pełen obraz sytuacji, wskażę kilka luk w planie, a potem spróbujemy ustalić najlepszy sposób koordynacji naszych dzia-
- łań. Wylot planujemy o czternastej, zatem pozostało mało czasu.

Rapp poszedł za nim do pokoju konferencyjnego. Rzucił worek na krzesło i usiadł obok Graya u szczytu stołu. Gray przedstawił Rappowi

dowódcę zespołu:

- Mitch, to jest major Berg. Rapp wyciągnął rękę.
- Miło mi, majorze.

Mężczyzna wyglądał na trzydziestokilkulatka, mógł więc brać udział w wojnie w Zatoce.

- Mnie również. Pułkownik bardzo pana chwalił.

Rapp przyjął komplement skinieniem głowy i usiadł, żeby wysłuchać pułkownika.

- To pan Kruse - oznajmił Gray dwunastu osobom siedzącym przy stole. Wszyscy wiedzieli, że to fałszywe nazwisko, ale nikt nie zamierzał pytać, jak brzmi prawdziwe. Gray kontynuował: - Spędził dużo czasu na Bliskim Wschodzie. Prawdopodobnie więcej niż my wszyscy razem wzięci. - Kolejno spojrzał każdemu w oczy. - Pracowałem już z nim i sprawdziłem jego umiejętności w akcji. Poczyniłem starania na najwyższym szczeblu, aby zyskać jego pomoc.

Mężczyźni byli pod wrażeniem. Dowódca rzadko kogoś tak komplementował. Rapp przyjrzał się obecnym. Wyraźnie zostali starannie dobrani. Nie zobaczył pary niebieskich oczu, nie było nawet jasnobrązowych, wszyscy mieli oczy ciemnobrązowe, czarne, lśniące włosy, gęste czarne wąsy. Kilku nosiło też brody. Wszyscy mieli ciemną karnację i podobnie jak Rapp po zastosowaniu pokaźnej ilości kremu samoopalającego mogli uchodzić za Arabów.

Rapp nie pytał o ich umiejętności językowe. Nie sądził, żeby mówili po arabsku tak dobrze jak on, ale z pewnością wszyscy posługiwali się tym językiem płynnie. Wielu z nich mogło też znać farsi i kurdyjski. Byli

specjalnie szkoleni do przeprowadzania akcji na Bliskim Wschodzie. Rapp wiedział, jak zorganizowany jest taki zespół. Dwunastu ludzi: jeden oficer, w tym wypadku major Berg, reszta podoficerowie, najczęściej sierżanci. W Siłach Specjalnych nazywano ich grupami specjalnymi Alpha. W Delta Force mówiono o nich po prostu „grupy”. Wszyscy służyli w armii co najmniej dziesięć lat. W skład takiej grupy wchodziło dwóch specjalistów od uzbrojenia, potrafiących celnie strzelać i obsługiwać każdy pistolet lub karabin; dwóch saperów, będących specami od materiałów wybuchowych; dwóch lekarzy mogących pracować we wszystkich izbach przyjęć w całym kraju; dwóch specjalistów od łączności, wyposażonych w sprzęt pozwalający nawiązać satelitarny kontakt z dowództwem z każdego miejsca na ziemi; spec od spraw wywiadu i logistik odpowiedzialny za zaopatrzenie w czasie akcji. Ostatnim członkiem oddziału był starszy sierżant grupy.

W swoich dziedzinach byli najlepsi, ale w Delta Force to nie wystarczyło. Wszyscy w tej jednostce byli przygotowani do wykonania zadania każdego z członków grupy prawie tak dobrze jak on sam. Jeżeli ktoś padł w czasie operacji, ktoś inny musiał go zastąpić i dokończyć to, do czego był wyznaczony. Gąszcz akronimów i czysto wojskowych określeń często zasłania fakt, że ci ludzie nie tylko mieli wysokie techniczne umiejętności, ale byli też doskonałymi maszynami do zabijania. Lekarze nie byli wyłącznie lekarzami. Byli również snajperami, podobnie zresztą jak zbrojmistrze czy łącznościowcy. Wszystkich szkolono głównie w sztuce strzelania. Każdy członek oddziału, łącznie z dowódcą, każdego tygodnia oddawał dwa tysiące strzałów, a rok ma przecież pięćdziesiąt dwa tygodnie. Nie bez powodu utrzymywano ich w

stałej gotowości - mogli być w każdej chwili wysłani do akcji.

Pułkownik Gray przedstawił członków grupy, a potem zapytał Rappa:

- Znam dobrze generała Flooda i zakładam, że przedstawił ci zarys misji. Czy masz jakieś pytania?
- Przyjmuję, że oddział będzie nosił mundury SGR?

Specjalna Gwardia Republikańska to elitarna jednostka w łonie Gwardii Republikańskiej, mająca chronić Saddama, jego rodzinę i pałace. Składała się z mężczyzn pochodzących z Tikritu, Baigi Aś-Śargat - miast zamieszkałych przez klany od lat oddane Saddamowi.

Tak. A pod nimi mundury armii Stanów Zjednoczonych, na wypadek gdyby dostali się do niewoli.

- To dobrze. Generał Flood powiedział mi co nieco o moim zadaniu. - Rapp przerwał, zastanawiając się nad własną propozycją. - Z czasem doszliśmy do podobnego wniosku, że trudno będzie przerzucić mnie do Iraku bez ryzyka wywołania jakiegoś alarmu. Nie mam tam bezpiecznej bazy, z której mógłbym działać, a kilka kontaktów, jakie mamy w Bagdadzie, nie wystarczy w wypadku tak ryzykownej operacji. - Rapp się skrzywił. - To okazja, z której może skorzystać każdy, by zmienić front i zostać nowym najlepszym przyjacielem Saddama. A gdyby tak się stało, wtedy moglibyście się spodziewać naprawdę gorącego powitania na lądowisku.

- Zatem nie możesz dokonać rozpoznania celu? - spytał nieco zaskoczony Gray.
- Och, myślę, że mogę. Ale mogę też przy tej okazji wpaść, co zagroziłoby całej operacji. W każdym razie nie sądzę, aby warto było ryzykować. Myślę, że pańscy ludzie sami znakomicie dadzą sobie

radę w Bagdadzie.

- Ale my nawet nie wiemy, jak wyglądają drzwi wejściowe do tego obiektu - zaprotestował jeden z inżynierów.
- Takiej informacji i tak bym nie dostarczył. Jeżeli są ukryte, jak przewidujemy, to może będą tam zwykłe drzwi od ulicy, a prawdziwe ulokowano przy schodach w dół. Nie ma możliwości, żebym bez wzbudzenia podejrzeń zebrał dla was w Bagdadzie takie informacje.
- Zatem - zaczął pułkownik - jeżeli nie zamierzałeś nam pomóc, to dlaczego, u diabła, leciałeś tu taki kawał drogi?
- Ponieważ mam coś innego do zaoferowania - odpowiedział tajemniczo Rapp. Spojrzał kolejno na wszystkich mężczyzn i zapytał:
- Kto budzi największy lęk w całym Iraku?

• Rzecz jasna Saddam - odparł po chwili namysłu Gray.

- A kto jest drugi na liście? - kontynuował Rapp.

Pułkownik wymienił spojrzenia ze swoimi ludźmi. Milczeli. Wreszcie jeden z sierżantów odpowiedział:

• Syn Saddama, Udaj.

- Zgadza się. - Rapp wskazał na sierżanta. - Chociaż niektórzy uważają, że zajął już pierwsze miejsce. Zawsze był sadystą, ale w 1996 roku dokonano nieudanego zamachu na jego życie. Trafiło go dziesięć kul, ale przeżył. Od tej chwili stał się prawdziwym sukinsynem. Nikt w je-

- go otoczeniu nie może czuć się bezpieczny. Torturował przyjaciół.

Wyrywał zęby, obcinał palce, wydłubywał oczy, pętał służących... Nawet zabił swoich szwagrów.

- Saddama Kamela i Husajna Kamela - wtrącił sierżant.

• Tak. Udają boją się wszyscy, włącznie z jego rodziną.

- Ale co to ma wspólnego z naszą akcją? - zdziwił się Gray.
- Podobnie jak pan, pułkowniku, i ja w wolnej chwili zrobiłem pewien eksperyment. A przy okazji, pański plan transportu zespołu trzema zwykłymi mercedesami jest genialny.
- Dziękuję, ale nie mogę przyjąć tej pochwały. To zasługa sierżanta Abdo. - Gray wskazał mężczyznę, który odpowiadał na pytania Rappa.

Rapp spojrział na niego z uznaniem.

- Dobra robota, sierżancie.
- Dziękuję. - Abdo położył ręce na stole i zapytał Rappa: - O co chodzi z tym Udajem?
- Nie tylko Saddam podróżuje po Iraku białymi samochodami. Jego synowie, Udaj i Kusaj, też nimi jeżdżą. Udaj najczęściej korzysta ze zwykłego białego mercedesa. Bardzo lubi okazywać swoją wyższość, a sedan jest dla niego sposobem odgródzenia się od starszych członków rodziny, jeżdżących limuzynami. W każdym razie samo podjechanie białymi samochodami pod boczne drzwi szpitala wcale nie gwarantuje, że wpuszczą nas do środka.
- Ale gdyby w którymś z nich siedział Udaj - wtrącił sierżant Abdo - wówczas otworzyliby drzwi bez problemu.
- Z pewnością - odparł Rapp z uśmiechem. Zaczynał lubić tego sierżanta Abdo. - Udaj stał się w pewnym sensie moją obsesją. Studiowałem nagrania wideo z jego rzadkich publicznych występów, przechwytywane dzięki satelicie rozmowy telefoniczne - prawie wszystkie materiały, jakie mamy na jego temat. Znam jego chód, z utykaniem na prawą nogę. Znam sposób mówienia, znam jego gesty-

kulację i wiem, gdzie ma blizny. Umiem też naprawdę dobrze go naśladować.

- 35

AELINGTON, WIRGINIA, SOBOTA RANO

Steveken nie spał dobrze. To przez tę kopertę. Po spotkaniu z Brownem wrócił do swojego domu w mieście. Nie poszedł zaraz do Rudina. Położył kopertę na stoliku i otworzył schłodzoną butelkę piwa Anchor Steam. Żadnej telewizji, żadnej muzyki, tylko on i koperta z tajemnicami. Gdyby Brown nie wydusił z siebie tej niepotrzebnej rady, istniała duża szansa, że Steveken po prostu przekazałby kopertę dalej i na tym poprzestał. Ale ten arogant pobudził jego umysł do działania. Gdyby Brown nie był tak pewny siebie, doszedłby do wniosku, że takie ostrzeżenie może jedynie zachęcić do sprawdzenia zawartości przesyłki.

Przy trzeciej butelce piwa Steveken wrócił do punktu wyjścia i doszedł do wniosku, że sędzia mógł zastosować wobec niego sprytny chwyt psychologiczny. Poza tym kto przy zdrowych zmysłach mówi byłemu agentowi, aby czegoś nie robił? Agent federalny za wszelką cenę chce coś odkryć, rozwikłać jakąś tajemnicę. Gdy rozpoczęły się wiadomości o jedenastej, Steveken stwierdził, że zawartość koperty nie jest warta poznania. Była to tego rodzaju historia, która mogła się zakończyć wezwaniem do sądu. A otrzymanie takiego wezwania nie wpływa dobrze na interesy. Istniało też ryzyko, że sprawy mogą się potoczyć bardzo brzydko. Istniała realna szansa, że ktoś byłby skłonny zabić, aby tylko utrzymać zawarte w kopercie informacje w tajemnicy, zatem lepiej nie wiedzieć, co w niej jest, i pozostać przy życiu.

Przez moment zastanawiał się, czy nie zajrzeć do koperty i nie przełożyć jej zawartości do innej koperty, ale postanowił tego nie robić. Istniała też opcja wyrzucenia jej do najbliższego śmietnika, a Rudinowi by powiedział, że niczego nie dostał. Nie przejmował się ani Brownem, ani Rudinem. Czuł jednak respekt wobec Clarka i cenił jego profesjonalizm, i to właśnie zdecydowało, że nie wyrzucił koperty. Ostatecznie o wpół do dwunastej zatelefo-

nował do kongresmana Rudina i zakomunikował, że chce się z nim spotkać i coś mu przekazać. Rudin odpowiedział, żeby natychmiast przyszedł do niego, do domu przy Kapitolu. Steveken oświadczył, iż spotka się z nim jutro o siódmej rano w Silver Diner na bulwarze Wilsona w Arlington. Przewidział, że Rudin zechce się z nim spotkać gdzieś blisko swojego domu, i ośmielony trzema butelkami piwa oraz rosnącą niechęcią do kongresmana powtórzył nazwę lokalu, czas spotkania i powiesił słuchawkę.

Następnego dnia zjawił się w umówionym miejscu o szóstej trzydzieści, z egzemplarzem „Post” i kopertą. Skierował się do stolika w kącie sali i usiadł twarzą do wejścia. Miał na sobie dżinsy, niebieską kurtkę i baseballówkę. W lokalu poza nim było tylko ośmiu gości i to młodszych od niego o dobre dwadzieścia lat. Gdy pojawiły się kelnerki, zamówił kawę, sok pomarańczowy, parówki i naleśniki z borówkami.

Wypił sok i przejrzał gazetę. U dołu pierwszej strony widniał nagłówek: „Rozpoczęto przesłuchanie w sprawie historycznego zatwierdzenia”. Pod nim zamieszczono zdjęcie doktor Kennedy z podniesioną prawą ręką. Artykuł był typowy. Pisano, że Kennedy wstąpiła do CIA po tym, jak jej rodzice zginęli w 1983 roku podczas zamachu bombowego na ambasadę

USA w Bejrucie. Całkowicie poświęciła się pracy w agencji i opisano jej karierę aż do objęcia stanowiska dyrektora Centrum Antyterrorystycznego. Wspomniano też, że ma duże poparcie na Kapitolu, ze znamienym wyjątkiem kongresmana Alberta Rudina z Connecticut, przewodniczącego Senackiej Komisji do spraw Wywiadu. Na szczęście dla Kennedy autor, artykułu podkreślił, że Rudin nie wypowiedział się na temat tego, czy zostanie zatwierdzona.

Podano parówki i naleśniki. Steveken zaczął jeść. Chciał skończyć przed przyjściem Rudina. Doszedł do wniosku, że prawdopodobnie Kennedy jest rzeczywiście przyzwoitą osobą. Utrata rodziców z powodu działań jakiegoś szaleńca zamachowca to doprawdy nic zabawnego. Spojrzał na kopertę i znowu się zastanowił, co może w sobie kryć. Rozmyślania przerwał mu jakiś nieznośny dźwięk. Uniósł wzrok i ujrzał Rudina stojącego przed ladą. Wyjął białą chusteczkę, wetknął w nią swój nochal i głośno smarknął. Na ten odgłos wszyscy odwrócili się z zaciekawieniem. Steveken pokręcił głową i przed włożeniem do ust następnej porcji polał naleśniki syropem. Nie uczynił żadnego wysiłku, żeby zwrócić na siebie uwagę przybyłego. Rudin zjawił się dziesięć minut przed czasem, a Steveken nie skończył jeszcze jedzenia.

Ale Rudin znalazł go wśród dziewięciu gości lokalu. Usiadł i rozpiął kurtkę. Nie siląc się na powitanie, od razu zapytał:

- No więc, co pan ma dla mnie? Steveken odpowiedział pytaniem:
- Dlaczego pan tak bardzo nienawidzi Irene Kennedy? Rudin spojrzał zaskoczony.

- O czym pan mówi?

- O Kennedy... o doktor Irenę Kennedy. - Wyciągnął rękę i pokazał Rudinowi zdjęcie w gazecie. - Dlaczego pan jej tak nienawidzi?

- Wczoraj wieczorem powiedział pan, że ma coś dla mnie - odpowiedział Rudin, chłodno patrząc na młodego mężczyznę. - Proszę mi to dać. Jestem bardzo zajęty.

Do stolika zbliżała się kelnerka, więc Steveken przywołał ją ruchem ręki. Wskazał Rudina.

- Co pan zamówi?

- Nic.

- Bzdura. - Patrząc na kelnerkę, Steveken powiedział: - Proszę mu podać to samo co mnie.

- Ależ ja nie...

Steveken uciszył go machnięciem ręki. Powtórzył zamówienie i odprawił kelnerkę. Unosząc brwi, spojrzał na Rudina i rzekł:

- Nie bardzo się pan tym przejmuje, prawda?

- Czym? - zdziwił się Rudin.

- Zachowaniem dyskrecji. Wchodzi pan i smarka w chustkę tak głośno, że wszyscy podrywają się na krzesłach i gapią na pana. Siada pan i niczego nie zamawia. A jeżeli nie chce pan zamówić, to po co pan, u diabła, tu przyszedł? - Steveken odczekał chwilę, dając czas

Rudinowi, żeby wystękał coś głupiego, po czym dodał: - To poufna informacja. - Podniósł kopertę i zobaczył, że oczy Rudina rozszerzają się do wielkości spodków. - Otrząśnij się pan,

- rozejrzyj dookoła i zacznij się zachowywać jak należy. - Steveken

starał się zachować powagę, ale w duszy rżał ze śmiechu.

Rudin nie mógł oderwać oczu od cennego pakunku.

- Przepraszam - wymamrotał i wyciągnął rękę po ko-
pertę.

Steveken odłożył ją na krzesło obok i rzekł:

- Pod stołem, durniu. Ludzie patrzą.
- Och... - Rudin schował rękę pod stół.
 - Jeszcze nie - stwierdził Steveken. - Najpierw dwie sprawy.
- O co chodzi?

Steveken nadział na widelec kiełbaskę i uniósł do ust. Popił łykiem
kawę i zapytał:

- Dlaczego pan tak bardzo nienawidzi Kennedy?

Rudin najwyraźniej nie chciał odpowiedzieć na to pytanie, ale było też
oczywiste, że zamierza tak grać, aby w końcu dostać to, czego chce.

- Bo kłamię, a ja nie lubię, jak urzędnicy publiczni kłamią przed komisjami Kongresu. To bardzo źle dla demokracji.
- Ma pan na myśli „republiki”.
- Co?
- Nieważne. - Steveken przełknął dwa kęsy naleśników i otarł usta.
Patrząc na Rudina, podjął ostateczną decyzję. - Pragnę wyrazić się jasno. Nie wiem, co jest w tej kopercie. Nie zaglądałem, bo nie chcę być w to zamieszany. - Wskazał Rudinowi swoją kurtkę i dodał: - Na wszelki wypadek nagrywam nasze spotkanie. Cokolwiek pan ukrywa w rękawie, nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Dostałem to od Jonathana Browna. Jeżeli ma pan jakieś pytania, proszę je kierować do niego.

Steveken wsunął kopertę pod stół i Rudin łapczywie ją chwycił. Steveken obserwował, jak kongresman rozrywa ją i wyciąga jej zawartość. W rzeczywistości niczego nie nagrywał, ale Rudin musiał w to uwierzyć. Chciał, żeby Brown był przekonany, że prowadzi czystą grę. Jeżeli Rudin chce zniszczyć Kennedy, musi pokazać swoje prawdziwe oblicze.

Kelnerka przyniosła Rudinowi sok pomarańczowy i kawę.

- Pańskie zamówienie będzie za minutę.

Gdy odeszła, Steveken wstał i chwycił gazetę. Rudin spojrzał na niego i zapytał:

- Dokąd pan idzie?
- Jestem człowiekiem zapracowanym, Albercie - wskazał na swoje oczy, potem na Rudina. - Będę miał na ciebie oko. - Ruszył do wyjścia.

Rudin zawołał za nim:

- Hej! Zapomniał pan zostawić pieniądze! Steveken uśmiechnął się i mruknął do siebie:
- Nie, nie zapomniałem.

36

TEL AWIW, SOBOTA PO POŁUDNIU

Gorycz - to prawdopodobnie najwłaściwsze słowo, oddające nastrój Bena Freidmana. Właśnie pożegnał się z żoną i był w drodze do biura. Wysłał do Mediolanu zaufaną osobę, aby zbadała przyczyny zniknięcia Rosenthala i jego ludzi. Agentka już wróciła. Niestety, mało miała do po-

wiedzenia. Gdy opancerzony mercedes jechał przedmieściami Ramat Aviv, Freidman patrzył przez okno na morze i zastanawiał się, jak, na Boga, mogło zniknąć trzech doskonale wyszkolonych agentów. Freidman wiedział jednak, że problem nie polegał na tym, iż oni zniknęli. Istniało tylko jedno logiczne wyjaśnienie tej sprawy: zabiła ich Donatella. A to zdecydowanie bardziej dręczyło szefa Mosadu. Zniknięcie trzech agentów musi wywołać lawinę pytań.

Mercedes oddalił się od morza i zaczął się wspinać na wzgórze, gdzie wznosił się sześciopiętrowy betonowy budynek ze sterzącą na dachu anteną. Kierowca dał znać przez radio i wystające z jezdni blokady opadły. Samochód

w chmurze pyłu przemknął obok strażników stojących przy bramie i uzbrojonych w uzi.

Gdy Freidman dotarł do swojego biura, zastał w nim agentkę, którą wysłał do Mediolanu. Czekala w sekretariacie. Freidman minął ją, tocząc się jak czołg ku linii frontu. W milczeniu machnął jej ręką, żeby szła za nim. Po wejściu do swego sanktuarium zamknął drzwi i usiadł za biurkiem. Agentka stała przed nim na baczność. Freidman wyrwał szufladę z biurka i wyjął z niej paczkę papierosów i zapalniczkę. Zapalił i poczęstował papierosem kobietę. Odmówiła, kręcąc głową.

- A więc powiedz mi, Taniu, co masz dla mnie?

Postawa i zachowanie kobiety wskazywały na wyszkolenie wojskowe. Była niska, o ostrych rysach, bez makijażu.

- W naszym tajnym mieszkaniu znalazłam różne rzeczy, ale poza tym nie znalazłam po nich żadnych śladów.
- Co z kobietą, którą poleciłem ci sprawdzić? - Freidman pogładził

pulchną dłonią łysą głowę.

- Odwiedziłam jej biuro i powiedziano mi, że jest nieobecna, więc udałam, że byłyśmy przyjaciółkami. Właśnie przejeżdżam przez Mediolan i chcę się zatrzymać tu na jeden dzień. Odegrałam rolę bardzo rozczarowanej i zapytałam, czy mogę zostawić jej wiadomość. Przy okazji zapytałam też, czy wiedzą, gdzie przebywa. Nie wiedzieli. Zatelefonowała do nich niespodzianie w piątek i powiedziała, że musi wziąć urlop w sprawach osobistych.

Freidman zaciągnął się papierosem, próbując wszystko razem poskładać. Rosenthal miał ją zlikwidować w czwartek. Uciekła po zabiciu Rosenthala, Yanty oraz Sunber-ga. Do diabła, ona jest naprawdę dobra. Freidman zbeształ siebie za to, że nie wysłał większego oddziału, albo lepiej, że nie zrobił tego osobiście. Donatella mu ufała. Mógłby się do niej zbliżyć, uśpić czujność, a potem wyeliminować. Podjął pochopną decyzję i teraz sprawa się skomplikowała.

- Sprawdziłaś jej mieszkanie?

- Tak. Czyste. Nic niezwykłego. Freidman zamyślił się i w końcu powiedział:
- Dobrze. Dziękuję za wszystko.
- Nie ma sprawy. Jestem wolna?
- Tak, ale chcę, żebyś zatrzymała to w tajemnicy.
- Tak, proszę pana. - Kobieta odwróciła się i wyszła. Freidman okręcił się na fotelu i spojrzał na błękitną

powierzchnię Morza Śródziemnego. Tak czy inaczej, będzie oficjalne śledztwo i lepiej, żeby prowadził je osobiście. Musi zrobić z Donatelli psychopatkę, która zdradziła Izrael, działając na własną rękę. Uda się do

CIA z przeprosinami za to, że Donatella zabiła Petera Camerona. Powie, że wymknęła się spod kontroli i działała samodzielnie. Tak — mruknął do siebie - taką drogę należy obrać. Aby uczynić opowieść bardziej wiarygodną, zawsze należy mieszać fakty z fikcją.

CONGRESSIONAL COUNTRY CLUB, DYSTRYKT KOLUMBII, SOBOTA RANO

Gdy w sobotę przebywał w mieście, wybierał jedno z dwóch: golfa albo masaż. Skoro temperatura spadła poniżej zera, postanowił wziąć masaż. Krótco po dziewiątej, jadąc swym jaguarem XK8 coupe długim podjazdem do klubu, dostrzegł przy pierwszym stołku trzy odważne dusze w naciągniętych na uszy wełnianych czapkach. Trzy dowody uzależniającej natury golfa.

Hank Clark kierował się w życiu dwiema zasadami albo filozofiami. Pierwsza to nie dopuścić do tego, by kierowała nim jakaś rzecz lub osoba; druga to osiągnąć cel za wszelką cenę. Mógłby przyjąć purytański styl życia i wyrzec się wszelkich słabości, ale byłoby to zbyt łatwe. Clark wiedział, jak alkohol zniszczył jego matkę. Wiedział, co może zrobić z człowiekiem, z rodziną, ale zamiast uciekać, postanowił walczyć. Skłonny do współzawodnictwa, nigdy się nie poddawał, odrzucając wszelką łatwiznę i samozadowolenie. Należy żyć pełnią życia i nie marnować czasu na krycie się w kącie, aby uniknąć wszelkiego zła, jakie może nas spotkać i wtrącić do piekieł.

Clark nie unikał problemów, ale jeżeli już się czymś zajął, robił to w sposób przemyślany. Na wszystkich naradach zachowywał się jak

napastnik drużyny piłkarskiej.

Nauczył się kontrolować emocje i dokładnie analizować, czego chce oponent. Tak jak piłkarz obmyśla plan przechytrzenia przeciwnika i przypuszczenia ataku, Clark nauczył się też jasno myśleć i sugerował przeciwnikowi, że może się spodziewać tylko jednego, potem dorzucał coś jeszcze. Był mistrzem w zaskakiwaniu ludzi, którzy nie mieli pojęcia, że maczał palce w ich upadku.

Leżąc twarzą w dół na łóżku do masażu, zastanawiał się, jak pokonać te ostatnie kilka stopni. Był już tak blisko, ale teraz musiał użyć podstępów. Musiał pozwolić, aby wypadki toczyły się same. Nic na siłę. Koła były w ruchu, toczyła się gra i on miał w niej przewagę. Teraz Albert Rudin musiał się wysilić, aby utracić nominację Kennedy, i opierając się na rozmowie z zastępcą dyrektora Brownem, mógł się wkrótce spodziewać wiadomości od Rudina. Koperta została dostarczona w nocy i Clark wiedział, że Steveken go nie zawiódł. Teraz Rudin kładzie na niej swoje brudne łapy i zapewne ocenia koronne dowody. Myśląc o tym, Clark zapadł w drzemkę. Gdzieś w tle słyszał szum wody i czuł, jak Lou masuje mu nogi. Życie jest piękne.

Drzwi otwarły się i odbiły z trzaskiem od ściany. Na tle światła padającego z szatni dla mężczyzn w relatywnie ciemnym pokoju masażu numer dwa ukazała się sylwetka Alberta Rudina.

- Hank! Jesteś tu?!

Clark obudził się z głębokiego snu, zaskoczony tym nagłym wtargnięciem. Przez chwilę mrugał, uniósł się na łokciu i warknął:

- Co jest, do cholery?

- Hank, muszę z tobą natychmiast porozmawiać! - Rudin wszedł do pokoju.
- Albercie, co ty, u diabła, tu robisz? - zapytał Clark, przecierając oczy.
- Muszę z tobą porozmawiać sam na sam! Mam ci coś ważnego do przekazania.
- Właśnie jestem w połowie masażu - jęknął Clark, ciągle na wpół śpiący.
- Nic mnie to nie obchodzi. ^- Rudin podszedł bliżej, trzymając w ręku kopertę.
- Albercie, cokolwiek to jest, zaczeka, aż się ubiorę. A teraz wyjdź stąd!

Rudin nigdy nie widział Clarka tak wzburzonego. Niechętnie wycofał się z pokoju i zamknął drzwi. Spojrzał na kopertę. Rozpaczliwie chciał komuś przekazać, co zawiera, i tym kimś był oczywiście Clark. Szukał go przez dwie godziny, dzwonił do domu, do biura i na komórkę. W domu nikt nie odpowiadał, w biurze nie wiadano, gdzie jest, a komórka milczała. Szczęśliwym wyborem okazał się klub. Gdy Rudin zobaczył na parkingu błyszczącego jaguara, natychmiast wbiegł do budynku. Kierownik szatni powiedział, że Clark właśnie bierze masaż. Nie zastanawiając się wiele, Rudin popędził przez labirynt szafek, niczym szczur węszący za kawałkiem sera.

Stojąc teraz samotnie w silnym świetle szatni, uświadomił sobie, że popełnił błąd. Spojrzał na zegarek. Dziewięta pięćdziesiąt pięć. Clark zaraz wyjdzie. Rudin zaczął spacerować. Czekał tak długo, żeby zniszczyć Irenę Kennedy, więc może poczekać jeszcze kilka minut.

Obok męskiej szatni znajdował się niewielki salonik, a w nim dwie

kanapy, kilka krzeseł, telewizor i dwa telefony. Właśnie tu Rudin postanowił zaczekać. Clark zjawił się po trzydziestu kilku minutach. Jego poprzetykane siwizną czarne włosy były gładko zaczesane do tyłu. Był w sztruksach, koszuli i kaszmirowym swetrze. Rudin zerwał się z krzesła. Wyglądał trochę niechlujnie w wymiętych spodniach, wypłowiałej koszuli flanelowej i wyświechtanym płaszczu.

Clark postanowił zachowywać się tak, jakby przerwanie hipnotyzującego masażu nigdy się nie zdarzyło. Nie było sensu poruszać tej kwestii. Rudin przez te wszystkie lata nie zmienił się nawet na jotę. Clark nie przywitał się z kongresmanem. Powiedział tylko:

- Napijmy się kawy.

Rudin pokręcił stanowczo głową.

- Porozmawiamy na zewnątrz. **W twoim aucie.**

Rozejrzał się po małym przedsionku, jakby ściany miały uszy.

Clark znał paranoję Rudina i wiedział, że jego rola polega na dodawaniu mu odwagi.

- Dobrze.

W milczeniu opuścili klub i poszli na parking. Rudin ważył każdy krok, jakby odbywał patrol za liniami wroga. Clark dostosował się i milczał. Przewidział takie zachowanie kolegi. Z odległości dziesięciu metrów posłużył się pilotem i światła reflektorów jego auta rozbłysły. Clark usiadł za kierownicą, Rudin zajął miejsce obok. Wyłuskał z fałdów płaszcza kopertę i rzekł:

- Nie uwierzysz, co w niej jest. - Podał kopertę Clarkowi.

Zamiast ją wziąć, Clark zapytał:

- Co takiego?

- Informacja, jakiej szukaliśmy - odparł Rudin z entuzjazmem.

Clark obojętnie skinął głową, dając znać, żeby to uściślił.

- Słyszałeś kiedyś o organizacji zwanej drużyną Oriona?

Clark pokręcił głową.

- To tajna organizacja, powołana do życia przez tego sukinsyna Thomasa Stansfielda i kierowana przez Irenę Kennedy. - Rudin wymówił jej nazwisko z nienawiścią. -Od ponad dziesięciu lat prowadzi tajne operacje na Bliskim Wschodzie i nawet ich nie konsultuje z nami. - Rudin wbił sobie palec w pierś. - On łączy jak pies, Hank, mam na to dowód. - Wyjął z koperty jakieś papiery. - Mam tu listę ludzi, których zabili, i kwoty nielegalnie przelane na sfinansowanie tych operacji. Poza tym do wspierania tych popaprańców używano też Sił Specjalnych.

- To rzeczywiście szokujące.

- Mówiłem ci, że ona nie jest w porządku. Tak jak jej szef Stansfield.

- Nie wierzę - stwierdził Clark. - Skąd to masz?

- Od tego twojego faceta - odparł defensywnie Rudin. -Od Stevekena.

- A on skąd je dostał?

- I to właśnie jest najlepsze - mówił z podnieceniem

- Rudin. - Dostał je od Jonathana Browna... Tego pieprzonego sędziego Browna. Możesz w to uwierzyć?

Nie była to odpowiedź, jakiej Clark się spodziewał.

- Mówiłeś komuś o tym?

- Nie! Ty jesteś pierwszy.

- Dobrze. Zrób sobie i Brownowi przysługę i nikomu nie wspominaj jego nazwiska. - Clark próbował sobie wyobrazić, jak, do diabła, Rudin dowiedział się o Brownie.
- Dlaczego?
 - Ponieważ zniszczysz jego reputację. - Clark próbował szybko wymyślić jakieś logiczne uzasadnienie. - Potraktuj znajomość tego nazwiska jako atut trzymany w rękawie. Tym cenniejszy, im dłużej będziesz zwlekał z jego ujawnieniem.
 - Albo im dłużej ty będziesz czekał, żeby nim zagrać. -Rudin próbował wcisnąć kopertę Clarkowi.
 - Nie. Wierzę ci. Zrób dla mnie kopie i prześlij. - Clark nie chciał zostawiać odcisków palców na tajnych dokumentach.

Rudin był trochę rozczarowany, ale równocześnie z zadowoleniem usłyszał, że Clark ufa mu na słowo.

- Co zrobisz w poniedziałek?

Senator pogładził się po brodzie i spojrzał przed siebie.

- Jeszcze nie jestem pewny - odparł spokojnie.

Rudin był pewny. Wszystko przemyślał w ciągu ostatnich trzech godzin.

Przesłuchanie zatwierdzające nominację Kennedy zmieni się w inkwizycję.

- Hank, co to znaczy, że jeszcze nie jesteś pewny? Ona złoży przysięgę, a ty przygwoździsz ją do ściany!
- Och, nie martw się. Jeżeli ta informacja może jej tak zaszkodzić, jak twierdzisz, to z pewnością zaszkodzi - odparł uspokajająco. - Najpierw muszę mieć pewność, że niczego nie przeoczyliśmy. - Clark spojrzał na Rudina i zapytał: - Nadal masz się jutro pojawić w *Meet the Press*?

- Tak.

Clark milczał przez chwilę, po czym stwierdził:

- W porządku, oto, co powinniśmy zrobić.

37

MARYLAND, SOBOTA WIECZÓR

Z zachmurzonego nieba ciągle mżyło i światła taksówki z trudem rozjaśniały ciemności. Na tylnym siedzeniu Anna Rielly czuła, że jej determinacja słabnie. Nie była już pewna, czego chce, wiedziała jednak, że musi się z nim spotkać. Nie może uciekać. Tak bardzo go kocha; zbyt wiele serca włożyła w ten związek. Zbyt wiele ma do powiedzenia. A poza tym musi odzyskać samochód.

Powrót z Mediolanu ciągnął się w nieskończoność. Dzięki Bogu agent American Airlines był na tyle miły, że zaakceptował jej bilet na pierwszą klasę i nie zażądał dopłaty za zmianę daty powrotu. Zapewne pomogła jej w tym sława korespondentki NBC w Białym Domu. Podróż uprzykrzył jej tylko czterdziestokilkuletni mężczyzna z Baltimore, obok którego siedziała i który przez większą część lotu usiłował zainteresować ją swoim życiem. Wiele jego rozdziałów uważał za tak ważne, że musiała wysłuchać opowieści o nich kilka razy. Jak wielu rozsądnych ludzi nie lubiła zawierać przygodnych znajomości. Gdyby tak miało wyglądać jej życie, wolałaby czekać nocami na Mi-tcha, aż wróci do domu. Nie była to prawda, ale w czasie tej męczącej podróży myślała o tym wiele razy.

Po kilku dniach Anna ochłonęła i w końcu ustaliła, jaki ma główny problem z Mitchem. Czy naprawdę go zna? Kwestię tę można też oczywiście sformułować inaczej: Czy w ogóle można kogoś dobrze

poznać? Ale nie chciała zagłębiać się w problemy filozoficzne. Doskonale znała swoją rodzinę, przyjaciół i sądziła, że równie dobrze zna Mitcha. Nigdy jednak nie przyszło jej na myśl, że jest zdolny do tego, co zrobił w Mediolanie.

Rielly wiedziała, po co polecili do Włoch. Polecili tam, żeby się zaręczyć. Mitch najpierw musiał coś załatwić, a potem mieli razem spędzić resztę życia. Okazało się jednak, że zadanie Mitcha polegało na spotkaniu z byłą kochanką. Próbowała odwrócić sytuację: co by Mitch zrobił, gdyby to ona w czasie ich wspólnego urlopu poszła na potajemne spotkanie ze swoim byłym kochankiem? Nie szukała długo odpowiedzi. Dostałby ataku furii.

Zatem dlaczego ona ma go rozumieć? Wracając do tego pytania, zawsze odpowiadała sobie tak samo. Mitch żył innym życiem. Tajemnice były częścią jego egzystencji, a Anna, co gorsze, była reporterką. Musiała wszystko dogłębnie zbadać, odkryć to, co zakryte, przypomnieć to, co zapomniane, i zadbać o to, co zostało pominięte. Musiała wszystko poznać, podczas gdy Mitch zadowalał się tylko braniem udziału w toczących się wypadkach. Jednym z głównych tematów ich rozmów była przeszłość. Pewnej nocy zapytała go o byłe kochanki, ale jak zawsze próbował uniknąć dyskusji. Wreszcie powiedziała: „Chcesz się dowiedzieć, z jakimi mężczyznami ja się spotykałam?” - i Rapp oświadczył, że nie. Ale to wyłącznie wzmogło jej ciekawość. Mężczyzna bez przeszłości - fascynowało ją to i doprowadzało do obłędu. Mitch chciał mówić tylko o teraźniejszości i przyszłości.

Gdy taksówka zbliżała się do jego domu - domu, który jeszcze przed kilkoma dniami uważała za swój - czuła ucisk w żołądku, zupełnie inaczej

niż wtedy, gdy tak dawno temu pojawiła się tu po raz pierwszy. Miała więc nadzieję, że nie zastanie go w domu, ale chciała równocześnie, żeby w nim był. Tkwiący w niej tchórz chciał chwycić walizki i czmychnąć. Nie dać mu satysfakcji, że zrobiła aż tyle, żeby z nim porozmawiać. Mogła wśliznąć się do środka, zabrać rzeczy i uniknąć konfrontacji. Ale drugi głos, chociaż nie tak mocny jak pierwszy, mówił jej, że ulega emocjom, że powinna ufać Mitchowi, a to, co wydarzyło się w Mediolanie, na pewno można wyjaśnić.

Gdy auto stanęło na podjeździe, Rielly zauważyła swój samochód parkujący przy garażu i światło na piętrze. Zapłaciła taksówkarzowi i stała na deszczu, gdy wyjmował bagaże. Po chwili wahania przeniosła je do swojego samochodu i ulokowała w bagażniku. Potem ukryła się pod wąskim okapem garażu i zerknęła do środka przez kwadratowe okienko. Auta Mitcha nie było. Po chwili ze ściśniętym sercem postanowiła wejść do domu i sprawdzić, czy zostawił dla niej wiadomość.

Otworzyła drzwi i wystukała kod wyłączający alarm. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, była duża walizka z kółkami. Należała do Mitcha. Miał ją w Mediolanie. Stała na podłodze otwarta. Był w domu, albo przynajmniej pojawił się w domu. Zamknęła drzwi i poszła do kuchni. Błat, na którym przygotowywali śniadania, był pusty. Znow poczuła żywsze bicie serca. To tutaj mogła się spodziewać wiadomości. Nie było jej. Sprawdziła automatyczną sekretarkę. Zero nagrań. Poczła coś w rodzaju paniki.

Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do swojego mieszkania, żeby odsłuchać wiadomości. Telefonowała, do niej firma telekomunikacyjna, aby zapytać, czy chce mieć ulgę w nowym planie rozmów

międzynarodowych. Tylko tyle. Ze ściśniętym gardłem wybrała numer do pracy, wysłuchała pięciu wiadomości, ale żadna nie pochodziła od Mitcha. Rzuciła słuchawkę i weszła na schody. Pierwsza łza Stoczyła się po jej policzku, gdy wchodziła do sypialni, ich sypialni.

Łóżko nie było porządnie posłane. Próbowwała sobie przypomnieć, czy tak je zostawili, wyjeżdżając do Włoch. Nie Ssostawili. Wyraźnie pamiętała, że je posłali. Zrozpaczona chwyciła poduszkę i cisnęła nią o ścianę. Żadnej notatki. Przygnębiające był już to, że nie zostawił dla niej wiadomości w hotelu, ale to było niewybaczalne. Pomyliła się co do niego. Zalana łzami zaczęła w sypialni zbierać swoje rzeczy. Jeżeli on mógł być taki zimny i bezwzględny po tym, co razem przeżyli, to nie będzie mu dłużna.

WASZYNGTON, NIEDZIELA RANO

Senator Clark krzątał się w swej kuchni w Wesley Heights pod Waszyngtonem, w pobliżu Foxhall Road. Dom w stylu chateau był zamkiem senatora. Jego front pokrywał bluszcz wyglądający na sto lub więcej lat, a podwójne drzwi były na tyle szerokie, że mogłoby przez nie wjechać niewielkie auto. Na czterospadowym dachu sterczały cztery kamienne kominy, dwa po każdej stronie. Dom miał powierzchnię około dziewięciuset metrów kwadratowych. Całą posiadłość stanowiły trzy akry pięknie ukształtowanego terenu, otoczonego dwuipółmetrowym ogrodzeniem z kutego żelaza.

W niedzielę służba miała wolne, więc przygotowywał śniadanie samotnie. Wsunął do tosterka angielską bułeczkę, do wysokiej szklanki

nalął świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego i przed wyjściem po gazety pociągnął kilka łyków. Na chłodne listopadowe powietrze wyszedł w pantoflach i jedwabnym szlafroku, a musiał pokonać prawie sześćdziesiąt metrów od drzwi frontowych do wielkiej bramy, chroniącej przed nieproszonymi gośćmi. Towarzyszyły mu Cezar i Brutus, dwa złote retrievery.

Zapowiadał się ładny poranek. W foliowych workach jak zwykle czekały na niego dwie gazety, „New York Times” i „Washington Post”. Clark zdążył wrócić do domu, gdy dzwonek tosterka oznajmił, że bułeczka jest gotowa. Rzucił gazety na stół i chwycił pieczywo. Jedną połówkę posmarował malinowym dżemem, drugą - masłem orzechowym. Tak było każdej niedzieli, najpierw sok pomarańczowy i bułeczka, potem kawa i gazety. Rytuał to dobra rzecz.

Nigdy nie angażował w ten rytuał żony numer trzy, ponieważ w niedzielę nie wstawiała z łóżka przed dziesiątą. Poza tym wątpił, czy dziś ujrzy ją przed południem. Wczoraj wieczór nie przeholowała z kieliszkami wina; przeholowała z butelkami. Musi z nią porozmawiać o tym alkoholowym zamroczeniu. Kampania prezydencka może się przeciągnąć od dziś o cały rok i nie chciał mieć przy sobie ciągle zataczającej się i robiącej z siebie idiotkę kobiety. Żując posmarowaną masłem orzechowym połówkę bułeczki, zadawał sobie pytanie, co sobie myślał, żeniąc się z nią. Znał, niestety, odpowiedź. Była bardzo atrakcyjna, a w świecie polityki nigdy nie zaszkodzi mieć taką kobietę u boku. Gdyby nie alkohol, nadal byłaby dobrą partnerką. Znowu zaczął się zastanawiać, czy nie powinien jej spotkać jakiś mały wypadek. Zasłużyłby wtedy na wyrazy współczucia. Nie, mimo że ten pomysł go kusił, Clark doszedł do wniosku, że jednak w

takich wypadkach zawsze podejrzewa się męża o coś brzydkiego.

Skończył śniadanie i poszedł do gabinetu z kawą i gazetami. Gabinet mieścił się w południowym skrzydle i urządzony był w stylu panującym w całym domu. Wypełniały go cenne dzieła sztuki i antyki tematycznie związane z Dzikim Zachodem. Nad kominkiem wisiał na dwóch hakach klasyczny winchester .45-70. Ilekroć na niego spojrział, zawsze wspominał Petera Camerona, człowieka, którego wynajął do zabicia Mitcha Rappa. Peter Cameron za każdym razem, gdy odwiedzał gabinet, z niemym zachwytem wpatrywał się w tę unikatową broń. Została podarowana prezydentowi Groverowi Clevelandowi w prezencie ślubnym i była pierwszą z limitowanej serii. To historyczne znaczenie i doskonały stan czyniły ją bardzo cennym nabytkiem. Na gzymsie kominka stały dwie rzeźby Frederica Remingtona, po jednej stronie *Poskramiacz dzikich koni*, po drugiej *Bawół*. Nad nimi wisiał jeden z zapierających dech w piersiach obrazów, oryginał Alberta Bierstadta, przedstawiający Indian pędzących konno przez równinę. Po drugiej stronie pokoju stała wysoka przeszklona biblioteczka z kompletem pierwszych wydań powieści Ernesta Hemingwaya, podpisanych przez autora.

Clark tego ranka był niezwykle podekscytowany, ale nie dlatego że Redskins grali z Cowboys. W programie *Meet the Press* miał wystąpić na żywo Albert Rudin. Clark sprawdził, czy w magnetowidzie jest czysta taśma, i usiadł w swoim ulubionym, wysłużonym skórzanym obitym fotelu. Włączył telewizor i rzucił opasy egzemplarz „Timesa” na podnózek. Program miał się zacząć za pięć minut, więc dla rozrywki przejrzał słynną liberalną stronę redakcyjną.

Gdy rozległy się dźwięki muzyki zapowiadającej audycję, Clark odłożył gazetę i włączył nagrywanie. Z uśmiechem słuchał głosu Tima Russerta, zapowiadającego główne tematy godzinnego spektaklu. Najpierw wystąpić mieli przewodniczący Rudin ze Stałej Komisji do spraw Wywiadu i kongresman Zebarth, zajmujący w tym ciele pośledniejszą pozycję. Obaj byli po sześćdziesiątce i spędzili ponad trzydzieści lat na posłowaniu w Waszyngtonie.

Russert zaczął od przedstawienia gości i rzekł:

- Panowie, mamy teraz w Waszyngtonie naprawdę historyczny tydzień. Po raz pierwszy na dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej zostanie nominowana kobieta. Co o tym sądzicie?

Kongresman Zebarth odpowiedział pierwszy:

- Doktor Kennedy doskonale nadaje się na to stanowisko. Bardzo sprawnie kierowała Centrum Antyterrorystycznym i wie, jak poruszać się w Langley. Myślę, że prezydent dokonał właściwego wyboru, i w nadchodzących latach liczę na dobrą współpracę z doktor Kennedy.

Russert zwrócił się do Rudina. Miał szeroko otwarte oczy, na jego ustach błąkał się uśmieszek, głowę przekrzywił na bok. Praktycznie znał przekonania wszystkich polityków i w dziewięciu przypadkach na dziesięć znał odpowiedź na pytanie, które chciał zadać.

- To naprawdę silne poparcie jak na republikanina. Russert wiedział, że jego gość nie akceptuje prezydenckiej nominacji.

Rudin zrobił taką minę, jakby właśnie ugryzł kawałek zgniłego owocu.

- Nie mam zastrzeżeń co do tego, że kobieta ma kierować CIA, sądzę,

że nadszedł czas, by dać którejś szansę. Bóg jeden wie, jak niewiele uzyskaliśmy od mężczyzn kierujących tą instytucją w zamian za miliardy dolarów, jakie w nią wpompowaliśmy.

- Zatem nie zgadza się pan z prezydencką nominacją? -wyciągnął wnioski Russert, a na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech.
- Nie, nie zgadzam się. Miesiącami ostrzegałem Biały Dom, że Kennedy nie należy do ludzi, jakich demokraci widzieliby na tym stanowisku.

Po mieście krążyła plotka, że prezydent ostrzegł Rudina, by nie sprzeciwiał się tej nominacji. Russert był więc nieco zaskoczony, że kongresman z Connecticut tak otwarcie nie zgadza się z Hayesem.

- Dlaczego pan myśli, że wybór doktor Kennedy na dyrektora CIA nie jest trafiony? Wydaje się, że jest pan jedyną osobą na Kapitolu, która nie zgadza się z tą nominacją.
- Jedyną, która przyznaje się do tego publicznie - wtrącił szybko Rudin.
- Dlatego że z niezrozumiałych dla mnie powodów prezydent i jego administracja forsują tę nominację bez przeprowadzenia odpowiedniego śledztwa.

Russert spojrzał na Zebartha, republikanina, sugerując, o ironio, żeby bronił prezydenta demokratę.

- Kongresmanie Zebarth?
 - Jak już powiedziałem, myślę, że doktor Kennedy jest dobrze przygotowana do tej funkcji. I jeśli mam być szczery, Tim, jestem już trochę zmęczony insynuacjami mego przyjaciela. Już kiedyś mówiłem, żeby poparł swoje oskarżenia dowodami albo dał spokój doktor Kennedy. Ta kobieta ciężko pracuje dla kraju i zasługuje na

odrobinę wdzięczności.

Zabrzmiało to tak przekonująco, że Rudin poczuł się jak awanturnik.

Hank Clark siedział na skraju fotela. Zebarth właśnie strzelił podkreconą piłkę. Senator klasnął w dłonie i powiedział:

- No, dalej, Albercie. Czas go usadzić!

Rudin sięgnął pod stół i wyciągnął jakieś papiery. Z ponurym wyrazem twarzy pokręcił głową i oznajmił:

- Tim, czuję się trochę jak Winston Churchill. Clark zmarszczył brwi i mruknął:
- Nie daj się ponieść emocjom, Albercie.
- Od wielu lat ostrzegałem kolegów przed tym, co się dzieje w CIA. Bez końca powtarzałem, że musimy je bardziej kontrolować. Narzekałem, że nie możemy wydusić prawdy z dyrektora Stansfielda, gdy stawał przed moją komisją, i to samo dotyczy doktor Kennedy. Nikt mnie nie słuchał. Nawet moja partia nie chciała mnie słuchać. Ale dziś jestem tu po to, żeby oświadczyć, iż dzięki mojej czujności możemy uniknąć wielkiej pomyłki.
- Co chce pan przez to powiedzieć, kongresmanie Rudin?
- Wszystko jest tu, w tych dokumentach. - Rudin zamachał papierami, podkreślając te słowa. - Są w nich dowody, że doktor Kennedy łgała przed komisją. Dowody, że kierowała tajnymi operacjami bez zgody Kongresu albo bez naszej aprobaty. Mam dowód, że popełniła przed Kongresem krzywoprzysięstwo, że działała wbrew prawu.

Kongresman Zebarth już od wielu lat wysłuchiwał nie kończących się litanii bezpodstawnych oskarżeń kolegi. W jego uszach ta diatryba Rudina

brzmiała jak ostatni krzyk zdesperowanego człowieka.

- Albercie, słyszałem to już wiele razy i myślę, że rzucanie oskarżeń pod adresem tej porządnej kobiety jest z twojej strony zwykłą podłością.

- Powiem ci, co jest podłością - odparował Rudin. - Kongres nie robi tego, do czego powołał go naród. Kongres i Biały Dom - dodał z naciskiem - odmawiają podjęcia najmniejszego wysiłku, aby chronić konstytucję.

Zebarth, polityk starej daty, pamiętający czasy, gdy przestrzegano reguł debaty, był autentycznie dotknięty tymi ogólnikowymi oskarżeniami Rudina.

- Albercie, jeżeli masz jakiś dowód na popełnienie przestępstwa przez doktor Kennedy, to sugeruję, żebyś go tu zaraz przedstawił. Inaczej miej tyle godności, aby powstrzymać się przed tymi nie kończącymi się zamachami na jej osobę.
- Użycie słowa „zamach” w tym kontekście jest trochę zabawne - warknął Rudin.

Clark stwierdził, że Rudin kiepsko prezentuje się w telewizji. Tym dostojniej on sam wypadnie, gdy na oczach całego kraju zacznie jutro wypytywać Kennedy o te oskarżenia.

- Proszę mi powiedzieć, kongresmanie Zebarth, czy sły-
szał pan o organizacji zwanej drużyną Oriona?

Zebarth nie odpowiedział.

- To tajna organizacja założona przez Thomasa Stans-fielda i kierowana właśnie przez doktor Irenę Kennedy. Organizacja, która bez wiedzy członków Kongresu przez dziesięć lat prowadziła tajną wojnę na

Bliskim Wschodzie.

- W jaki sposób odkryłeś istnienie tej tajnej organizacji? - zapytał Zebarth, jakby nie wierzył słowom Rudina, choć pod maską obojętności kipiał z wściekłości. Wiedział o istnieniu Oriona, gdyż należał do grupy kongresmanów i senatorów, którzy kazali Thomasowi Stansfieldowi wypowiedzieć wojnę terrorystom.
- Ponieważ moja komisja nie pozwoliła mi prowadzić śledztwa w CIA, a prezydent Hayes na każdym kroku próbował mnie uciszyć, musiałem działać na własną rękę. Dzięki pracowitości i ogromnemu osobistemu zaangażowaniu znalazłem ważną osobę w Centralnej Agencji Wywiadowczej, która chciała ze mną rozmawiać. Jest to ktoś tak

- samo jak ja zaniepokojony nadużyciami Thomasa Stansfielda, a teraz kontynuowanymi przez Irenę Kennedy.

Sama nazwa nic nie znaczyła. Jeżeli Rudin miał tylko tyle, to za mało. Zebarth, patrząc na papiery leżące na stole, miał ochotę zarzucić koledze blef.

- Jeżeli masz dowód, to chcę go poznać. - Wskazał papiery.

Rudin z ochotą spełnił żądanie.

- Mam tu nazwiska i dane osób wchodzących w skład tej zbrodniczej organizacji. Mam dowód, że w pewnych operacjach brali też udział ludzie z Sił Specjalnych Stanów Zjednoczonych. Mam też i to. - Rudin pokazał czarno-białą fotografię. - Jego nazwisko brzmi „Mitch Rapp”. Jest oby watelem amerykańskim, wyszkolonym przez CIA i prawie

od dziesięciu lat najważniejszym agentem drużyny Oriona. Zabił ponad dwudziestu cywili, obywateli bliskowschodnich państw. Jest mordercą, przestępcą i powinien być postawiony w stan oskarżenia, tak samo jak Irenę Kennedy i każda osoba mająca coś wspólnego z tym bagnem. - Rudin przerwał, żeby coś jeszcze wyłuskać z dokumentów. - Mam tu rejestr bankowy, pokazujący, ile pieniędzy przełano z programów Kongresu na rzecz organizacji zwanej drużyną Oriona. - Wymierzył oskarżycielsko palec w stronę Zebartha i dodał: - Zbyt wielu polityków w tym mieście nie robi tego, co do nich należy. - Teraz zwrócił się do Russerta: - Jestem tu po to, aby stanowczo oświadczyć: koniec z tym!

Russert był tak zaskoczony, że zdołał tylko wykrztusić:

- To bardzo poważne oskarżenia, kongresmanie Rudin.
- Tak, poważne.
- Zamierza pan w tej sprawie przeprowadzić dochodzenie czy skieruje ją pan do Departamentu Sprawiedliwości?

Rudin szybko zerknął na Zebartha, a potem spojrział na prowadzącego program.

- Skoro moja komisja nie może zgłębić tej kwestii, a Irenę Kennedy będzie zeznawała przed Senacką Komisją do spraw Wywiadu, przekażę te dowody senatorowi Clarkowi i przekonam się, czy teraz ktoś wydusi z niej szczerą odpowiedź.

Podniecony Clark zerwał się na równe nogi. Albert Rudin właśnie dał

mu to, co chciał. Jutro o pierwszej będzie prowadził jedno z najbardziej dramatycznych i oczekiwanych przesłuchań dotyczących zatwierdzenia. Brał udział w podjęciu decyzji o istnieniu Oriona, i wiedział, że Thomas Stansfield gotów był wziąć całą winę na siebie, gdyby coś poszło nie tak. Kennedy w jego opinii zrobi to samo. Wystarczyło, że on sam będzie trzymać się z dala od tej awantury i zachowa postawę męża stanu, gdy jutro jego koledzy będą przesłuchiwać Kennedy.

Widownia telewizyjna jest ogromna, ale to dopiero początek. Teraz całą sprawę na pierwszych stronach rozdmucha prasa. Jego twarz i nazwisko wypalą się w umysłach wszystkich wyborców w kraju. A to może go wywindować na fotel prezydencki.

38

ARABIA SAUDYJSKA, NIEDZIELA WIECZÓR

Rapp stał na skraju skały tworzącej naturalny wał i patrzył w kierunku Bagdadu na pomarszczony i pofałdowany teren. Ubrany był w polowy mundur pustynny. Miejsce, w którym się znajdował, Pentagon nazywał Oasis One. O jego istnieniu wiedziało tylko kilka osób. Zlokalizowano je dokładnie na granicy iracko-saudyjskiej, zaledwie trzysta kilometrów od Bagdadu. Naturalna formacja skalna, niczym wulkaniczna wyspa, tworzyła sterczący nad powierzchnią czerwonego morza piasków krąg, zamykający teren bazy. Rapp był jedynym cywilem, który kiedykolwiek odwiedził to miejsce. Okupujący tę skalistą wyspę personel wojskowy

nawet nie nazywał go bazą. Ludzie w czarnych beretach mówili o wysuniętej placówce. To był teren działań Sił Specjalnych, a ich członkowie - stanowiący barwne osobowości - nigdy nie wymieniali jego oficjalnej, ale ściśle tajnej nazwy Oasis One. Amatorzy węży nazywali to miejsce Gniazdem Żmij. Nad wejściem jednej z jaskiń zawieszono ręcznie wykonany napis: „Witamy w Gnieździe Żmij. Picie jest mile widziane”.

Siły Specjalne różniły się od innych formacji wojskowych, chociaż dla Rappa były oczywiście zupełnie zwyczajne. Rządziły się własnymi regułami i gdy przybyły na tę wysuniętą placówkę w spadku po dawnych koczownikach, przede wszystkim zajęły się zorganizowaniem baru. Cały personel wojskowy USA w Arabii Saudyjskiej miał surowy zakaz picia alkoholu. Ale stacjonujący w tej placówce członkowie z Zielonych Beretów, Delta Force, SEAL i piloci stacjonujących tu helikopterów nie przejmowali się tym zbytnio.

Do Bazy Saudyjskich Królewskich Sił Powietrznych przybyli poprzedniego wieczoru po kilkugodzinnym locie z Karoliny Północnej i uzupełnianiu paliwa w powietrzu. Podróżowali trzema samolotami transportowymi C-141 Starlifter. Pułkownik Gray dołączył do nich setkę członków Delta Force. Część z nich miała stanowić wsparcie, w razie gdyby zasadnicza grupa wymagała ewakuacji. Dla pozostałych sił pułkownik Gray miał w planie coś specjalnego.

Aby utrzymać akcję w tajemnicy, lecieli pod osłoną nocy. Saudyjska baza miała powierzchnię osiemdziesięciu mil kwadratowych i znajdowała się sto kilometrów na południe od Rijadu. Od czasu, gdy w 1996 roku w bombardowaniu Dahranu zginęło dziewiętnastu amerykańskich

wojskowych, ich sektor leżał w jej pilnie strzeżonym rejonie. Wprawdzie Siły Specjalne stale przylatują i odlatują z terenu bazy, ale rzadko pojawiają się tam aż tak duże oddziały, chyba że przewiduje to harmonogram ćwiczeń. Dlatego grupa pułkownika Graya w ciągu kilku godzin opuściła to miejsce. Ciągłe było ciemno, gdy piloci helikopterów 160. Pułku Powietrznych Operacji Specjalnych wojsk lądowych i 1. Skrzydła Operacji Specjalnych Air Force zaczęli przerzucać ich z saudyjskiej bazy na północną granicę. Większa część oddziału wylądowała w Oasis One, pozostałe jednostki rozmieszczono wzdłuż granicy, na z góry wyznaczonych pozycjach, przygotowanych przez Zielone Berety.

Armia Stanów Zjednoczonych wiele się nauczyła w czasie wojny w Zatoce, a głównie tego, że przed starciem z wrogiem należy dobrze wyposażyć stanowiska bojowe. Lekcję tę przerobiono też dość boleśnie w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej, gdy niemieckie Wilcze Stada posłały na dno Atlantyku miliony ton ważnego sprzętu. Po drugiej wojnie światowej wojskowi wyciągnęli z tego wnioski i dużą część amerykańskich czołgów oraz artylerii pozostawiono w Europie.

Kiedy pod koniec lipca 1990 roku Saddam Husajn napadł na Kuwejt, całkowicie zaskoczył Stany Zjednoczone, które musiały jednak szybko działać z obawy, że Saddam to wykorzysta i zajmie Arabię Saudyjską. Na początek prezydent Bush mógł w ciągu jednego lub dwóch dni wysłać na Bliski Wschód tylko część 82. Dywizji Desantowej. Kilka tysięcy lekko uzbrojonych ludzi przeciwko stu pięćdziesięciu tysięcy Gwardii Republikańskiej Saddama. Dowództwo w Pentagonie wiedziało, że w najlepszym razie zdołają oni powstrzymać olbrzymie siły Saddama przez dzień lub dwa.

Jeśli chodzi o logistykę, Stany Zjednoczone nie miały problemu z przerzuceniem oddziałów na pole bitwy. Pojemne samoloty, takie jak 747 lub C-141, mogły dziennie przenosić w ten rejon ponad dziesięć tysięcy żołnierzy. Problem polegał na dostarczeniu uzbrojenia i przede wszystkim najważniejszych w działaniach wojennych czołgów M1A1 Abrams. Każdy z tych kolosów ważył 54 tony i nie mógł być przerzucany drogą powietrzną; na front podróżowały one specjalnymi okrętami transportowymi, a potem koleją albo ciągnikami z przyczepami niskopodwoziowymi. A Abramsy to tylko drobna część ważnego wyposażenia dywizji. Opancerzone transportery wojskowe, gąsienicowe pojazdy rozpoznania, artyleria holowana i samobieżna, wyrzutnie raketowe, samobieżne działa przeciwlotnicze, pojazdy inżynieryjne, części zapasowe i paliwo dla wszystkich pojazdów — miliony ton wyposażenia i zaopatrzenia należało przerzucić na odległość wynoszącą połowę obwodu kuli ziemskiej, co trwało wiele miesięcy i dla wielu ludzi oznaczało bezsenne noce. Stratedzy zaś musieli czekać, by zgromadzone siły stały się na tyle mocne, by mogły odeprzeć każdy atak.

Po wojnie w Zatoce armia Stanów Zjednoczonych podjęła mądrą decyzję i za zgodą kilku państw arabskich leżących nad Zatoką utworzyła parki ciężkiego sprzętu, który pozostał na ich terenach w pobliżu terenu działań. Siły Specjalne przejęły ten pomysł i uczyniły krok więcej. Nie zadowolili się tylko utrzymywaniem w tym rejonie sprzętu, jak helikoptery i pojazdy pustynne, ale wykorzystywały te bazy do szkolenia ogniowego. Amerykańska opinia publiczna i część armii nie były świadome, że po zakończeniu wojny w Zatoce Siły Specjalne Stanów

Zjednoczonych ciągle kontynuowały działania operacyjne w południowym i zachodnim Iraku. Utworzyły szereg posterunków wzdłuż granicy tego państwa z Arabią Saudyjską, co pozwoliło im działać bez wiedzy kraju, który ich gościł. Arabia Saudyjska wprawdzie się tego domyślała, ale wolała przymknąć oczy. Saddam zaś był zbyt dumny, żeby przyznać, że garstka żołnierzy amerykańskich może bezkarnie nękać jego elitarne oddziały, i nie powiadomił o tym darzącej go znikomą sympatią społeczności międzynarodowej.

Początkowo bazy te pełniły funkcję posterunków oddziałów poszukiwawczo-ratunkowych, czyli CSAR (Com-bat Search and Rescue), jak określano je w wojskowym żargonie. Im dalej na północ je lokalizowano, tym szybciej jednostki CSAR mogły dotrzeć do załóg zestrzelonych helikopterów czy samolotów. W czasie wojny w Zatoce wiele takich operacji prowadzono z małego portu lotniczego w Ar Ar, położonego sześćdziesiąt kilometrów od granicy. Generał Campbell, szefa Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych, przeniósł te bazy dalej na północ. Jeśli chodzi o Oasis One, to znalazła się ona dosłownie na samej granicy.

W ostatnich latach Irakijczycy coraz częściej atakowali koalicyjne lotnictwo, wymuszając zakaz lotów w południowej strefie. Generał Flood, inaczej niż jego poprzednik, który nie zamierzał wykorzystywać tych doskonale wyszkolonych żołnierzy, wierzył w zdolność operacyjną Sił Specjalnych. Uważał, że jeśli już posiada się coryettę, to trzeba od czasu do czasu wyprowadzić ją z garażu. Gdy Irakijczycy stali się jeszcze agresywniejsi, generał spuścił ze smyczy Siły Specjalne stacjonujące wzdłuż północnej granicy. Zaczęto robić wypadki nad

granicę, nękać oddziały irackie, wciągając je w zasadzki, a potem znikając na pustyni. Snajperzy z Zielonych Beretów, Delta Force i SEAL zaczęli eliminować irackich oficerów z odległości około półtora kilometra. Takie nękanie wroga miało ogromny wpływ na morale irackich jednostek i zniechęcało do patrolowania okolic granicy. Końcowy efekt szczególnie doceniły jednostki Sił Specjalnych rozmieszczone wzdłuż północnej granicy, które zyskały szersze pole działania.

Rapp rozejrzał się zadowolony. Skalny wał rzucał długi cień, gdyż słońce zaczęło się chylić ku horyzontowi. Nad jałową pustynią unosiło się gorące powietrze. W ciągu dwóch godzin temperatura miała spaść o trzydzieści stopni. Rapp spojrzął na leżące poniżej plamy ciemności, ciągnące się na wschód, w kierunku Bagdadu. W tym stanie oczekiwania nie czuł strachu, może tylko coś w rodzaju żalu. Chciał, żeby sprawy między nim i Anną się ułożyły, ale niestety nie ułożyły się. I nigdy się nie ułożą. Pochodzili z dwóch światów: żadne z nich nie chciało się ich wyrzec i dlatego zawsze będą rozdzieleni. Wyrok już zapadł, co uświadomiła mu akcja w Mediolanie. Tylko że teraz musi wykonać zupełnie inne zadanie. Od niego zależało życie wielu niewinnych ludzi, o pacjentach i personelu szpitala Al Husajn nie wspominając. Musi spróbować, chociaż nigdy go nie poznają, nawet nie będą wiedzieli, że ocalił im życie.

Nagły poryw wiatru u stóp skały wzbił tuman piasku, tworzący w powietrzu wirujący lejek, i ucichł. Rapp zastanawiał się, czy któryś z jego przodków pochodził z tej części świata. Może tę myśl nasunęło mu podobieństwo między oceanem i pustynią. Są tak samo groźne w swej potędze, kryją w sobie podobne subtelne piękno, mogące wywołać u

człowieka złudzenie, że widzi to, czego nie ma, i są tak samo niewiarygodnie niegościnnie, jeśli zapomni się o ostrożności. Z transu wyrwał go odgłos kroków. Odwrócił się i ujrzał pułkownika Graya zbliżającego się szczeliną w skale.

- Pięknie tu, prawda? - zapytał dowódca Delta Force.
- Bardzo.
 - To idealna naturalna forteca. - Gray oparł się o skałę, i spojrzał w dół trzydziestometrowego zbocza.
 - Co pan ofiarował Beduinom w zamian za to, żeby się stąd wynieśli?
 - Nic. Robili stąd wypadki do Iraku. Zabierali z sobą wszystko, co mogli unieść. Saddam miał już tego dość, więc w 1989 roku wyczyścił to gniazdo szcurków i zatrzał studnię. Beduini odeszli i nigdy nie wrócili.
- Rapp skinął głową. Woda wyznacza trasę wędrówek przez pustynię.
- Sądzę, że nie przewiduje pan nic specjalnego na dzisiejszą noc...
- Nie przewiduję. Ludzie z pewnością są wycieńczeni i nie ma sensu prowadzić ćwiczeń, ryzykując jakiś wypadek. Dajmy wszystkim czas na odpoczynek i nabranie sił na jutrzejszą noc.
- Rozmawiał pan z Waszyngtonem. - Rapp nie spuszczał oczu z pustyni.
- Tak.
- I co? Zgadzą się?
Gray przechylił głowę i skrzywił się.
 - Wiesz, jak lubią zmieniać zdanie. Na razie mamy zgodę.
 - Dobrze. Nie stać nas na kompromis. Im dłużej będziemy tu tkwić, tym większe ryzyko, że ktoś zacznie gadać.
- Nie moi ludzie - sprzeciwił się Gray.

- Nie martwię się o pańskich ludzi, ale o tych wszystkich, którzy za dużo gadają w Waszyngtonie - wtrącił szybko Rapp. - Naszym atutem jest kompletne zaskoczenie. Powiedziałem prezydentowi, że to zadanie mogą wykonać tylko pańscy ludzie. Dzień albo tydzień ćwiczeń da nam jedynie marginalne korzyści, ale jeżeli nastąpi jakiś przeciek, zostaniemy wybici. - Rapp spojrzął w kierunku Bagdadu. - Jeżeli oni dowiedzą się o naszym przybyciu, żadne ćwiczenie nam nie pomoże.

- 39

BIAŁY DOM, POŁUDNIOWY TRAWNIK, NIEDZIELA PO POŁUDNIU

Było jeszcze jasno, gdy Marinę One schodził z szarego nieba do lądowania. Koła idealnie dotknęły trzech kręgów, które umieszczono tak, aby ciężki helikopter nie zapadły się w bujny trawnik. Na wszelki wypadek na miejscu czuwał wóz strażacki, a agenci Secret Service pilnowali, żeby nikomu nie wpadło do głowy zrobienie czegoś głupiego. Odwołano zwykle stojącą za sznurem grupę powitalną. Gdy prezydent opuszczał Biały Dom albo gdy do niego wracał helikopterem, personel często aranżował spotkania z nim dla przyjaciół, rodziny i donatorów. W zależności od tego, ile miał czasu prezydent, niekiedy zatrzymywał się i podawał im rękę. Takie spotkania z pozdrowieniami planowano na dziewiętnastą. Z powodu wywiadu, jakiego udzielił pewien kongresman w *Meet the Press*, prezydent wrócił z Camp David wcześniej i nikomu nie miał ochoty podawać ręki.

Otwarły się drzwi i prawie natychmiast ukazał się prezydent Hayes.

Miał na sobie oliwkowe sportowe spodnie, białą koszulę i błękitny blezer. Zasalutował prezentującym broń marines i nie tracąc czasu, ruszył w kierunku swojego biura. W towarzystwie personelu usiłującego mu dotrzymać kroku szybko przemierzał południowy trawnik. Wielu próbowało zamienić z nim kilka słów, ale nie miał na to ochoty. Teraz myślał tylko o jednym i nie chciał o tym z nikim rozmawiać.

Po wejściu do Gabinetu Ovalnego zatrzasnął za sobą drzwi i spojrzał na Valerie Jones.

- Gdzie, do diabła, są wszyscy?
 - Doktor Kennedy czeka na dole, w Gabinetcie Sytuacyjnym. Pozostali powinni tu być w ciągu minuty.

Prezydent sprawiał wrażenie wściekłego.

- Widziałaś, co on miał? Pokręciła głową.
- Ale słyszałam, że to coś bardzo poważnego.
 - Prezydent wiedział o tym. Niektóre dokumenty osobiście autoryzował.

- Valerie - warknął przez zaciśnięte zęby - wyrażę się bardzo jasno. Zniszczę Alberta Rudina. Chcę, żeby do jutra wylądował w komórce sprzątaczek na czwartym piętrze Kapitolu. Masz wykorzystać wszystkie uprzejmości, jakie są nam winni ludzie, żeby Rudin poczuł się jak trędowny.

Jones złożyła dłonie jak do modlitwy, a potem rozdzieliła je i wysunęła przed siebie, jakby się broniła.

- Nie sądzę, żeby...
 - Nie chcę słuchać usprawiedliwień - rzucił prezydent. -Ostrzegałem go.

Pamiętasz?

Jones skinęła głową. Wiedziała, że prezydent musi dać upust złości, a jej funkcja polegała między innymi na robieniu za główny zawór bezpieczeństwa.

- Tak, pamiętam.
- A teraz ten kutas mimo ostrzeżeń ciągle miesza w sprawach, które do niego nie należą.
- Jest przewodniczącym Komisji do spraw Wywiadu, panie prezydencie.
- I demokratą, do cholery! - krzyknął Hayes. - Powinien trzymać naszą stronę. Nigdy nie spodziewałem się, że zaatakuje mnie kongresman z mojej partii.
- Wiem, że jest pan zdenerwowany,, ale sugeruję ostrożność.

Prezydent podniósł rękę jak policjant regulujący ruch.

- Wiem też, Valerie, że próbujesz powstrzymać mnie od popełnienia jakiegoś głupstwa, ale nie ma już odwrotu. Albert Rudin popełnił kardynalny błąd. Zadał cios w plecy swojemu prezydentowi. Wszyscy to widzieli i tylko jeden z nas to przeżyje.

Jones zamrugała i w końcu skinęła głową. Postanowiła zaczekać, aż prezydent nieco ochłonie.

- Co według pana mam zrobić?
- Chcę tu mieć całą górę partyjną! - Prezydent wskazał podłogę i ruszył do drzwi. - Idę na dół. Proszę mnie powiadomić, kiedy tu przyjdą.

Jones poszła za nim.

- Mam panu towarzyszyć?

Bała się, że prezydent może powiedzieć coś, czego nie powinien, jeżeli nie będzie z nim razem w pokoju.

- Nie! - Hayes nie dopuścił do żadnych negocjacji.

Wyszedł z Gabinetu Owального i skierował się do bezpiecznego Gabinetu Sytuacyjnego. Wkrótce zaskoczyli go generał Flood, generał Campbell i sześciu sztabowców, którzy razem z Kennedy czekali na niego w sali konferencyjnej. Trzech z nich pochylało się nad stołem, oglądając mapy. Na widok prezydenta przerwali i wyprostowali się.

- Panowie, nie spodziewałem się waszej obecności. Proszę mi wybaczyć, ale chcę rozmawiać z doktor Kennedy w cztery oczy.

Wszyscy wojskowi wiedzieli, co się wydarzyło w czasie *Meet the Press*. Szczególnie zwrócili uwagę na ten fragment wywiadu, w którym Rudin wspomniał o użyciu Sił Specjalnych. Wiedzieli, że w ciągu tygodnia zostaną wezwani na Kapitol, aby odpowiedzieć na trudne pytania. Nie można było wybrać na to gorszego czasu.

Gdy przedstawiciele armii opuścili pokój, prezydent wskazał ręką Kennedy, żeby usiadła. Usiadła. Hayes nadal stał. Oparł się rękami o blat, spojrzał na Kennedy ze szczerym współczuciem i rzekł:

- Ireń, przepraszam. Przepraszam, że zostałaś w to wciągnięta.

Kennedy się uśmiechnęła.

- Panie prezydencie - odparła - to ja przepraszam, że pan został w to wciągnięty. Albert Rudin nienawidził mnie na długo przedtem, nim został pan prezydentem.
- Nie, nie to miałem na myśli. Mówię o tym, o co prosiliśmy ciebie w

1988 roku. Chodzi o Oriona. - Pokręcił głową. - Nigdy nie przypuszczaliśmy, że ktoś z naszych zdradzi.

- Panie prezydencie, podejmując tę pracę, wiedziałam, co ryzykuję. Gdyby mi pan to jeszcze raz zaproponował, nie wahałabym się ani sekundy.

Hayes pochylił głowę.

- Wiem - rzekł łagodnie. - Tym bardziej nie zasługu
jesz na to.

Kennedy spodziewała się tego. To polityka - i nigdy nie była groźniejszą bronią niż w czasie procesu zatwierdzającego. Większą część dnia spędziła na analizowaniu swojej przyszłości i nie widziała jej różowo. Szczególnie jeśli chodziło o pierwsze w historii obsadzenie stanowiska szefa CIA przez kobietę. Na tę nominację bardzo silnie naciskał prezydent Hayes. Nie nakłaniała go do tego, przeciwnie - rozważała wycofanie swojej kandydatury, aby nie doszło do takiej sytuacji, chociaż nie sądziła, aby taka sytuacja rzeczywiście nastąpiła. Z przygnębienia prezydenta wywnioskowała, że jest przekonany o porażce. Ale nie znał jej możliwości. Przez ostatnie piętnaście lat ciągle planowała i analizowała to, czym dysponował Thomas Stansfield. Zmarły dyrektor przewidywał, że nadejdzie dzień, w którym istnienie drużyny Oriona przestanie być tajemnicą. Senatorowie i kongresmani, namawiający go do rozpoczęcia wojny z terrorystami, domagali się utworzenia odpowiedniej zapory ogniowej. Ustalono, że jeżeli świat kiedyś się dowie, że CIA zabija ludzi na Bliskim Wschodzie, całą winę weźmie na siebie Stansfield i nigdy nie wspomni o udziale w tej sprawie senatorów i kongresmanów. Takie uzgodnienie podpisano.

Nie informując senatorów i kongresmanów, Stansfield z czasem postanowił wnieść do niego pewną poprawkę. Założył mianowicie kartotekę, o której nikt nie wiedział. Zawierała ona pisemne zawiadomienia przewodniczących Izby Reprezentantów i Senatu, datowane w okresie dwudziestu czterech godzin po rozpoczęciu każdej tajnej operacji przez drużynę Oriona. Tego wymagały przepisy i ostatecznie to właśnie rozwścieczyło Rudina. Oprócz tego tajnego archiwum Stansfield posiadał także bogaty pakiet informacji o wielu wpływowych ludziach zajmujących się ustawodawstwem, które powinny pozostać tajne. Kennedy widziała w tym szansę na wybrnięcie z sytuacji, która jeszcze przed kilkoma godzinami wydawała się beznadziejna.

Hayes uniósł wzrok i zapytał:

- Jak, na Boga, zamierzasz to jutro załatwić?
- Nie jestem pewna, czy będę jutro cokolwiek mówić, panie prezydencie.

Zapadła krótka cisza. Prezydent zastanawiał się nad wycofaniem jej kandydatury.

- Chciałbym, żeby znalazło się jakieś wyjście, Irene.
- Och, znajdzie się - odparła Kennedy powściągliwie.
- Jakie?
- Wiąże się z pewnym ryzykiem, ale myślę, że się opłaci. Prezydent zastanawiał się, czy Kennedy ma coś, o czym nie wie Rudin.

- Słucham.

- Papiery, jakie kongresman pokazywał przed kamerami, to dokumenty o charakterze tajnym.

- I...?
- Te tajne materiały otrzymał od kogoś zatrudnionego w CIA. Od kogoś, kto popełnił przestępstwo, przekazując je osobie nieuprawnionej.
- To znaczy?
- Jeżeli przekazał je ktoś z CIA, to ten ktoś wcześniej podpisał zobowiązanie do przestrzegania tajemnic wagi państwowej, panie prezydencie.

Prezydent patrzył sceptycznie.

- To wszystko zostało już zanadto nagłośnione, Irene. Włączyła się prasa.
- Proszę posłuchać, panie prezydencie. Orionem pierwotnie nie kierowało CIA. W ostatnim roku dyrektor Stansfield zadał sobie dużo trudu, by usankcjonować działalność drużyny. Stworzenie teczki osobowej Mitcha było tylko częścią sporządzonej przez niego dokumentacji. Stworzył też dokumentację działań drużyny, jak i tego, którzy senatorzy i kongresmani byli informowani, gdzie i kiedy Orion prowadził akcje.

Prezydent zmarszczył brwi.

- Czy to jest legalne?
- To nie ma tu nic do rzeczy, panie prezydencie.
- Oczywiście, że ma. A jeżeli oni zaprzeczą, że kiedykolwiek podpisywali takie dokumenty?
- Nie zaprzeczą - powiedziała Kennedy stanowczo.

Hayes pojął aluzję. Plotki, że Stansfield miał teczki o pewnych ludziach, były prawdziwe.

- Sądzisz, że mogą się bać ujawnienia tych dokumentów?

- Być może - odparła Kennedy wymijająco, ale jej słowa brzmiały znacząco.
 - Wydawało się, że prezydentowi nie odpowiada taki kierunek działania.
 - Panie prezydencie, to wszystko jest wystarczająco legalne, aby mógł pan poprosić dyrektora FBI Roacha, żeby zajął się dokumentami i kopiami, które ma Rudin.
 - Prosisz mnie o upoważnienie FBI do wtargnięcia do domu kongresmana Stanów Zjednoczonych? - zapytał ponuro prezydent.
 - Tak, proszę o to.
 - Chyba nie mówisz poważnie. Prasa nas...
 - Panie prezydencie - przerwała mu Kennedy. - Rudin nie gra z nami fair. On - albo ktoś, kto za nim stoi - złamał prawo. Zwykle przymykamy oko na takie sprawy, ale on nas do tego zmusza, ujawniając tajemnice najwyższej wagi państwowej w publicznej telewizji.
- Prezydent w geście oporu skrzyżował ręce na piersiach.
- Dokąd nas to wszystko zaprowadzi, Irene?
 - Jeżeli jutro udam się na Kapitol i będę odpowiadać na pytania, zostanę ukrzyżowana. Jeżeli wycofam swoją kandydaturę i Rudin w ciągu tygodnia przeprowadzi śledztwo, też mnie ukrzyżują. Cokolwiek się stanie, w obu scenariuszach winny będzie pan, panie prezydencie, z powodu prostego skojarzenia.
 - No to już po nas. - Hayes wyprostował się, jakby chciał głęboko nabrać powietrza. Podparł się pod boki i kontynuował: - I to akurat wtedy, gdy mamy na głowie ten cały kram z Irakiem.

- Jest jednak trzeci sposób, panie prezydencie - wtrąciła Kennedy.
- Zamieniam się w słuch.

Kennedy ostrożnie zaczęła prezentować swój plan. FBI zrewiduje dom i biuro Rudina. To wzburzy innych polityków i niewątpliwie wywoła wrzawę w prasie, ale było to do przewidzenia i prawdopodobnie nie potrwa długo. Dla Rudina zaś Kennedy obmyśliła coś, co z dużym prawdopodobieństwem zrujnuje mu karierę.

40

GABINET OWALNY, NIEDZIELA WIECZÓR

Na to spotkanie Clark włożył garnitur. Miał odwiedzić prezydenta i opowiedzieć mu o rewelacjach ujawnionych przez Rudina. Jeżeli uda mu się utrzymać prezydenta w nieświadomości co do swojego udziału w tym wszystkim, wówczas będzie mógł okazać mu współczucie i zaoferuje swoją pomoc. Oczywiście pomocny nie będzie. Miał prezydenta i demokratów jak na widelcu. Kennedy odegra rolę zapalnika w czasie jednego z najbardziej sensacyjnych przesłuchań, jakie kiedykolwiek prowadzono.

Ale to prezydent zatelefonował do niego pierwszy, czym trochę go zaskoczył. Zaprosił go do Białego Domu i dał do zrozumienia, że chce mu wieczorem powiedzieć coś ważnego. Clark przez chwilę się obawiał, że zostanie w to wszystko wmieszany. Oczywiście da sobie radę, ale wolałby, żeby prezydent nigdy nie dowiedział się o jego udziale w tej sprawie.

Valerie Jones zaprowadziła go do Gabinetu Owального i wyszła. Prezydent zamknął posegregowane dokumenty, które wcześniej przeglądał, i odłożył na biurko okulary do czytania. Hayes również miał na

sobie garnitur. Wstał i powitał człowieka, którego uważał za swojego sojusznika.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Hank. - Wyciągnął rękę.
- Żaden problem, Bob. - Obaj mężczyźni zasiadali w Senacie i Hayes wolał, żeby Clark zwracał się do niego po imieniu, gdy byli sami.
- Usiądź tutaj. - Hayes wskazał kanapę przy kominku. - Napijesz się?
- Nie, dziękuję. - Clark rozpiął marynarkę i usiadł.

Prezydent zajął przeciwległą kanapę i rzekł:

- No, twój dobry kumpel Al Rudin postawił nas w piekielnie trudnej sytuacji.

Clark bardzo uważnie wsłuchiwał się w ton głosu prezydenta. Pomyślał, że pewnie wie więcej, niż pokazuje po sobie. Westchnął i odparł:

- Jutro będziemy mieli prawdziwy cyrk.
- Niewątpliwie. - Prezydent oparł się wygodnie i położył prawą rękę na oparciu kanapki. - Jak to załatwisz?
- Dobre pytanie. Możesz sobie chyba wyobrazić, że mój telefon urywa się od rana. Każdy reporter w tym mieście chce wiedzieć, co się jutro wydarzy. Dzwonią praktycznie wszyscy członkowie mojej komisji. Wielu jest wściekłych. Wszyscy czują to samo. Jeżeli w tym, co Albert powiedział w telewizji, jest choćby źdźbło prawdy, Kennedy jest ugotowana.

Prezydent nie był tym zaskoczony. Jones rozmawiała już z wieloma senatorami demokratów, zasiadającymi w komisji. Próbowali zdystansować się od prezydenta i jego nominacji. Hayes w chwili szczerości zadał pytanie, którego normalnie by nie postawił:

- A co mówią przywódcy twojej partii? - Lekko się

uśmiechnął.

Clark patrzył na prezydenta bez mrugnięcia okiem.

- Chcą cię zniszczyć. I chcą, żebym podał im ciebie na srebrnej tacy.

Hayes odwrócił wzrok.

- Zrobisz to? Clark spuścił głowę.
- Wiesz, że nie podoba mi się to całe gówno, Bob.
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Nigdy nie kwestionowałem twoich umiejętności - odparł Clark, próbując sprawić wrażenie wewnętrznie rozdartego.
- Ale ktoś z twojej komisji je kwestionuje. - Prezydent usiłował sprawić, by Clark spojrzał mu w oczy. - Może senator Jetland?
- Bob, to nie zależy od nas. Bardzo cię szanuję, ale wiesz, jak to działa. Zapachniało krwią i rekiny zaczynają krążyć.
- No pewnie - odparł prezydent z lekkim rozbawieniem. Przez chwilę milczał, po czym dodał: - Hank, przez wiele lat byłeś moim dobrym kolegą, więc mogę cię ostrzec. We własnym interesie odwlecz przesłuchanie o dzień lub dwa.
- Tego w żaden sposób nie mogę zrobić. - Clark energicznie pokręcił głową.
- Prezydent zastanawiał się, jak daleko może się posunąć, i po chwili zdecydował, że linia graniczna została już wyznaczona. Republikanie przeciwko demokratom, z Albertem Rudinem pośrodku, w bardzo niebezpiecznym miejscu Waszyngtonu.
- Mówię ci jak przyjaciel przyjacielowi, jutro doktor Kennedy nie

będzie zbyt skłonna do zwierzeń. Zrób sobie przysługę i ułatw jej to.

- Jak bardzo nie będzie skłonna do zwierzeń?
 - Powołując się na zasady bezpieczeństwa narodowego odnośnie do tajnych dokumentów, które podpisała, zaczynając pracę w CIA, odmówi odpowiedzi na pytania podczas jawnego przesłuchania.
 - Mam wiele szacunku dla doktor Kennedy, ale przekroczy w ten sposób wszelkie dopuszczalne granice. Jeżeli przyjmie taką postawę, to nie zostawi mi wyboru i będę musiał ją przydusić.
- Nie rób tego - ostrzegł prezydent.

Clark zmarszczył brwi.

- Przypomnij sobie, co zostało ustalone. Jeżeli kiedyś istnienie drużyny Oriona zostanie ujawnione, Stansfield i ona przyjmą konsekwencje na siebie. - Przerwał, pozwalając, żeby jego słowa zapadły głęboko w świadomość prezydenta. - Powinna postąpić rozsądnie i przyznać się przed moją komisją do popełnienia błędu. Zrobię wszystko, co możliwe, żeby ją chronić.
- Cóż, ona jednak nie zamierza tego jutro zrobić, okaż więc na tyle mądrości, żeby jej to ułatwić. - Prezydent wstał. - Hank, wyraźnie ostrzegłem cię, jak przyjaciel przyjaciela. Wybierz jutro ostrożność.

Clark, patrząc na prezydenta, zastanawiał się, co ten kryje w rękawie.

Wyraźnie znalazł się w szachu, ale miał tupet ściągać go do Gabinetu Ovalnego i próbować go zastraszyć. Clark chciałby roześmiać mu się prosto w nos, ale zachował się tak, jakby traktował poważnie jego słowa. Wstał.

- Wezmę twoje ostrzeżenie pod uwagę.

GABINET SYTUACYJNY, NIEDZIELA WIECZÓR

Prezydent po rozstaniu się z Clarkiem wrócił na dół, gdzie czekali sekretarz obrony, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, Irene Kennedy i szefowie sztabów. Sekretarz obrony Rick Culbertson dopiero dziś rano wrócił z Kolumbii i został poinformowany osobiście przez prezydenta o sytuacji w Iraku. Zasadniczy cel otoczony był tak pilnie strzeżoną tajemnicą, że prezydent postanowił adekwatnie ograniczyć krąg wtajemniczonych. Jedynym wtajemniczonym wojskowym z obecnych był generał Flood. Pozostałym ważnym urzędnikom państwowym nie wspomniano o Szpitalu Al Husajn i o tym, co się pod nim znajduje.

Prezydent wszedł do pokoju i zanim ktokolwiek zdążył wstać, rzucił:

- Proszę siedzieć.

Zajął swój fotel u szczytu stołu i spojrzał na generała Flooda, siedzącego po drugiej stronie. Generał skinął głową.

- Panowie - Flood głównie zwracał się do wojskowych - z pewnością ucieszy was wiadomość, że agresywne zachowanie irackiej obrony przeciwlotniczej w ostatnim czasie sprawiło, że prezydent dał zielone światło i możemy ją likwidować. Jeżeli otworzycie wręczone wam teczki, znajdziecie w nich listę celów. Została ona przygotowana na podstawie danych uzyskanych przez działających na tym terenie ludzi, informacji satelitarnych i ustaleń sił powietrznych, pracujących w skoordynowanym systemie.

Wojskowi zebrani przy stole od wojny w Zatoce nie widzieli tak dokładnie opracowanej listy. Z zaciekawieniem przeglądali dwanaście

stron, na których wyszczególniono cele. Od czasu do czasu w sali rozlegały się pomruki uznania. Każdy cel został opisany, miał swój numer GPS, ułatwiający dokładną lokalizację, oraz sposób, w jaki należało go zniszczyć.

Generał Flood kontynuował:

- Operację przeciwko Irakowi zaczynamy jutro o dwu dziesiątej pierwszej zero zero czasu saudyjskiego. Atak zostanie przeprowadzony w następujący sposób: w pierwszej fali uderzą helikoptery A-10 Apache, myśliwce F-117 i pociski samosterujące Tomahawk.

Flood nie musiał się zagłębiać w szczegóły. Każdy oficer znał dobrze tę procedurę. Pierwszej fali nie wykryje iracka obrona przeciwlotnicza. Druga składać się będzie z klasycznych bombowców i myśliwców bombardujących, których zadaniem będzie zniszczenie celów umocnionych. Mężczyźni ze stoickim spokojem słuchali Flooda. Nikt nie zadawał pytań, nikt nie robił uwag. Wszystko było przemyślane. Mężczyźni i kobiety stacjonujący wokół Zatoki i na jej wodach ćwiczyli to przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Machina wojskowa była w ciągłym ruchu. Teraz wystarczyło tylko wcisnąć odpowiedni guzik.

Flood skończył szkicować plan i dodał:

- Przykro mi, ale nie mogę podać więcej informacji. Po wiem tylko, że wchodzi tu w grę jeszcze dodatkowe okoliczności. Nie muszę mówić, że podstawą jest zachowanie całkowitej tajemnicy, więc musimy być naprawdę ostrożni. Są jakieś pytania?

Admirał i trzech generałów pokręcili głowami.

- Dobrze - rzekł Flood. - Zezwalam na powrót do sztabów i wydanie rozkazów rozpoczęcia działań. - Gdy mężczyźni wstali, dodał: - Gdyby ktoś chciał ze mną rozmawiać, będę w ciągu godziny w swoim biurze.

Po ich wyjściu prezydent chwycił swoją teczkę i rzekł:

- Generale, nie widzę tu bezpiecznego korytarza. Jak ochronimy chłopców Deltę przed bombardowaniem?
- Piloci otrzymają przed startem instrukcje oraz to - Flood podniósł mapę Bagdadu z zaznaczoną na czerwono strefą. - Na ich mapach nie ma celów w obrębie czerwonej strefy. Przed startem otrzymają szczegółowe instrukcje niezrzucania bomb w tym rejonie.
- Nie będą podejrzliwi?
- Od incydentu z chińską ambasadą często słyszą, żeby trzymali się z dala od pewnych obszarów, ale ten tutaj - Flood wskazał drogi prowadzące do miasta - jest z pewnością nietypowy.
- Zatem będą zdziwieni? - zapytał prezydent.
- Tak, niektórzy będą, ale proszę pamiętać, że muszą myśleć o wielu innych rzeczach.

- - Panie prezydencie - wtrąciła Kennedy. - Szpital stoi w Al Mansur. To rozległa dzielnica Bagdadu i mieści się w niej wiele ambasad, głównie bardzo ważnych, jak rosyjska, jordańska i pakistańska. Tam też ma swoją siedzibę iracka służba wywiadowcza i Gwardia Republikańska. Zatem to nic niezwykłego, że unikamy jej bombardowania.

Prezydent sprawiał wrażenie zadowolonego z wyjaśnienia Kennedy, ale ciągle myślał, że korytarz prowadzący z miasta w kierunku południowym

i zachodnim wygląda trochę niezwykle.

- Generale, jeżeli któryś z nich zobaczy kolumnę białych aut w rejonie nalotu, to jaka może być jego reakcja?

- Nawiąże łączność z najbliższym AWACS-em i doniesie o tym fakcie.

AWACS to Air Force's Airborne Warning and Control System, czyli samolot wczesnego ostrzegania i kontroli działań sił powietrznych, koordynujący ataki i kierunki lotów wszystkich operujących w okolicy własnych samolotów i helikopterów.

- Nie sądzi pan, że mogą sami zaatakować samocho

dy? - zasugerował prezydent.

Flood zastanawiał się przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Mogą to zrobić.
- Ale to nie może się zdarzyć - oznajmił prezydent.
- Nie powinno - zgodził się Flood, próbując znaleźć rozwiązanie. Po chwili namysłu spojrział na prezydenta i dodał: - Panie prezydencie, chyba powinniśmy ich uświadomić, że będziemy mieli na tym terenie nasze oddziały.

Prezydent skrzywił się.

- Już teraz?
- Nie, na odprawie przed startem i bez wzmianki o broni nuklearnej.

Prezydent przyjął te słowa z ulgą.

- A co ty sądzisz? - zapytał Kennedy.

Kennedy zastanawiała się, a na jej twarzy nie było widać żadnych emocji.

- Myślę - odpowiedziała - że powinniśmy powiadomić pilotów o tych samochodach. Są zbyt kuszące. Doceniam

ich wyszkolenie, doceniam też dowództwo i kontrolę woj-
skową, ale zdaję sobie też sprawę, że nasi lotnicy mają duszę kowbojów.
Lubią ryzyko. Białe auta znaczą dla nich to samo co dla Irakijczyków. Są
Saddamem albo przynajmniej możliwością, że jedzie w nich Saddam. -
Przerwała na chwilę, żeby prezydent miał czas do namysłu. - Gdybym
była na miejscu naszych chłopców i dostrzegłabym okazję załatwienia
Saddama, nie czekałabym, aż jakiś kontroler z AWACS-a da mi zielone
światło.

Prezydent usiadł wygodniej i skrzyżował ręce na piersiach. Kennedy
widziała, że walczy z pomysłem dopuszczenia do tajemnicy większej
liczby osób. Historia pełna jest przykładów straconych okazji z powodu
zbyt długich języków. Również piętnaście lat pracy w CIA nauczyło ją, jak
istotne jest strzeżenie informacji. Ale historia pokazuje też, że zbytne
dbanie o tajemnicę także może przynieść szkody. James Angleton na
skutek tego rodzaju paranoi niemal uczynił z CIA organizację niezdolną do
działania. Tysiące marynarzy i pilotów amerykańskich zginęło w Pearl
Harbour dlatego, że ludzie sprawujący władzę w Waszyngtonie bali się
ujawnienia, że są w stanie rozkodować japońską łączność dyplomatyczną,
dzięki czemu przechwycono wiadomości, które jasno określały ich za-
miary. W pewnych sprawach należy ufać ludziom.

- Panie prezydencie, uświadomimy pilotów i kontro-
lerów AWACS-a na odprawie przed startem. Jestem prze-
konana, że nie zaszkodzi to misji. A nawet jeżeli zaszkodzi,
to niegroźnie, i gdyby iracki wywiad przechwycił i rozszy-
frował nasze komunikaty, to i tak nie działa tak szybko.
Wiadomość taka musi dotrzeć, gdzie trzeba, by ktoś sto

sowny mógł podjąć decyzję, po czym wrócić do pododdziałów w postaci rozkazów. To wymaga czasu, a ten działa na naszą korzyść.

Prezydent w końcu ustąpił.

- Dobrze. Poinformujemy ich na tych odprawach przedstartowych, ale nie wcześniej.

41

KAPITOL, PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU

W stolicy zapanowało szaleństwo, które mógł wywołać tylko skandal. I to nie jakiś zwykły skandal, ale dotyczący CIA, które okłamywało Kongres, trwoniło państwowe pieniądze i mordowało obcokrajowców. Zwykle takie informacje wywoływały burzę w mediach, ale od rana napięcie wzrosło do tego stopnia, że burza zmieniła się w huragan. Bładym świtem agenci FBI z nakazami rewizji w dłoni wtargnęli do domu kongresmana Rudina.

Kongresman spędził cały ranek na snuciu bredni i rzucaniu gróźb, jakie mógł tylko znaleźć, przed kamerami i mikrofonami. Jak każdy zahartowany w bojach polityk miał tylko jedno do powiedzenia: kryzys konstytucyjny. W programie *Today* gorzko się skarżył, że władza wykonawcza próbuje się znęcać nad ustawodawczą, stosując metody przypominające Berlin z lat trzydziestych dwudziestego wieku. Zwrócił się do wszystkich, którzy go słuchają, z oświadczeniem, że naruszono konstytucyjne podstawy podziału władzy, i oznajmił, że on, kongresman z Connecticut, nie jest w tym proteście osamotniony.

W czasach całodobowych telewizyjnych serwisów informacyjnych

skandal rządził światem. Nie było czasu na weryfikację faktów lub źródeł informacji; mało też było czasu na myślenie. Kilku mądrych polityków trzymało się z boku, ograniczając się do obserwacji zdarzeń, ale istniała też spora ich grupa, dla której przepuszczenie okazji do pokazania się w mediach było nie do pomyślenia. Tak więc stu senatorów i czterystu trzydziestu pięciu kongresmanów chętnie prezentowało w mediach swoje opinie, a przy tym prawie wszyscy bronili kongresmana Rudina. Myśl, że agenci federalni mogą skonfiskować dokumenty znajdujące się w ich biurach i domach, sprawiła, że większość z nich murem stanęła za władzą ustawodawczą. Rudin, mimo swego nieznośnego charakteru, zyskał teraz ich sympatię. Różni eksperci i politycy jednogłośnie zgadzali się, że prezydent Hayes popełnił błąd. Cokolwiek zamierzał osiągnąć, urządzając najazd na dom kongresmana i jego biuro, zakończyło się fiaskiem. Także opinia publiczna opowiedziała się po stronie Rudina.

Taki panował nastrój, gdy krótko przed trzynastą karawana samochodów Kennedy zbliżała się do Hart Senate Office Building. Jej osobista ochrona chciała się zatrzymać przed tylnym wejściem, ale Kennedy odrzuciła ten pomysł. Mimo gwałtownych protestów poleciła, żeby wysadzono ją przed wejściem głównym, gdzie parkowało co najmniej dziesięć satelitarnych telewizyjnych wozów transmisyjnych i zgromadziło się kilkuset demonstrantów domagających się szanowania prawa zapewnionego przez Pierwszą Poprawkę do konstytucji.

Kennedy jak nikt inny w Waszyngtonie wiedziała, jak media potrafią manipulować, i nie chciała, żeby widziano ją, jak między kubłami na śmieci, w otoczeniu członków osobistej ochrony wślizguje się tylnym wejściem do budynku Senatu. Pojawiając się przed tłumem wrzeszczących

protestantów i pchających się karnerzystów, sprawi wrażenie, że nie ma nic do ukrycia.

Gdy trzy auta skręciły za róg, zamieszanie było zbyt wielkie, żeby protestujący i reporterzy mogli ją zauważyć. Karawana nagle się zatrzymała i otwarły się drzwi samochodów. Kennedy znalazła się na chodniku w otoczeniu czterech ochroniarzy, zanim tłum zdążył się zorientować, że tu jest. Policja Kapitolu była na tyle uprzejma, że oczyściła chodnik i wejście. Byli już w połowie drogi, gdy zauważyły ich pierwsze osoby, a zanim rozległy się wrzaski, weszli do środka budynku. Przeprowadzono ich przez punkt kontrolny oraz wykrywacz metali, a po otrzymaniu dodatkowej eskorty, złożonej z czterech funkcjonariuszy Kapitolu, skierowali się do sali, w której obradowała komisja.

W obszernym holu przed pokojem dwieście szesnaście czekali korespondenci wszystkich telewizji naziemnych i kablowych. Pewien dziennikarz, pracujący dla jednej z zajmujących się sensacjami kablówek, oznajmił, że zbliża się kondukt Kennedy, co miało oznaczać, że widzowie wkrótce będą świadkami jej pogrzebu.

Obstawa Kennedy zatrzymała się przed salą przesłuchań, gdzie kandydatka na szefa CIA weszła już samotnie.

Wszyscy senatorowie siedzieli na swoich miejscach i spoglądali na nią z góry, zza podium w kształcie litery U, udekorowanego czerwonym suknem. Mały stolik dla świadków przykrywał zwyczajny zielony obrus, krzesło zaś wykonane było z błękitnego plastiku, a nogi miało z metalu. Na podobnych siedzieli goście na galerii.

Marmurowa ściana za plecami senatorów sprawiała wrażenie, jakby ktoś oblał test Rorschacha. Kennedy przez chwilę patrzyła na pieczęć

umieszczoną na środku tej marmurowej ohydy, spokojnie przyjmując nieustające flesze. Posiadane informacje dodawały jej sił. Jedną z ważnych umiejętności w szpiegowskim fachu była zdolność wprowadzania wroga w błąd, kierowanie jego myśli w wybraną przez siebie stronę i realizowanie własnych planów. Musiała to teraz zrobić. To będzie jej ostatni gambit.

Galeria najeżona była czarnymi soczewkami kamer i mikrofonami. Sala całkowicie wypełniona. Wszystko, co się tu wydarzy, zostanie na żywo przekazane przez państwową telewizję. Senatorowie ze swoich miejsc, z falangą urzędników za plecami, gapili się na nią, jakby była seryjną morderczynią. Dziś drobna Irene Kennedy była ranną zwierzyną, nad którą krążyły już sępy, do której skradały się hieny. A stawka była wysoka, biorąc pod uwagę ogólnokrajowe audytorium. Dziś można było zrobić polityczną karierę, można też było zniszczyć karierę tej, która przez piętnaście lat niestrudzenie walczyła z terroryzmem.

Senator Clark uderzył młotkiem w drewniany blok. Przystojny, opalony, w ciemnym wełnianym garniturze i bordowym krawacie prezentował się znakomicie. Sala go zignorowała, więc ponownie uderzył młotkiem z większą siłą i tym razem odniósł lepszy skutek. Rozmowy zmieniły się w pojedyncze słowa i wreszcie ucichły. Clark spojrzał na Kennedy i pomyślał o swoim wczorajszym spotkaniu z prezydentem. Hayes mógł blefować, ale istniała też możliwość, że nie blefował. Clark postanowił działać ostrożnie. Jak król postanowił poczekać, aż inni pierwsi zajmą pola na szachownicy.

- Doktor Kennedy - zaczął niskim, posępnym głosem -przypominam, że ciągle zeznaje pani pod przysięgą.

• Jestem tego świadoma, panie przewodniczący. - Siedząca samotnie przy stole Kennedy pomyślała, że Clark wygląda jak olbrzym.

- Wiele się wydarzyło od naszej rozmowy w piątek. - Clark spuścił wzrok na leżący przed nim papier, co, jak sądził, powinno dobrze wypaść w telewizji. — Zastanawiam się, czy przed kontynuowaniem zadawania pytań zechce się pani ustosunkować do oskarżenia, jakie wysunął przeciwko pani kongresman Rudin.

Kennedy otworzyła usta, ale nie zdążyła odpowiedzieć. Chociaż była tylko jedna, senatorowie na podium nie pozwolili jej na ofensywę i zmianę porządku obrad. Pięciu z nich próbowało przyciągnąć uwagę Clarka.

- Przepraszam, panie przewodniczący! - krzyknął senator Jetland. Musiał to powtórzyć cztery razy, aby zagłuszyć innych. Kiedy w końcu umilkli, nie czekał, aż przewodniczący udzieli mu głosu. - Myślę, że dla naszych dzisiejszych celów lepiej będzie, jeżeli pozwolimy nominowanej odpowiedzieć na kilka bardzo istotnych pytań. - Senator z Nowego Meksyku rzucił Kennedy krzywe spojrzenie i kontynuował: - Mieliśmy zamiar zacząć dziś przesłuchanie o dziesiątej, ale musieliśmy to przełożyć na pierwszą, a teraz jest już... - spojrzął na zegarek - ...dziesięć po pierwszej. Sugeruję zatem, że jeśli doktor Kennedy chce złożyć oświadczenie, to niech je spíše, i jeśli będzie czas, odczyta je pod koniec dnia.

Pragnący jej krwi senatorzy chcieli jednak usłyszeć, co Kennedy ma do powiedzenia. Dobrze wiedzieli, o co Jetlandowi chodzi, i nie chcieli sprawić wrażenia, że znęcają się nad słabszym. Zaczęli wstawiać się za Kennedy, ale przzerwano im.

Od strony stołu dla świadków nadeszło zaskakujące oświadczenie:

- Odpowiada mi sugestia senatora Jetlanda! - oznajmiła głośno Kennedy.

Jetland przez jakiś czas był wątpliwym sojusznikiem CIA. Pracował też w komisji sądownictwa i poświęcał jej wiele czasu. Tylko raz zaangażował się w sprawy wywiadu, gdy istniała szansa, że w ten sposób jego nazwisko mogło się znaleźć w nagłówkach. Należał też do najzgorzalszych krytyków prezydenta Hayesa.

Znowu, nie czekając, aż przewodniczący udzieli mu głosu, senator Jetland chwycił podstawkę swojego mikrofonu i rzekł:

- To bardzo uprzejmie z pani strony, doktor Kennedy. Zacznę od pytania, jak bardzo była pani zaangażowana w dzisiejsze najazdy na biuro i dom kongresmana Rudina?
- Może pan sprecyzować pytanie?

Na twarzy Jetlanda ukazał się cień uśmiechu.

- Doradzała pani prezydentowi albo dyrektorowi FBI

Roachowi czy może komuś z FBI, że należy zorganizować taki najazd na kongresmana Rudina?

Wszystkie oczy skierowały się na Kennedy. Pochyliła się i odpowiedziała:

- Tak, zrobiłam to.

Na galerii rozległy się szepty. Senator Clark uderzył dwa razy młotkiem

i w sali zapanowała cisza.

- Doradzałam prezydentowi i dyrektorowi Roachowi, żeby wręczono kongresmanowi Rudinowi nakaz rewizji.

Senator Jetland oparł łokcie na stole i rzekł, patrząc na Kennedy:

- Z wielkim niepokojem stwierdzam, że prowadzi pani wendetę przeciwko członkowi Izby Reprezentantów, ponieważ wystąpił publicznie z zarzutami mogącymi zniszczyć pani karierę.

Kennedy nieporuszenie siedziała w milczeniu, a po chwili zwróciła się do Jetlanda:

- To pytanie czy stwierdzenie, senatorze?

Jetland nie był tym rozbawiony.

- Może pani traktować moją wypowiedź jako jedno i drugie. Proszę tylko o szczerą odpowiedź.
- Mogę tylko powiedzieć, że to pan użył słowa „wendeta” - zauważyła Kennedy w swoim oschłym stylu. Mówiła spokojnie, z szacunkiem. - Nie uprawiam wendety przeciwko kongresmanowi Rudinowi. Myślę, że zapis audycji wyraźnie pokazuje, że to kongresman rozpętał wendetę przeciwko CIA.
- Zatem jak pani wytłumaczy polecenie prezydenta, aby potraktować Rudina jak przestępcę?
- Senatorze, nikt do niczego nie może namówić prezydenta. Prezydent Hayes jest...
- Jetland przerwał:
- Czy jakiś agent federalny ostatnio wyważył drzwi do pani mieszkania, żeby po nim buszować?

- Nie miałam pojęcia, że wyważono mi drzwi. - Kennedy wiedziała, że tego nie zrobiono, i nie zamierzała pozwolić Jetlandowi na posługiwanie się takim argumentem.
- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie, doktor Kennedy. Zapytam inaczej. Czy jacyś agenci federalni grzebali w pani dokumentach na rozkaz kongresmana Rudina?
- Nie, nie robili tego.

Jetland potraktował tę odpowiedź jako zwycięstwo i wykorzystał szansę, żeby rzucić znaczące spojrzenie kolegom senatorom.

- To trochę dziwny zbieg okoliczności, że po wywiadzie, jakiego udzielił kongresman Rudin telewizji, i oskarżeniu pani o poważne pogwałcenie prawa pani doradza prezydentowi i dyrektorowi FBI, żeby zrobiono nalot na dom i biuro kongresmana.

Kennedy spojrzała niewinnie na pytającego i odparła:

- Doradzanie prezydentowi należy do moich obowiązków.
- Dziękuję pani, doktor Kennedy - oznajmił Jetland pryncypialnym tonem. - Doceniam znaczenie lekcji, jakiej udziela mi pani w zakresie praw obywatelskich. Teraz zajmijmy się sednem sprawy. Jaki był powód doradzenia prezydentowi Hayesowi, żeby potraktował kongresmana Rudina jak przestępcę?

Kennedy dłużej zastanawiała się nad odpowiedzią. Na tyle długo, że stało się oczywiste, iż nie chce odpowiedzieć na to pytanie. Ostatecznie stwierdziła:

- Przykro mi, ale nie mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie, senatorze Jetland.

Jetland, patrząc w kamery, zmarszczył brwi, a zaraz potem posłał Kennedy groźne spojrzenie.

- Nie może pani czy nie chce?
- Nie chcę - nie poddawała się.
 - Domaga się pani specjalnych przywilejów, doktor Kennedy?
 - Nie, nie domagam się, senatorze Jetland. Nie mogę i nie chcę odpowiedzieć ze względu na bezpieczeństwo narodowe.
- Słowa Kennedy nieco zbiły senatora z tropu i minęła chwila, zanim sformułował następne pytanie.

- Kongresman Rudin wystąpił wczoraj w *Meet the Press* i bardzo poważnie panią oskarżył. Czy może to pani skomentować?
- Nie.
- Dlaczego?
- Dlatego że dotyczy to bezpieczeństwa narodowego.
 - Jakże to wygodne - warknął senator.

Kennedy odparła spokojnie:

- Nie sądzę, żeby kwestia bezpieczeństwa narodowego wiązała się z wygodą.
- Tak - krzyknął senator z Nowego Meksyku - jestem przekonany, że chce się pani schronić za tym, co nazywamy bezpieczeństwem narodowym. Może nawet przy okazji łamie pani prawo, prawda?
- To stwierdzenie czy pytanie, senatorze? - zapytała jak zwykle rzeczowo Kennedy.
- Pytanie - rzucił Jetland. - Myśli pani, że komisja zatwierdzi pani nominację, jeżeli odmówi pani odpowiedzi na pytania?
- Nie. - Kennedy pokręciła głową.

- Czy mam przez to rozumieć, że nie chce pani objąć stanowiska dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej?
- Myli się pan, wysuwając takie przypuszczenie.
- Zatem nadal się pani o nie ubiega?
- Tak.

Jetland uniósł ręce w teatralnym geście zniechęcenia.

- Dobrze, doktor Kennedy, jest mi przykro, że to ja muszę to pani oznajmić, ale nie można mieć wszystkiego. Jeżeli chce pani zostać następnym dyrektorem CIA, musi pani odpowiedzieć na trudne pytania, zatem wróćmy od razu do tematu. - Jetland otworzył teczkę z dokumentami i kontynuował: - Kongresman Rudin twierdzi, że informacji dostarczył mu jeden z pani współpracowników. Znam kongresmana Rudina i nie mam powodów wątpić w autentyczność tego twierdzenia, zatem jestem skłonny mu wierzyć. — Jetland przesunął krzesło i usadowił się wygodniej. - Zaczynając taką dyskusję, można się łatwo zgubić, zatem podam naprawdę prosty przykład, jasny dla wszystkich. - Jetland wyjął fotografię i pokazał ją Kennedy. -Oto zdjęcie twarzy. Zawsze warto spojrzeć w twarz problemowi. A ten problem nazywa się Mitch Rapp. Według kongresmana Rudina i jego informatora, ten człowiek pracował dla CIA przez ostatnie dziesięć lat i nie był tylko zwykłym urzędnikiem - dodał senator, unosząc brwi. - Podobno odpowiada za śmierć ponad dwudziestu ludzi. Dwudziestu ludzi! -Jetland przerwał, 'aby wszyscy mogli sobie wyobrazić dwadzieścia martwych ciał. - Czy może pani potwierdzić albo zaprzeczyć, że ten człowiek jest lub był zatrudniony

przez CIA?

Kennedy spojrzała na fotografię i pomyślała, że Mitch na szczęście jest teraz daleko od telewizora, gdzieś na środku pustyni.

- Senatorze - odparła z zatroskaną miną - ze względu na bezpieczeństwo narodowe nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Jetland z frustracją wyrzucił z siebie:

- To absolutnie nie do przyjęcia!

Kennedy skinęła głową, jakby chciała okazać zrozumienie. Spojrzała na zegarek i ku zdumieniu zebranych wstała. Patrząc na senatora Clarka, oznajmiła:

- Panie przewodniczący, mam pilną sprawę do załatwienia. Proszę wybaczyć, ale nie mogę dziś odpowiadać na pytania komisji. Poza tym należałoby tu wziąć pod uwagę pewne nadzwyczajne okoliczności. Moja niechęć do udzielania odpowiedzi nie powinna sprawiać wrażenia lekceważenia komisji lub Senatu. Jutro prezydent skontaktuje się z panem w sprawie mojej nominacji. Dziękuję za poświęcenie czasu i uwagi.

Po tych słowach Kennedy odwróciła się i opuściła salę, pozostawiając za sobą szeroko otwarte oczy i chór szeptów.

42

ARABIA SAUDYJSKA, PONIEDZIAŁEK, NOC

W czasie przygotowywania helikopterów i sprawdzania ekwipunku w Oasis One panowała nerwowa aktywność. Zakończono odprawy i wszyscy

byli gotowi do akcji. Rapp wyszedł z przyczepy dowodzenia wystrojony w mundur Specjalnej Gwardii Republikańskiej i patrzył na rozgrywający się przed nim spektakl. Powietrze w przyczepie przesycone było papierosowym dymem. Pułkownik Gray ze swoim sztabem słuchał w skupieniu raportów na temat postępów misji. Helikopter Pave Low z 20. Eskadry Operacji Specjalnych przekroczył już granicę i znajdował się W drodze do Skorpiona I. Ta ogromna maszyna transportowała dwunastu żołnierzy sił powietrznych z oddziału STS, czyli kontrolerów i medyków. Specjalizowali się w zabezpieczaniu miejsc lądowania i ewakuowaniu rannych lub zestrzelonych pilotów. Byli kluczowym elementem misji, zwłaszcza gdyby coś nie wypaliło. Aby zwiększyć ich efektywność, pułkownik Gray wysłał z nimi czterech najlepszych snajperów Delta.

Pustynne niebo błyszczało gwiazdami. Rapp szukał księżyca, ale znalazł tylko srebrną biel. Sam wolałby chmury, ale wiedział, że piloci, zrzucający sterowane bomby z wysokości ponad dziesięciu tysięcy stóp, bardziej cenili czyste niebo. Rapp podrapał się po gęstym zaroście. Pokrywał policzki i szyję, i przycięty był na wzór Udaję Husajna. Czerwone i złote epolety na zielonym mundurze wskazywały na rangę generała. Rapp pomyślał, że to śmieszne, iż Udaj w wieku zaledwie trzydziestu siedmiu lat otrzymał tak wysoki stopień. Witamy w szalonym świecie dyktatury. Zapiął czarny skórzany pas z dwiema kaburami. Udaj stroił się jak kowboj i wszyscy wiedzieli, że nosi dwa niklowane colty .45. Do kompletu włożył czarny beret z insygniami SGR i błyszczący czerwony krawat, który skutecznie maskował mikrofon krtaniowy. Rapp z dwóch powodów wolał nie nosić pod mundurem irackim amerykańskiego. Pierwszy - był dobre dziesięć kilo cięższy od

Udają i włożenie dodatkowych rzeczy pod mundur gwardii zwiększyłyby jeszcze bardziej tę różnicę. Drugi powód był bardziej fatalistyczny. Jeżeli go złapią, to zabijają go bez względu na to, jaki będzie nosił mundur. Ale miał na sobie kamizelkę kuloodporną i kodowane radio z mikrofonem krtaniowym i słuchawką. Wszyscy członkowie drużyny mieli podobne urządzenia, zestrojone na wspólną częstotliwość, co pozwalało im utrzymać stałą łączność w czasie operacji.

Rapp patrzył na rozciągającą się przed nim scenę. Oasis One było dogodnym miejscem. Było dowodem inicjatywy wojska, co nie zdarzało się często. Ta formacja skalna wznosiła się na wysokość trzydziestu metrów i miała kształt misy o średnicy stu metrów. Jej brzeg opadał od strony południowo-zachodniej, a środek pokrywała maskująca siatka. Pod siatką stały cztery helikoptery MH-47E Chinook z naziemnymi załogami sprawdzającymi każdy centymetr tych skomplikowanych maszyn, aby mieć pewność, że są w doskonałym stanie. Te dwuwirnikowe maszyny stały się standardowym wyposażeniem 160. SOAR, stacjonującego w Fort Campbell w Kentucky. Pułk znany jest z najlepszych na świecie pilotów helikopterów. Konkurować z nimi mogą tylko piloci z 1. Skrzydła Operacji Specjalnych, również włączeni do dzisiejszej akcji. Obie formacje zawdzięczały swoją obecną doskonałą formą tragedii, która wydarzyła się przed dwudziestoma laty. 24 kwietnia 1980 roku Siły Specjalne Stanów Zjednoczonych poniosły największą porażkę w historii podczas operacji o kryptonimie „Eagle Claw”. Ujawniła ona bezsensowność i negatywne skutki trwającej już od dziesięciu lat rywalizacji między rodzajami broni oraz ogólnej niechęci części dowódców do odpowiednio dobrze finansowanych Sił Specjalnych. Tej

krytycznej nocy żołnierze mieli uratować pięćdziesięciu trzech zakładników przetrzymywanych w amerykańskiej ambasadzie w Teheranie. Pół roku wcześniej ajatollah Chomejni i jego Gwardia Rewolucyjna zajęli ambasadę i uwięzili w niej cały personel. Był to okres prezydentury Cartera i jeżeli chciał on spędzić jeszcze cztery lata przy Pennsylvania Avenue 1600, zakładnicy musieli wrócić do domów.

Była to pierwsza operacja supertajnego oddziału anty-terrorystycznego Delta Force. Zimnego kwietniowego wieczoru pięć samolotów transportowych C-130 i latających cystern miało spotkać się z ośmioma helikopterami RH-53D Sea Stallion w miejscu oznaczonym jako Desert I. Helikoptery miały uzupełnić paliwo i zabrać Delta Force na obszar położony w górach w pobliżu Teheranu. Na nieszczęście dwa z ośmiu helikopterów zmyliły drogi i nie dotarły do Desert I, a trzeci uległ awarii. Liczba sprawnych maszyn była zbyt mała, aby misja mogła się powieść, toteż ją odwołano. Wtedy zła sytuacja stała się wprost bezнадziejna.

Gdy jeden z helikopterów manewrował, aby zająć pozycję umożliwiającą uzupełnienie paliwa, łopaty jego głównego wirnika uderzyły w EC-130E i obie maszyny się zapaliły. Płomienie buchały wysoko w nocne niebo i musiano zarządzić ewakuację, zostawiając płonące wraki i zabitych.

Po tej sromotnej klęsce wojsko powołało komisję śledszą, mającą uspokoić krytykę w mediach i na Kapitolu. Przewodniczył jej admirał James Holloway i na szczęście dla Sił Specjalnych nie dopuścił do żadnego wybielania. Komisja opracowała dokument, który później nazwano raportem Hollowaya. Wyraźnie wykazywał błędy w przygo-

towaniu operacji „Eagle Claw”. Zaczynał się od kwestii helikopterów: stwierdzał, że przyszłe tajne misje będą miały szanse powodzenia, jeśli wojsko znacznie usprawni wykorzystanie helikopterów.

W efekcie utworzono tajną formację sił powietrznych Task Force 160, w której skład weszło czterdziestu wybranych pilotów. Co najmniej sześciu straciło życie w wypadkach w czasie ćwiczeń, gdy zmuszali swoje maszyny do latania w najgorszych warunkach pogodowych. Właśnie wtedy nazwano ich Night Stalkers, Nocnymi Łowcami. Na początku lat dziewięćdziesiątych oddział stanowiło już blisko czterystu lotników. Wtedy powstała oficjalna nazwa tej formacji - 160. Pułk Powietrzny Operacji Specjalnych, czyli SOAR. Piloci ci nieustannie ćwiczyli w najgorszych warunkach i robili to, latając tuż nad ziemią z prędkością stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Dlatego właśnie należeli do najlepszych na świecie.

Rapp powierzał im swoje życie wielokrotnie i chociaż co najmniej trzy razy doprowadzili go do wymiotów, nie było lotników, którym bardziej by ufał. Teraz, w blasku reflektorów z czerwonymi filtrami, obserwował załogi krzątające się przy helikopterach. Czuł się jak w filmie science fic-tion. Dostrzegał nawet dwóch pilotów w kokpitach MH-47E Chinook. Oni też pracowali przy słabym czerwonym świetle. Ponieważ mieli lecieć z wykorzystaniem noktowizorów, co najmniej przez godzinę przed startem nie mogli męczyć oczu silnym oświetleniem. Na Desert I nie miała prawa wydarzyć się żadna katastrofa.

Zmodernizowany chinook kosztował 35 milionów dolarów, mógł transportować trzydziestu ludzi albo różne ładunki. Był wyposażony w ENS (Enhanced Navigation System), czyli najnowocześniejszy system

nawigacyjny mający dwadzieścia niezależnych układów od radaru dopplerowskiego poczynając, przez autokompas i system żyroskopów, a na GPS kończąc. Dzięki niemu pilot zawsze dokładnie wiedział, gdzie się znajduje. Maszyny były też wyposażone w wysoce zaawansowany radar śledzący ukształtowanie terenu, a także system obserwacji w podczerwieni skanujący „do przodu”, zwany FCIR. Pozwalał on latać w najgorszych warunkach atmosferycznych nisko nad ziemią i dolecieć do wyznaczonego miejsca prawie dokładnie o uzgodnionym czasie.

W trzech z czterech chinooków znajdowały się białe mercedesy i po czterech ludzi z Deltą. Rapp miał przydzielony do środkowego. Czwarty chinook był maszyną zapasową, na wypadek gdyby coś się stało z którymś z pozostałych.

Otwierające się drzwi przyczepy dowodzenia przerwały Rappowi samotne rozmyślenia. Usłyszał niski głos pułkownika Graya wydającego rozkazy. Sekundę później major Berg pojawił się obok Rappa i zapytał po arabsku:

- Jesteś gotów, Udaju Husajnie?

Rapp uśmiechnął się. Patrząc na helikopter, odpowiedział w tym samym języku:

- Tak. Do roboty, czas zgarnąć tę zabawkę dla szefa.

Major Berg uśmiechnął się, ukazując zęby, których biel podkreślały gęste czarne wąsy.

- Forpoczta jest w połowie drogi. Na razie nie było żadnych problemów.

• Pora trąbić wsiadanego?

• Za pięć minut. - Berg przez chwilę milczał, a potem dodał: - Ostatnia

szansa, żeby się wycofać.

- Nie masz tyle forsy, żeby mnie przekupić. Nie przepuszczę takiej okazji.

Drzwi przyczepy dowodzenia otwały się i ukazał się w nich pułkownik Gray.

- Majorze Berg, proszę zbierać ludzi i startować! - Zbliżył się do Rappa i wyciągnął rękę. - Powodzenia, Mitch. Chciałbym lecieć z tobą.

Rapp wiedział o tym. Chwycił dłoń Graya i w ostatniej chwili zrezygnował z poproszenia go, by przekazał Annie wiadomość, gdyby coś poszło nie tak. Podziękował pułkownikowi i wyszedł, zabierając po drodze resztę ekwipunku.

GABINET SYTUACYJNY, PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU

Kennedy pojechała z Kapitolu prosto do Białego Domu. Jej zeznania skończyły się tak nagle, że media były kompletnie zaskoczone.

Przygotowano się na całe godziny napastliwych pytań i wymijających oświadczeń. Kiedy zaledwie po trzydziestu minutach opuściła budynek Hart Senate Office Building, większość czekających na nią kamer nie była przygotowana. Ale oprócz nich przed budynkiem znajdowało się ciągle wielu reporterów z aparatami fotograficznymi. Krążyli i skakali wokół ochroniarzy, próbując ją dopaść, gdy skierowała się do swojej limuzyny. Agenci ochrony rozepchnęli ich skutecznie, utorowali drogę Kennedy i w dwadzieścia sekund po wyjściu z budynku bezpiecznie odjechała.

Po przybyciu do Białego Domu jej ochrona pozostała na zewnątrz, co

nie było dobrym posunięciem, bo między wejściem od West Executive Avenue i Gabinetem Sytuacyjnym praktycznie wpadła w ramiona Michelle Bernard, sekretarki prasowej prezydenta.

- Irene, czy możesz mi powiedzieć, co się tam, u diabła, stało? - Bernard pełniła jedną z najbardziej stresujących funkcji w Waszyngtonie.

Kennedy dała jej znak, żeby poszła za nią. Lubiła ją. i nie zazdrościła jej sytuacji, w jakiej się znalazła.

- Co ci powiedział prezydent?

- Nic - odparła z przekąsem. - I to jest właśnie problem. - Bernard obejrzała się, sprawdzając, czy któryś z reporterów ich nie słyszy. — Krążą wokół mnie jak szakale i wychodzę na idiotkę. Niczego nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć. Są przekonani, że o niczym nie mam pojęcia.

- Nie jest tak źle, Michelle.

Bernard zignorowała słowa pocieszenia i zapytała:

- A na ile jest źle?

Skręciły za róg i Kennedy po odczekaniu, aż minie je dwóch członków personelu Białego Domu, odparła:

- Przygotuj się na długą noc.

- Aż tak źle?

- Tego nie powiedziałam, mówię tylko, że to będzie długa noc.

Bernard rzuciła jej niepewne spojrzenie i zapytała:

- Jak ci się, u diabła, udaje zachować taki spokój? Przez cień oni, na litość boską, chcą cię spalić na stosie.

Zatrzymawszy się przed drzwiami Gabinetu Sytuacyjnego, Kennedy

wprowadziła kod otwierający zamek i odparła:

- Nie martw się, nikt mnie nie spali. - Pchnęła ciężkie drzwi i dodała: - Przrzekam, że dziś w nocy będę miała dla ciebie informacje. Zaufaj mi, a na razie lepiej będzie, jeśli nie będziesz wiedziała, co się dzieje.

Zamknęła za sobą drzwi i otworzyła następne, znajdujące po lewej stronie.

W pokoju konferencyjnym panował tłok. Był tam generał Flood z czterema adiutantami, sekretarz obrony Culbertson, Casey Byrne, zastępca sekretarza stanu, i Michael Haik z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Prezydent siedział na swoim zwykłym miejscu u szczytu stołu. Obejrzał się przez ramię, aby zobaczyć, kto wchodzi. Na widok Kennedy natychmiast wstał.

- Wspaniała robota, Irene. Zręcznie załatwiłaś Jetlanda.
- Dziękuję, panie prezydencie. Kupiliśmy sobie trochę czasu, ale boję się, że za mało. W jakiej fazie znajduje się operacja?
- - Usiądź.

Prezydent chwycił krzesło i przysunął je do rogu stołu. Usiedli. Kennedy znalazła się między generałem Floodem i prezydentem. Flood w obu rękach trzymał telefony - jeden przy lewym uchu, drugi w pogotowiu, aby w każdej chwili przyłożyć go do prawego ucha. Prezydent wskazał jeden z trzech dużych ekranów na ścianie.

- To obraz na żywo z AWACS-u patrolującego północny obszar Arabii Saudyjskiej.

Ekran pokazywał duży fragment Iraku, Kuwejt, północną część Zatoki Perskiej i północno-wschodni fragment Arabii Saudyjskiej. Obraz

przesyłał satelita z E-3 Sentry.

- Forpoczta jest na ziemi. - Hayes wskazał na ekran. -

Widzisz błękitny trójkąt na południe od Bagdadu?

Kennedy zmrużyła oczy, żeby zorientować się w gmatwaninie elektronicznych znaków. Po chwili rozpoznała zarys terenu na zachód od rzeki Tygrys.

- Tak.
- Przybyli przed niecałymi pięcioma minutami. Zabezpieczyli lądowisko, więc zespół szturmowy dostał zielone światło.
- To zespół szturmowy? - Kennedy wskazała cztery błękitne trójkąty, położone blisko siebie mniej więcej w połowie drogi od granicy z Arabią Saudyjską do Bagdadu.
- Tak.
- Któryś z naszych sojuszników pytał już, co się dzieje?
 - Właśnie rozmawiałem z premierem brytyjskim. Nie powiedziałem o broni nuklearnej, ale wyjaśniłem, że chodzi o coś poważnego. Tuż przed startem połączyłem się z królem Fahdem oraz rosyjskim prezydentem. Po nich jest jeszcze długa lista.
- Żadnych przecieków?
 - Żadnych. - Prezydent dwukrotnie stuknął kostkami palców o blat stołu.

Dwa czynniki wpływały na konieczność utrzymania operacji w tajemnicy. Pierwszy to krótki czas między pozyskaniem informacji i rozpoczęciem działań. Wszystko trzeba było zorganizować w ciągu sześciu dni - prawdziwy test sprawności armii. Drugi powód był kwestią przypadku. Dzięki wystąpieniu kongresmana Rudina w *Meet the*

Press Waszyngton i świat skupiły uwagę na skandalu. Prezydent zmienił rozkład zajęć i cały dzień spędził w Gabinetcie Sytuacyjnym, co normalnie wzbudziłoby podejrzenie, ale w tej sytuacji oficerowie obcych wywiadów przyjęli, że robi wszystko, by ocalić nominację Kennedy.

Kennedy przeniosła wzrok na północną część Arabii Saudyjskiej i Zatoki Perskiej, gdzie gromadziła się armada powietrzna. Znała dokładnie plan. Szczegółowo przeanalizowali go dziś rano. Błękitne trójkąty przy granicach Iraku to amerykańskie odrzutowce, pobierające właśnie paliwo z ogromnych KC-135. Najbliżej granicy zgrupowano helikoptery szturmowe AH-64 Apache, które mogły być naprowadzone przez MH-53J Pave Lowsy. Wyposażone w systemy JSTAR samoloty miały podać dokładne lokalizacje irackich wyrzutni rakiet przeciwlotniczych ukrytych na odludnych terenach na południe i zachód od Bagdadu, ledwie uruchomione zostaną ich radary celownicze.

Czterdzieści kilometrów od wybrzeża Kuwejtu, w północnej części Zatoki Perskiej, stacjonowała Niezależna Grupa Uderzeniowa, której sercem był lotniskowiec startowy. Wszystkie stacjonujące na nim samoloty już wystartowały, podobnie jak dwie eskadry myśliwców F/A-18 Hornet. US Marine Corps bazujące w Kuwejcie. Okręty grupy w jednej salwie mogły odpalić sto pocisków samosterujących tomahawk. Dodatkowo B-52, które wystartowały z Diego Garcia na Oceanie Indyjskim, były o czterdzieści minut lotu od miejsca, w którym miały pozbyć się ładunku, złożonego z osiemdziesięciu czterech tomahawków.

Tak wiele maszyn w powietrzu musiało wywołać pytania. Zatem aby utrzymać w tajemnicy całą operację, tego dnia attache wojskowi amerykańskich ambasad w rejonie Zatoki Perskiej poinformowali

goszczące ich kraje, że o godzinie dziewiętnastej czasu miejscowego Stany Zjednoczone przeprowadzą ćwiczenia. Pentagon organizował tego rodzaju ćwiczenia kilka razy w roku, aby utrzymać oddziały w ciągłej gotowości bojowej, a Saddama Husajna w niepewności.

Generał Flood odłożył telefony i rzekł:

- Panie prezydencie, F-III są już w powietrzu. Zatan-
kowane znajdują się nad celem w ciągu dwudziestu minut od wydania przez pana rozkazu.

Planiści wojskowi postanowili, że osiem F-III to aż nadto do zniszczenia celu. Byli przekonani, że wystarczy użyć do tego dwóch samolotów, i mieli nadzieję, iż pozostałe sześć zajmie się innymi, precyzyjnie wybranymi celami. Wszystkie samoloty wyposażono w bomby penetrujące typu Głębokie Gardło, GBU-28/B. Gdyby Rappowi i drużynie Delta się nie powiodło, szpital zostanie zrównany z ziemią.

Prezydent ani przez chwilę nie chciał myśleć o takiej ewentualności.

- Jaka jest sytuacja oddziału naziemnego?
- Na razie wszystko idzie dobrze.

Prezydent przez chwilę patrzył na środkowy ekran.

- Podaj mi przybliżony rozkład jazdy.
- Powinni wylądować... - Flood spojrzał na ekran -...mniej więcej za siedem minut. Minutę lub dwie zajmie im wylądunek aut, potem mają prawie półtora kilometra do głównej bramy obiektu. Od tego miejsca pięć kilometrów do drogi numer 144, głównej szosy łączącej Karbalę z Bagdadem. A potem już prosto pięćdziesiąt dwa kilometry do szpitala. Jeżeli nie napotkają żadnych przeszkód, powinni tam dotrzeć w ciągu dwudziestu sześciu minut od momentu osiągnięcia szosy 144.

- Czyli powinni się znaleźć przy szpitalu mniej więcej za czterdzieści minut - wtrąciła Kennedy.
- I chcę, żeby bombardowanie zaczęło się zaraz po ich dotarciu na miejsce? - zapytał sceptycznie prezydent.
- Tak. To pomysł Mitcha.
- Dlaczego?
 - Nie wiem, ale powiedział, że da sobie radę i tak, ale wolałby, żeby bomby zaczęły spadać minutę po dotarciu do celu.

Prezydent miał problem ze zrozumieniem pomysłu Rappa. To wszystko wydawało mu się coraz bardziej zagmatwane. Zaangażował się bardziej, niż zamierzał. Gdyby akcja Delty i Rappa się nie powiodła, byłby skończony. Śmierć amerykańskich żołnierzy i skandal z Kennedy to jego polityczny pogrzeb.

Wyczuwając dręczące prezydenta obawy, Kennedy ujęła go pod ramię i powiedziała z głębokim przekonaniem:

- Proszę się nie martwić, Mitch nie przegra. Prezydent wolno skinął głową.
- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

43

IRAK, PONIEDZIAŁEK, NOC

Cztery helikoptery przecinały zimne pustynne powietrze jak wąż ślizgający się po piasku. Nie leciały wprost do Skorpiona I, czyli

opuszczonej fabryki broni chemicznej pod Bagdadem. Zaawansowane systemy nawigacyjne ustaliły im kurs pozwalający na ominięcie wiosek, głównych dróg i radarów. Lecąc trzydzieści metrów nad pustynią, w odległości dziewięćdziesięciu metrów od siebie i z szybkością ponad stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, piloci nie mogli sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

W ładowni drugiego chinooka Rapp próbował o tym nie myśleć. W powietrzu niczego nie kontrolował. Ze swojego miejsca widział dwóch strzelców przy drzwiach. Obaj obsługiwali mimiguny kaliber 7,62 milimetra, zdolne przeciąć pojazd na pół. Gdy strzelano z nich w nocy, przypominały miotacze ognia. Przez otwarte luki z hałasem konkurującym z rykiem silników i łoskotem wirników do kadłuba wdzierało się powietrze. Mercedes zasłaniał mu widok na trzeciego strzelca, ulokowanego przy rampie ogonowej, ale Rapp wiedział, że tkwi tam zabezpieczony uprzęzą i trzyma elastycznie zamocowany karabin maszynowy M60. Samochód przymocowano do podłogi za pomocą czterech uchwytów. Za kierownicą siedział jeden z członków Delty, gotów do wyprowadzenia auta tyłem, gdy tylko rampa opadnie na ziemię. Trzech strzelców miało na głowach lotnicze hełmy z noktowizorami i przewodami łączącymi ich z pilotami i nawigatorem, aby mogli przekazywać im, co widzą. Lecieli z głowami dosłownie wystawionymi poza kadłub maszyny.

Lot nie był ani gładki ani równy. Wielu ludzi wytrzymałoby taką, podobną do karkołomnej jazdy kolejką górską huśtawkę tylko kilka minut. Godzinny lot w takich warunkach mógł do tego stopnia zakłócić poczucie równowagi, że w końcu nawet najmniejsze dotknięcie lub ruch

wywoływały mdłości i wymioty. Rapp był do tego przyzwyczajony, podobnie jak członkowie Delta Force.

Jeden ze strzelców przy drzwiach opuścił posterunek i podszedł do pozostałych. Poklepał ich po ramionach i pokazał pięć palców. Byli już prawie na miejscu i gdy wyląduje, głównym zadaniem Rappa będzie trzymanie się z boku i pozwolenie chłopcom z Delty na zrobienie tego, co do nich należy. Jeszcze raz prześledził w myślach listę zadań. Potrafił sobie wyobrazić tok zdarzeń, gdy dotrą do szpitala. Dokładnie wiedział, co musi zrobić, by wejść do środka i nie miało to nic wspólnego z wyrybawianiem sobie drogi ogniem.

Po kilku minutach Rapp poczuł, że helikopter zwalnia. Byli blisko. Nagle maszyna zakołysała się, opadła i dotknęła tylnymi kołami ziemi. Nie mógł wyjrzeć przez okienko, ale wiedział, co się dzieje. STS przygotowało lądowisko na parkingu opuszczonej fabryki, rozkładając cztery lampy podczerwone w równej odległości od siebie. Przez noktowizory ich blask był tak wyraźny jak światło latarni morskiej. W ciągu kilku sekund wszystkie cztery maszyny znalazły się na ziemi, każda lądując na wskazanym przez jedną z lamp miejscu.

Gdy łoskot oznajmił zetknięcie z ziemią, Delta przystąpiła do działania. W mercedesach zapuszczono silniki i zwolniono zaczepy. Po niecałych pięciu sekundach od wylądowania wyprowadzono auta na zewnątrz. Rapp opuścił maszynę zaraz potem i wskoczył na miejsce obok kierowcy.

Trzy mercedesy natychmiast znikły w ciemnościach nocy. Rapp bez wahania zapiął pas. Wyłączono automat zapalający światła samochodów po przekręceniu kluczyka; miały zapłonąć w stacyjce dopiero na głównej drodze. Rapp ledwo widział

wyprzedzający ich samochód. Na szczęście prowadzący sierżant miał gogle noktowizyjne.

W ciągu czterdziestu pięciu sekund auta dotarły do głównej bramy. Mijając ją, Rapp dostrzegł człowieka, który jej pilnował. Po pokonaniu jakichś czterystu metrów w ich słuchawkach rozległ się głos majora Berga:

- Na mój sygnał włączyć reflektory. Trzy... dwa... jeden... włączać.

Trzej kierowcy zdjęli gogle i włączyli reflektory. Musieli to zrobić równocześnie, bo gdyby mieli na oczach noktowizory, zostaliby chwilowo oślepieni. Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy droga stała się widoczna. W radiu odezwał się głos majora Berga:

- Dobra robota, chłopcy. Dwadzieścia minut do Bagdadu, a potem zacznie się prawdziwa zabawa.

KAPITOL, PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU

Hank Clark podwinął rękawy białej koszuli. Oparł się łokciami o biurko i tarł palcami skronie. Jego marzeniem było znaleźć się teraz w swojej kryjówce na Kapitolu, ale wiedział, że nigdy mu się to nie uda bez nagabywania przez media. Sekretariat jego biura przypominał małą wybieg ogrodu zoologicznego. Przynajmniej trzech telewizyjnych reporterów domagało się wywiadu, a pięciu następnych czyhało tylko na okazję, by podetknąć mu pod nos te cholerne dyktafony.

Właściwie powinien się cieszyć, że sprawy właśnie tak się potoczyły, ale coś go niepokoiło. Nie wiedział, co przeoczył, ale czuł, że coś się dzieje. Zeznania Kennedy, albo ich brak, zaskoczyły go, jednak nie do tego

stopnia jak wtargnięcie FBI do biura i domu Rudina. Clark miał nadzieję, że Steveken był na tyle rozsądny, żeby zniknąć. Rudin z pewnością nie pójdzie na współpracę z FBI, za bardzo ich nienawidzi, ale jeżeli zostanie oskarżony, może wydać Stevekena i Browna, by ratować własną skórę. A do tego prezydent powiedział mu, żeby we własnym interesie nie naciskał na Kennedy. A Kennedy zjawiała się, zasłaniając się koniecznością zachowania tajemnicy w związku z bezpieczeństwem narodowym. Coś się działo, ale nie miał pojęcia co.

Nagle usłyszał hałas za drzwiami. Clark już przygotował się na nalot reporterów, gdy do środka wpadł Rudin. Kościsty kongresman zatrzasnął za sobą drzwi i przebiegł przez pokój, dziko machając rękami.

- Wiem, że nie zechcesz odebrać tego cholernego telefonu, więc przyszedłem tu sam. Co się, u diabła, dzieje?

Clark westchnął i stłumił chęć rzucenia Rudinowi, żeby się zamknął.

- Co, Albercie, mam według ciebie zrobić?
- Miał jej urwać łeb.

- Nie sądzę, żeby to dobrze wypadło w telewizji.

Rudin zatrzymał się przed biurkiem.

- Nic mnie nie obchodzi, jakby to wypadło, Hank. Ta cholerna dziwka przyznała się, że doradziła prezydentowi napaść na mój dom. Na mój pieprzony dom!
- Myślałem, że Jetland robi to lepiej.
- Straciłeś rozum? Zachowywał się jak jakiś napuszony apodyktyczny dupek.

Clarka korciło, by zapytać Rudina, czy widział jakieś własne nagrania, ale powiedział tylko:

- Gdybym ja ją przesłuchiwał, zrobiłbym dokładnie tak samo wrażenie.

Wyraz twarzy Rudina wyraźnie wskazywał, że się z tym nie zgadza.

- Nie powinieneś pozwolić, żeby tak uciekła. Mnie się to nie podoba. - Uniósł ręce. - Ja zrobiłem, co do mnie należało, a ty tylko tam siedziałeś bez słowa.

- Spokojnie, Albercie. - Clark wskazał mu krzesło i dodał: - Siadaj. Za bardzo się przepracowujesz. Kennedy mamy już z głowy. - Senator nie był tego taki pewny, ale uświadomił sobie, że musi coś powiedzieć, by zmiękczyć Rudina.

- Och, nie ma co do tego wątpliwości. Lepiej, żeby prezydent rozejrzał się za nowym kandydatem - powiedział Rudin. - Jeszcze zanim się to wszystko zaczęło, byłbym usatysfakcjonowany, gdyby udało się choćby udupić jej karierę. Ale nie teraz. - Obwisłe policzki zafalowały, gdy

- energicznie potrząsnął głową. - Teraz chcę, żeby zgniła w więzieniu.

- Nie mam ci tego za złe - skłamał Clark. - Jeśli poradziłaby prezydentowi, żeby napadnięto na mój dom, też byłbym wściekły.

- Czy to znaczy, że pozwolisz mi prowadzić jej przesłuchanie?

Clark uśmiechnął się chytrze.

- Myślę, że nasze obie komisje będą miały dość roboty.

Obaj mężczyźni przez chwilę rozkoszowali się perspektywą zniszczenia Kennedy. Przerwał im głos sekretarki Clarka dochodzący z głośnika telefonu.

- Senatorze, prezydent Hayes na linii.

Clark wytrzeszczył oczy, udając przesadne zaskoczenie.

- Dziękuję, Debbie. Zaraz odbiorę. - Patrząc na Rudina, zapytał: - Jak myślisz, o co mu chodzi?

Rudin rozłożył ręce i oznajmił radośnie:

- Pewnie wycofuje nominację. Bo co by innego?

Clark pomyślał, że Rudin ma rację. Wyeliminowanie Kennedy sprawiłoby, że odetchnąby z ulgą i pomógł wyznaczyć Browna na następnego kandydata. Poza tym mógłby nadal prowadzić przesłuchanie. Wyjaśni prezydentowi, że byłoby to niezbędne do utrzymania równowagi w obliczu wściekłych ataków oskarżycielskich Rudina i jego komisji na Kennedy. W końcu podniósł słuchawkę.

- Panie prezydencie.

- Hank, nie mam dużo czasu, więc ujmę to krótko. Mniej więcej za dziesięć minut zaczniemy bombardować Irak. Poinformowałem już przewodniczących obu izb. Podpisałem też prezydencki wniosek, upoważniający do użycia znajdujących się w tym rejonie pododdziałów Sił Specjalnych. Teraz nie mogę wdawać się w szczegóły, ale jeszcze dzisiejszej nocy wydamy specjalne oświadczenie. Zrób mi, proszę, przysługę i zatrzymaj to dla siebie aż do ogłoszenia oficjalnych informacji.

- Naturalnie, panie prezydencie.

- Dziękuję, Hank. Będziemy w kontakcie.

Prezydent rozłączył się i Clark powoli odwiesił słuchawkę. Rudin ciągle promieniał.

- Co powiedział? Wycofał nominację?

Clark przez chwilę milczał.

- Nie, dzwonił, żeby poinformować mnie, że za dziesięć minut

zaczniemy bombardować Bagdad.

- Co?! - Rudin podskoczył na krześle. - To niemożliwe! On nie może i nie jest...
- Może i jest - przerwał Clark stanowczo, równocześnie próbując dociec, co się dzieje.
- Ogon rusza psem, do cholery? To dywersja mająca odwrócić uwagę mediów od Kennedy.

Clark zyskał chwilę do namysłu. Zastanawiał się nad tym, gdy Rudin miotał się po pokoju tam i z powrotem. Clark dobrze znał Roberta Hayesa i wiedział, że nie należy do tych, którzy wysyłają żołnierzy do walki tylko po to, aby odwrócić uwagę od politycznego kryzysu, ale prezydent robił różne dziwne rzeczy z ludzką moralnością... Patrząc na purpurową twarz Rudina, Clark postanowił go trochę zachęcić.

- Naprawdę myślisz, że się do tego posunął?
 - Przecież dobrze wiesz, że tak! Wystawił do wiatru moją pieprzoną partię, aby tylko ocalić własny tyłek! -Rudin przerwał i grzmotnął się pięścią w piersi. - I niech mnie szlag trafi, jeżeli dam się wrobić. Powiem wszystkim reporterom o tej farsie!
 - Zrobisz, Albercie, co uznasz za stosowne, ale zanim cokolwiek powiesz, musisz zaczekać, aż bomby zaczną spadać.

Rapp udzielił członkom zespołu tylko jednej rady. Mając przed sobą prawdziwych profesjonalistów, którzy niechętnie słuchają obcych mówiących im, co powinni robić, musiał bardzo uważać, ale uczynił to w sposób bardzo stanowczy:

- Bądźcie bezczelni, arogancy i jeżeli ktokolwiek wejdzie wam w drogę, zagrożcie mu śmiercią.

Tak zachowywał się Uday Husajn. Nauczył się tego od ojca i był w tym od niego lepszy. Saddam był bezwzględny, ale przynajmniej wydawało się, że używa siły nieco sensowniej. Stosował zasadę trzymania poddanych w ciągłym strachu. Dopóki ludzie pełzają ze strachu, dopóty nie odważą się podnieść. Uday przeciwnie, zdawał się znajdować perwersyjną przyjemność w okaleczaniu i zabijaniu niewinnych ludzi na różne, bardzo wyszukane sposoby.

Saddam tolerował brutalne zachowanie Udaya z trzech powodów. Po pierwsze, sam nie był święty, po drugie, Uday był jego synem, a po trzecie, sadystyczne postępowanie Udaya służyło pewnym celom. Pomagało szerzyć strach nawet wśród najbliższych współpracowników Saddama. Przesłanie było jasne: jeżeli podskoczysz, skończysz jako jedna z nocnych rozrywek Udaya.

Cały Irak o tym wiedział, wiedziały też zachodnie agencje wywiadowcze. W 1995 roku dwóch zięciów Saddama, Husajn Kamei i Saddam Kamei, uciekło z córkami dyktatora do Jordanii. Saddam szybko namówił ich, żeby wrócili do Bagdadu. Przyrzekł im wybaczyć i twierdził, że dla niego najważniejsza jest jedność rodziny. Po ich powrocie Uday zaczął przekonywać ojca, że należy ich przykładowo ukarać. Saddam się ugiął. Uday przez wiele godzin torturował szwagrów, a potem zabił i na

koniec, by dać sygnał wszystkim Irakijczykom, spalił ich domy do fundamentów. Wszystko to zrobił w obecności swoich sióstr, którym pozwolił żyć.

Krażyła też opowieść o przyjacielu, który odważył się skrytykować syna Saddama. Udaj zawiązał mu struną penisa, a potem siłą wlał mu do gardła trzy butelki ginu. Mężczyzna umarł naprawdę bolesną śmiercią. Zaledwie rok wcześniej jego ojciec wysłał jednego ze swoich głównych doradców, żeby omówił z Udajem pewne sprawy państwowe. Udaj stwierdził, że mężczyzna traktuje go zbyt protekcyjnie, więc obciął mu jądra i rzucił psom na pożarcie. Pozwolił mu żyć, aby przypominał o tym, że Udaję należy traktować z najwyższym szacunkiem. Rapp opowiedział to wszystko i dużo więcej członkom Delt, aby pojęli, jak wielki strach zasiał Udaj w sercach Irakijczyków. Ten strach był równocześnie kluczem do szpitala.

Auta bez przeszkód ruszyły szosą numer sto czterdzieści cztery. Dochodziła jedenasta w nocy i bardzo nowoczesna sześciopasmowa autostrada była względnie pusta. Kilka aut osobowych i ciężarówek szybko usunęło się na bok, gdy mijała je kolumna trzech białych mercedesów, mknąca z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Po dotarciu do granicy miasta skręcili na drogę ekspresową Abu Ghurayb i następna sześciopasmowa magistrala zaprowadziła ich do centrum Bagdadu. Po lewej ciągnęły się zabudowania fabryki amunicji Abu Ghurayb, po prawej mieli główne koszary Gwardii Republikańskiej, gdzie stacjonowało ponad dziesięć tysięcy żołnierzy, gotowych stłumić każdy przejaw buntu przeciwko Saddamowi.

W pewnej chwili Rapp zauważył, że prowadzący samochód zaczyna

zwalniać. Na środku pasa stał samochód policyjny. Rapp krzyknął do mikrofonu:

- Nie zwalniać! W tym kraju żaden gliniarz nie może zatrzymać takiego konwoju. Miń go z pełną szybkością.

Mercedesy miały przyciemnione szyby, uniemożliwiające zajrzenie do środka. Gdy mijali radiowóz, Rapp spojrzął na policjanta. Tak jak się spodziewał, nawet nie odważył się patrzeć na mknące luksusowe sedany.

Komputer samochodowy prezentował plan miasta. System połączony był z GPS i umożliwiał dokładne ustalenie położenia każdego auta. Drogę prowadzącą do szpitala oznaczała na mapie zielona linia. W ramach dodatkowego zabezpieczenia wszyscy zapamiętali lokalizację szpitala i ulice, którymi można do niego dojechać.

Pierwsze auto włączyło prawy kierunkowskaz i skręciło. Teraz droga zaczęła się wznosić i gdy znaleźli się na podjeździe i przygotowywali do skręcenia w Shari' Arba'at, Rapp ujrzał przed sobą błysk. Przez ułamek sekundy pomyślał, że to błyskawica, ale po nim nastąpiły trzy następne. Nie pochodziły z nieba, tylko z ziemi. Nagle na nocnym niebie pojawiły się ogniste smugi i Rapp domyślił się, że to ślady tomahawków. Był to zdumiewający widok, przypominający burzę meteorytów. Na południe od nich zaczęły wykwiatać blaski eksplozji, aż w końcu usłyszał wybuchy. Kierowcy trzymali kurs na szpital. Gdy dotarli do Shari' Al Mansur, skręcili w lewo i pomknęli prosto. Po przejechaniu kilku przecznic minęli ambasadę rosyjską i okrążyli samochody, które zatrzymały się na środku drogi.

W tym momencie przecznicę dalej, niecałe trzydzieści metrów nad ziemią, przemknęła z rykiem silnika ogniowa smuga. Autami wstrząsnął

huk, ale jechały dalej, nawet przyspieszyły. Od szpitala dzieliło ich już tylko kilka przecznic.

- Majorze - rzucił do mikrofonu Rapp - widział pan tłum zbierający się przed rosyjską ambasadą?
- Potwierdzam.
- Miejscowi wiedzą, gdzie się ukryć w czasie nalotu. W czasie naszej ewakuacji ulice mogą być zablokowane.
- Wiem, obieramy trasę alternatywną. Czy wszyscy zrozumieli? Powrót zapasową trasą.

Kierowcy potwierdzili otrzymanie rozkazu i kolumna mknęła dalej. Eksplozje były coraz bliższe i Rapp przez moment zastanawiał się, czy podjęcie się tego zadania nie było czystym szaleństwem. Celowo prosił, aby nalot rozpoczęto kilka minut po ich przybyciu do szpitala, nie wcześniej. Najbardziej obawiał się, żeby schron pod lecznicą nie został zamknięty zgodnie ze standardową procedurą praktykowaną w czasie bombardowania.

Przed nimi był ostatni zakręt; trzy pojazdy minęły róg ulicy. Po lewej mieli boczne wejście do szpitala. Ulica była pusta. Rapp nie wiedział, czy to dobrze, czy źle.auta zahamowały i natychmiast otwarło się dwanaście drzwi. Każdy robił swoje. W pierwszym i trzecim wozie otwarto szyberdach i wystawiono na trójnogach karabiny maszynowe Heckler & Koch kaliber 7.62 mm. Ta ciężka broń mogła przestrzelić wszystko lżejsze od transportowca opancerzonego. A na czołg mieli trzy wyrzutnie rakiet przeciwpancernych LAW 80. Trzech kierowców stało przy swoich pojazdach, nie gasząc motorów. Byli wyposażeni w karabiny M4A1 z celownikami optycznym i podwieszanymi pod lufy

czterdziestomilimetroowymi granatnikami M203. Kierowca środkowego auta miał za zadanie kryć drzwi po wejściu drużyny do środka.

Pozostałych siedmiu ludzi razem z Rappem szybko podeszło do drzwi. Wszyscy, z wyjątkiem Rappa, mieli karabiny maszynowe Heckler & Koch MP10 z tłumikami. Była to cicha, śmiertelnie niebezpieczna na krótki dystans broń kalibru 9 mm. Ale Rapp wołał jej nie używać. Pierwotny plan przewidywał AK-74 i AKSU, standardowe wyposażenie Specjalnej Gwardii Republikańskiej, ale Rapp wyjaśnił, że Udaj ma fioła na punkcie broni i ludzie z jego ochrony nosili najlepszą broń, jaką można było kupić.

Drzwi były metalowe i niczym nie oznaczone, nikt też z nich nie wiedział, czego się spodziewać po drugiej stronie. Prowadzący pchnął drzwi w chwili, gdy ziemia zatrzęsała się od eksplozji, która nastąpiła gdzieś niedaleko.

Stojący w małym pokoju iracki żołnierz miał przy uchu słuchawkę telefonu i pistolet maszynowy przewieszony przez ramię. Miał też szeroko otwarte oczy, w których widoczny był strach wywołany eksplozją albo nagłym zjawieniem się jednostki Specjalnej Gwardii Republikańskiej.

Rapp nie zastanawiał się sekundy - utykając jak Udaj, szybko zbliżył się do Irakijczyka i wrzasnął po arabsku:

- Rzuć ten telefon!

Mężczyzna zamruczał coś do słuchawki i nerwowo ją odwiesił.

Wyprężył się na baczność, zasalutował i zameldował:

- Generale Husajn, atakują nas Amerykanie. Musimy zaprowadzić pana do schronu.
- Wiem, że nas atakują, idioto! Dlatego tu jestem. Zaprowadź nas do

bomby.

Strażnik bez wahania odwrócił się i wsunął klucz w zamek nitowanych stalowych drzwi. Otworzył je szeroko i wskazał gestem drogę. Gdy Rapp znalazł się w nieco większym pokoju, strażnik nerwowo wsunął klucz do skrzynki w ścianie i rozsunęły się ciężkie drzwi, ukazując wnętrze windy towarowej. Wszyscy weszli i strażnik nacisnął jeden z dwóch guzików.

- Jest doktor Lee? - zapytał Rapp.

Strażnik nie patrzył Rappowi w oczy.

- Słucham, generale Husajn?
- Koreańczyk! — krzyknął Rapp.
- Tak, chyba tak - odparł mężczyzna niepewnie.
- Do kogo telefonowałaś, gdy tu weszliśmy?
- Do dowództwa, generale.
- Po co?
- Żeby na wszelki wypadek przysłali posiłki. Ponieważ znajdujący się na ulicy nie mogli tego słyszeć,

więc Rapp powtórzył:

- Dowództwo przysyła posiłki! Idioci! Tylko zwróć uwagę na to miejsce.

Winda zatrzymała się i otworzyły się drzwi. Czekają na nich dwóch wartowników. Stali na baczność, prezentując broń, po obu stronach dużych i otwartych pancernych drzwi. Żołnierz, który ich przyprowadził, zapytał:

- Mogę zatelefonować do dowództwa, generale, i powiedzieć, żeby nie przysyłali ludzi?
- Tak, zrób to! - zagrział Rapp.

Kuśtykając, minął drzwi i wszedł do pomieszczenia przypominającego grootę o wymiarach około czterdziestu metrów na sto ze stropem na wysokości blisko siedmiu metrów.

Major Berg znalazł się przy Rappie.

- Kamery - szepnął po arabsku.

Rapp spojrział w górę i od razu dostrzegł cztery kamery. Przysunął się do majora i rzekł:

- Zostaw dwóch ludzi i niech mają na oku strażników.

Rapp usłyszał brzęczenie i odwrócił się. To zamykały się pancerne drzwi.

- Stop! - krzyknął. - Nie dałem rozkazu zamknięcia tych drzwi!

Strażnik przy ścianie uderzył całą dłonią w czerwony przycisk i zamarł bez ruchu. Rapp warknął:

- Miałeś dzwonić, żeby nie przysyłali posiłków. Jak przy ślą i zwróci to uwagę wroga, obetnę jaja tobie i temu idioocie, który je wyśle!

Strażnik podbiegł do najbliższego telefonu i chwycił słuchawkę. Rapp spojrział na drugi koniec pieczary. Za szklaną ścianą znajdował się sterylny pokój, a w środku pracowali jacyś ludzie w białych kitlach i nakryciach głowy. Wraz z Bergiem i czterema ludźmi wpadł tam i ujrzał pięciu Koreańczyków spowitych od stóp do głów w chirurgiczne stroje.

- Doktor Lee!

Jeden z Koreańczyków podszedł, machając rękami.

- Nie... nie... nie może pan tu wchodzić w tym ubraaniu - zaprotestował nieporadnie po angielsku.

Rapp wyjął niklowanego colta, odwiódł kurek, wycelował w głowę doktora i wrzasnął:

- Nie mów mi, co mam robić!

Naukowiec zamarł bez ruchu i pochylił głowę.

• Przepraszam.

• Gdzie ta broń?! - krzyknął Rapp. Nie miał pojęcia, czy doktor Lee kiedyś spotkał Udaję, ale na razie przebranie spełniało swoje zadanie.

• Broń? - zapytał Koreańczyk.

• Bomby, idioto! Amerykanie wiedzą o nich. Właśnie nas bombardują z powietrza, a jeden z naszych szpiegów doniósł, że zrzucą tu specjalne bomby.

• Ale one nie są jeszcze gotowe.

• Nic mnie to nie obchodzi! - Rapp wskazał wózek stojący po drugiej stronie pomieszczenia. - Natychmiast połóż najważniejsze części na ten wózek! Musimy się stąd szybko wynosić!

Doktor Lee odwrócił się i zaczął wydawać swoim ludziom rozkazy po koreańsku. Rapp obejrzał się na dwóch członków Delty, którzy specjalizowali się w materiałach wybuchowych i wiedzieli, na co zwracać uwagę. Ruchem głowy dał znak, żeby mieli oko na uczonych, a sam chwycił majora Berga pod rękę i wrócili do dużego pomieszczenia.

- Niech chłopcy zostawią jeden z ładunków w laboratorium.

Każdy członek grupy miał wokół pasa ładunek zawierający dość plastiku C4, by zburzyć sporą kamienicę. Major skinął głową.

• To wystarczy. Dodatkowy ładunek umieścimy na butelkach z ciekłym azotem.

- A następny w windzie.

Podszedł do nich strażnik, któremu Rapp polecił połączyć się z dowództwem. Był wyraźnie zdenerwowany.'

- Generale Husajn. - Zatrzymał się w takiej odległości, aby Rapp nie mógł go dosięgnąć. - Przykro mi, ale dowództwo powiedziało, że twój brat Kusaj wydał swoim oddziałom rozkaz zabezpieczenia tego miejsca. Żądają, żebym zamknął drzwi pancerne.

Skończyły się żarty, zaczęły się schody - Kusaj był starszym bratem Udaję i następcą Saddama.

- Ty niekompetentny kretynie! - Rapp skoczył do przodu i uderzył mężczyznę w twarz.

Strażnik padł na kolana w geście poddania. Rapp spojrzął na Berga i mruknął:

- Szybko. - A do kulącego się na podłodze strażnika krzyknął: - Wstawaj! Pójdiesz ze mną.

Skierował się do czekającej na końcu pomieszczenia windy. W milczeniu wjechali na górę. Otworzyły się drzwi i Rapp przystawił lufę pistoletu do głowy mężczyzny.

- Wracaj na dół, pomóż moim ludziom i nawet nie myśl o zamknięciu drzwi Jeżeli to zrobisz, wyłupię ci oczy!

Rapp opuścił windę i wyszedł na ulicę. Kiedy opuszczał budynek, zza rogu wynurzyły się dwa transportery opancerzone. Natychmiast usłyszał głos jednego z czekających na zewnątrz kierowców.

- Cholera, mamy tu dwa ruskie BTR-80. Przygotować LAW-y.

Rapp pokuśtykał w kierunku stalowych potworów.

- Wstrzymajcie ogień, chłopcy - rzucił do mikrofonu. -

Zobaczę, co da się zrobić.

Podnosząc rękę, zatrzymał pojazdy między przecznicami. W jednym otworzył się właz desantowy i pojawił się w nich iracki pułkownik w mundurze SGR. Rapp natychmiast zorientował się, że znalazł się w trudnym położeniu. Istniała cholerna możliwość, że ten oficer dobrze znał Udaję.

- Pułkowniku, natychmiast zabierz stąd swoich ludzi.

Ojciec wysłał mnie tu ze specjalną misją. Możesz stracić głowę, gdyby się dowiedział, że tu jesteś.

Oficer zatrzymał się trzy metry przed Rappem i patrzył na niego zdziwiony. Zmarszczył brwi i zapytał:

- Udaj?

Rapp wyczytał z wyrazu jego twarzy, że tym razem maskarada się nie uda. Błyskawicznie wyciągnął pistolet i strzelił mu w sam środek czoła. Kula kalibru .45 zwała mężczyznę z nóg. Rapp postąpił do przodu i krzyknął z całych sił:

- Jak śmiesz tak mówić o moim ojcu!

Oddał jeszcze trzy strzały w martwe ciało, napluł na nie i podniósł wzrok na transporter opancerzony, zamachał pistoletem i krzyknął:

- Natychmiast wynosić się stąd albo ojciec zetnie wam głowy!

Szybko odwrócił się i pokuśtykał w kierunku mercedesów. Po drodze rzucił do mikrofonu:

- Jestem pewien, że macie przygotowane rakiety.
- Potwierdzam - usłyszał czyjś głos.

- Zatem użyjcie ich, zanim zdążą zameldować, co się właśnie stało.

Rapp zauważył, że jeden z jego ludzi wyjmuje z samochodu krótką broń i wyciąga ją, odbezpieczając przed strzałem. Błyskawicznie odszedł dwa kroki od samochodu i krzyknął.

- Padnij!

Rapp skoczył na chodnik i zanim rzucił się na ziemię, usłyszał przejmujący świst 94-milimetrowej rakiety opuszczającej wyrzutnię. Po ułamku sekundy nastąpiła detonacja i transporter stanął w płomieniach. Jeszcze nie opadły na ziemię jego szczątki, a Rapp ujrzał drugiego strzelca przebiegającego na drugą stronę ulicy z następną wyrzutnią. Ukląkł w drzwiach, wymierzył w drugi transporter i odpalił raketę.

Rapp zatkał uszy. Siła eksplozji rzuciła go na ziemię. Po chwili wstał i gdy rozległy się serie z broni maszynowej, podbiegł do budynku i krzyknął:

- Majorze Berg, wiedzą, kim jesteśmy. Zrywamy się!

Wbiegł do środka i sprawdził, że winda jest nadal na górze.

- Jak sytuacja, majorze?
- Mamy bomby albo przynajmniej najważniejsze części.
- Załatwcie strażników i na górę!
- A co z uczonymi?

- Cholera! - Zapomniał o nich. Przez chwilę rozglądał się i w końcu rozkazał: - Wszystkich na górę. Szybko.

- Zrozumiałem.

Rapp wrócił na ulicę. Strzelanina chwilowo ucichła. Nerwowo spojrzął na zegarek i zaklął pod nosem. Chciał, żeby wszyscy byli już na górze.

Połowa rozstawiła się, przeczesując teren, gotowa strzelać do wszystkiego, co się poruszy. Rapp wrócił do budynku i nerwowo czekał na przybycie windy. Gdy otwarły się drzwi, wypadło z nich dwóch członków Delty ciągnących wózek. Za nimi wyszedł doktor Lee, głośno protestując po angielsku, że komponenty są zbyt kruche, aby tak z nimi postępować.

Rapp walnął go lewym hakiem w szczękę i chwycił go w chwili, gdy ten zaczął padać na podłogę. Przerzucił Lee przez ramię i dał znak pozostałym, by wynosili się z windy, w której rogu tłoczyli się jak stadko kur. Jeden z ludzi Berga wrzucił ładunek wybuchowy do windy. Wciśnięto przycisk, drzwi się zasunęły i kabina ruszyła w dół. Rapp krzyknął do Koreańczyków:

- Zastrzelę każdego, kto stąd wyjdzie!

Zatrzasnął za sobą drzwi, minął mniejszy pokój i wyszedł na ulicę. Wepchnął ciało Lee do bagażnika ostatniego auta i skuł mu ręce kajdankami.

- A on nam po co? - zainteresował się Berg.
- Doktor Lee następne kilka lat spędzi na opowiadaniu nam tego, co wie o saddamowskim programie broni nuklearnej. A dalsze kilka na relacjonowaniu koreańskiego.

Berg się uśmiechnął.

- Dobry pomysł. Możemy już się stąd wynosić?
- Tak. Niech ktoś zamknie te drzwi i umieści dodatkowy ładunek z zapalnikiem nastawionym na trzydzieści sekund.

Berg wydał po arabsku rozkazy i jego ludzie przystąpili do roboty. Kolejno wycofywali się do aut i wsiadali. Strzelcy wychylili się przez

otwory w dachach i zabezpieczali teren do momentu, gdy ostatni członek grupy zatrzasnął za sobą drzwi auta. Sprawdzono obecność i Berg dał rozkaz odjazdu.

Samochody przy akompaniamencie syren ogłaszających alarm i huk dział przeciwlotniczych, podkreślonego eksplozjami spadających bomb, szybko odjechały, zostawiając na miejscu płonące transportery. Nocne niebo rozjaśnił

ogień pocisków smugowych, ulice były puste. Bomby zmusiły ludzi do ukrycia się. Chwilę później skręcili w Shari' Al Urdun i jadąc na pełnym gazie, po pokonaniu półtora kilometra skręcili na drogę numer dziesięć, teraz pustą sześciopasmową autostradę, prowadzącą do czekających na nich helikopterów. Major Berg przez radio poinformował pułkownika Graya o sytuacji, podczas gdy wozy mknęły z szybkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę w kierunku helikopterów, ku bezpieczeństwu i spokojowi.

45

GABINET SYTUACYJNY, PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU

Pułkownik Gray poinformował generała Flooda za pośrednictwem radarowej łączności satelitarnej, że grupa uderzeniowa wykonała główne zadanie bez ofiar i znajduje się w drodze do Skorpiona I. W pokoju zapanował entuzjazm, który jednak szybko przycichł, gdy prezydent przy-

pomniawsz wszystkim, że kłopoty mogą się jeszcze pojawić.

Hayes miał wrażenie, że coś próbuje utorować sobie drogę z jego żołądka. Był do tego stopnia spięty, że nie mógł się opanować i spacerował tam i z powrotem wzdłuż stołu konferencyjnego. Chociaż to nieco pomagało mu się uspokoić, denerwowało innych. Prezydentowi wydawało się, że ściany zacieśniają się wokół niego'. Podjął najodważniejszą i najtrudniejszą decyzję w swojej politycznej karierze. Nie miał wprawdzie najmniejszych wątpliwości, że dokonał właściwego wyboru, ale to nie znaczyło, że mu się to podoba. Miał jakieś głębokie przekonanie, że Izrael nim manipuluje. Ben Freidman został wysłany do Waszyngtonu, ponieważ dobrze wiedzieli, że Stany Zjednoczone nie mogą sobie pozwolić na zignorowanie przekazanej przez niego informacji. Gdyby Izrael przejął sprawy w swoje ręce i zbombardował szpital, zostałaby rozbita arabska koalicja przeciwko Saddamowi Husajnowi. Izrael wiedział, że Hayes będzie działał.

To właśnie zatruwało mu myśli w ciągu tego tygodnia. Robert Hayes był człowiekiem dumnym i zawsze robił tylko to, co uważał za słuszne. Nie chciał, żeby nim manipulowano, nie dawał się wciągać w intrygi. W połowie spaceru podjął decyzję: pewne rzeczy ulegną zmianom, gdy tylko misja dobiegnie końca. Gdyby mu się nie powiodło, byłby skończony. Nie tylko tak zwyczajnie, ale n a p r a w d ę i na zawsze skończony. Do całkowitego zwycięstwa brakowało mu tylko ugaszenia ognia roznieconego przez kongresmana Rudina. Jeżeli to się nie uda, wrogowie go zniszczą. Hayes nie miał złudzeń co do tego, jaka czekałaby go przyszłość. Gdyby Rapp nie wy dostał się z Iraku razem z bronią nuklearną, prezydent zostałby ukrzyżowany.

Podając spacer, Hayes zerknął na ekran i na pięć błękitnych trójkątów na zachód od Bagdadu. Oby tylko zaczęły się poruszać! Prezydent przeniósł wzrok na telewizor, gdzie włączono stację CNN, i zobaczył znienawidzonego człowieka. Kongresman Albert Rudin z patosem wygłaszał swoje opinie na temat bombardowania. Hayes dwadzieścia minut wcześniej oglądał jego występ w MSNBC. Był przekonany, że zanim zapadnie noc, Rudin powtórzy we wszystkich amerykańskich stacjach naziemnych i kablówkach swoje powiedzonko o ogonie, który macha psem. Ten irytujący dupek właśnie domagał się przesłuchań w sprawie bombardowań.

I dokładnie w tym momencie prezydent Hayes postanowił go zniszczyć. Od ponad dwudziestu lat aktywności politycznej po raz pierwszy naszła go taka myśl, więc na razie delektował się perspektywą zakończenia kariery politycznej Rudina. Kongresman został ostrzeżony nie tylko przez Hayesa, ale też liderów partyjnych, żeby trzymał język za zębami. Był wiele razy strofowany, ale nikogo nie słuchał. Musi zapłacić za swoją bezczelność, przekonanie o własnej nieomyślności i obłudną świętoszkowatość. Gdyby Rappowi i Delcie udało się, wtedy Hayes otrzymałby broń, której potrzebował. Gdyby zaś im się nie powiodło, broń otrzymałby do ręki Rudin. Tak czy owak, tylko jeden z nich przeżyje.

Gdy Hayes odwrócił się do zebranych przy stole, Valerie Jones podsunęła mu plik papierów.

- Proszę to przejrzeć.

Prezydent bez słowa chwycił cztery kartki i zaczął czytać. Był wdzięczny, że może się zająć czymś, co oderwie jego myśli od misji.

Przerwał w połowie pierwszej strony i przyłożył ją do ściany. Przekreślili jakieś słowo i wpisał na jego miejsce inne. Czytał oświadczenie przygotowane przez Valerie Jones i sekretarkę prasową Białego Domu, Michelle Bernard. Leżący piętro wyżej pokój prasowy był wypełniony po brzegi reporterami i fotografami, czekającymi na Bernard, by wyjaśniła im, co się dzieje. Hayes szybko skończył czytać, wprowadził tylko kilka poprawek. Zwrócił papiery Jones i stwierdził:

- Wygląda dobrze. Dodaj jeszcze na koniec... - Zanim dokończył zdanie, pokój wypełnił baryton generała Flooda.
- Panie prezydencie, oświadczenie będzie kompletne, jeżeli dodamy, że Delta jest już w drodze do Arabii Saudyjskiej.

Hayes spojrzał na Flooda, a potem na duży ekran. Pięć błękitnych trójkątów, które go tak interesowały, w końcu zaczęły się ruszać.

Uśmiechnął się, popatrzył na generała i zapytał:

- Są wszyscy?

Flood odwzajemnił uśmiech.

- Wszyscy.

Hayes miał ochotę wrzasnąć z radości, ale musiał się opanować. Teraz powrót był już łatwy. Rozmieszczone na zachodzie pustyni baterie rakiet przeciwlotniczych zostały w ciągu minionej godziny zniszczone przez lotnictwo i Siły Specjalne. AWACS sygnalizował, że zagrożenie ze strony irackich rakiet przeciwlotniczych w tym rejonie przestało istnieć. Nawet gdyby ocalały tam jakieś wyrzutnie, ich obsługi z pewnością wołałyby nie zwracać na siebie uwagi.

Prezydent wydał polecenie Jones i Bernard:

- Idźcie na górę i przedstawcie im sytuację, a potem

zakomunikujcie, że dziś o dwudziestej pierwszej wygłoszę przemówienie do narodu.

Jones wstała pierwsza i powiedziała:

- Chwileczkę. Musimy to omówić.
- W porządku, Valerie. Wiem, co robię.
- Ale, panie prezydencie, nie ma pan przygotowanego przemówienia.

Prezydent nadal się uśmiechał, odprowadzając obie doradczynie do drzwi.

- Nie martw się. Wiem, co mam mówić.

Gdy wrócił do stołu konferencyjnego, podszedł do niego generał Flood i usiadł obok Kennedy. Pochylił się i rzekł:

- Panie prezydencie, ciągle mamy tam F-III. Co pan zamierza?

Hayes zerknął na ekran. Dobrze znał cele drugoplanowe. Wybrano cztery bunkry dowodzenia oraz cztery luksusowe pałace Saddama. Ludzie z NBR wybrali je z ponad dwudziestu figurujących na liście. Zrobili to po przestudiowaniu tysięcy fotografii. Sądzono, że w jednym z nich ukryto fabrykę broni masowego rażenia. Prezydent wiedział, że nigdy nie będzie miał lepszej okazji do uderzenia. Musiał wybrać pomiędzy ewentualną śmiercią cywili a zadaniem Saddamowi poważnego ciosu. Cele te mogły zniszczyć bomby superpenetrujące. Po krótkim namyśle prezydent spojrział na Flooda i oznajmił:

- Masz moje zezwolenie.

Flood przyjął to z ulgą i uniósł telefon do ucha.

- Ruszajcie - rozkazał.

Kennedy położyła rękę na ramieniu prezydenta.

- Panie prezydencie, musimy wykonać kilka telefonów.

Hayes westchnął. Lista była długa i musiał wyjaśnić wiele spraw. Kennedy zasugerowała, żeby najpierw porozmawiać z premierem Goldbergiem, i prezydent wyraził zgodę. Chwilę później obaj politycy skontaktowali się za pośrednictwem łącz satelitarnych.

- Panie premierze Goldberg... - zaczął Hayes.

- Czekałem na pański telefon, panie prezydencie - odparł izraelski przywódca trochę poirytowanym tonem.
- Przepraszam, że nie powiadomiłem pana o naszej operacji, ale musiałem zachować daleko idącą dyskrecję.

Goldberg w typowym dla siebie stylu nie rozwodził się nad wyjaśnieniami i zapytał:

- Ma pan coś nowego do zakomunikowania?
- Mam - odparł Hayes. - Mniej więcej przed godziną Siły Specjalne Stanów Zjednoczonych weszły do Szpitala Al Husajn w Bagdadzie i osiągnęły zamierzony cel. Przedmiotowa broń jest w naszych rękach, a wyposażenie bunkra zostało zniszczone bez rujnowania placówki.

Zapanowało niezwykle długie milczenie. W końcu Goldberg odparł szczerze:

- Panie prezydencie, państwo Izrael będzie panu do zgonnie wdzięczne.

Prezydent uśmiechnął się do Kennedy, która przysłuchiwała się rozmowie.

- Miło mi to słyszeć. Przepraszam, że teraz nie podam szczegółów, ale z niecierpliwością czekam na nasze spotkanie w przyszłym tygodniu.

Premier Izraela miał na krótko odwiedzić Waszyngton w celu ustalenia harmonogramu rozmów z Palestyńczykami.

- Jest pan pewien, że moi arabscy sąsiedzi pojawią się po tym, co się stało dziś w nocy?
- Och, jestem pewien, że Jasir przybędzie, zresztą nie będę tego ukrywał przed nim: chcę, żeby cały świat wiedział, co Saddam knuje.
- Mam nadzieję, że nie wspomni pan, jaką rolę odegrał w tej sprawie mój kraj. - W głosie Gołdberga zabrzmiała obawa.
- Rozumiem twoją troskę, Davidzie, ale nie musisz się o to martwić.
- Jest pan wielkim sojusznikiem ludu Izraela, panie prezydencie.
- Izrael jest również wielkim sojusznikiem Stanów Zjednoczonych - odparł Hayes, ale ze zdecydowanie mniejszym przekonaniem. Patrzył na Kennedy, gdy bezgłośnie wymawiała pewne nazwisko.
- Davidzie, zrób mi grzeczność i przekaż wyrazy mojej wdzięczności i przeprosiny pułkownikowi Freidmanowi.
- Zrobię to z przyjemnością, ale, na Boga, za co go przepraszasz?
- Przyjąłem go trochę chłodno w zeszłym tygodniu w Waszyngtonie.
- Och, nie przejmuj się tym — zaśmiał się Goldberg. -Nie sądzę, żeby się spodziewał, iż ucieszy cię dostarczona przez niego wiadomość.
- No, ale nie zmienia to faktu, że nie okazałem mu zbytnej gościnności. Nie powinienem go tak potraktować i chciałbym za to przeprosić. Myślę, że powinieneś go zabrać z sobą w przyszłym tygodniu. Ameryka ma wobec niego dług wdzięczności i chciałbym tę sprawę załatwić osobiście.
- W świetle podjętych przez pana, panie prezydencie, wysiłków myślę, że pułkownik Freidman będzie zaszczycony tym zaproszeniem.

- Zatem dobrze... powiedz więc pułkownikowi, że czekam na niego w przyszłym tygodniu. Teraz muszę już kończyć.

Prezydent jeszcze raz wysłuchał podziękowań Goldberga i odwiesił słuchawkę. Irenę Kennedy niezwykle rzadko okazywała emocje, ale teraz uśmiechnęła się i skinęła głową z zadowoleniem.

- To było doskonale, panie prezydencie.

46

BIAŁY DOM, PONIEDZIAŁEK WIECZÓR

Ostatnie cztery godziny upłynęły prezydentowi na przekonywaniu Valerie Jones, że podjął słuszną decyzję zwrócenia się do narodu wprost z pokoju prasowego Białego Domu. Jones wolała całkowicie kontrolowane środowisko -biurko w Gabinetcie Owalnym. Chciała, żeby odczytał przemówienie z telepromptera, co pozwoliłoby uniknąć błędu. Żadnych nadgorliwych reporterów, którzy chcieliby zaistnieć i zaskoczyć prezydenta. Żadnych potknięć w tak ważnej sprawie. Sytuacja była już wystarczająco delikatna, więc należało unikać ryzyka.

Prezydent Hayes stanowczo nie zgadzał się z nią. Wiedział, że naprawdę wielkie przemówienie, które ma trafić do ludzi, należy wygłosić bez przygotowania, prosto z serca, a nie odczytując je z telepromptera. Z pewnością historycy z tymi wszystkimi dyplomami byliby zachwyceni taką przemową, ale nie zwykli ludzie, ogół społeczeństwa. Oni chcą, żeby zachowywał się jak kumpel, a nie robot. Czyli tak, jak planował to zrobić dzisiejszej nocy.

Gdy został sam w Gabinetcie Ovalnym, poświęcił trochę czasu na zebranie myśli przed telewizyjnym wystąpieniem. Na kartce naszkicował główne tematy. Podobnie jak autor sztuki teatralnej, podzielił je na pierwszy, drugi i ostatni akt. Bardzo pomogło mu w tym odniesienie całkowitego zwycięstwa. Rapp i Delta Force wrócili bezpiecznie do Arabii Saudyjskiej z głowicami nuklearnymi. Wróciły wszystkie załogi samolotów i wszyscy z Sił Specjalnych. Jego krytycy, krajowi i zagraniczni, ostro piętnowali go za bombardowanie. Ich sugestie albo bezpośrednie ataki ciągle dotyczyły tego samego - że zbombardował Saddama ze względów politycznych. Za kilka minut wszystkie te zarzuty okażą się bezpodstawne.

Pukanie do drzwi przerwało mu wątek, nad którym właśnie pracował, i przypomniał sobie, że musi jeszcze z kimś porozmawiać.

- Wejść.

Prezydent wstał i obszedł biurko.

Do gabinetu weszła Kennedy z nieco zdenerwowaną Anną Rielly. Hayes wskazał im kanapę przy kominku. Wyobrażał sobie, jak NBC musiało być zdziwione, że prezydent zaprosił na prywatną rozmowę ich korespondentkę w Białym Domu zaledwie na kilka minut przed wystąpieniem do narodu.

- Proszę, niech panie siądą. - Sam usiadł na drugiej kanapie. - Anno, Irenę powiedziała mi, że miałaś bardzo trudny tydzień.

Rielly nie chciała mówić o swoich prywatnych sprawach i w milczeniu szybko skinęła głową. Ten tydzień istotnie był dla niej prawdziwym piekłem. Jakby historii w Mediolanie było za mało, od pokazania przez

kongresmana Rudina w telewizji fotografii Mitcha rodzina, przyjaciele i współpracownicy cały czas zasypywali ją telefonami. Cały świat uważał go za zabójcę.

- No - kontynuował prezydent - teraz, gdy masz już to za sobą, myślę, że zanim zwrócę się do twoich kolegów, powinienem powiedzieć ci o kilku sprawach.

Prezydent przerwał i ku zaskoczeniu Rielly zaczął jej objaśniać wypadki z ostatniego tygodnia.

BIAŁY DOM, POKÓJ PRASOWY, PONIEDZIAŁEK, NOC

Prezydent Hayes jak młodzieniec wskoczył na podium. Irenę Kennedy, generał Flood, sekretarz obrony Culbertson i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Haik stali za nim na tle błękitnej zasłony. Jones i sekretarka prasowa zatrzymały się przy drzwiach.

Hayes sprawiał wrażenie niezwykle pewnego siebie. Zacisnął dłonie na brzegach pulpitu i przez chwilę patrzył na zgromadzonych w małym pokoju reporterów.

- Dziś po południu rozkazałem naszym siłom zgrupowanym w Zatoce Perskiej zaatakować Irak. Nie poinformowałem wcześniej naszych sojuszników o rozpoczęciu działań militarnych, tylko jedynie kilku członków mojego gabinetu i garstkę senatorów i kongresmanów. Uczyniłem to rozmyślnie i jeśli cierpliwie wysłuchacie mnie, wyjaśnię, dlaczego utrzymałem ten atak w tajemnicy. - Prezydent przerwał i pociągnął łyk wody ze szklanki stojącej na pulpicie. Chciał stworzyć

atmosferę napięcia. - Z pewnością nikogo z was nie zaskoczy wiadomość, że Saddam Husajn od pewnego czasu rozwijał produkcję broni masowego rażenia. W minionym tygodniu zostałem skonfrontowany z przerażającą rzeczywistością. Otrzymałem informację, że Saddam potrzebuje miesiąca, by ukończyć prace nad trzema w pełni sprawnymi głowicami nuklearnymi. - Prezydent przerwał i patrzył przed siebie w wypełniającej pokój ciszy. - Przez ostatnie kilka lat prowadził badania nad tego rodzaju bronią, korzystając z pomocy Parka Chowa Lee, koreańskiego fizyka nuklearnego.

Prezydent odwrócił się i skinął głową w stronę Kennedy. Podeszła do tablicy i zawiesiła na niej zdjęcie uczonego.

- Doktor Lee został wynajęty od rządu Korei Północnej - kontynuował prezydent - razem z sześcioma innymi naukowcami. W zamian Saddam wypłacił Korei czterdzieści milionów dolarów w ropie naftowej. Doktor Kennedy może służyć dokumentami dowodowymi. - Prezydent, patrząc na Kennedy, polecił: - Proszę o następne zdjęcie.

Kennedy zdjęła fotografię Lee i zastąpiła ją zdjęciem miasta z lotu ptaka. Budynek w środku zaznaczono czerwonym kółkiem.

- Saddam starannie ukrył swoje zamiary. Do tego stopnia, że cały kompleks umieścił pod szpitalem Al Husajn w Bagdadzie. - Prezydent znowu przerwał. - Nie muszę wyjaśniać motywów takiego postępowania. Powiem tylko, że nie były one bynajmniej szlachetne. Ale nikogo z nas nie powinny szokować. - Prezydent pokręcił głową ze smutkiem. - Wobec tego nie miałem innego wyjścia, jak tylko wykraść stamtąd tę broń. Takiemu człowiekowi jak Sad

dam Husajn, który użył gazu trującego przeciwko własnemu narodowi, nigdy nie wolno pozwolić na uzyskanie bomby atomowej. Dziś o godzinie dwudziestej pierwszej czasu bagdadzkiego rozpoczęliśmy operację ofensywną w celu zabrania tej broni i zniszczenia urządzeń do jej produkcji. Nasze Siły Specjalne dokonały śmiałego rajdu i dokładnie w tym samym czasie rozpoczęto nalot. Z przyjemnością mogę oznajmić, że nasze operacje zakończyły się całkowitym sukcesem. Powtarzam, nie ma żadnych ofiar cywilnych. Grupa prowadząca akcję zabrała trzy głowice nuklearne i teraz są one zabezpieczone poza granicami Iraku, a my jesteśmy w trakcie organizowania inspekcji za pośrednictwem ONZ-etu i z udziałem wszystkich senatorów lub kongresmanów, którzy ciągle wątpią w uczciwość swojego prezydenta. - Był to celny strzał, ale to prezydentowi nie wystarczyło, posunął się jeszcze dalej: - Mogę też z przyjemnością oznajmić, że wszyscy Amerykanie zaangażowani w operacje dzisiejszej nocy wrócili bezpiecznie do baz i na pokłady okrętów. Przepraszam naszych sojuszników i przewodniczących z Kapitolu, że nie poinformowaliśmy ich o tym wcześniej, ale obawialiśmy się, że broń nuklearna może zostać przeniesiona w inne miejsce. W każdej fazie tej operacji najważniejsze było bezpieczeństwo narodowe i to stanowiło też drugi powód mojego zwrócenia się do was dzisiejszej nocy. Jeszcze wczoraj cała operacja została narażona na niebezpieczeństwo przez kongresmana Alberta Rudina, który wystąpił w telewizji i zdradził ważną supertajną informację. -

Prezydent z niesmakiem pokręcił głową. - Kongresman Rudin, zaślepiiony irracjonalną nienawiścią do CIA, w swej żądzy zniszczenia kariery doktor Kennedy zdecydował się podać całemu światu nazwisko i zaprezentować fotografię jednego z naszych głównych agentów walczących z terrorystami. Wielu z was, reprezentantów prasy, spędziło miniony dzień na próbach ustalenia, kim jest ten człowiek. No cóż, z uwagi na bezpieczeństwo narodowe nie mogę wam wiele o nim powiedzieć. Powiem tylko, że to on dowodził akcją w Bagdadzie. Bez jego odwagi i bezinteresownego poświęcenia akcja nie zakończyłaby się sukcesem. Nazywa się Mitch Rapp i właśnie wziął udział w swojej ostatniej misji dzięki temu, że kongresman Rudin przedłożył nad własną małostkową wendetę bezpieczeństwo narodowe. Wielu z was było zaskoczonych porannymi nalotami policji na dom i biuro kongresmana. Pozwólcie, że wyjaśnię, jak do nich doszło. Minionego wieczoru wraz z doktor Kennedy pokazałem dyrektorowi FBI tajne akta CIA dotyczące kariery pana Rappa. Mogę was zapewnić, że prawo było zarówno po mojej stronie, jak i po stronie mojego poprzednika. Zawierały one prezydenckie zezwolenie użycia broni ze skutkiem śmiertelnym w razi konieczności. Zawsze byli o tym powiadamiani obaj przewodniczący - Izby Reprezentantów i Senatu. Technicznie rzecz ujmując, kongresman Rudin jako przewodniczący Senackiej Komisji do spraw Wywiadu powinien być w odpowiednim czasie informowany o każdej tajnej operacji. Ja oraz mój poprzednik nieustannie przekonywaliśmy liderów na Kapitolu, zarówno z Partii Demokratycznej, jak i Republikańskiej, że kongresman Rudin nie zasługuje na takie zaufanie. Zgodzili się z tym i trzymano go z boku. Stwarzało to trudną sytuację, gdyż musieliśmy lawirować między

wymaganiami proceduralnymi a potrzebami wynikającymi z wymogów bezpieczeństwa narodowego. Czuliśmy, podobnie jak przewodniczący obu izb Kongresu, że w obu wypadkach wywiązaliśmy się z naszych obowiązków. Mając na względzie wysoką stawkę ostatniej operacji, przekonaliśmy dyrektora Roacha i sędziego federalnego, że prawo zostało złamane. Działaliśmy tak szybko, jak to było możliwe, by odzyskać dokumenty, nim dalsze bezmyślne i lekkomyślne zachowanie kongresmana Rudina zaszkodziłoby mającej się odbyć operacji. - Prezydent przerwał, sprawiając wrażenie, że z trudem może uwierzyć w głupotę Rudina. - Przykro mi mówić, ale kariera pana Rappa jako agenta zwalczającego terroryzm została nadwerżona w sposób nie dający się naprawić, a w konsekwencji zagroziło to też bezpieczeństwu narodowemu. FBI przeprowadzi śledztwo w celu ustalenia, w jakim stopniu kongresman Rudin jest za to odpowiedzialny, i zbada możliwość oskarżenia go o popełnienie przestępstwa. - Prezydent obejrzał się przez ramię i ciągnął dalej: - Dlatego doktor Kennedy nie chciała odpowiadać na pytania zadawane jej dziś na Kapitolu. Trwała operacja w Iraku, nie mogła kłamać przed komisją i nie chciała też powiedzieć czegoś, co mogłoby zaszkodzić misji. A teraz, zanim oddam głos doktor Kennedy i generałowi Floodowi, chciałbym podziękować naszym sojusznikom za zrozumienie, cierpliwość i lojalność. Chciałbym też podziękować naszym żołnierzom, marynarzom, lotnikom i marines za odwagę i profesjonalizm. A Mitchowi Rappowi za to, że jeszcze raz ryzykował życie. Dzięki wam świat jest bezpieczniejszy. - Prezydent zakończył ze szczerym uśmiechem: - Dobranoc i niech was Bóg błogosławi. Po czym odwrócił się i opuścił pokój.

KAPITOL, PONIEDZIAŁEK WIECZÓR

Ten tak obiecujący dzień przyniósł zupełną klęskę. Hank Clark siedział w ciemnościach w swojej kryjówce na trzecim piętrze Kapitolu. W jednej ręce trzymał duży kieliszek koniaku, w drugiej cygaro. Zwrócił fotel do otwartego okna i stopy położył na parapecie. Wpadające z zewnątrz zimne powietrze walczyło z ciepłym, wydzielanym przez wiekowy grzejnik. Senator dawał właśnie dowód nieskuteczności działań rządu: palenie w federalnym miejscu pracy było surowo zakazane, ale ludzie tworzący prawa czasem je ignorują. Clark wydmuchał w zimne nocne powietrze chmurę dymu z cygara Diamond Crown Figurado.

Kombinacja nikotyny z wysokoprocentowym koniakiem ożywiła go. A jego umysł osiągnął już niemal stan, którego tak bardzo pragnął - stan, w którym alkohol rozjaśnia myśli. Trudno było go osiągnąć i utrzymać na stałym poziomie, bardzo łatwo przeholować i znaleźć się w sennym kręgu ogłupiającego zamroczenia.

Wielki plan senatora legł w gruzach i teraz próbował sobie wyobrazić, jak bardzo został osaczony. Znajdował się w pełnym odwrocie, ratując tylko tyle, żeby można było walczyć kiedy indziej. Prezydent zrobił perfekcyjny ruch. Liczba jego wyborców do piątku wzrośnie do osiemdziesięciu procent, a Mitch Rapp, chociaż nie stał się jeszcze bohaterem narodowym, będzie nim, zanim prasa z nim skończy. W górę poszły też akcje Kennedy. W środku kryzysu sprawiała wrażenie zimnej profesjonalistki. Potrzebujemy tego typu osoby na kierowniczym stanowisku w CIA. Nikt na Kapitolu nie zaryzykuje kariery, próbując z

tym dyskutować.

Albert Rudin był doskonałym przykładem. Skompromitowanym, skończonym politykiem. Prezydent właśnie zgniótł go jak robaka. Ten człowiek był radioaktywny. Do jutra rana nie będzie w stanie zarezerwować stolika w Burger Kingu. Nie będzie miał ani jednego sojusznika w Waszyngtonie.

Na nieszczęście Clark znał Rudina na tyle dobrze, że wiedział, iż ten uparty stary sukinsyn nie da się tak łatwo wykopać do Connecticut. Jego legowiskiem był Waszyngton, Partia Demokratyczna była jego całym życiem. Był zdesperowany, a tacy ludzie rzadko myślą rozsądnie. Teraz Rudin stał się dużym ciężarem.

Clark pociągnął łyk koniaku i spróbował oszacować, jakie szkody mógł jeszcze wyrządzić ten kłótlivy kongresman. Nie wyglądało to dobrze. Mógł spróbować obrać drogę bezpośrednią i pozbyć się tego pompatycznego, obłąkańczego dupka, ale prezydentowi mogłoby się to wydać dziwne. A poza tym był jeszcze problem ze Stevekenem i Brownem. Gdyby prezydent poważnie myślał o przeprowadzeniu śledztwa przez FBI, obaj mieliby kłopoty, a to oznaczało kłopoty i dla niego. Rudin musi trzymać język za zębami, inaczej Clark znajdzie się w krytycznej sytuacji. Mógł też odwołać się do zasad, a jeżeli to nie pomoże, będzie musiał Rudinowi zapłacić. Wszystko najlepiej załatwiają pieniądze.

Clark, paląc cygaro, patrzył przez okno na National Mail. Próbował ocenić szanse powodzenia. Rudin był nędznym sukinsynem. Pomogą tylko pieniądze.

Nagle ktoś zaczął walić do drzwi. Clark skoczył na równe nogi, przestraszony. Przycisnął rękę do piersi, próbując się uspokoić.

- Otwórz te cholerne drzwi, Hank. Wiem, że tam je steś!

To Rudin. Clark nie był pewien, czy chce teraz z nim rozmawiać. Stał przed otwartym oknem, bojąc się poruszyć.

- Czuję zapach tego twojego przeklętego cygara! Na tychmiast otwórz drzwi! - krzyczał Rudin. - Jutro chce ze mną rozmawiać FBI i radzą, żebym przyprowadził adwokata, Hank! Muszę z tobą zaraz porozmawiać!

Clark niechętnie odstawił kieliszek i zapalił lampę na biurku. Podeszedł do drzwi, przekręcił klucz i otworzył. Rudin wpadł do środka, mamrocząc przekleństwa. Clark zamknął drzwi, odwrócił się i rzekł:

- Albercie, czuję się strasznie po tym, co się stało dziś w nocy. Rozumiem frustrację prezydenta, ale myślę, że trochę przeholował.

- Rozumiesz jego frustrację! - warknął Rudin z pianą na ustach. - Właśnie zgnoił mnie przed całym krajem, do diabła, przed całym światem, a ty mówisz, że rozumiesz jego f r u s t r a c j ę! A co z moją frustracją? - szczeknął.

Clark wykonał uspokajający gest.

- Jestem tu, żeby ci pomóc, Albercie. Krzykiem niczego nie zdasz.

- Tkwisz tu, żeby mi pomóc! - ryknął Rudin. - Nie, ty się tu ukrywasz!

Pieprzysz, w ten sposób mi nie pomagasz.

Senator westchnął i zmusił się do zachowania spokoju.

- Masz rację, Albercie. Przykro mi.

- To nie wystarczy. Teraz musisz to wszystko odkręcić.

- Albercie, chcę ci pomóc, ale najpierw powinieneś przyznać się do

błędu.

- Do błędu! - zapiszczał wściekle Rudin. - Jedynym błędem, jaki popełniłem, było to, że ciebie posłuchałem. Posłałeś mnie do tego dziwaka Stevekena. To ty powiedziałaś, żebym wystąpił w *Meet the Press* i ujawnił całemu światu Mitcha Rappa. Gdybym cię nie posłuchał, nie tkwiłbym w tym bagnie.

Spokój Clarka powoli topniał.

- Och, Albercie, myślę, że i ty ponosisz tu trochę winy.
- Pieprzysz. Mam rację i ty o tym wiesz.
 - Prezydent dziś w nocy powiedział prawdę. Szczególnie o tej twojej wendecie.
 - Wal się, Hank. - Rudin podkreślił te słowa, prezentując środkowy palec.

Clark pochylił się ku niemu i powiedział z naciskiem:

- Uważaj co mówisz, bo jestem zapewne jedynym przyjacielem, jaki ci pozostał w tym mieście.
- Jestem zdesperowany! Musisz mi pomóc! - odparł Rudin, cofając się o krok.

Clark przypomniał sobie wcześniejszą myśl: ludzie zdesperowani postępują nierozsądnie. To był sygnał. Mgła rozstała się i Clark dostrzegł sposób wybrnięcia z sytuacji. Położył rękę na kościstym ramieniu Rudina i powiedział:

- Chodź, chcę ci pokazać coś, co może pomóc.

Rudin zawahał się, ale Clark pociągnął go za sobą. Po-deszli do otwartego okna i Clark wskazał daleki pomnik Waszyngtona, stojący na środku Mail. Był cały skąpany w silnym świetle niczym rakieta

gotowa do lotu. Clark, patrząc przez okno, rzekł:

- Walczysz w słusznej sprawie, Albercie. Tak jak Waszyngton. Tylko że ty nie masz po swojej stronie historii.

Rudin gniewnie potrząsnął głową.

• Historia mnie wypieprzyła.'

• No cóż, postaram się wszystko odkręcić. Dlatego rano obaj pójdziemy do prezydenta, a ja przekonam go, żeby zadzwonił do FBI. - Clark poklepał Rudina po plecach i dodał: - Nie martw się. Zajmę się tym. Rudin z ulgą opuścił ramiona.

• Och, dziękuję ci, Hank. Dziękuję... dziękuję... dziękuję.

• Nie martw się. - Clark znowu klepnął go w plecy i rzekł: - Po to ma się przyjaciół.

I Rudin w końcu się odprężył.

Clark zrobił krok do tyłu, położył obie ręce na kościstych plecach kongresmana i jednym silnym pchnięciem wyrzucił Rudina przez okno. Rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk, a potem głucho uderzenie. Clark wychylił się i spojrział na znajdujący się mniej więcej dwadzieścia metrów niżej kamienny taras. Leżało tam nieruchome ciało Alberta Rudina.

Clark wrócił do biurka i jednym haustem opróżnił kieliszek. Potem wyjął z kieszeni marynarki telefon i wystukał numer. Gdy odezwał się kobiecy głos, powiedział:

- Mówi senator Clark, chcę natychmiast rozmawiać z prezydentem. Wydarzyło się coś strasznego.

MARYLAND, ŚRODA WIECZÓR

Rapp wracał do kraju z mieszanymi uczuciami. Ciągłe był podekscytowany tą operacją i wątpił, czy duma, jaką odczuwał, kiedykolwiek zmaleje. Bardziej niż prawdopodobne było, że osiągnął już szczyt kariery i nie mógł sobie wymarzyć lepszego jej zakończenia. Czy mu się to podobało czy nie, kongresman Rudin zdradził jego tożsamość, w ten sposób uniemożliwiając mu działanie w terenie jako tajnego agenta. Na szczęście dla siebie wybrał on tchórzliwy sposób odejścia i skoczył. W rezultacie ułatwił Rappowi sprawę. Nie ma sensu znęcać się nad trupem.

Gdy samolot wylądował w Andrews, na sprawozdanie Rappa czekała już tam mieszana grupa z CIA i Pentagonu. Rapp oświadczył, że będą musieli to odłożyć, a gdy upierali się przy swoim, posłał ich do diabła. Przed odjazdem spędził kilka minut sam na sam z Kennedy. Próbowwała poruszyć temat Anny, ale nie chciał słuchać. Popełnił błąd, usiłując pogodzić życie zawodowe z osobistym, i nigdy go nie powtórzy. Kennedy przekazała mu, co się wydarzyło od poniedziałkowego wystąpienia prezydenta. Prawie wszystkie magazyny, dzienniki i stacje telewizyjne usiłowały skontaktować się z biurem informacyjnym CIA, prosząc o wywiad z nowym amerykańskim bohaterem.

- I co im powiedziałaś? - zapytał Rapp.
 - Że mają na to taką samą szansę, jak spotkać w piekle bałwana.
 - Ślicznie. Dobrze mnie znasz.
 - Aż za dobrze.

Znowu próbowała nawiązać do Anny, ale przerwał jej. Przez kilka dni miał zamiar wczłgać się do jakiejś dziury, a gdy był już gotów z niej wyjść, zadzwoni. Kennedy stała z wyrazem niepokoju na twarzy i

obserwowała, jak odjeżdża. Wiedziała, że pod maską obojętności skrywa udrekę. Znała go lepiej niż on siebie i wiedziała, że jest na skraju załamania.

Rapp jechał bocznymi drogami Marylandu, a w żyłach czuł mieszanek podniety i obawy. Przed opuszczeniem Arabii Saudyjskiej zadzwonił do jej mieszkania i zostawił wiadomość: „Będę w domu w środę wieczorem. Bardzo mi ciebie brakuje. Wiele znaczyłoby dla mnie, gdybyś była w domu, gdy tam przyjadę”. Wyobrażał sobie, że tak będzie bezpiecznie. Spotkają się i wszystko zależy od niej.

Gdy wrócił do Ameryki, ironia losu dała o sobie znać. Szukał normalnego życia, żony, rodziny, prawdziwej miłości - i teraz, po latach, w końcu miał szansę na osiągnięcie tego wszystkiego. Kobieta, o której marzył, była Anna. I mimo sytuacji w Mediolanie wiedział, że chce z nią spędzić resztę życia. Ale wiedział też, że do tego konieczna jest jej zgoda. Anna należała do kobiet przekornych. Nie lubiła być do niczego zmuszana. Musiała dojść do pewnych wniosków sama.

Rapp nie był biegły w sprawach sercowych, ale nie przywykł do klęsk. Należał do ludzi wierzących we własne umiejętności radzenia sobie w każdej sytuacji, ale tego chłodnego listopadowego wieczoru w jego zbroi pojawiło się pęknięcie. Zrodziło się w nim jakieś nowe uczucie. Uczucie podatności na zranienie. Próbował nie robić sobie zbyt wielu nadziei, ale rozpaczliwie pragnął zastać w domu Annę.

Skrecając na swoją drogę, nie mógł opanować podniecenia. Zabrał zbyt daleko, zbyt wiele poświęcił, aby teraz zrezygnować ze szczęścia. Z całą pewnością wiedział, że Anna go kocha. Każdy medal ma dwie strony i teraz, mając czas na rozmyślanie, uzmysłowił sobie, dlaczego Anna była

tak zdenerwowana w Mediolanie. Wiele go kosztowała ich znajomość i nie podejmował takiego wysiłku na co dzień. Był głęboko przekonany, że należeli do siebie. Byli sobie przeznaczeni.

Gdy wjeżdżał na podjazd, reflektory samochodu oświetliły długi dziedziniec, potem dom i garaż. Rozczarowany poczuł skurcz serca i zaczął hamować. Ósma jednaście i nie ma jej tutaj. Powoli zdjął nogę z hamulca i auto potoczyło się na podjeździe. Zatrzymał się przed garażem i wysiadł. Nie wyjął bagaży i poszedł prosto do drzwi.

Otworzył je i wyłączył alarm. Poszedł do kuchni, żeby przesłuchać automatyczną sekretarkę. Była pełna. Zaklął i zaczął kolejno odtwarzać wiadomości. Przesuwał wszystkie, których nie zostawiła Anna. Z chwili na chwilę pogrążał się w coraz głębszej rozpacz, aż w końcu dotarł do ostatniego nagrania. Nabrał głęboko powietrza i wypuścił je, a wraz z nim uszła z niego nadzieja.

Odwrócił się, podszedł do lodówki i wyjął piwo. Nerwy miał w strzępach. Chwycił kurtkę i wyszedł na pomost. Z jakiegoś powodu chciał zobaczyć wodę. Patrząc na ciemną zatokę, próbował znaleźć dla Anny jakieś usprawiedliwienie. Dlaczego jej nie ma? Dlaczego nie zadzwoniła i nie zostawiła wiadomości? Czuł się żałośnie, bo nie dostrzegał prawdy, bo żywił próżną nadzieję. Musiał coś zrobić, co pozwoliłoby złagodzić ból. Zebrał trochę drewna i rozpalił ogień.

Po pięciu minutach wydało mu się, że zaczyna czuć ulgę. Płomienie unosiły się w chłodne nocne powietrze, brzożowe kłody trzeszczały i strzelały iskrami. Poryw wiatru znad zatoki zwiął dym. Rapp łyknął piwa i patrząc na ogień, przypomniał sobie, że Anna podarowała mu na urodziny kociołek na ognisko. Nagle poczuł, że zalewa go ocean samotności.

Latami skrywał swoje myśli; wszelkie emocje były luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić. Anna to zmieniła. Pod powłoką oschłości dostrzegła uczucia, o których nawet nie miał pojęcia. Teraz te uczucia zwróciły się przeciwko niemu i ból okazał się nie do zniesienia.

Patrząc w ogień, czuł, jak łzy wypełniają mu oczy. Usiadł wygodniej w fotelu i zastanawiał się, jak ma żyć bez niej. Zapach jej włosów, dotyk jej skóry, czarująca zieleń oczu, jej uśmiech, to wszystko odeszło gdzieś i czuł się w jakimś stopniu oszukany. Bardzo się poświęcał i w zamian pragnął tylko jednego - odrobiny szczęścia. Towarzyski, z którą spędziłby resztę życia.

Ze łzami w oczach myślał o przeszłości. Wiedział, że przetrwa. Pokona wszystkie przeciwności, był przecież doskonale przygotowany do przeżycia w najtrudniejszych warunkach. Ból po tej stracie pewnie go osłabi, ale nie zniszczy. Nie będzie innej kobiety, przynajmniej przez jakiś czas, a jeśli już jakąś znajdzie, nigdy nie porówna jej z Anną. Anna była jego jedyną prawdziwą miłością i utracił ją. Cóż...

Rielly stała w cieniu i czekała. Wysiadając z auta i okrążając dom, czuła zapach dymu. Nie chciała, żeby ją zastał w domu, chciała coś w ten sposób wyraźnie podkreślić. Musi zrozumieć, co ona czuje. Teraz widziała, jak cierpi, i dłużej nie mogła tego znieść.

Wyszła z cienia i podeszła do niego. Spojrzał na nią jak chłopiec budzący się z długiego snu. Patrząc w jego wilgotne oczy, pragnęła tylko zrobić coś, co usunie jego ból. Ujęła jego twarz w dłonie i powiedziała:

- Kochanie, przepraszam.

Milczał. Chwycił ją, posadził sobie na kolanach, ukrył twarz na jej piersi i objął ją rękoma. Rielly pocałowała go w czubek głowy i

przejechała palcami krótkie włosy.

- Jak się czułeś, gdy po przyjeździe do domu nie zastałeś mnie?

- Okropnie.

Spojrzała na niego poważnie.

- Chciałam, żebyś wiedział, co się czuje, czekając na ciebie, zastanawiając się, czy wejdiesz przez te drzwi, czy kiedyś jeszcze mnie zobaczysz. Czyli to, co ja czułam wtedy w Mediolanie.

Ciągle krył twarz na jej piersiach.

- To nie było zabawne.

- Nie, nie było. - Chwyliła go pod brodę i uniosła jego głowę. - Teraz już wiesz, jak bolesna może być świadomość, że mnie straciłeś.

Przyrzeknij, że już nigdy nie pozwolisz, żebym czuła to samo.

- Przyrzekam - odparł bez Wahania Rapp.

Objęli się w długim pocałunku, tak jakby ich rozłąka trwała wiele miesięcy.

Po kilku minutach wstali i Rapp poprosił, żeby zaczekała na zewnątrz domu. Pobiegł do środka i ruszył na górę. Po chwili wrócił na pomost.

Chwylił Rielly za ramiona i posadził w fotelu. Ukląkł przed nią, pocałował i zapytał:

- Pamiętasz, kiedy się spotkaliśmy?

Rielly patrzyła na niego, podejrzewając, że to podchwytliwe pytanie.

Przecież niemożliwe, żeby nie pamiętała ich pierwszego spotkania. Ocalił jej życie.

- Oczywiście, że pamiętam.

- Pamiętasz, co powiedziałem, gdy zakładnicy zostali uwolnieni? Że to

było przeznaczenie.

- Rielly się uśmiechnęła.

- Tak.
- Jeszcze w to wierzysz? - zapytał szczerze.
- Wierzę - odparła łagodnie.
 - Ja też. - Ujął jej twarz w dłonie. - Myślę, że to los sprawił, iż byłem tam wtedy, żeby cię ocalić, więc teraz ty możesz ocalić mnie.

Pochyliła głowę i zapytała z uśmiechem:

- Jak?
 - Spędzając ze mną resztę życia. - Sięgnął do kieszeni i wyjął wspaniały pierścionek z brylantem. Chwycił jej rękę, spojrzał prosto w oczy i zapytał: - Anno, wyjdiesz za mnie?

Jej oczy wypełniły się łzami radości i dolna warga zaczęła drżeć, gdy wkładał pierścionek na jej palec. Niezdolna wymówić słowa, wolno skinęła głową i pochyliła się, żeby go pocałować w usta.

49

BIAŁY DOM, TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

Prezydent stał przed kominkiem w Gabinetcie Ovalnym. Kamery szumiały, pokój wypełniały błyski fleszy. Po jego lewej stronie stał Jasir Arafat, po prawej premier Izraela Goldberg. Dla Hayesa był to wielki tydzień. Rankingi poparcia dla jego polityki sięgnęły szczytu. Zarówno tu, w Waszyngtonie, jak i na arenie międzynarodowej. Nawet prasa była po

jego stronie. Nie było kraju na Bliskim Wschodzie, włączając w to Iran, który nie odetchnąłby z ulgą na wieść, że Hayes wybił kły Saddamowi. Ten naturalnie twierdził, że na skutek nalotu ulice spłynęły morzem krwi, ale nikt tego nie słuchał. Hayes triumfował.

W końcu Valerie Jones wystąpiła do przodu i oznajmiła przedstawicielom prasy:

- Okay, na razie kończymy. Dziękuję.

Jones wypchnęła wszystkich za drzwi, machając rękoma, jakby wpędzała bydło do zagrody.

Po wyjściu prasy prezydent zwrócił się do gości:

- Coś mi wypadło i muszę się tym zająć. To nie będzie trwało długo. Valerie zaprowadzi was do Gabinetu Roosevelta i wszystko przygotowuje.

Hayes uśmiechnął się do gości i opuścił Gabinet Ovalny. W połowie korytarza uśmiech znikł z jego twarzy. Zszedł do podziemi i zamknął za sobą drzwi Gabinetu Sytuacyjnego. Irene Kennedy siedziała przy stole, naprzeciw niej siedział jej izraelski odpowiednik.

Ben Freidman natychmiast wstał i rzekł:

- Panie prezydencie, dziękuję za zaproszenie do Białego Domu.

Hayes stanął za skórzanym fotelem i położył ręce na jego oparciu. To był plan Kennedy i bardzo chętnie wziął w nim udział.

- Proszę mi wybaczyć, że zmusiłem pana do odbycia tak długiej podróży, podając niezbyt uczciwy pretekst, ale nie sądziłem, żeby zdecydował się pan na tego rodzaju wyprawę, gdybym zdradził prawdziwy powód, dla którego chcia

łem rozmawiać z panem osobiście.

Z twarzy Freidmana znikł uśmiech.

- Proszę siadać. - Prezydent wskazał Izraelczykowi krzesło.

Szef wywiadu usiadł niechętnie.

- Chciałby pan może coś powiedzieć? - zapytał prezydent.

Freidman usiłował rozszyfrować powód gniewu Haye-sa. Cały ranek spędził z Kennedy i był bardzo zadowolony. Żadnego znaku, niczego, co świadczyłoby o tym, że coś jest nie tak. Spojrzał przez stół, szukając u niej wsparcia, ale napotkał tylko pytające spojrzenie. Zwrócił się do prezydenta:

- Przykro mi, panie prezydencie, ale nie jestem pewny, czy pana rozumiem.

- Och, myślę, że pan rozumie. - Hayes był bliski wybuchu. Wiedział, jak Freidman będzie się tłumaczył, i nie miał zamiaru tego kupić. Najwyższy czas, by zacząć zachowywać się jak prawdziwi sojusznicy. - Mówi panu coś nazwisko Peter Cameron?

Freidman był zawodowym łgarzem. Pokręcił więc przecząco głową i odpowiedział z całkowitym przekonaniem:

- Nie sędzę.

Prezydent skrzywił się lekko i spytał:

- A Donatella Rahn?

Freidman cały czas się głowił, gdzie ona może być, i teraz znał już odpowiedź.

- Tak, znam ją, panie prezydencie. Na nieszczęście.
 - O, a to dlaczego? - zapytał Hayes z udanym zainteresowaniem.
 - Osobiście zwerbowałem ją do Mosadu. Kiedyś była bardzo dobra, ale dwa lata temu straciłem nad nią kontrolę.
- Stracił pan nad nią kontrolę? - zdziwił się Hayes.
 - Od czasu do czasu zdarza się to w naszej pracy, panie prezydencie. - Freidman spojrzął na Kennedy. - Nie mamy odpowiedniego planu przechodzenia na emeryturę i niektórzy ludzie dużo zapłacą za kogoś o umiejętnościach Donatelli.

Hayes spojrzął na zegarek, potem na Kennedy.

- Nie mam czasu na takie brednie.
 - Próbujesz nam powiedzieć, Ben, że Donatella nie pracuje dla ciebie od dwóch lat? - zapytała Kennedy.
- Tak, dokładnie to chciałem powiedzieć.
 - Kłamię pan i to niezbyt dobrze. - Prezydent podniósł słuchawkę i nacisnął guzik. - Przyślij ich.

Odłożył słuchawkę i obserwował, jak Freidman się kurczy.

Po chwili otwarły się drzwi. Do pokoju weszła Donatella Rahn z Mitchem Rappem. Donatella okrążyła stół i usiadła obok Kennedy. Rapp stanął przy prezydencie i patrzył na Freidmana.

- Chciałby pan coś zmienić w swojej opowieści? - zapytał Hayes.
- Nie wiem, co ta kobieta panu powiedziała, ale nie
 - zasługuje na zaufanie. - Czoło Freidmana zaczęło błyszczeć od potu. Prezydent się roześmiał.
- Jeżeli komuś nie można ufać, to panu, panie Freidman.

- Panie prezydencie, proszę mi wybaczyć, ale nie chcę z nią rozmawiać ani jej słuchać. Wbiła mojemu krajowi nóż w plecy. Szukamy jej prawie od roku.
- Ze względu na naszą dotychczasową współpracę chwilowo ignoruję te bzdury o nożu w plecach. Chciałbym się natomiast skupić na czymś innym. Proszę mi wyjaśnić, dlaczego płacił pan duże sumy pannie Rahn i równocześnie ścigał ją pan?

Freidman próbował udawać zażenowanie.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Irenę. - Prezydent spojrzał na Kennedy.

Kennedy wyjęła teczkę, otworzyła ją i przesunęła po blacie. Były w niej wyciągi ze szwajcarskich kont, na których Freidman ukrywał pieniądze przed własnym rządem. Informacje te i jeszcze wiele innych uzyskał Marcus Du-mond, główny haker CIA, z pomocą Donatelli.

- Rozpoznaje pan te konta? - zapytał prezydent.

- Nie - zełgał Freidman.

- Dobrze, zatem nie przejmie się pan tym, że zostały dziś rano zamknięte, a pieniądze przelane na wskazane przez nas konto.

Freidman próbował zachować zimną krew, ale widać było, że mu się to do końca nie udaje. Postanowił nie odpowiadać.

Hayes spojrzał na Rappa i skinął głową. Rapp wyciągnął rękę i rzekł:

- Panno Rahn, czas na nas.

Wyjął z kabury berettę i powoli zaczął nakręcać na lufę czarny tłumik. Donatella wstała i uścisnęła rękę prezydenta.

Reagując na to, Freidman zaśmiał się nerwowo, nieco bardziej

nerwowo, niż zamierzał.

- Panie prezydencie, myśli pan, że jestem taki naiwny? Nie zastraszy mnie pan. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Nie zabije mnie pan. A przynajmniej nie tu, w Białym Domu.

- Och, panie Freidman, myślę, że pan mnie nie docenia, a równocześnie przecenia swoje znaczenie dla pańskiego rządu. Mogę poinformować premiera Goldberga, co pan zrobił i co ja chcę zrobić. Podziękuję mi za zabicie pana. - Hayes otworzył drzwi i wyprowadził Donatellę.

- Chwilę - rzucił nerwowo Freidman.

Prezydent dał Donatelli znak, by wyszła, i zamknął drzwi.

- Niech pan nie marnuje mojego cennego czasu, panie Freidman.

- Co pan chce wiedzieć?

- Kto pana wynajął do zabicia Petera Camerona? - zapytał Rapp.

Freidman skulił się.

- To trudne pytanie.

Rapp uniósł pistolet i wycelował w kolano Freidmana.

- Wręcz przeciwnie: bardzo łatwe - odparł rzeczowo.

Freidman spojrzał na broń, potem na celującego. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że Rapp naciśnie spust. Z drgającą powieką podjął decyzję i odpowiedział:

- Hank Clark.

- Co? - Prezydent był zaskoczony.

- Hank Clark. - Freidman spojrzał na Kennedy i do dał: - Oddajcie mi pieniądze, a powiem wszystko, co wiem.

Rapp zwrócił się do prezydenta:

- Chciałbym, żeby pan wyszedł.

Hayes, ciągle myśląc o wymienionym nazwisku, zaczął:

- Ale...

Rapp chwycił prezydenta za ramię i polecił:

- Proszę wyjść!

Hayes, szukając pomocy, spojrzał na Kennedy. Skinęła głową i zerknęła na drzwi. Po chwili wahania prezydent wyszedł z pokoju. Po jego odejściu Freidman odetchnął z ulgą i rzekł do Kennedy:

- No to możemy się dogadać.
- Fakt - powiedział Rapp.

Wymierzył broń w nogę Freidmana i nacisnął spust. Kula otarła się o wewnętrzną stronę uda. Freidman odskoczył na krzesło i chwycił nogę z mieszaniną szoku i bólu na twarzy. Rapp wycelował w kolano i wycedził przez zęby: - Czekam tylko na powód, by cię zabić. Nie będzie negocjacji. Jeśli chcesz wyjść stąd żywy, to powiedz nam wszystko, co wiesz.

Ściskając bolącą nogę, Freidman skinął głową i zaczął mówić.

EPILOG

Klub Cosmos był ulubionym miejscem senatora Clarka. Szczególnie w okresie świąt Bożego Narodzenia. Rezydencja przy Massachusetts Avenue 2121 była bastionem bogactwa, klasy, intelektualnych dyskusji, doskonałego jedzenia, cygar i alkoholu. Było to miejsce w rodzaju tych, do których kongresman Albert Rudin nie miał wstępu. W tym stuletnim klubie obowiązywały własne zasady, a główna dotyczyła dobrych manier. Wyrażano tu różne opinie, ale nigdy nie słyszano głośnych sprzeczek.

Na Mass Avenue limuzyna senatora włączyła się w sznur pojazdów

należących do elit Waszyngtonu. Była piąta w kolejce, a za nią stało co najmniej tyle samo pojazdów. Doroczne przyjęcie bożonarodzeniowe Sally Bradley w klubie Cosmos było wydarzeniem, którego nie można pominąć. Chyba że było się żoną numer trzy. Wyjechała do Phoenix -przysiębiało ją zimne, grudniowe, ołowiane niebo nad Waszyngtonem.

Clark wcale nie był zaskoczony brakiem wyrzutów sumienia i poczucia winy z powodu zamordowania Rudina. Z satysfakcją myślał, że jest jedyną osobą znającą prawdę. Trzy tygodnie po jego śmierci orzeczono, że było to samobójstwo, i sprawę umorzono. Z policją poradził sobie łatwo. Clark wszystko wyłuszczył detektywom. Rudin od pewnego czasu był w depresji, szczególnie od spotkania przed kilkoma tygodniami z kierownictwem partyjnym i prezydentem. Zagrozili, że pozbawią go fotela przewodniczącego i zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby mieć pewność, że nie zostanie ponownie wybrany. Rudin spisano na straty. Zaślepiiony w swoich przekonaniach próbował storpedować nominację Kennedy. Clark ostrzegł go, żeby tego nie robił, ale Rudin oświadczył, że znalazł coś, co może zniszczyć Kennedy. Potem wystąpił w *Meet the Press* z oskarżeniami. Następnego dnia cały jego świat runął, gdy prezydent przemówił do narodu. Clark opowiedział, jak spanikowany Rudin przyszedł do niego i błagał, żeby porozmawiał z prezydentem i wstawił się za nim. Chciał, aby prezydent zadzwonił do FBI i polecił zaniechać śledztwa.

Clark solennie zapewnił śledczych, że odmówił prośbie Rudina. Powiedział, iż jeśli kogoś można winić za to całe zamieszanie, to tylko jego. „Nie sądziłem, że skoczy. Taka myśl nigdy nie wpadłaby mi do głowy. Teraz widzę, że zawiodłem go w potrzebie”. Clark sprawiał

wrażenie autentycznie skruszonego i policja kupiła to. Większą część jego zeznania potwierdził prezydent i nawet żona Rudina powiedziała, że mąż od kilku tygodni miał ponury nastrój. Clarka nigdy nie traktowano jako podejrzanego i po krótkim śledztwie zamknięto ustaleniem, że Rudin popełnił samobójstwo.

Odurzała go świadomość uniknięcia bliskiej klęski. Przeświadczenie, że wszystkich wykiwał, dawało mu poczucie wszechmocy. Plany dostania się do Białego Domu były nadal aktualne. Ellis i jego finansisci z zachodniego wybrzeża byli bardzo zaniepokojeni faktem, że Kennedy zostanie zatwierdzona na stanowisko dyrektora, ale nic na to nie mógł poradzić. Przynajmniej na razie. Tymczasem powie Ellisowi, że spróbuje znaleźć inną wtyczkę w CIA. Dziwne, ale nikt nie zainteresował się ani Stevekenem ani Brownem. Po śmierci Rudina FBI zamknęło śledztwo.

Na razie prezydent Hayes był nie do ruszenia. Jego poparcie wyborcze było tak wysokie, że tylko kompletny kretyń mógł wystąpić przeciwko niemu. Ale kto wie, jaki będzie klimat polityczny za rok? Clark będzie czekał cierpliwie do następnej walki, ciągle snując marzenia o zajęciu Gabinetu Ovalnego.

W końcu limuzyna wjechała na mały podjazd i portier, dostojny we wspaniałej pelerynie i cylindrze, otworzył drzwi. Senator, ubrany we frak, wysiadł i wszedł do klubu. Był opalony i wypoczęty po weekendzie na Bahamach i teraz chciał się dobrze zabawić. Wszedł do wspaniałej sali klubowej Warne Lounge, gdzie grała orkiestra i zebrała się większość gości. Zbyt wielu. Widząc, że przy barze tłoczą się w pięciu rzędach, zmienił kurs i skierował się do Cherrywood Bar. Kilku znajomych próbowało go zatrzymać, ale Clark uprzejmie wykręcił się

obietnicą szybkiego powrotu i dotarł do mniejszego pomieszczenia gdzie przy zakrzywionym granitowym barze siedziało tylko kilku przewidyjących gości.

Zamówił kieliszek merlota i usiadł. Wypił i przed przyłączeniem się do zabawy zamówił następny. Właśnie zaczął gawędzić z barmanem, gdy do pokoju weszła oszalamiająca blondynka w ozdobionej koralikami sukni koloru kości słoniowej. Wyraźnie szukając towarzystwa, usiadła przy barze obok Clarka i zamówiła kieliszek chardonnay. Kiedy spojrzała na Clarka, ten zapytał:

- Jak ci się podoba dzisiejszy wieczór?
- Dziękuję, bardzo. - Skierowała wzrok na barmana. Ta kobieta miała jakiś dziwny akcent, ale Clark nie potrafił go określić. Była wprost cudowna - wysoko zarysowane kości policzkowe, pełne wargi, doskonała figura o wąskiej talii. Clark, zastanawiając się, jak wygląda bez ubrania, zapytał:

- Dobrze się bawisz?

- Tak. - Obserwowała Clarka przez chwilę, po czym stwierdziła: - Wydaje mi się, że skądś cię znam. Spotka liśmy się kiedyś?

Uśmiechnął się i pociągnął długi łyk wina.

- Na pewno nie. Pamiętałbym. - Wstał i wyciągnął rękę. - Senator Hank Clark.
- Ach, tak. - Uścisnęła podaną dłoń. - Widziałam cię w telewizji. - I dodała z zalotnym uśmiechem: - W rzeczywistości wyglądasz lepiej.
- Dziękuję, ty również wyglądasz doskonale. Kobieta zaśmiała się i

poklepała rękę Clarka.

- Jak się nazywasz?
- Mary Johnson.

- Nie mieszkasz w Waszyngtonie, inaczej z pewnością spotkalibyśmy się, Mary.

- Masz rację, senatorze. Pochodzę z Richmond.

- Więc jak się znalazłaś w tym tłumie?

Pojawił się kieliszek chardonnay.

- W college'u należałam do jednej korporacji z córką Sally.
- Och, wspaniale. Usiądź tu. - Wskazał stołek obok siebie.
- Dziękuję. - Usiadła, założyła nogę na nogę i długie rozcięcie w sukni ukazało jędrne udo.

Clark natychmiast zwrócił na to uwagę i sięgnął po swój kieliszek wina.

Wypił i uśmiechnął się.

- Podoba mi się twoja suknia. Jest piękna. - Spojrzał na obrączkę na palcu i opuścił wzrok na nogę. - Gdzie jest twój mąż?

Zawahała się i odparła po chwili:

- Został w Richmond. Nie lubi takich spotkań. Najbardziej ze wszystkiego kocha swoją pracę.

Clark przysunął się bliżej i rzekł, ścisząc głos:

- Gdybyś była moją żoną, myślałbym tylko o jednym.
- O czym?
- O tobie. - Clark opróżnił kieliszek i zamówił następny.

Kobieta zarumieniła się na ten komplement i sięgnęła

do torebki po puderniczkę. Poprawiła makijaż i przypudrowała nos.

- A zatem, senatorze, proszę mi powiedzieć, gdzie dzisiejszą noc spędza pani Clark?

- Na szczęście wieczorem wyjechała do Arizony.

Barman podał kolejny kieliszek merlota i odszedł obsłużyć innego klienta. Kobieta wyjęła z torebki szminkę i zapytała Clarka:

- Jesteś tu na jakiejś fotografii? - Wskazała wiszące za plecami Clarka czarno-białe zdjęcia.

Gdy Clark odwrócił się, szybko przeniosła szminkę nad jego kieliszek i wcisnęła w niej mały guziczek. Do kieliszka kapnęło kilka kropel bezwonnego płynu. Kobieta schowała szminkę i napiła się swojego wina.

Clark odwrócił się do kontuaru i rzekł:

- Tak, myślę, że jestem na nich z kolegami z Kapitolu. - Podniósł kieliszek i wypił.

Kobieta skinęła głową i wyciągnęła rękę.

- No to, senatorze Clark, może zatańczymy? Co ty na to?

- Bardzo chętnie.

Clark dopił wino i wstał. Podał kobiecie ramię, myśląc, że dzisiejsza noc zapowiada się naprawdę interesująco. Opuścił wzrok na jej pełne piersi, wychylające się z dekoltu obcisłej sukni, i znowu usiłował sobie wyobrazić, jak Mary Johnson wygląda naga.

Rapp, we fraku, stał blisko baru. Był sam. Jego czarne włosy przyprószyła siwizna, podobnie jak starannie przystrzyżona niewielka bródka. Przez okulary w rogowej oprawie obserwował tłum, szukając Donatelli. Wysłał ją, żeby śledziła Clarka, i teraz czekał na jej powrót.

Przez ostatnie trzy tygodnie z wielu powodów nie kontaktował się z Kennedy. Wiedziała, co chce zrobić, ale wolała nie znać szczegółów. Prezydent, jak zakładał, również postanowił nie interweniować. Freidman podał im dość informacji na temat intrygi Clarka. W zamian za to Kennedy i prezydent postanowili zachować dla siebie wiedzę o uczynkach szefa Mosadu. Pieniądze Freidmana pozostały jednak poza jego zasięgiem. Kennedy zamierzała je wykorzystać jako argument przetargowy w innej sprawie.

Wyposażeni w informacje uzyskane od Freidmana zaczęli badać życie Clarka. Rapp zbierał dane przy pomocy Donatelli i kilku zaufanych specjalistów. Zrewidowali trzy domy Clarka i dokładnie przejrzeni finansowe oraz medyczne notatki. Rapp wykorzystał też okazję, aby tu i tam umieścić dane pomocne w ustaleniu naturalnych przyczyn śmierci senatora.

Normalne zabicie Clarka nie wchodziło w rachubę. Byłoby łatwe, ale zaraz po samobójstwie Rudina wywołałoby zbyt wiele pytań. Dlatego Rapp wybrał to nocne przyjęcie. Im więcej świadków, tym lepiej.

Rapp dostrzegł w morzu świętujących gości blondwłosą Donatellę, torującą sobie z Clarkiem drogę do niego. Kilka osób próbowało zatrzymać senatora, ale zwracał uwagę tylko na idącą przed nim seksbombę.

Donatella podeszła do Rappa i szepnęła:

- Załatwione. - Po czym odwróciła się do Clarka i powiedziała głośno: - Chcę ci przedstawić mojego przyjaciela. - Odsunęła się i zostawiła obu mężczyzn samych.

Rapp zauważył na twarzy Clarka, że narkotyk zaczyna

już działać. Na wargach pojawiły się kropelki potu, oczy wyraźnie niespokojnie biegały. Clark wyciągnął rękę i rzekł:

- Senator Hank Clark. Miło mi.

Przez chwilę zdawało się, że straci równowagę. Rapp mocno uściśnął jego dłoń.

- Ja nazywam się Mitch Kruse, senatorze. Już od pewnego czasu chciałem się z panem spotkać.
- Jak brzmi pańskie nazwisko?
- Mitch Kruse.

Clark, usiłując przekrzyczeć muzykę, stwierdził:

- Gdzieś już je słyszałem.

Rapp wzruszył ramionami.

- Proszę mi powiedzieć: czy kongresman Rudin sam skoczył, czy też został wypchnięty przez to okno?

Rapp ciągle trzymał rękę Clarka i nie pozwalał mu odejść. Clark próbował się wyrwać, ale Rapp był silniejszy.

- Nie sędzę, żeby ten dowcip był śmieszny.
- Nie ma w tym nic śmiesznego. Myślę, że pan go zabił. Clark, próbując wyrwać rękę, zatoczył się.
- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Rapp zauważył, że senator mówi już z trudem.

- Senatorze, nie wygląda pan dobrze. - Ciągle trzy mając rękę Clarka, podszedł do wolnego fotela. - Proszę usiąść. - Posadził go i odebrał mu z ręki kieliszek po winie. Podał go Donatelli, która wytarła go serwetką i postawiła na kontuarze baru.

Clark rozluźnił krawat.

- Źle się czuję. Ciężko mi oddychać. - Ledwo wymawiał słowa.
- Ma pan atak serca, senatorze. Niech się pan uspokoi, a wszystko zaraz minie.

Na twarzy Clarka pojawiło się przerażenie. Próbował mówić, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Rapp pochylił się i rzekł:

- A przy okazji, nie nazywam się Mitch Kruse, tylko

Mitch Rapp.

W oczach Clarka zauważyć można było błysk rozpoznania, ale był już zbyt słaby, by zareagować.

- Chciałem się z panem osobiście spotkać, zanim pan umrze. - Rapp odsunął się na tyle, żeby widzieć, jak na jego twarzy przerażenie zmienia się w maskę śmierci.

Po chwili zostawił nieruchomego Clarka na fotelu, z szeroko otwartymi oczami. Odwrócił się i wyciągnął rękę do Donatelli. Chwyła ją i ruszyli przez parkiet w kierunku muzyki, rozmów i śmiechów.